

Bohater Złotego Buddy powraca w światowym bestsellerze



# CLIVE CUSSLER

JACK DU BRUL



# TAJNA STRAŻ

**CLIVE CUSSLER**

**TAJNA STRAŻ**

**PRZEKŁAD MACIEJ PINATRA**

**TYTUŁ ORYGINAŁU DARK WATCH**

Przestarzały odrzutowiec firmowy Dassault Falcon płynnie zniżył lot i wylądował w Międzynarodowym Porcie Lotniczym Sunan dziewiętnaście kilometrów na północ od Phenianu. Mig, który go eskortował od chwili, gdy samolot wleciał w północnokoreańską przestrzeń powietrzną, zawrócił - ciemność nocy przecięły dwa stożkowe płomienie z dysz jego silników. Wysłano ciężarówkę, by poprowadziła falcona na miejsce postoju. Na jej skrzyni ładunkowej stał strzelec z karabinem maszynowym i nie odrywał wzroku od okien kokpitu. Maszyna podkołowała do betonowego placu na końcu kompleksu lotniskowego. Jeszcze zanim zablokowano koła, otoczył ją oddział uzbrojonych żołnierzy, gotowych użyć swoich kałasznikowów przy najmniejszej prowokacji. Nieważne, że pasażerami samolotu byli zaproszeni dygnitarze i czołowi klienci osamotnionego kraju komunistycznego.

Kilka minut po tym, jak ucichły silniki, uchylły się drzwi kabiny pasażerskiej. Dwaj strażnicy stojący najbliżej odrzutowca zmienili pozycję. Właz opuścił się, ukazując wbudowane po wewnętrznej stronie stopnie. W otworze stanął mężczyzna w oliwkowym mundurze i czapce z daszkiem. Miał surową twarz, niemal czarne oczy, haczykowany nos i cerę koloru słabej herbaty. Przygładził palcem gęste czarne wąsy, obrzucił obojętnym spojrzeniem krąg żołnierzy i lekkim krokiem wyszedł z samolotu. Za nim pojawili się jego dwaj towarzysze o ostrych rysach, jeden w tradycyjnej arabskiej szacie i chuście na głowie, drugi w drogim garniturze.

Przez kordon przemaszerowali trzej północnokoreańscy oficerowie. Najwyższy stopniem przywitał się oficjalnie i zczekał, aż drugi - tłumacz - przełoży jego słowa na arabski.

- Generał Kim Don II wita w Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej, pułkowniku Hourani, i wyraża nadzieję, że mieliście panowie przyjemny lot z Damaszku.

Pułkownik Hazni Hourani, zastępca dowódcy syryjskich strategicznych sił raketowych, skłonił głowę.

- Dziękujemy, że generał spotkał się z nami osobiście o tak późnej porze. Proszę mu powiedzieć, że mieliśmy bardzo przyjemną podróż; przelatywaliśmy nad Afganistanem i mogliśmy zrzucić zawartość toalety na amerykańskich okupantów.

Koreańczycy roześmieli się, kiedy usłyszeli przekład. Hourani mówił dalej, zwracając się bezpośrednio do tłumacza:

- Podziwiam pańską znajomość arabskiego, ale chyba łatwiej będzie nam się porozumieć po angielsku. - Przeszedł na ten język. - Rozumiem, generale Kim, że obaj znamy mowę naszego wspólnego wroga.

Generał zamrugał.

- Tak, uważam, że to mi daje przewagę nad imperialistami, bo wiem o nich więcej niż oni o mnie
- odrzekł. - Znam też trochę japoński - dodał, próbując zaimponować gościowi.
- A ja trochę hebrajski - odparł szybko Hourani, żeby nie być gorszym.
- Wygląda na to, że obaj jesteście oddani naszym krajom i naszej sprawie.
- Zniszczenia Ameryki.
- Zniszczenia Ameryki - powtórzył jak echo generał Kim, widząc w spojrzeniu Araba taki sam ogień, jaki płonął w nim samym.
- Już zbyt długo rozszerzają swoje wpływy na wszystkie zakątki globu. Przytłaczają cały świat, najpierw wysyłając żołnierzy, a potem trując ludzi swoją dekadencją.
- Ich oddziały stacjonują zarówno wzdłuż waszych, jak i naszych granic. Ale boją się zaatakować mój kraj, bo wiedzą, że nasz odwet byłby szybki i ostateczny.
- Wkrótce będą się bali również naszego odwetu - odparł Hourani z wazeliniarskim uśmiechem. - Dzięki waszej pomocy, oczywiście.

Kim uśmiechnął się tak samo jak Syryjczyk. Ci dwaj ludzie z różnych części świata byli pokrewnymi duszami: szczerze nienawidzili wszystkiego, co zachodnie. Ta nienawiść ich określała, została w nich ukształtowana przez lata indoktrynacji. Nie miało znaczenia, że jeden jest wyznawcą szlachetnej religii w wypaczonej formie, a drugi ślepo wierzy w nieomyłność swojego państwa. Skutki były takie same. Widzieli piękno w barbarzyństwie i znajdowali natchnienie w chaosie.

- Zorganizowaliśmy transport waszej delegacji do bazy morskiej Munczon niedaleko Wonsan na wschodnim wybrzeżu - powiedział Kim do Houraniego. - Czy waszym pilotom będą potrzebne kwatery w Phenianie?

- To bardzo uprzejme z pańskiej strony, generale. - Hourani znów przyglądał wąsy. - Ale samolot musi jak najszybciej wrócić do Damaszku. Jeden z pilotów spał przez większość podróży, więc może lecieć do Syrii. Gdyby mógł pan zorganizować tankowanie, chętnie od razu wysłałbym ich z powrotem.

- Jak pan sobie życzy. - Kim wydał polecenie podwładnemu, który przekazał rozkaz szefowi służby bezpieczeństwa. Kiedy dwaj asystenci Houraniego skończyli wyładowywać bagaże delegacji, przyjechała cysterna i robotnicy zaczęli rozwijać wąż.

Samochód osobowy był chińską limuzyną o przebiegu ponad trzysta tysięcy kilometrów. Drobnego północnokoreańskiego generała niemal utonął w zapadniętym siedzeniu. W aucie cuchnęło papierosami i kiszoną kapustą. Droga przez góry Kumgang, łącząca Phenian z Wonsanem, należała do najlepszych w kraju, mimo to zawieszenie limuzyny ledwo wytrzymało jazdę w ciasnych zakrętach i niebezpiecznych koleinach. Wzdłuż jezdni było bardzo mało barier ochronnych, a reflektory samochodu miały niewiele większą moc od latarek kieszonkowych. Bez księżycowej poświaty jazda byłaby niemożliwa.

- Kilka lat temu - powiedział Kim, kiedy zapuścili się wyżej w góry, biegnące jak kręgosłup przez całą długość kraju - wydaliśmy zgodę pewnej firmie z południa na organizowanie wycieczek w

te góry. Niektórzy uważają je za święte. Zażądaliśmy budowy dróg i szlaków turystycznych oraz restauracji i hoteli. Musieli nawet zbudować własny port dla swoich statków wycieczkowych. Przez jakiś czas firma miała wielu klientów, ale musiała brać po pięćset dolarów od osoby, żeby pokryć koszty inwestycji. Liczba chętnych do odbycia nostalgicznej podróży okazała się zbyt mała i interes szybko upadł - zwłaszcza po tym, jak ustawiliśmy wzdłuż dróg strażników i nękaliśmy turystów w każdy możliwy sposób. Przestali tu przyjeżdżać, ale firma nadal nam płaci, bo zagwarantowała naszemu rządowi miliard dolarów.

Opowieść wywołała uśmiech na twarzy pułkownika Houraniego, jedyne go członka syryjskiej delegacji, który znał angielski.

- A najlepsze jest to - ciągnął Kim - że w ich hotelu są teraz koszary wojskowe, a w ich porcie cumują fregaty Najin.

Tym razem Hourani roześmiał się głośno.

Dwie godziny po opuszczeniu lotniska limuzyna zjechała wreszcie z gór Kungang, przecięła nadmorską nizinę i skręciwszy na północ od Wonsan, dotarła do ogrodzenia bazy marynarki wojennej Munczon.

Wartownicy przy bramie zaszalutowali i samochód potoczył się przez kompleks. Minął kilka imponujących budynków warsztatowych i wjechał na prawie kilometrowe nabrzeże, gdzie były przycumowane cztery smukłe szare kutry patrolowe. W porcie o powierzchni dwu i pół kilometra kwadratowego stał na kotwicy samotny niszczyciel; z jego komina unosił się ku nocnemu niebu biały dym. Kierowca okrążył bom ładunkowy i zaparkował wzdłuż studwudziestometrowego statku towarowego na końcu nabrzeża.

- „Asia Star” - oznajmił generał Kim.

Pułkownik Hourani spojrział na zegarek. Była pierwsza nad ranem.

- Kiedy odpływamy? - spytał.

- Tutaj, w zatoce Jonghung Man, pływy są łagodne, więc możecie wyruszyć w każdej chwili. Statek jest załadowany, zatankowany i zaprowiantowany.

Hourani odwrócił się do jednego ze swoich ludzi i zapytał po arabsku:

- Co o tym myślisz? - Wysłuchał długiej odpowiedzi, skinął kilka razy głową i zwrócił się z powrotem do generała, który siedział w limuzynie naprzeciwko niego: - Assad Muhammad to nasz ekspert od pocisków Nodong-1. Chciałby na nie spojrzeć, zanim odpłyniemy.

Wyraz twarzy Kima nie zmienił się, ale było jasne, że nie jest zachwycony perspektywą zwłoki.

- Możecie przecież dokonać inspekcji na morzu. Zapewniam, że na pokładzie są wszystkie rakiety, które zakupił wasz kraj. Dziesięć sztuk.

- Niestety Assad nie czuje się dobrze na wodzie. Wolałby sprawdzić pociski teraz, bo rejs

prawdopodobnie spędzi w swojej kajucie.

- Dziwne, że ktoś taki transportuje rakiety do Syrii - zauważył chłodno Kim.

Hourani zmrużył oczy. Jego kraj płacił za pociski strategiczne średniego zasięgu prawie sto pięćdziesiąt milionów dolarów. Kim nie miał prawa go przesłuchiwać.

- Jest tutaj, bo zna się na rakietach. Pracował z Irańczykami, kiedy kupowali od was Nodongi. Jego kłopoty na morzu to nie pańska sprawa. Obejrzy wszystkie dziesięć pocisków i odpłyniemy o świcie.

Generał Kim miał rozkaz towarzyszyć Syryjczykom, dopóki statek nie odbije od brzegu. Powiedział żonie, że wróci do Phenianu dopiero rano, ale przez Arabów nie mógł się spotkać na kilka godzin ze swoją ostatnią kochanką. Westchnął na myśl o tym, jak się poświęca dla kraju.

- Dobrze, pułkowniku. Poinformuję kapitanat portu, że „Asia Star” nie wyjdzie w morze przed świtem. Może wejdziemy na pokład? Pokażę wam wasze kajuty, żebyście mogli zostawić bagaże, a potem pan Muhammad będzie mógł obejrzeć wasze nowe zabawki.

Kierowca otworzył tylne drzwi. Kiedy Kim przesunął się, żeby wysiąść, Hourani położył mu rękę na ramieniu. Ich oczy się spotkały.

- Dziękuję, generale.

Kim uśmiechnął się szczerze. Mimo różnic kulturowych, nieodłącznej nieufności i tajemnicy wokół tej sprawy naprawdę polubił pułkownika.

- Nie ma problemu.

Trzej Syryjczycy dostali oddzielne kajuty, ale już parę minut po zakwaterowaniu spotkali się wszyscy u pułkownika. Assad Muhammad usiadł na koi z czarnym neseserem obok siebie, Hourani usadowił się za biurkiem pod jedynym bulajem w kajucie, a najstarszy z całej trójki, profesor Walid Chalidi, oparł się o przegrodę i skrzyżował ręce na piersi. Hourani zrobił bardzo dziwną rzecz: dotknął kącika swojego oka, pokręcił głową, wskazał własne ucho i przytaknął. Następnie wycelował palec w oświetlenie na środku sufitu kajuty, a potem w tanią mosiężną lampę, przymocowaną do biurka.

- Jak myślisz, ile potrwa inspekcja, Assad? - zapytał. Muhammad wyjął z kieszeni marynarki miniaturowy magnetofon i wcisnął przycisk odtwarzania. Cyfrowo zmieniony głos Houraniego - bo tylko on znał arabski - odpowiedział:

- Kilka godzin. Najbardziej czasochłonne będzie samo zdejmowanie pokryw. Kontrola obwodów jest prosta.

Hourani, sięgnąwszy do wewnętrznej kieszeni po dyktafon, położył go na biurku i również

włączył odtwarzanie. Mężczyźni milczeli, ale rozmowa trwała. W ustalonym wcześniej momencie swój magnetofon dodał Walid Chalidi. Kiedy trzy urządzenia odtwarzały różne wersje zmienionego głosu Houraniego, „Syryjczycy” przenieśli się w odległy kąt kajuty.

- Tylko dwie pluskwy - szepnął Max Hanley. - Koreańczycy naprawdę ufają swoim syryjskim klientom.

Juan Cabrillo, prezes Korporacji i kapitan statku handlowego „Oregon”, oderwał z nad górnej wargi sztuczne wąsy. Skóra pod spodem była jaśniejsza niż warstwy kremu samoopalającego, którego użył do przyciemnienia sobie cery.

- Przypomnijcie mi, żebym powiedział Kevinowi, że jego klej do charakteryzacji z Magicznej Pracowni jest do niczego. - Miał butelkę tej podejrzananej substancji i nałożył ją ponownie na odwrotną stronę wąsów.

- Kiedy próbujesz to przyczepić, wyglądasz jak ten czarny charakter z kreskówek Snidely Whiplash - odezwał się Hali Kasim, Libańczyk, którego rodzina od trzech pokoleń mieszkała w Ameryce. Awansował niedawno na szefa Sekcji Bezpieczeństwa i Monitoringu „Oregona”. Był jedynym członkiem załogi, który nie potrzebował makijażu i lateksowych wkładek, by uchodzić za człowieka z Bliskiego Wschodu. Problem polegał na tym, że znał arabski zbyt słabo, żeby zamówić danie w restauracji.

- Ciesz się, że koreański tłumacz został na lotnisku - odrzekł Cabrillo.

- Sknociłeś ten mały monolog, który wykułeś na pamięć i wygłosiłeś w samochodzie. Twoja propozycja zbadania pocisków nie zabrzmiała zbyt naukowo.

- Przykro mi, szefie - odparł Kasim - ale nie mam zdolności językowych. Choćbym nie wiem jak długo ćwiczył, zawsze wychodzi z tego bełkot.

- Jak każdy, kto zna arabski - drażnił się z nim Cabrillo.

- Jak stoimy z czasem? - zapytał Max Hanley. Był wiceprezesem Korporacji, odpowiedzialnym za całego „Oregona”, zwłaszcza za jego lśniące silniki magnetohydrodynamiczne. Podczas gdy Cabrillo negocjował kontrakty Korporacji i zajmował się planowaniem, na szerokich barkach Maksa spoczywał ciężar przygotowań „Oregona” i jego załogi do wykonywania zadań. Choć byli praktycznie najemnikami, zorganizowali Korporację na wzór firmy. Oprócz funkcji głównego mechanika Hanley pełnił rolę administratora i kierownika działu personalnego.

Pod szatą i chustą na głowie Hanley był trochę wyższy od przeciętnego mężczyzny, miał mały brzusek, czujne piwne oczy i resztki kasztanowych włosów na czubku głowy. Towarzyszył Juanowi od dnia założenia Korporacji i Cabrillo uważał, że bez swojego zastępcy dawno wypadłby z branży.

- Musimy zakładać, że „Mały” Gunderson wystartował Dassaultem najszybciej, jak mógł. Pewnie jest już w Seulu - odparł prezes Cabrillo.

- Eddie Seng miał dwa tygodnie na dotarcie na pozycję, więc jeśli jeszcze go nie ma przy burcie tej łajby, to już się nie zjawi. Nie wynurzy się, dopóki nie skoczymy do wody, a wtedy będzie za późno na przerwanie zadania. Ale Koreańczycy nie wspomnieli o zatrzymaniu w porcie miniłodzi podwodnej, możemy przypuszczać, że jest gotowy.

- Więc kiedy umieścimy urządzenie...

- ... zostanie nam piętnaście minut na spotkanie się z Eddim i odpłynięcie na bezpieczną odległość.

- Będzie bolało - zauważył ponuro Hali. Spojrzenie Cabrilla stwardniało.

- Ich bardziej niż nas.

To zlecenie, podobnie jak wiele innych, dostali nieoficjalnymi kanałami od rządu Stanów Zjednoczonych. Korporacja była przedsiębiorstwem nastawionym na zysk, ale większość ludzi na pokładzie „Oregona” albo służyła wcześniej w amerykańskich siłach zbrojnych, albo też prowadziła działania korzystne dla USA i ich sojuszników, a przynajmniej nieszkodzące amerykańskim interesom.

Końca wojny z terroryzmem nie było widać, więc zespół, jaki stworzył Cabrillo, stale miał kontrakty. Tych specjalistów od tajnych operacji nie krępowała konwencja genewska ani nadzór Kongresu. Co nie znaczyło, że załoga „Oregona” to banda bezlitosnych piratów, którzy nie biorą jeńców. Bardzo uważali na to, co robią, ale rozumieli, że w XXI wieku granice konfliktu się zatężyły.

Doskonałym przykładem była ta misja.

Korea Północna miała pełne prawo sprzedać Syrii dziesięć jednoczłonowych pocisków taktycznych i Stany Zjednoczone, acz bardzo niechętnie, musiałyby się z tym pogodzić. Ale wywiad ustalił, że prawdziwy pułkownik Hazni Hourani planuje skierować „Asia Star” do Somalii, by przekazać dwa Nodongi wraz z parą ruchomych wyrzutni Al-Kaidzie, która zamierza kilka godzin później wystrzelić rakiety w cele w Arabii Saudyjskiej - mianowicie w święte miasta Mekkę i Medynę - żeby pozbyć się tamtejszej rodziny królewskiej. Okazało się również, choć nie zdołano tego potwierdzić, że Hourani działa za cichą zgodą syryjskiego rządu.

Stany Zjednoczone mogły wysłać okręt wojenny, żeby przechwycił „Asia Star” w Somalii; jednak kapitan statku mógłby po prostu oznajmić, że zawiął do portu w celu dokonania napraw, a miejscem przeznaczenia dziesięciu pocisków jest Damaszek. Lepszą alternatywą byłoby zatopienie „Asia Star” na morzu, ale gdyby prawda wyszła na jaw, podniosłaby się międzynarodowa wrzawa i komórki terrorystyczne kierowane przez Syrię szybko dokonałyby odwetu. Langston Overholt IV, wysoki funkcjonariusz CIA, wymyślił najlepszą opcję: wykorzystanie Korporacji.

Cabrillo dostał tylko cztery tygodnie na zaplanowanie, jak rozwiązać problem możliwie najciszej i najbardziej dyskretnie. Uznał, że najlepszym sposobem na to, by pociski nie dotarły do odbiorców, jest zastopowanie transportu w Korei Północnej.

Kiedy „Oregon” znalazł się na pozycji w pobliżu zatoki Jonghung Man, Cabrillo, Hanley i Hali Kasim polecili do bazy lotniczej Bagram pod Kabulem w Afganistanie identycznym Dassault Falconem jak ten, którego używał pułkownik Hourani.

Agenci CIA w Damaszku potwierdzili termin podróży Houraniego do Phenianu i samolot AWACS śledził firmowy odrzutowiec podczas jego lotu wokół połowy kuli ziemskiej. Gdy maszyna weszła w afgańską przestrzeń powietrzną, z Bagram wystartował niewidzialny dla radarów myśliwiec F-22 Raptor. Falcon Korporacji opuścił bazę chwilę później, skierował się na południe i oddalił od Syrii. Choć Stany Zjednoczone kontrolowały wszystkie stacje radarowe zdolne do monitorowania tego, co się miało wydarzyć, nie mogło być żadnego dowodu zamiany.

W jednej z bardzo niewielu stref, których nie obserwowały radary, „Mały” Gunderson, główny pilot Korporacji, zaczął zawracać na północ. Tylko że tym razem Dassault Falcon miał towarzystwo.



Dołączył do niego bombowiec B-2 z bazy lotniczej Whiteman w Missouri. Ponieważ był większy niż Falcon, ale niewykrywalny dla radarów, „Mały” utrzymywał swoją maszynę piętnaście metrów nad „latającym skrzydłem”. Żaden naziemny radar na świecie nie mógł wytropić B-2, toteż zasłonięty przez bombowiec Falcon Korporacji pozostawał w ukryciu, kiedy zaczęli się zbliżać do samolotu Houraniego.

Na wysokości dwunastu tysięcy metrów syryjski Falcon miał już maksymalny pułap, podczas gdy szybko nadlatujący Raptor mógłby dokonać przechwycenia sześć i pół kilometra wyżej. Decydująca była koordynacja. Kiedy B-2 znalazł się niecały kilometr za maszyną Houraniego, raptor odpalił dwa pociski AMRAAM AIM-120C.

Gdyby syryjski odrzutowiec miał radar ostrzegawczy, rakiety pojawiłyby się jakby znikąd. Ale na pokładzie starego samolotu produkcji francuskiej nie było takiego systemu, toteż dwa pociski trafiły w turbowentylatory Garrett TFE-731 bez najmniejszego ostrzeżenia. Gdy Dassault eksplodował w powietrzu, pilot B-2 znurkował spod falcona „Małego” Gundersona. Każdy, kto zobaczyłby z ziemi krótki błysk na takiej wysokości, pomyślałby, że to spadająca gwiazda. A każdy przed ekranem radaru zauważyłby, że syryjski samolot nagle na moment zniknął, a potem pojawił się z powrotem niecały kilometr dalej na zachód i kontynuuje lot. Gdyby ktoś się nad tym zastanawiał, zapewne doszedłby do wniosku, że coś zakłóciło działanie sprzętu.

Teraz, kiedy Cabrillo, Hanley i Kasim byli bezpieczni na pokładzie „Asia Star”, pozostało tylko podłożyć bombę, uniknąć wykrycia, opuszczając statek, spotkać się z Eddim Sengiem w miniłodzi podwodnej, wymknąć z najlepiej strzeżonego portu w Korei Północnej i dotrzeć do „Oregon”, zanim ktokolwiek się zorientuje, że na „Asia Star” dokonano sabotażu.

Nietypowy dzień dla członków Korporacji. Ale też wcale nie taki wyjątkowy.

## 2

Victorię Ballinger obudził krzyk. Uratował jej również życie.

Tory od tygodnia była jedyną kobietą na pokładzie „Avalona”, statku badawczego Królewskiego Towarzystwa Geograficznego; jej współlokatorkę z kajuty zabrano do szpitala w Japonii z ostrym zapaleniem wyrostka robaczkowego. Fakt, że miała kajutę do wyłącznej dyspozycji, też przyczynił się do jej ocalenia.

Statek był na morzu od miesiąca. Uczestniczył w międzynarodowym programie tworzenia mapy wszystkich prądów na Morzu Japońskim, obszarze mało znanym, bo Japonia i Korea pilnie strzegły swoich łowisk i uważały, że wszelka współpraca może być dla nich ryzykowna.

W przeciwieństwie do swojej współlokatorki, która wzięła ze sobą walizki pełne ubrań i rzeczy osobistych, Tory żyła na statku po spartańsku. Oprócz posłania, kilku par dzinsów i bluz sportowych na zmianę w jej kajucie nie było nic więcej.

Męski głos krzyczący z bólu, który wyrwał ją ze snu, dobiegł z korytarza za drzwiami. Chwilę później usłyszała przytłumione strzały. Gdy oprzytomniała, dotarły do niej odgłosy serii z broni automatycznej i następne wrzaski.

Wszyscy na „Avalonie” zostali ostrzeżeni, że na Morzu Japońskim grasują piraci. W ciągu dwóch ostatnich miesięcy zaatakowali cztery statki handlowe. Zatopili je, a żyjącym członkom załóg pozostawili możliwość ucieczki w szalupach; uratowało się zaledwie piętnaście ze stu

siedemdziesięciu dwóch osób. Wczoraj dostali wiadomość, że jakiś kontenerowiec po prostu zniknął bez śladu. W związku z zagrożeniem na mostku umieszczono szafkę z bronią ale dwie strzelby i jeden pistolet nie mogły się równać z karabinami szturmowymi, z których zabijano naukowców i zawodowych marynarzy.

Zadziałał odruch „walcz albo uciekaj”. Tory zerwała się na nogi. Straciła dwie cenne sekundy, by dokonać wyboru, którego nie miała. Piraci posuwali się korytarzem i, sądząc po odgłosach, strzelali do środka pomieszczeń. Zginęłaby natychmiast po otwarciu drzwi. Nie mogła uciec, a w kajucie nie było niczego, co mogłoby posłużyć jako broń.

Przez bulaj wpadał blask księżycy w pełni. Oświetlał pustą koję na wprost Tory. To ją natchnęło. Ściągnęła z własnego posłania prześcieradła i koce i wepchnęła je pod ramę i wyjąwszy z szafki swoje ubrania, zostawiła ją otwartą, tak jak szafkę swojej nieobecnej współlokatorki. Nie miała już czasu na zabranie z łazienki przyborów toaletowych. Wpełzła pod koję, wcisnęła się w najdalszy kąt i owinęła ubraniami.

Starła się równo oddychać, gdy ogarnęła ją pierwsza fala paniki. Z kącików jej niebieskich oczu popłynęły łzy. Stłumiła łkanie w momencie, kiedy drzwi kajuty otworzyły się gwałtownie. Zobaczyła światło latarki. Padło najpierw na pusty materac Judy, potem na jej koję, wreszcie na dwie otwarte szafki.

Ukazały się nogi pirata. Nosił czarne wojskowe buty. Nogawki czarnych spodni miał wpuszczone do środka. Przeszedł do maleńkiej łazienki i oświetlił ją latarką. Tory usłyszała, jak odsuwa zasłonę prysznicza. Albo nie zauważył jej mydła, szamponu i kremu, albo uznał je za nieważne. Zatrzasnął za sobą drzwi kabiny, najwyraźniej zadowolony, że nikogo nie zastał.

Tory pozostała w bezruchu. W głębi korytarza cichły odgłosy walki. Na statku było tylko trzydzieści osób. Większość spała w swoich kajutach, bo nocą maszynownia pracowała w trybie automatycznym i wachtę na mostku miało tylko dwóch ludzi. Jej kajuta była jedną z ostatnich w korytarzu, więc Tory obawiała się, że piraci zabili całą załogę.

Ile czasu zajmie im splądrowanie statku? Na pokładzie nie ma nic cennego dla piratów. Drogi sprzęt badawczy jest za duży, żeby go ukraść. Podwodne sondy mają wartość tylko dla naukowców. Szkoda zachodu, żeby zabrać kilka telewizorów i komputerów.

Mimo to Tory przypuszczała, że będą potrzebowali co najmniej pół godziny na przeszukanie czterdziestometrowego „Avalona”. Potem otworzą zawory w zęzie i zatopią go. Odliczała minuty na fosforyzującej tarczy swojego roleksa. Musiała się na czymś skoncentrować, żeby nie wpaść w panikę.

Minął zaledwie kwadrans, gdy poczuła zmianę w ruchu statku. Noc była pogodna i „Avalon” kołysał się łagodnie na falach. Normalnie uspokajało ją to i usypiało. Teraz statek badawczy zwolnił, jakby stał się cięższy.

Piraci już otworzyli zawory w zęzie. Zatapiaли statek. Próbowwała znaleźć logikę w ich działaniu, ale to, co robili, nie miało sensu. Nie zdążyliby tak szybko splądrować statku. Posyłali „Avalona” na dno, nawet go nie okradając!

Nie mogła dłużej czekać. Wyczołgała się spod koi i rzuciła do bulaja. Na horyzoncie zobaczyła coś, co początkowo wydało jej się niską wyspą. Po chwili zdała sobie sprawę, że to jakiś wielki statek. Blisko niego był mniejszy. Wyglądało na to, że dojdzie do kolizji, ale to musiało być złudzenie optyczne, wywołane blaskiem księżycy. Na pierwszym planie rozróżniła rufę i kilwater dużej łodzi pneumatycznej. Odgłos jej silników zaburtowych cichł, gdy oddalała się szybko od tonącego

„Avalona”. Tory wyobraziła sobie piratów na jej pokładzie i ogarnął ją gniew.

Odwróciła się od bulaja i wypadła z kajuty. W korytarzu nie było ciał, ale na podłodze walały się łuski po pociskach, a powietrze cuchnęło chemikaliami. Starła się nie patrzeć na krew pod długą ścianą. Pamiętała, że blisko dziobu „Avalona” jest tratwa ratunkowa Zodiac ze sztormiakami w środku, więc nie przejmowała się tym, że ma na sobie tylko T-shirt. Jej bose stopy plaskały na metalowym pomoście, kiedy biegła z jedną ręką przyciśniętą do piersi, żeby nie podskakiwał jej biust.

Wspięła się po schodach na główny poziom. Na końcu kolejnego korytarza były drzwi prowadzące na zewnątrz. Między nią i wjazdem leżały zwłoki. Jęknęła, gdy się zbliżyła. Mężczyzna leżał twarzą w dół, ale Tory rozpoznała sylwetkę drugiego mechanika. Pochodził z okolic Newcastle, był pełen temperamentu i flirtował z nią do czego zaczęła go zachęcać. Nie mogła się zdobyć na to, by go dotknąć. Przywarła do zimnej ściany i ominęła ciało. Kiedy dotarła do końca korytarza, wyjrzała przez małe okno we wjazdzie, żeby zobaczyć, czy ktoś został na ciemnym pokładzie dziobowym. Nie zauważyła nikogo. Ostrożnie nacisnęła klamkę, ale ta nie poruszyła się. Tory spróbowała jeszcze raz, napierając całym swoim ciężarem na zablokowany mechanizm. Nie ustąpił.

Usiłowała zachować spokój. Powiedziała sobie, że są jeszcze cztery inne wyjścia z nadbudowy, no i zawsze może wybić szybę w sterowni, gdyby drzwi na skrzydła mostka też nie dały się otworzyć. Najpierw sprawdziła wjazdy na głównym poziomie, potem wspięła się po schodach do sterowni. Kiedy zbliżyła się do drzwi prowadzących na pomost dowodzenia, ogarnął ją strach. Drżącą ręką dotknęła gałki, obróciła ją i pchła solidne stalowe drzwi.

Nie otworzyły się, nawet nie drgnęły. Nie było tu żadnego okna ani bulaja takiej wielkości, żeby mogła się przecisnąć przez otwór. Znalazła się w pułapce. Ta świadomość pozbawiła ją równowagi psychicznej. Zaczęła rzucać się całym ciałem na drzwi i uderzać w nie ramieniem, wrzeszcząc przeraźliwie. Gdy całkiem ochrypla, z rezygnacją oparła się o drzwi i osunęła na pomost. Ukryła twarz w dłoniach i zaniosła się bezgłośnym szlochem.

„Avalon” nagle zmienił pozycję; na moment przygasły światła. Woda wlewająca się do dolnych przedziałów znalazła nowe puste miejsce. Tory wzdrygnęła się. Jeszcze żyła i gdyby zdołała zapobiec zatonięciu statku, miałyby czas pomyśleć, jak się stąd wydostać. W jednym z warsztatów widziała palnik spawalniczy. Jeżeli zdoła go odszukać, wytnie sobie drogę ucieczki.

Wstąpiła w nią taka energia jak w pierwszych sekundach desperacji, gdy usłyszała krzyk - teraz była pewna, że głos należał do doktora Halversona, dystyngowanego oceanografa pod siedemdziesiątkę. Poderwała się na nogi i pobiegła z powrotem. Minęła kwatery załogi i dotarła do schodów prowadzących do pomieszczeń technicznych. Na dole poczuła zimny podmuch. Morze wlewało się do środka z hukiem wodospadu.

Zatrzymała się w małej komorze z pojedynczymi wodoszczelnymi drzwiami, za którymi była maszynownia. Dotknęła ręką metalu. Jeszcze nie ostygł - dwa duże diesle wytwarzały wysoką temperaturę. Położyła dłoń niżej, blisko dolnej krawędzi. Stal była tu lodowata. Tory nigdy nie zaglądała do maszynowni, nie знаła jej rozkładu. Ale musiała spróbować.

- No to wchodzimy - zawołała drżącym głosem i otworzyła wjazd. Jej bose stopy zalała woda. Po kilku sekundach stała w niej po kolana. Poziom wyraźnie się podnosił. Do jasno oświetlonej maszynowni biegły w dół stopnie. Za gąszczem rur, przewodów i kabli Tory zobaczyła ogromne silniki, każdy wielkości minivana. Były już do połowy zatopione. Woda omywała obudowę

generatora.

Tory przekroczyła próg i ruszyła w dół. Wciągnęła gwałtownie powietrze, gdy woda sięgnęła jej do piersi. Miała jakieś osiemnaście stopni, ale Tory zaczęła dygotać. Na ostatnim stopniu musiała unieść się na palcach, żeby mieć głowę nad powierzchnią. Pół idąc, pół płynąc, brnęła przez rozległe pomieszczenie z mglistym zamiarem, by sprawdzić, jak woda dostaje się do wnętrza statku.

Ponieważ „Avalon” tonął w pozycji prawie poziomej, wciąż kołysał się na falach. Ten ruch uniemożliwiał Tory wycucie prądów w wodzie i określenie, gdzie są najsilniejsze. Domyślała się, że przy otwartych rurach prowadzących do morza, ale nie mogła ich zlokalizować. Kipiel w zalanej maszynowni przypominała wrzący kocioł. Po kilku minutach gorączkowych poszukiwań Tory straciła grunt pod nogami. Pływała jeszcze przez chwilę. Nic nie mogła zrobić. Nawet gdyby znalazła zawory w zębie, nie miała pojęcia, jak działają.

Światła znów przygasły. Kiedy zapaliły się ponownie, świeciły o połowę słabiej. Tory uznała to za sygnał, że czas się ewakuować. W tym pomieszczeniu przypominającym labirynt nigdy nie trafiłaby po ciemku do wyjścia. Popłynęła prosto do małej komory. Gdy stanęła na nogach, była zanurzona do pasa. Musiała zmobilizować wszystkie siły, żeby zamknąć właz. Modliła się, by po zaryglowaniu tych drzwi „Avalon” zachował pływalność i utrzymał się na wodzie, dopóki w pobliżu nie pojawi się jakiś statek.

Ziębnięta i drżąca wspięła się z powrotem na drugi poziom i poczłapała do swojej kajuty. W łazience wytarła się ręcznikiem, związała włosy w koński ogon i włożyła najcieplejsze ubrania. Powietrze było chłodne. Nie zauważyła tego, ale gdzieś w maszynowni rozcięła sobie kącik ust. Starła z wargi strużkę rozwodnionej krwi i spojrzała na swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Wyglądała na tak udręczoną jakby szła na szubienicę.

Odwróciła się szybko i podeszła do bulaja. Nie zobaczyła już księżycy ani nawet jego mlecznej poświaty. Łódź piratów i dwa statki na horyzoncie zniknęły z widoku. Noc stała się czarna jak smoła. Mimo to Tory nadal wpatrywała się w swoje jedyne okno na świat.

Może gdyby znalazła jakiś smar lub olej do smażenia i natłuściła ciało, zdołałaby się przecisnąć przez iluminator. Pomyślała, że okna w mesie na górze są trochę większe. Warto spróbować. Już miała się odwrócić, gdy na zewnątrz mignęło coś ciemnego. Wytężyła wzrok.

Wydało jej się, że znów to zobaczyła, jakieś trzy metry od statku. Ptak? Cień poruszał się w taki sposób, ale nie była pewna. Nagle przesłonił cały bulaj. Cofnęła się z krzykiem. Przez szybę patrzyła na nią wielka szara ryba. Miała rozwarte szczęki i przepompowywała skrzelami wodę. Olbrzymi okoń morski, zwabiony światłem w kajucie, przyglądał się jej przez chwilę żółtymi oczami, a potem odpłynął w mrok.

Tory nie mogła zobaczyć przez bulaj nisko w kadłubie, że pokład „Avalona” jest już zalany; fale przykrywały luki ładunkowe na rufie i dziobie. Nie wiedziała, że za parę minut woda sięgnie mostka i nad powierzchnią zostanie tylko żuraw na rufie, wystający z morza niczym ręka topielca, który szuka ostatniej deski ratunku. Po kilku kolejnych minutach ocean zamknie się nad szczytem pojedynczego komina statku i „Avalon” zacznie opadać na dno.

przyszli po syryjskich gości, dwaj czytali cicho swoje egzemplarze Koranu, a trzeci studiował specyfikacje pocisków Nodong. Tajniak pokazał gościom, że mają wyjść, przy okazji odsłaniając pistolet w kaburze pod pachą. Cabrillo i Hali Kasim odłożyli Korany, Hanley wsunął schematy do pękatego nesesera i zatrzasnął zamki.

Poszli przez „Asia Star”, masowiec pod panamską banderą przerobiony na kontenerowiec. Statek był mocno wyeksploatowany, ale w dobrym stanie; na przegrodach lśniła świeża farba. Wyglądało na to, że nie ma na nim nikogo poza dwuosobową eskortą delegacji.

Jeden z agentów odryglował właz pod głównym pokładem. Za progiem ciągnęło się mroczne stalowe pomieszczenie. Cuchnęło lekko wodą z zęzy i starym metalem. Koreańczyk włączył oświetlenie sufitowe. W blasku jarzeniówek ukazało się dziesięć rakiet Nodong. Spoczywały na specjalnych stojakach, ich kontury zniekształcało grube plastikowe przykrycie. Każdy pocisk miał prawie dziewiętnaście metrów długości i sto dwadzieścia centymetrów średnicy. Wraz z paliwem ciekłym ważył piętnaście ton. Bazujący na radzieckim Scudzie D, Nodong mógł przenieść jednotonową głowicę bojową na odległość dziewięciuset sześćdziesięciu pięciu kilometrów.

W zimnej i wilgotnej ładowni frachtowca rakiety wcale nie wyglądały mniej groźnie i zabójczo. A świadomość, do czego mają być użyte dwie z nich, zwiększała determinację członków Korporacji.

Trzej mężczyźni zeszli po stopniach do ładowni. Max Hanley, udający eksperta od pocisków, podszedł do pierwszej rakiety. Warknął coś do koreańskich agentów, którzy zostali przy włazie, i pokazał, że chce, żeby z Nodongów ściągnięto plastikowe pokrowce.

Generał Kim zjawił się w momencie, gdy Max po zdjęciu przykrycia z pierwszego pocisku pochylał się nad otworem z testerem obwodów w ręku.

- Widzę, że nie mogliście się doczekać sprawdzenia swojej najnowszej broni.
- Robi wrażenie - odrzekł Cabrillo, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.
- Nasi specjaliści znacząco ulepszyli starą radziecką konstrukcję; głowice bojowe mają teraz dużo większą siłę wybuchu.
- Które rakiety są przeznaczone do wyładunku w Somalii? Koreańczyk powtórzył pytanie jednemu z agentów. Tajniak wskazał parę pocisków w głębi.
- Tamte dwie pod czerwonym plastikiem. W Mogadiszu są prymitywne urządzenia techniczne, więc głowice zostały już zamontowane. Paliwo do rakiet można zatankować ze zbiorników w ładowni dziobowej. Będzie to zgodne z przepisami przeciwpożarowymi, pod warunkiem że nie dodacie za wcześnie mieszanki korozyjnej. Wystarczy to zrobić trzy dni drogi od Somalii.
- Uważam, że jednodniowe wyprzedzenie jest bezpieczniejsze - wtrącił Juan. Wiedział, że Kim sprawdza jego znajomość pocisków. Ciekłe paliwo zatankowane trzy dni przed wystrzeleniem rakiety rozpuściłoby jej zbiorniki z cienkiego aluminium i w rezultacie nastąpiłby wybuch, który zatopiłby „Asia Star”.
- Gdzie ja mam głowę? Proszę mi wybaczyć. Ponad jednodniowe wyprzedzenie byłoby katastrofalne w skutkach. - Przeprosiny Kima nie zabrzmiały szczerze.

Cabrillo miał cichą nadzieję, że generał będzie na pokładzie w chwili eksplozji pocisków. Hanley przywołał go, żeby pokazać coś w elektronicznym mózgu Nodonga. Hali Kasim stanął z drugiej strony i przez kwadrans wszyscy trzej patrzyli w milczeniu na gąszcz kabli i obwodów. Zgodnie z ich zamiarem wywołało to zniecierpliwienie Kima. Słyszeli, jak przestępuje z nogi na nogę

i mruczy pod nosem.

- Coś nie tak? - zapytał w końcu.

- Nie, wszystko wydaje się w porządku - odparł Cabrillo, nie odwracając głowy.

Prowadzili tę grę przez następny kwadrans. Od czasu do czasu Max porównywał jakiś szczegół z planami, które przyniósł, ale poza tym stali jak posągi.

- Czy to naprawdę konieczne, pułkowniku Hourani? - spytał Kim ze źle maskowaną niecierpliwością.

Cabrillo przesunął palcem po fałszywych wąsach, by się upewnić, że są na miejscu i się odwrócił.

- Przepraszam, generale. Pan Muhammad i profesor Chalidi są bardzo dokładni. Gdy się przekonają, że pierwszy pocisk jest sprawny, kontrola pozostałych pójdzie im szybciej.

Kim spojrzał na zegarek.

- Skorzystam z okazji i zajmę się papierkową robotą w kajucie kapitańskiej. Poszukajcie mnie, kiedy skończycie. Ci ludzie zostaną z wami na wypadek, gdybyście czegoś potrzebowali.

Juan stłumił uśmiech.

- Jak pan sobie życzy, generale.

Dziesięć minut później trzej członkowie Korporacji przeszli do drugiego pocisku. Koreańscy agenci usiedli na schodach z widokiem na ładownię. Jeden bez przerwy palił papierosy, drugi nie spuszczał z oka „Arabów”. Obaj mieli rozpięte marynarki, żeby móc szybko sięgnąć po broń.

Termin spotkania z Eddim Sengiem w miniłodzi podwodnej nie był ustalony. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zajmie pozycję w pobliżu rufy „Asia Star”, na tyle blisko, by wysokiej klasy sonar jego pojazdu wykrył odgłos skoku trzech mężczyzn do wody. Presja czasu, jaką czuł Juan, wynikała z tego, że chciał, aby przed świtem „Oregon” znalazł się możliwie jak najdalej na wodach międzynarodowych.

Do świtu zostały trzy godziny. Cabrillo obliczył, ile zajmie im dotarcie do miniłodzi podwodnej, ucieczka z zatoki Jonghung Man i powrót na pokład „Oregona”. Od tego momentu wszystko miało zależeć od silników magnetohydrodynamicznych statku, którym Cabrillo w pełni ufał. Technologia wykorzystywania do napędu jednostki pływającej wolnych elektronów pobieranych z morskiej wody była jeszcze w fazie eksperymentalnej, ale przez dwa lata skomplikowany układ schładzanych magnesów, które generowały moc potrzebną do zasilania pomp czterech silników pulsacyjnych, ani razu nie zawiódł.

Czas nadszedł. Cabrillo poczuł lekki skurcz żołądka, objaw nie tyle strachu, ile napięcia wywołanego przez jego stare nemezis, prawo Murphy’ego. Był doskonałym taktikiem i mistrzem planowania, ale wiedział, że kaprysy losu to przeszkody, których nigdy nie da się całkowicie

pokonać. To, że na razie operacja przebiegała gładko, tylko zwiększało ryzyko, iż w końcu coś nie wypali.

Nie wątpił, że nikt nie połapałby się w ich podstępnie, dopóki statek nie dotarłby do Somalii, gdzie mogliby łatwo zniknąć. Ale to oznaczałoby porażkę, a on nienawidził porażek jeszcze bardziej niż słynnej zasady Murphy'ego. Wiedział, że skoro podjęli się tego zadania, nie ma już odwrotu. Jeśli rzucone kości upadną źle, on, Max i Hali zginą. Może Eddie Seng zdoła uciec, choć to mało prawdopodobne. Jeśli jednak nadal będzie dopisywało im szczęście, za kilka godzin na konto Korporacji w banku na Kajmanach wpłynie dziesięć milionów dolarów z tajnego budżetu wuja Sama.

Cabrillo postukał w zegarek, dając w ten sposób umówiony sygnał, i nagle pozbył się wszelkich obaw. Przeszedł na automatykę; zdał się na to, czego nauczył się w Korpusie Szkoleniowym Oficerów Rezerwy i w wiejskim ośrodku szkoleniowym CIA w Wirginii, a co później doprowadził do perfekcji w ciągu piętnastu lat pracy w terenie.

Hali przesunął się trochę i zasłonił tajniakom Hanleya, który otworzył ukryte zamki swojego nesesera. Cabrillo odwrócił się od pocisków, uchwycił wzrokiem spojrzenie agenta uzależnionego od nikotyny i wykonał uniwersalny gest oznaczający, że prosi o papierosa. Kiedy Koreańczyk wyciągnął z kieszeni marynarki prawie pustą paczkę, Cabrillo ruszył przez ładownię.

Niewidoczny dla zdekoncentrowanych tajniaków Max Hanley wyjął z drugiego dna swojego nesesera bombę. Była mniejsza od pudełka do płyty kompaktowej, ale miała siłę miny lądowej.

Gdy Cabrillo dzieliło od schodów półtora metra, palacz wstał i zszedł na dół. Miał nadzieję, że Koreańczyk będzie nadal siedział obok swojego kolegi. Cholerny Murphy, pomyślał.

Wziął zaoferowanego papierosa i zaczekał, aż agent przypali mu go swoją cenną zapalniczką Zippo. Zaciągnął się, trzymał przez sekundę dym w ustach i zaczął gwałtownie kaszleć, jakby tytoń był mocniejszy, niż się spodziewał.

Tajniak zachichotał i odwrócił się do kolegi, żeby to skomentować.

Nie wiedział, że Cabrillo wykorzystał kaszel do tego, by napiąć mięśnie jak zwiniętą sprężynę i uderzyć go z całej siły. Cios wylądował na szczęce Koreańczyka i rzucił go na pomost jak postrzał.

Cabrillo nie spodziewał się, że drugi agent wykaże się takim refleksem. Myślał, że miną co najmniej dwie sekundy, zanim uświadomi sobie, co się dzieje. Tymczasem tajniak był już na szczycie krótkich schodów i sięgał do kabury pod pachą. Juan dał nura po niego, wskoczył na stopnie i złapał Koreańczyka za kostki. Lufa pistoletu samopowtarzalnego wysunęła się z kabury w momencie, gdy zacisnął palce na jego goleniach. Cabrillo upadł na stalowe schody, rozcinając sobie brodę o ostrą krawędź, ale siła jego rozpędu pozbawiła równowagi tajniaka, który stoczył się, koziółkując. Broń upuścił na górnym podejściu.

Cabrillo zerwał się na nogi. Z brody ciekła mu krew, w żyłach krążyła adrenalina. Nawet gdyby Koreańczyk nie zdążył wycelować, strzał zaalarmowałby Kima i ściągnął na statek całą armię sił bezpieczeństwa.

Za walczącymi mężczyznami Max Hanley podbiegł do pocisku, który miał zniszczyć Mekkę. Musiał umieścić bombę tak blisko głowicy bojowej, żeby nastąpiła zharmonizowana detonacja. Hali Kasim wyciągnął sztylet ukryty w okładce jego Koranu i popędził do schodów. Wiedział, że zanim dotrze do szefa, walka będzie skończona, ale się starał.

Juan spróbował wbić łokieć w krocze Koreańczyka wdrapującego się na górę, ale ten zrobił unik i Cabrillo chybił. Trafił w płytę pomostu z taką siłą że zdrętwiało mu prawe przedramię. Zdołał

złapać agenta za prawy nadgarstek, zanim przeciwnik zacisnął palce na pistolecie. Choć górował nad nim wzrostem i siłą, był w niewygodnej pozycji; poczuł, że ręka Koreańczyka zbliża się do broni.

Halięgo dzieliły od schodów trzy metry, gdy tajniak rzucił się desperacko po pistolet, odpychając Juana. Bezwładne prawe ramię Cabrilla zatoczyło łuk niczym wahadło i uderzyło agenta w bok głowy, ogłuszając go na chwilę. Koreańczyk otrząsnął się po ciosie, kopnął Juana w prawą nogę i wbił ją w poręcz. Rozległ się odgłos podobny do trzasku pękającej kości.

Tajniak, pewien, że Syryjczyk jest unieszkodliwiony, ponownie skupił uwagę na zdobyciu broni. Ale jego atak nawet nie speszył Cabrilla. Kiedy Koreańczyk chwycił pistolet, złapał go za nadgarstek i zaczął walić jego ręką o pomost. Po trzecim razie agent wypuścił broń, która spadła ze schodów na dół. Hali porwał ją, wbiegł na stopnie, pokonując po trzy naraz, i zdzielił tajniaka kolbą w skroń. Koreańczyk zamrugnął i znieruchomiał.

- Wszystko gra, szefie? - zapytał Kasim, pomagając Juanowi wstać. Max znalazł się na górze w ciągu kilku sekund.

- Później go zapytasz - rzucił. Bomba tyka, mamy piętnaście minut. Trzej mężczyźni wybiegli prosto na główny pokład. Tam przystanęli na moment, żeby się upewnić, że nikt nie patroluje okolicy. Stumilimetrowe działka smukłego niszczyciela na środku zatoki celowały w morze. Na pokładzie nie było nikogo, więc rzucili się do relingu i skoczyli za burtę.

Woda była zimna i smakowała jak zupa naftowa. Max błyskawicznie ściągnął przez głowę arabską szatę. Pod spodem miał spodenki pływackie i obcisły ocieplacz. Juan pozbył się butów, ale został w mundurze. Pochodził z południowej Kalifornii, więc czuł się w wodzie równie swobodnie jak na lądzie. Hali zdjął marynarkę i zrzucił mokasyny. Dopłynęli do rufy i ukryli się pod krzywizną kadłuba, żeby nikt z góry ich nie zauważył.

Po kilkudziesięciu sekundach na powierzchni pojawiły się pęcherze powietrza, a chwile później fale przebiła płaska górna część Discovery. Hali pierwszy dotarł do miniłodzi podwodnej i podciągnął się na pokład. Zaczął otwierać właz, kiedy z czarnego kadłuba jeszcze spływała woda.

Uszczelnienie puściło z głośnym sykiem i Kasim zniknął w ciemnym wnętrzu. Juan i Max natychmiast poszli w jego ślady. Znalazłszy się w środku, ponownie zaryglowali właz. Zrobili to po omacku, bo jedynym światłem w Discovery 1000 był słaby blask elektronicznej tablicy przyrządów w kokpicie dziobowym.

Juan sięgnął do włącznika w połowie wysokości przegrody i zapalił dwie czerwone lampy. Discovery mógł się opuszczać nieco poniżej trzydziestu metrów i pływać maksymalnie dwadzieścia cztery godziny bez ładowania akumulatorów i wymiany filtrów dwutlenku węgla. Przed tą misją usunięto z niego siedzenia dla ośmiu osób, żeby zrobić miejsce dla wielkich przemysłowych ogniów galwanicznych, połączonych siecią przewodów. Pozostałą przestrzeń zajmowały skrzynie z filtrami i zaopatrzenie dla Eddiego Senga. Między pustymi kartonami po żywności stała chemiczna toaleta. Ciężkie, wilgotne powietrze miało zapach sportowej szatni.

Eddie był w Discovery sam od chwili jego zwodowania z „Oregoną” piętnaście dni wcześniej. Tyle czasu zajęło mu przeniknięcie do pilnie strzeżonego portu, otoczonego podwodnymi



stanowiskami nasłuchowymi i rutynowo sprawdzanego sonarem. Posadził pojazd na dnie podczas lekkiego odpływu i pozwolił mu dryfować, kiedy do portu wlewały się fale przyływu. Silniki uruchamiał jedynie pod osłoną statku lub patrolowego kutra płynącego w kierunku brzegu. Tylko w ten sposób mógł się dostać potajemnie do bazy morskiej.

W załodze „Oregona” był niejeden pilot pojazdów podwodnych, ale Eddie, szef operacji lądowych, nie zgodziłby się, żeby ryzykował ktoś inny. Seng, podobnie jak Cabrillo, pracował przez lata w CIA, choć wtedy jeszcze się nie znali. Juan spędził większość swojej kariery na Bliskim Wschodzie, Eddie miał przydział do ambasady amerykańskiej w Pekinie, gdzie z powodzeniem kierował kilkoma siatkami szpiegowskimi. Zmiany polityczne i budżetowe po 11 września sprawiły, że wylądował w kraju za biurkiem. Brakowało mu „istoty branży”, jak to nazywał, więc przyłączył się do Korporacji i szybko stał się niezastąpiony.

Cabrillo przedostał się po akumulatorach i pustych skrzyniach do fotela drugiego pilota na prawo od Eddiego. Czarne włosy Senga były w strąkach od długiego niemycia, twarz o ostrych rysach pokrywał zarost, jasne oczy przygasły ze zmęczenia i napięcia ostatnich dwóch tygodni.

- Cześć, szefie - wyszczerzył zęby Eddie. Nic nie mogło zmienić jego pogodnego usposobienia. - Witamy na pokładzie.

- Dzięki - odrzekł Juan i zauważył, że miniłódź podwodna opadła już na głębokość dziesięciu metrów. - Zegar tyka, więc weź kurs na wyjście z portu i daj pełny gaz. Mamy jednaście minut.

Silniki Discovery ożyły i pojedyncza śruba wgryzła się w wodę. Na hałas nie mogli nic poradzić. Musieli odpłynąć możliwie jak najdalej od „Asia Star”, bo woda nie jest ściśliwa, więc fala uderzeniowa byłaby podwójnie groźna.

Cabrillo obserwował sonar. Załedwie minutę po tym, jak zaczęli się oddalać od skazanego na unicestwienie frachtowca, pojawił się kontakt.

- Pan Murphy podnosi swój paskudny łeb.

- Co tam masz? - Hanley stanął za plecami Juana i pochylił się nad jego ramieniem.

Komputer przeanalizował sygnał akustyczny i Cabrillo odczytał ponure fakty.

- Kuter patrolowy klasy Sinpo. Załoga: dwanaście osób. Uzbrojenie: dwa działka kaliber 37 milimetrów i bomby głębinowe. Prędkość maksymalna czterdzieści węzłów. Nasz kontakt rozpędził się już do dwudziestu i idzie prosto na nas.

Eddie odwrócił się do Juana.

- To rutynowe działania. Powtarzają je, odkąd jestem w porcie. Co kilka godzin na patrol wypływa pojedynczy kuter. Myślę, że szukają marynarzy, którzy próbują zdezerterować.

- Jeśli utrzyma ten kurs, przejdzie dokładnie nad nami.

- Czy jednostki tej klasy mają sonar? - zapytał Max. Juan sprawdził w komputerze.

- Brak danych.

- Co mam robić? - Głos Eddiego brzmiał spokojnie i rzeczowo. - Płynąć dalej czy usiąść na dnie

i przeczekać patrol?

Cabrillo znów spojrzął na zegarek. Pokonali dopiero ćwierć mili morskiej. Za mało.

- Płyn - zdecydował. - Jeśli nas usłyszy albo wykryje nasz kilwater, będzie musiał zwolnić i zawrócić, żeby spróbować ponownie nas znaleźć. Potrzebujemy tylko sześciu minut.

Chwilę później czterej mężczyźni w miniłodzi usłyszeli odgłos śrub kutra patrolowego. Złowieszczy dźwięk narastał, jednostka się zbliżała. Kiedy znalazła się nad Discovery, jego wnętrze wypełnił hałas. Mężczyźni nasłuchiwali, czy kuter zawróci. Wydawało się, że czekanie trwa całą wieczność. Max i Hali odetchnęli, gdy odgłos wreszcie zaczął się oddalać. Cabrillo nie odrywał wzroku od ekranu sonaru.

- Zawracają - oznajmił chwilę później. - Hali, sprawdź w radiu, czy coś nadają. - Hali Kasim, szef sekcji łączności „Oregona”, przy aparaturze radiowej przypominał pianistę koncertowego.

Wysokiej klasy urządzenia w centrum telekomunikacyjnym „Oregona” mogły przeanalizować i zarejestrować w ciągu sekundy tysiąc połączeń na różnych częstotliwościach i miały program językowy, który dokonywał przekładów tak szybko, że operator prowadził rozmowę niemal w czasie rzeczywistym, co pozwalało oszukać większość słuchających. Discovery 1000 był wyposażony w sprzęt elektroniczny tak skromnie, że mieliby szczęście, gdyby w ogóle coś złapali. A że żaden z nich nie znał koreańskiego, i tak nie wiedzieliby, czy kuter patrolowy prosi o pozwolenie na zrzucenie bomb głębinowych, czy komentuje pogodę.

- Nic nie odbieram - zameldował po chwili Kasim.

Kuter patrolowy znów przepłynął nad miniłodzią, i mężczyźni usłyszeli, że przymyka przepustnice silników.

- Namierzyli nas - powiedział Eddie.

Sonar o dużej mocy wyłapał dwa pluski, zbyt ciche na bomby głębinowe. Juan natychmiast się zorientował, co się zaraz stanie.

- Trzymajcie się!

Kopie radzieckich granatów RGD-5 zawierały tylko sto piętnaście gramów materiału wybuchowego, ale woda spotęgowała siłę ich eksplozji. Oba rozerwały się prawie jednocześnie kilka metrów za Discovery. Rufa miniłodzi podwodnej została podrzucona do góry i Hali Kasim wpadł na baterię akumulatorów. Eddie walczył o podniesienie dziobu, gdy za szybą kokpitu nagle pojawiło się ciemne dno. Wszystkim tak dzwoniło w uszach, że nie usłyszeli plusku następnej pary granatów, które eksplodowały tuż nad nimi. Wybuchy wbiły łódź w muł w momencie, kiedy Eddie właśnie ją wypoziomował. Discovery otoczyły kłęby szlamu, redukując widoczność do zera. Końcówki kabli wyskoczyły z poluzowanych złączy i mężczyźni oślepiły na chwilę błyski zwarć

elektrycznych.

Eddie odciął zasilanie, żeby Max mógł naprawić instalację. W świetle miniaturowej latarki, trzymanej w zębach, główny mechanik zaczął robić obejście niesprawnych akumulatorów, ale szkoda już się stała. Błyski w bulajach Discovery mogły być widoczne na powierzchni i wyglądały jak upiorny niebieski blask z głębin.

- Coś nadają - powiedział Hali. - Tylko krótką wiadomość, ale sprawa chyba się wydała.
- Jak ci idzie, Max? - zagadnął Cabrillo tak spokojnie, jakby pytał, kiedy będzie kawa.
- Zaraz skończę.
- Jest już odpowiedź z lądu, Hali?
- Jeszcze nie. Szarża pewnie przetrawia meldunek z kutra.
- Gotowe - oznajmił Max. - Startuj, Eddie.

Seng wcisnął przycisk i na tablicy przyrządów rozjarzyły się wyświetlacze.

- Dobra, Eddie, wynurzenie awaryjne. Wychodzimy na powierzchnię.
- Kuter jest dokładnie nad nami, szefie.

W odpowiedzi Cabrillo tylko uśmiechnął się ponuro.

- Stracimy gwarancję - mruknął Eddie i opróżnił sprężonym powietrzem zbiorniki balastowe Discovery. Miniłódź podwodna wystrzeliła z dna. Seng obserwował głębokościomierz i podawał liczby. Kiedy zawołał, że nad górnym pokładem jest już tylko półtora metra wody, wszyscy czterej skulili się odruchowo w fotelach.

Stalowy kadłub uderzył w kil północnokoreańskiej jednostki z ogłuszającym zgrzytem. Miniłódź była o kilka ton lżejsza od kutra patrolowego, ale impet skierowany w górę przechylił „koreańczyka” tak, że jego prawy reling znalazł się w wodzie. Tocząca się beczka z paliwem zmiażdżyła nogi jednemu z załogantów i zepchnęła go za burtę. Juan sięgnął przed Eddiego i wystukał na klawiaturze komputera polecenie zanurzenia alarmowego, zanim górny pokład przebił powierzchnię.

Szybkoobrotowe pompy napełniły zbiorniki balastowe w niecałe piętnaście sekund i Discovery opadł w dół jak kamień.

- Powinni mieć zajęcie na kilka minut - powiedział Max.
- Tylko tyle potrzebujemy. Dobra, wkładamy słuchawki i przypinamy się.

Podłączyli słuchawki do urządzenia elektronicznego, które zainstalowano specjalnie na tę misję. Skonstruowana przez firmę Sound Answers eksperymentalna aparatura tłumiąca hałas pochłaniała fale dźwiękowe, rozpoznawała ich częstotliwość i amplitudę, po czym wytwarzała ich dokładną odwrotność, likwidując dziewięćdziesiąt dziewięć procent decybeli. Takie urządzenia, po udoskonaleniu i zminiaturyzowaniu, umożliwią produkcję cichych odkurzaczy i uwolnią ludzi od męki słuchania wiertła dentystycznego.

Na „Asia Star” jeden z koreańskich tajniaków przydzielonych do pilnowania Syryjczyków

odzyskał przytomność. Stracił kilka cennych sekund na sprawdzenie, co z jego kolegą. Nie dawał znaku życia. Agent znał swoje obowiązki. Wypadł z ładowni, wrzeszcząc na cały głos mimo bólu głowy, wbiegł po schodach na główny pokład, przyjrzał się drzwiom kabin w korytarzu za sterownią i znalazł kajutę kapitańską. Nie zawracał sobie głowy pukaniem, tylko od razu wszedł do środka. Generał Kim rozmawiał przez telefon.

- A potem co zrobisz mojemu małemu lotosowi? - Kim zerwał się na nogi, kiedy drzwi uderzyły w ścianę kajuty. - Co to ma znaczyć?! - ryknął.

- Syryjczycy nas zaatakowali - wysapał tajniak. - Nie ma ich w ładowni. Może będą próbowali uciec.

- Uciec? Przed czym? - Kim natychmiast zrozumiał, jaka jest odpowiedź na te pytania. Przerwał połączenie ze swoją kochanką i postukał w widełki telefonu, żeby wywołać operatora na lądzie. - Zgłoś się, do cholery - zaklął, a potem odwrócił się do agenta. - To nie byli Syryjczycy, tylko amerykańscy sabotażyści. Trzeba przeszukać ładownię, sprawdzić, czy nie ma tam bomby.

Wreszcie w słuchawce telefonu zabrzmiał jakiś głos. Kim wiedział, że nawet jeśli zginie, wszczęcie alarmu sprawi, że Amerykanie zapłacą za swoją zdradę.

- Tu generał Kim. Dzwonię z pokładu „Asia Star”...

W odległym kącie ładowni zapalnik zegarowy Maksa doszedł do zera.

Wybuch rozerwał pocisk, za którym była ukryta bomba, i spowodował natychmiastową eksplozję głowicy bojowej. Nadciśnienie powstałe wewnątrz pomieszczenia wystrzeliło pod nocne niebo czterotonowe pokrywy luków, jakby nastąpiła erupcja wulkanu. Stare płyty kadłuba rozdzieliły się na spawach niczym skórka pomarańczy, gdy w ładowni dziobowej eksplodowały tony paliwa rakietowego.

Statek się rozpadł.

Dwustudziesięciometrowy odcinek betonowego nabrzeża wyleciał w powietrze, odłamki poszybowały kilometry w głąb lądu. Dwa wielkie żurawie na brzegu runęły do wody, w porcie wypadły wszystkie szyby w oknach. Potem fala uderzeniowa rozprzestrzeniła się. Magazyny w promieniu pół kilometra zostały zmiecione z powierzchni ziemi, ze stojących dalej ocalały tylko stalowe szkielety. Dwumetrowa warstwa wody w zatoce spiętrzyła się w falę, która uderzyła w niszczyciel na kotwicy, przełamała jego stępkę i przewróciła okręt tak szybko, że nikt na wachcie nie zdążył zareagować.

Noc zamieniła się w dzień, kiedy kula ognia osiągnęła wysokość trzystu trzydziestu pięciu metrów, i rozprysnięte paliwo rakietowe opadło jak płonący deszcz, wznecając pożary wokół stoczni marynarki wojennej. Szczątki kadłuba „Asia Star” przelatywały przez bazę morską niczym szrapnele, demolowały budynki i niszczyły pojazdy.

Wstrząs wyrzucił do góry uszkodzony kuter patrolowy który pokoziołkował po powierzchni zatoki, tocząc się jak kłoda w dół górskiego zbocza. Przy każdym obrocie urywały się jakieś części. Najpierw odpadły działka dziobowe, potem dwa rufowe karabiny maszynowe kaliber.50, w końcu rozleciała się mała kabina i na wodzie pozostał tylko kadłub.

Tłumik hałasu spełnił swoje zadanie, ale mimo to odgłos wstrząsu zadźwięczał w środku

Discovery 1000 jak wewnątrz dzwonu. Kadłub zadrżał, kiedy przechodziła fala uderzeniowa, i mała łódź podwodna została rzucona do przodu, a potem gwałtownie przyhamowała. Pasy bezpieczeństwa naprężyły się, luźne przedmioty wypadły ze schowków. Wybuch poraził błony bębenkowe i gdyby nie przeciwdziałanie odpowiednich częstotliwości w słuchawkach, czterej mężczyźni ogłuchliby na zawsze.

Cabrillo musiał krzyczeć na całe gardło, żeby się dowiedzieć, czy nikomu nic się nie stało. Eddie i Hali nie ucierpieli, ale Max miał guza, bo spadł na niego akumulator. Skóra nie została przecięta i nie stracił przytomności. Przez jakiś czas bolała go głowa, a siniak zniknął dopiero po wielu dniach.

- Dobra, Eddie, wracamy do domu. Miniłódź wymknęła się niepostrzeżenie z portu i była dwie mile morskie od wybrzeża, gdy napotkali helikoptery lecące w kierunku Wonsan. Leciały za wysoko i za szybko jak na śmigłowce do zwalczania okrętów podwodnych. Najprawdopodobniej były to maszyny ratownicze, transportujące do zniszczonej bazy środki medyczne i personel.

Jak wszystkim krajom świata z dostępem do morza, Korei Północnej przyznano dwunastomilowy pas wód terytorialnych. Juan Cabrillo dla bezpieczeństwa wyznaczył spotkanie dwadzieścia mil morskich poza nim. Pokonanie tego kawałka drogi zajęło im prawie trzy godziny więcej, niż planowali. Nadejście świtu zmusiło ich do pozostania w zanurzeniu, na wypadek gdyby Koreańczycy wysłali zwiad lotniczy.

W końcu dotarli do wyznaczonego miejsca i Eddie uniósł pojazd z głębokości dwudziestu czterech metrów, na jakiej płynęli. Nad małą łodzią wisiał spód „Oregona”, pomalowany czerwoną farbą antykorozyjną. Juan zauważył z dumą że kadłub nie jest pokryty skorupiakami i wygląda jak nowy. Żeby wykorzystać ogromną moc generowaną przez supernowoczesne silniki, „Oregona” skonstruowano na wzór ekspresowych promów europejskich. Pojedynczy kadłub o przekroju w kształcie litery V umożliwiał rozwijanie niezwykle dużej prędkości. Dla zapewnienia stabilności zamontowano kilka wysuwanych stateczników, podwodnych skrzydeł, które pozwalały gładko sunąć przez morze z prędkością do czterdziestu węzłów. Powyżej tej prędkości stabilizatory stawiały zbyt duży opór. Chowano je do kadłuba i załoga musiała zapinać pasy jak zawodnicy w pełnomorskich ślizgaczach wyścigowych.

Eddie chwycił urządzenie wielkości i kształtu pilota do garażu, wycelował je w „Oregona” i wcisnął przycisk.

W górze otworzyły się na zawiasach wrota o długości dwudziestu czterech metrów, przedzielone na kilu. Z wnętrza statku przenikało przez wodę jasne światło i zalewało spód kadłuba zielonym blaskiem. Eddie ustawił pędniki, wyregulował balast i skierował Discovery do otworu. Zatrzymał się tuż pod kadłubem i zaczekał, aż z „Oregona” wyskoczy dwóch mężczyzn w akwalungach i umocuje liny do zaczepów na dziobie i rufie miniłodzi podwodnej. Discovery i jego większy brat Nomad 1000, również transportowany na pokładzie statku Korporacji, mogły się wynurzać bezpośrednio w basenie zanurzeniowym, ale manewr był ryzykowny i wykonywano go tylko w razie niebezpieczeństwa.

Płetwonurek podpłynął do kokpitu, pomachał Eddiemu i Juanowi, a potem przeciągnął kantem dłoni po gardle. Send wyłączył silniki. Discovery szarpnął i zaczął się gładko wznosić do basenu zanurzeniowego. Gdy przebił powierzchnię, Eddie otworzył zawory, żeby opróżnić zbiorniki balastowe.

Cabrillo zauważył Julię Huxley, lekarzkę „Oregona”. Stała na krawędzi basenu z dwoma sanitariuszami. Miała zaniepokojoną minę. Kiedy pokazał jej uniesiony kciuk, uśmiechnęła się. Przyłączyła się do Korporacji po karierze w marynarce wojennej, zakończonej czteroletnią pracą na stanowisku głównego lekarza w bazie morskiej w San Diego. Miała metr sześćdziesiąt wzrostu i pełne kształty. Ciemne włosy wiązała zwykle w koński ogon i malowała tylko oczy.

Żuraw w górze opuścił miniłódź na stojak i załogant statku wspiął się na nią, żeby otworzyć właz zewnętrzny. Gdy wreszcie się z tym uporał, mężczyźni w środku usłyszeli, jak wciągnął gwałtownie powietrze.

- O rany.

- Spróbuj posiedzieć tu zamknięty przez dwa tygodnie - zawołał Eddie i wstał z fotela. Rozpiął już suwak kombinezonu, by jak najprędzej wziąć pierwszy prysznic od piętnastu dni. Schudł tak, że widać było każdy mięsień. Miał budowę Bruce'a Lee i tak jak on był mistrzem walk wschodnich.

Przy wysiadaniu Juan przepuścił swoich towarzyszy, ale kiedy tylko wziął kilka głębokich oddechów, zawołał do marynarza w pobliżu:

- Zamknij te drzwi i skontaktuj się z Erikiem. Niech weźmie kurs na południe z prędkością dwudziestu węzłów. Dopóki nic nam nie grozi, nie ma potrzeby pędzić na maksa i zwracać na siebie uwagi.

Eric Stone był operatorem sterowni, najlepszym na statku i jedynym, którego Juan chciał widzieć za sterem w krytycznych sytuacjach.

- Tak jest.

Wrota zostały zamknięte i włączono pompy, by usunąć wodę z basenu zanurzeniowego. Potem przykryto go kratami pomostowymi. Technicy już oceniali uszkodzenia Discovery, powstałe w chwili uderzenia w kuter patrolowy. Inni znosili pojemniki ze środkiem dezynfekującym, żeby odkazić wnętrze.

Kiedy Cabrillo zszedł po drabince ze szczytu miniłodzi, podeszła do niego Julia.

- Słyszeliśmy tu eksplozję, więc nie muszę pytać, jak poszło.

- Nie wyglądasz na zbyt szczęśliwą z tego powodu. - Juan zdjął kurtkę mundurową pułkownika Houraniego.

- Jestem po prostu znudzona, prezesie. Poza kilkoma naciągniętymi mięśniami od miesiąca nie mam nic do roboty.

Juan się uśmiechnął.

- Myślałem, że to dobrze dla lekarza.

- Dla lekarza tak; dla pracownika to straszne.

- Daj spokój, Julio, przecież nas znasz. Za kilka dni, najwyżej tydzień, wpadniemy w jakieś

tarapaty.

Cabrillo miał wkrótce pożałować tych słów. Dziewięćdziesiąt sześć godzin później doktor Julia Huxley miała pełne ręce roboty.

#### 4

Proszę - zawołał Cabrillo, gdy rozległo się energiczne pukanie do drzwi jego kajuty.

„Oregon” był już właściwie bezpieczny, mogły go jeszcze dogonić tylko najlepsze północnokoreańskie myśliwce. Ale z przechwytywanych rozmów radiowych nie wynikało, by miały wystartować, zanim statek znajdzie się poza ich zasięgiem. Cabrillo pozwolił sobie na godzinną kąpiel w miedzianej wannie z jacuzzi w przyległej łazience i właśnie kończył się ubierać. Nie dbał o etykietę na pokładzie, więc włożył bawełniane spodnie i koszulę rozpiętą pod szyją.

W przeciwieństwie do charakteryzacji, w której wystąpił jako pułkownik Hourani, i wbrew swemu latynoskiemu pochodzeniu Juan Cabrillo miał niebieskie oczy i jasne włosy. To ostatnie zawdzięczał młodości spędzonej na słońcu i wodzie. Jego rysy też wyglądały bardziej na anglosaskie niż latynoskie, zwłaszcza arystokratyczny nos i usta, zawsze ułożone do uśmiechu, jakby rozbawił go jakiś dowcip, znany tylko jemu. Ale był twardym człowiekiem, którego ukształtowały lata niebezpiecznego życia. Choć dobrze to maskował, ludzie już przy pierwszym spotkaniu wyczuwali, z kim mają do czynienia, i natychmiast nabierali do niego szacunku.

Do kajuty weszła Linda Ross, niedawno awansowana na wiceprezesa Korporacji do spraw operacyjnych. Przy piersi trzymała clipboard. Podobnie jak Julia Huxley, Linda służyła wcześniej w marynarce wojennej, najpierw jako oficer wywiadu na pokładzie krążownika klasy Aegis, potem w Pentagonie. Była szczupła i wysportowana, miała bystry umysł i cichy głos. Kiedy Richard Truitt, wiceprezes Korporacji, nieoczekiwanie złożył rezygnację po sprawie Świętego Kamienia, Cabrillo i Hanley uznali, że Dicka może zastąpić tylko Linda.

Zatrzymała się tuż za progiem, zahipnotyzowana widokiem Juana, który właśnie dopasowywał protezę prawej nogi. Opuścił nogawkę spodni i wsunął stopy we włoskie półbuty żeglarskie w stylu mokasynów. Linda wiedziała, że Cabrillo ma protezę, ale jej widok zawsze ją szokował, bo Juan wydawał się nie przejmować tym, że stracił nogę poniżej kolana. Nie podnosząc wzroku, wyjaśnił:

- Na „Asia Star” północnokoreański tajniak przygniótł mi nogę do poręczy schodów i roztrzaskał plastik. Był bardzo zaskoczony, że walczę dalej, bo myślał, że złamał mi kość.
- Potwierdziłeś północnokoreańską propagandę - zachichotała Linda.
- To znaczy?
- Że my, Amerykanie, jesteśmy tylko robotami naszego imperialistycznego rządu.

Oboje się roześmieli.

- Co się działo od naszego wylotu do Afganistanu? - zapytał Cabrillo.
- Pamiętasz Hiroshiego Katsui?

Juan dopiero po chwili skojarzył nazwisko.

- Hiro? Boże, nie myślałem o nim od czasu studiów. Jego ojciec był pierwszym miliarderem, jakiego poznałem. Rodzina armatorów, duży interes. W kampusie tylko Hiro miał lamborghini. Ale forsa nigdy nie uderzyła mu do głowy; to muszę mu przyznać. Nie bujał w obłokach i był hojny aż do przesady.

- Zwrócił się do nas w imieniu konsorcjum właścicieli statków pływających po tych wodach. Od około dziesięciu miesięcy od Morza Japońskiego po Południowochińskie mnożą się akty piractwa.

- Ten problem ograniczał się zwykle do wód przybrzeżnych i cieśniny Malakka - wtrącił Cabrillo.

- Gdzie tubylcy w małych łodziach atakują jachty lub wdzierają się na frachtowce, żeby zabrać, co się da - przytaknęła Linda. - W grę wchodzi miliard dolarów rocznie i interes z roku na rok się rozwija. Ale to, co się dzieje wokół Malezji i Indonezji, to napady bandziorów na starsze panie w ciemnych uliczkach w porównaniu z tym, co jest dalej na północ.

Cabrillo podszedł do biurka i wyjął z intarsjowanej skrzyneczki krótkie kubańskie cygaro. Słuchając Ross, przyciął je i przypalił zapalniczką Dunhill ze złota i onyksu.

- To, o czym informuje twój przyjaciel Hiro, przypomina raczej dawne złe czasy, kiedy mafia porывała ciężarówki na lotnisku Kennedy'ego. Piraci są dobrze uzbrojeni, świetnie wyszkoleni i silnie umotywowani. I brutalni jak cholera. Cztery statki zniknęły bez śladu wraz z załogami. Ostatni był tankowiec należący do firmy twojego przyjaciela, „Toya Maru”. Kilka innych obrabowano i zabito ludzi, zupełnie niepotrzebnie, bo według raportów nikt nie stawiał oporu.

- Co kradną piraci?

- Czasami pieniądze. - Na statkach towarowych zwyczajowo trzymano tyle gotówki, by wystarczyło jej na wypłatę dla załogi po skończonym rejsie, na wypadek gdyby niektórzy marynarze nie chcieli płynąć dalej. Cabrillo oceniał, że taki łup to piętnaście, dwadzieścia tysięcy dolarów. - Kiedy indziej biorą kontenery. Przeładowują je na swoje jednostki, które według mglistych opisów są przerobionymi trawlerami z zamontowanymi żurawiami. No i zdarza się, że znikają całe statki.

Juan patrzył na dym z cygara, który wydmuchiwał pod kasetonowy sufit z drewna tekowego.

- I Hiro chce, żebyśmy zrobili z tym porządek? Linda zerknęła na clipboard.

- Wyraził się tak: „Załatwcie ich tak, jak obrońcy Raidersów rozgrywającego przeciwników”.

Cabrillo się uśmiechnął. Doskonale pamiętał, jakim fanem futbolu był Hiro; zwłaszcza Raidersów, kiedy grali w L.A. Potem jednak spowaźniał. Korporacja miała taką strukturę organizacyjną, że wszyscy członkowie załogi „Oregona” byli współwłaścicielami firmy, a wysokość ich udziałów zależała od zajmowanych stanowisk i lat służby. Nieoczekiwane odejście Dicka Truitta uszczupliło rezerwy gotówkowe. Nie mogło być gorszego momentu, bo akurat dużo zainwestowali w nieruchomości w Rio de Janeiro, co miało się zwrócić za dwa miesiące. Cabrillo mógłby się z tego wycofać, ale spodziewane zyski były nie do pogardzenia. Honorarium za zakończoną właśnie robotę



dla Langstona Overholta wystarczy na odprawę dla Dicka, ale Cabrillo musiał jeszcze wypłacić pensje swoim ludziom, zapłacić za nich ubezpieczenie i ponieść mnóstwo innych kosztów, jakie co miesiąc ma każda firma. To, że działali poza prawem, nie oznaczało, że mogą uniknąć finansowych realiów kapitalistycznego świata.

- Ile proponują?

Linda znów spojrzała na clipboard.

- Sto tysięcy tygodniowo przez minimum dwa i maksimum cztery miesiące, plus milion dolarów za każdy zniszczony przez nas statek piracki.

Cabrillo zmarszczył brwi. Jeśli się zgodzi, będzie zajęty przez osiem tygodni bez możliwości przyjęcia korzystniejszego zlecenia, gdyby takie się pojawiło. Ale równocześnie zyska czas potrzebny na to, żeby zwróciła się brazylijska inwestycja, a potem Korporacja będzie znów na plusie.

Poza tym jak każdy marynarz, nienawidził piractwa i niczego nie pragnął bardziej niż tego, żeby położyć kres rozbojom na morzu.

Współcześni piraci w niczym nie przypominali awanturników z dawnych legend. Nie ma już brodatych kapitanów z przepaską na oku i papugą na ramieniu. Dzisiejsi piraci, przynajmniej ci w cieśninie Malakka, to zwykle biedni rybacy, uzbrojeni w cokolwiek. Atakują nocą i szybko znikają z każdym łupem, jaki zdołają zmieścić w swoich czółnach i pirogach. Zdarzają się, oczywiście, zabójstwa, ale nie na taką skalę, o jakiej mówiła Linda.

Juan zawsze się obawiał, że pewnego dnia pojawi się jakiś przywódca i zorganizuje piratów tak, jak Lucky Luciano stworzył Murder Inc., przekształcając luźną bandę kryminalistów w sprawnie funkcjonującą grupę przestępczą. Czy ten dzień właśnie nadszedł? Czy na scenę wkroczył jakiś mózg i przekonał innych, że jeśli się zorganizują, będą mogli podwoić lub potroić zyski i podnieść piractwo do rangi zagrożenia równego terroryzmowi? Nie było to wykluczone. Cabrillo usiadł za biurkiem i zaczął się zastanawiać, czy jedno nie jest powiązane z drugim. W ciągu ostatnich lat fundusze terrorystów w wielu częściach świata się wyczerpały. Możliwe - nie, poprawił się, niewykluczone - że takie ugrupowania jak Al-Kaida zajęły się piractwem i inną działalnością przestępczą, żeby zdobyć środki na prowadzenie wojny.

On i jego załoga wykonywali wiele tajnych zadań dla rządu Stanów Zjednoczonych. Teraz ich praca dla prywatnego sektora służyłaby również interesom amerykańskim, a Wuj Sam nie musiałby płacić rachunku. Juan podniósł wzrok na swoją wiceprezes do spraw operacyjnych.

- Czy Hiro podejrzewa, ile pirackich statków działa na morzu?

- Nie podał konkretnych liczb, ale na podstawie odległości i czasu niektórych ataków przypuszcza, że są co najmniej cztery przerobione trawlerzy.

To by oznaczało cztery miliony dolarów. Suma wydawała się ogromna, ale Cabrillo dobrze wiedział, jak szybko Korporacja potrafi wydać takie pieniądze. W razie poważnych uszkodzeń Discovery nowa miniłódź podwodna kosztowałaby dwa miliony. Juan jeszcze przez chwilę rozważał

propozycję.

- Skontaktuj się z Hiroshim - rzekł wreszcie - i powiedz mu, że weźmiemy tę robotę pod dwoma warunkami. Po pierwsze, premia za każdy zatopiony statek ma wynosić dwa miliony. Po drugie, rezerwujemy sobie prawo zerwania umowy z jednodniowym wypowiedzeniem. - Jeden pocisk woda-woda do wyrzutni „Oregona” kosztował prawie milion dolarów.

- Potem zawiadam Overholta w Langley, że skończyliśmy i szczegółowy raport dostanie ode mnie za kilka dni.

- A co z Eddiem? - Seng miał obiecany dwutygodniowy urlop jako rekompensatę za piętnastodniowy pobyt we wnętrzu Discovery.

Cabrillo włączył monitor plazmowy na biurku i zmienił kilka ekranów, zanim znalazł ten, który pokazywał lokalizację „Oregona”. Przekalkulował odległości i zasięg śmigłowca Robinson R-44, stojącego w ukrytym hangarze pod rufowym lukiem ładunkowym.

- Możemy go jutro podrzucić helikopterem do Seulu. Tam złapie samolot rejsowy.
- Nie w tym rzecz. Powiedział Julii, że nie chce urlopu. Juan nie był zaskoczony.
- Możesz wysłać człowieka na wakacje, ale nie zmusisz go do relaksu.
- Martwię się po prostu, że się przemęcza. Ma za sobą dwa tygodnie piekła.

Prezes Cabrillo jako jedyny członek Korporacji znał akta personalne swojej załogi. Zastanawiał się, czy złamie zasadę poufności, jeśli wyjawii Julii, że jeszcze w CIA Eddie spędził dwa miesiące pod podwójną przykrywką najpierw jako tajwański zdrajca, zamierzający sprzedać ChRL informacje o rozmieszczeniu sił zbrojnych Republiki Chińskiej wzdłuż Cieśniny Tajwańskiej, a potem jako agent kontrwywiadu, którego ostatecznym celem było zdyskredytowanie grupy chińskich generałów, którzy kupili od niego te informacje. Rozegrał wszystko wspaniale: czterej spośród najlepszych chińskich dowódców wojskowych zostali przeniesieni na placówkę na pustyni Gobi, a rząd zmarnował miliony dolarów na budowę fortyfikacji, spodziewając się inwazji, do której nigdy nie miało dojść. To była ostatnia misja Eddiego, potem dostał przydział do Waszyngtonu. Juan przemilczał tę historię i powiedział po prostu:

- Jeśli Eddie chce zostać na pokładzie, nie mam nic przeciwko temu.
- Okej.
- Czy Hiro podał szczegóły ataków?
- Obiecał je dostarczyć, jeśli przyjmujemy zlecenie.
- Jak tylko nadejdą, niech Mark Murphy i Erie Stone zrobią symulację komputerową żeby ustalić, gdzie najprawdopodobniej uderzą piraci następnym razem, i stworzą dla nas taką przykrywkę, żebyśmy sprawiali wrażenie łatwego celu.

Młody Murph był specjalistą od uzbrojenia i wytrwałym analitykiem z niesamowitym talentem do znajdowania wzorców. Linda zrobiła notatki na clipboardzie.

- Coś jeszcze?

- To wszystko. Kiedy Mark i Eric ustalił ich pozycję, wyznaczmy kurs i ruszymy w drogę.

Cabrillo dokończył cygaro, pracując nad raportem dla Langstona Overholta. Postanowił nie zwlekać i wziąć się do tego od razu. Gdy z hawany został tylko niedopałek, zaszyfrował tekst w programie podobnym do używanych przez NSA i wysłał pocztą elektroniczną do swojego starego przyjaciela w kwaterze głównej CIA. Choć czuł jeszcze adrenalinę, a w głównej jadalni właśnie podawano lunch, wybrał się na obchód statku.

Zaszedł do lśniącej maszynowni, gdzie mruczały silniki magneto-hydrodynamiczne; do supernowoczesnego centrum operacyjnego pod sterówką gdzie niemal wszystkie ściany zajmowały ekrany plazmowe; do pomieszczeń z różnymi stanowiskami ogniowymi; do Magicznej Pracowni, zbrojowni, hangaru i luksusowych kwater załogi. Odwiedził kuchnię okrętową z nierdzewnej stali, gdzie mistrzowie sztuki kulinarnej przygotowywali dania godne najlepszych paryskich restauracji. Zajrzał do centrum odnowy biologicznej z saunami i siłownią, pełną sztang i urządzeń do ćwiczeń. Położył rękę na jednym z czterech czarnych superkomputerów Sun/Microsoft. Znał ich ogromną moc obliczeniową i wiedział, że nie ma dla nich zbyt skomplikowanych problemów.

Miał pełną świadomość, że każdy szczegół, każdy centymetr przewodów i rur, rozplanowanie pokładu, a nawet kolorowy schemat wnętrza statku zrodził się w jego umyśle i został przekształcony na jego zamówienie w metal, plastik i drewno. „Oregon” był jego twierdzą i schronieniem.

Ale największą dumę poczuł, gdy wyszedł na pokład, bo to właśnie wygląd zewnętrzny czynił z „Oregona” najwspanialszą platformę szpiegowską jaką kiedykolwiek wymyślono. Rosjanie trzymali się koncepcji maskowania swoich jednostek szpiegowskich jako trawlerów, więc łatwo je rozpoznawano, kiedy zjawiały się u czyichś wybrzeży. Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych używała do operacji szpiegowskich niewykrywalnych okrętów podwodnych, które nie nadawały się do zadań wykonywanych przez Cabrillę i jego załogę. Statek Korporacji musiał wyglądać co najmniej anonimowo, a najlepiej śmiesznie.

Z tej przyczyny „Oregon” sprawiał wrażenie starej łajby w drodze na złomowisko.

Juan dostał się do sterówki windą kursującą z centrum operacyjnego tuż pod głównym pokładem, potem wyszedł na prawe skrzydło mostka i popatrzył na statek. „Oregon” miał długość sto siedemdziesiąt metrów, szerokość dwadzieścia trzy i tonaż brutto jedenaście tysięcy pięćset osiemdziesiąt pięć. Nadbudowa była trochę cofnięta od śródkręca ku rufie, gdzie stały dwa żurawie przeładunkowe. Trzy inne wznosiły się na pokładzie dziobowym. Były zardzewiałe i miały postrzępione liny.

Działy tylko dwa. Na pokładzie widniała mozaika rdzy i farby w różnych kolorach.

Relingi wyginały się niebezpiecznie w niektórych miejscach, kilka luków ładunkowych wydawało się spaczonych. Z beczek zgromadzonych wzdłuż czołowej ściany sterówki wyciekał olej, tworząc śliską breję. Wszędzie walał się różnoraki złom, od zepsutych wciągarek do roweru bez opon. Patrząc wzdłuż zewnętrznej powierzchni kadłuba, Cabrillo widział rdzawe zacieki pod każdym otworem odpływowym. Płyty pospawano tak, jakby chciano zasłonić pęknięcia. Kadłub miał spłowiały zielony kolor, ale były na nim brązowe, czarne i ciemnogrnatowe plamy.

Cabrillo zsalutował jednym palcem irańskiej banderze na flagsztoku rufowym i rozejrzał się po sterówce. Lśniący niegdyś pokład był porysowany, poprzypalany papierosami i zaśmiecony

niedopałkami. Szyby pokrywała mieszanka brudu i soli, a konsole warstwa kurzu. Mosiężny telegraf maszynowni zaśniedział tak, że zrobił się czarny, i brakowało mu jednej wskazówki. Niektóre urządzenia elektroniczne, na przykład pomoce nawigacyjne, pochodziły sprzed tylu lat, że nadawały się do muzeum. W kabinie nawigacyjnej za sterówką wały się złożone byle jak mapy, radio miało zasięg zaledwie kilku mil morskich.

W kwaterach załogi w nadbudowie też panował bałagan. Żadna koja w żadnej kajucie nie była pościelona, w brudnym kambuzie ani jedna sztuka zastawy czy sztućców nie pasowała do reszty. Cabrillo był szczególnie dumny z kajuty kapitańskiej. W pomieszczeniu cuchnęło kiepskimi papierosami, na ścianach wisiały szmirowate portrety ponuraków o smutnych oczach, a na biurku stała butelka południowoamerykańskiej whisky zaprawionej syropem z ipekakuany i dwie lepkie, nigdy niemyte szklanki. Przyległa łazienka była brudniejsza niż męska toaleta w przydrożnym zajeździe.

Wszystkie te szczegóły służyły temu, by inspektorzy, urzędnicy portowi i piloci jak najszybciej schodzili z pokładu „Oregona” i zadawali jak najmniej pytań. Dotychczasowy rekord najkrótszej inspekcji statku należał do celnika w Kapsztadzie, który nie chciał nawet postawić stopy na rozchwianym trapie. Kołem sterowym i telegrafem maszynowni można było, z pomocą komputera, manewrować „Oregonem” i obsługiwać jego silniki. Robiono to tylko na użytek pilotów portowych i tych, którzy przeprowadzali frachtowiec przez Kanał Panamski; w rzeczywistości statkiem kierowano cyfrowo ze stanowiska dowodzenia w supernowoczesnym centrum operacyjnym.

Oplakany stan „Oregona” umożliwiał mu wchodzenie do każdego portu świata bez wzbudzania zainteresowania. Szybko o nim zapominano, uważając go za jeszcze jednego trampa, który rdzewieje na morzu w dobie konteneryzacji. Każdy, kto znał się na statkach, uznałby, że właściciele tego frachtowca spisali go na straty, bo od dawna nie dokonują żadnych napraw i żałują nawet kilku litrów farby na jego pomalowanie. A gdy zachodziła taka potrzeba, załoga potrafiła wyglądać równie niedołąźnie jak jej statek.

Inspekcję przerwał Juanowi hałas. Z centrum operacyjnego przyjechał windą Max Hanley i dołączył do niego na skrzydle mostka. Usunął charakterystycję, odsłaniając rumianą cerę i nos jak kartofel. Był w kombinezonie roboczym i Cabrillo podejrzewał, że prosto spod prysznicza poszedł skontrolować swoje silniki. Wiatr rozwiewał przerzedzone kasztanowe włosy Hanleya, gdy obaj rozkoszowali się kojącą ciszą.

- Myślisz o Truitcie? - zapytał w końcu Max.

Juan odwrócił się w stronę morza i oparł łokcie na przednim relingu. Musiał zmrzyć oczy w jasnym blasku odbijającym się od fal.

- Po prostu przeszedłem się po statku - odparł po chwili. - Jestem naprawdę zadowolony z tego, czego dokonaliśmy.

- Ale?

- Ale „Oregon” jest tylko środkiem do osiągnięcia celu. Przez kilka lat myślałem, że Dick wierzy w to tak samo jak ty i ja.

- A teraz zwątpieś w niego, bo wziął swoją działkę i się wycofał.

- Tak, ale teraz zwątpiełem w siebie i sens naszej misji.

Max nabił wolno fajkę i zapalił ją, osłaniając zapalniczkę od wiatru. Przez chwilę rozważał słowa przyjaciela.

- Powiem ci, co się moim zdaniem dzieje - rzekł wreszcie. - Pracujemy już ładnych parę lat i chomikujemy pieniądze za każde zlecenie. Wszyscy wiedzieliśmy, że to złoty interes, ale dopiero teraz, po odejściu Dicka, zdaliśmy sobie sprawę, jaka to forsa. Zgarnął czterdzieści pięć milionów dolarów bez podatku. Ja go przebijam, a ty odłożyłeś jeszcze więcej niż ja. Trudno ignorować taką kasę, kiedy nadstawia się tyłek za jakiś ideał i następny czek.

- Duży czek - dodał Juan. Max skinął głową.

- Fakt. Ale pozwól, że cię o coś zapytam. Kiedy byłeś w CIA i narażałeś życie w takich miejscach, jak Amman czy Nikaragua, robiłeś to dla nędznej pensji i rządowej emerytury?

- Nie - odparł Cabrillo. - Robiłbym to nawet za darmo.

- Więc skąd to poczucie winy, że teraz dobrze zarabiamy? Robimy to samo, co ty kiedyś za psie pieniądze, i możemy nie przyjmować zleceń, które nam nie pasują. Gdy pracowałeś dla Langley czy pod naciskiem ze strefy E w Pentagonie, nie miałeś wyboru. Mówili „skacz” i lądowałeś w gównie. - W strefie E, usytuowanej najgłębiej w gmachu Departamentu Obrony, urzędowała cała najwyższa szarża i jej cywilni nadzorcy.

Cabrillo otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale Max mówił dalej:

- Wiedząc, że mamy dość pieniędzy, żeby osiąść na jakiejś prywatnej wyspie i wieść wygodne życie, uświadamiasz sobie, jak dużo co dzień ryzykujemy. Ale przecież zawsze ryzykowaliśmy. Dlatego jesteśmy kim jesteśmy. Tylko teraz obaj zdajemy sobie sprawę, że nasze życie jest warte trochę więcej, niż myśleliśmy.

- A nasza misja?

- Jeszcze pytasz? Jesteśmy ostatnią linią obrony. Bierzymy robotę, którą Langley i ludzie ze strefy E muszą mieć wykonaną ale nie mogą jej tknąć. W XXI wieku działa się bez rękawiczek, więc staliśmy się żelazną pięścią.

Cabrillo westchnął.

- Odkąd to jesteś takim poetą? Hanley wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wydało się. Moim zdaniem zabrzmiało to cholernie imponująco. - Znów spoważniał. - Posłuchaj, Juan. To, co robimy, jest ważne, i ja osobiście nie zamierzam czuć się winny, że dzięki temu stajemy się bogaci. Zysk to żaden wstyd; w przeciwieństwie do porażki. A co do zwątpienia w Truitta, to daj sobie spokój. Dick poświęcił Korporacji mnóstwo potu i krwi. Był z nami od początku i wierzył we wszystko tak samo jak ty i ja. Ale dotarł do kresu. Miał dość. Jego odejście nie miało nic wspólnego z pieniędzmi. Posłuchał wewnętrznego głosu, który odzywa się w każdym z nas. Ten głos powiedział mu, że czas się z nami rozstać. Ale możesz być pewny, że Dick Truitt nie zaprzestał walki. Nie byłbym zaskoczony, gdyby wykorzystał swoje pieniądze i wiedzę do założenia jakiejś agencji ochrony albo zespołu doradców wywiadu. Dam głowę, że...

Max urwał w pół zdania. Dostrzegł błysk w oku Cabrilla i krzywy, niemal piracki uśmiech na jego ustach. Juan jak zwykle wyprzedzał o krok swojego zastępcę. Sprawdzał Maksa, chciał wiedzieć, co myśli o rezygnacji Truitta. Nigdy nie zwątpił w sens swojej misji ani w siebie, ale to był decydujący moment dla Korporacji, więc musiał być pewny, że Hanley popiera w stu procentach ich cele. Udając niepewność, doskonale zastawił pułapkę i Max w nią wpadł. Dlatego nikt nie grał z prezesem w pokera.

- Cwaniak z ciebie - zachichotał Hanley.

W tym momencie z linii wodnej „Oregona” dobiegł przeraźliwy syk. Wyjrzeni za burtę. Specjalne zbiorniki balastowe wzdłuż zewnętrznej powierzchni kadłuba napełniały się wodą żeby zwiększyć zanurzenie frachtowca tak, jakby miał pełne ładownie. Juan spojrział na kilwater i dostrzegł lekką zmianę kursu. Długi biały ślad za rufą statku skręcał nieznacznie na wschód.

- Murph i Stone musieli znaleźć dla nas kawałek oceanu, gdzie odegramy rolę bezbronnej owcy - powiedział Max i sprawdził czas na starym zegarku z dewizką przy swoim kombinezonie.

Cabrillo pomyślał o potężnym arsenale ukrytym na „Oregonie” i o ludziach wyszkolonych do posługiwania się tą bronią.

- Raczej groźnego tygrysa, przyjacielu - odparł.

Dzień później „Oregon” dotarł do sektora, gdzie według kalkulacji Murphy’ego i Stone’a pojawienie się piratów było najbardziej prawdopodobne. Katsui zgodził się na warunki Cabrilla. „Do złapania pirata potrzeba pirata. Udanych łowów” - powiedział i przysłał wszystko, co jego konsorcjum miało o ostatnich atakach. Murphy i Stone przeanalizowali informacje w poszukiwaniu wspólnych cech napadów, których dotąd nie dostrzeżono. Przyjrzeni się pogodzie, fazom Księżyca, wymiarom statków, manifestom ładunkowym, liczebnościom załóg i tuzinowi innych czynników, by znaleźć rejon, gdzie atak na „Oregona” wydawał się najbardziej prawdopodobny.

Włamano się do kilku baz danych i wprowadzono do nich fałszywe informacje o statku i jego ładunku, na wypadek gdyby piraci w ten sposób wyszukiwali obiekty ataku. Frachtowiec rzekomo transportował mieszany ładunek tarcicy i elektroniki z Pusan do Nigaty w Japonii, ale łakomy kąsek czyniła z niego obecność na pokładzie pewnego ekscentrycznego amerykańskiego literata, który pisał swoje książki podczas podróży na statkach towarowych.

Richard Hildebrand był postacią autentyczną, a o jego upodobaniu do pracy twórczej na morzu wielokrotnie donosiły media. Obecnie pisał kolejny bestseller na supertankowcu wracającym po wyładunku ropy z Rotterdamu do Zatoki Perskiej, ale Korporacja wątpiła, by piraci sprawdzili ten szczegół. Dzięki honorariom za książki i sprzedaży praw do ich filmowania w Hollywood Hildebrand był jednym z najbogatszych pisarzy na świecie, wartym porwania dla okupu. Wprawdzie piraci jeszcze nie spróbowali kidnapingu, ale Murph, Stone i Juan zgodnie uznali, że uprowadzenie Hildebranda będzie logiczną eskalacją ich przestępczych działań.

Na wypadek gdyby jednak nie zaryzykowali porwania, Murph i Stone podali, że załoga „Oregona” liczy pięćdziesiąt siedem osób - dużo jak na statek handlowy - co powinno skusić piratów

ze względu na znaczną ilość gotówki w sejfie okrętowym.

Paleta czerwieni, różu i purpury o zachodzie słońca wyglądała jeszcze bardziej malowniczo za sprawą popiołu wyrzucanego do atmosfery przez wulkan na półwyspie Kamczatka. Teraz w spokojnym morzu odbijał się krwistoczerwony księżyc, gwiazdy przygasły do punkcików światła. Załoga czuwała na stanowiskach bojowych. Julia Huxley i jej personel czekali w izbie chorych, gotowi do każdego zabiegu, od wyjęcia drzazgi po opatrzenie rozległej rany postrzałowej. Ukryta broń była załadowana. Podobnie jak w niemieckich okrętach wojennych z czasów pierwszej wojny światowej, zamaskowanych jako statki handlowe, płyty kadłuba na obu burtach „Oregon” opuszczały się i odsłaniały 120-milimetrowe działa z takim samym systemem celowniczym i kierowania ogniem, jak w czołgu M-1A1 Abrams. Frachtowiec był też wyposażony w kierowane radarem wielolufowe działka Gatling. Każde z nich wystrzeliwało trzy tysiące pocisków na minutę. Choć Gatlingi służyły zasadniczo jako broń przeciwrakietowa, mogły strącić samolot i zrobić dość dziur w kadłubie nieopancerzonego statku, by posłać go na dno.

„Oregon” miał również ukryte karabiny maszynowe z celownikami na podczerwień. Strzelcy przy wyświetlaczach prowadzili z nich ogień zdalnie z centrum operacyjnego. Jeden z luków dziobowych mógł być odstrzelony, by odpalić cztery rakiety Exocet klasy woda-woda. Inny luk zasłaniał wyrzutnię dwóch rosyjskich pocisków samosterujących dalekiego zasięgu do niszczenia celów lądowych. Langston Overholt umożliwił Korporacji zakup nowoczesnego amerykańskiego uzbrojenia, ale wykluczył z tego rakiety, więc Cabrillo musiał ich poszukać gdzie indziej. Overholt nie zgodził się też na sprzedaż Korporacji torped Mark-48 ADCAP - nie używał ich żaden inny kraj, więc trop mógłby łatwo doprowadzić kogoś do Stanów Zjednoczonych - toteż torpedy umieszczone w dwóch wyrzutniach dziobowych zostały kupione za twardą walutę od tego samego skorumpowanego rosyjskiego admirała, który zaopatrzył Korporację w pociski manewrujące i załatwił dla niej francuskie Exocety.

Dochodziła północ, gdy Juan wszedł do centrum operacyjnego. Mark Murphy i Eric Stone zajmowali stanowiska najbliższej przegrody czołowej.

Stone przyszedł do Korporacji z marynarki wojennej, natomiast Murphy nigdy nie służył w wojsku. Zrobił doktorat w wieku dwudziestu lat i przeniósł się do Korporacji prosto z prywatnej firmy, gdzie projektował systemy uzbrojenia. Juan początkowo odnosił się do niego nieufnie, obawiając się, że Murphy okaże się psychopatą który lubuje się w zabijaniu. Ale seria testów i profil psychologiczny wykazały, że Mark wyróżniałby się w wojsku, gdyby ludzie wokół niego byli na tym samym poziomie intelektualnym. Ponieważ Juan werbował tylko najlepszych i najzdolniejszych, Murphy doskonale zaaklimatyzował się w zespole, choć nikt nie podzielał jego zamiłowania do muzyki punkrockowej i jazdy na deskorolce.

Za stanowiskami Marka i Erica siedzieli Hali Kasim przy sprzęcie telekomunikacyjnym i Linda Ross przy radarze i „wodospadowym” wyświetlaczu sonaru. Wzdłuż tylnej ściany centrum operacyjnego były ulokowane stanowiska obsługi zdalnie sterowanych pokładowych karabinów maszynowych oraz koordynatorów kierowania ogniem i kontroli uszkodzeń. Reszta członków załogi też miała swoje zadania.

Jedni pełnili funkcje strażaków, ubrani w kombinezony ochronne, inni sanitariuszy, jeszcze inni amunicyjnych. Eddi Seng dowodził oddziałem taktycznym na pokładzie, gotowym do odparcia ataku. Max zameldował z maszynowni przez interkom o pełnej sprawności systemu napędowego statku.

Stanowiska bojowe obsadzono, gdy Linda oznajmiła, że kontakt trzydzieści mil od „Oregona” zmienił nagle kurs i płynie do nich. W świecie operacji morskich liczyła się efektywność. Odchylenie o stopień czy dwa mogło wydłużyć podróż o setki mil i tym samym podnieść jej koszty. Zbliżający się statek mógł potrzebować pomocy, ale radio milczało, więc pewnie coś kombinował.

Cabrillo zajął stanowisko dowodzenia i popatrzył na supernowoczesny sprzęt wokół siebie. Kiedy projektował centrum operacyjne, musiał być podświadomie pod wpływem starego serialu Star Trek, bo miejsce to bardzo przypominało filmowy mostek kapitański, łącznie z wielkim płaskim ekranem nad głowami Stone’a i Murph’a. Ale to nie uzbrojenie, sensory czy komputery czyniły z „Oregona” groźnego przeciwnika. Sprawiali to ludzie. Nie elektronikę i broń, lecz zebranie najlepszej załogi, jaką kiedykolwiek spotkał, uważał za swoje największe osiągnięcie.

- Raport sytuacyjny - zawołał i włączył monitory przy swoim centralnie umieszczonym fotelu, który Murph nazywał Fotelem Kirka.

- Kontakt na kierunku zero siedemnaście stopni, prędkość dwadzieścia węzłów, odległość dwadzieścia jeden mil i maleje - zameldowała Linda Ross, nie odrywając wzroku od ekranu. Tak jak inni była ubrana w czarny mundur polowy, przy pasie miała pistolet SIG-Sauer.

- Co możesz o nim powiedzieć?

- Długość około dwudziestu jeden metrów, pojedyncza śruba. Zanim wziął kurs na nas, płynął z prędkością czterech węzłów, jakby ciągnął sieć. Wygląda mi na jeden z tych trawlerów, których używają piraci.

- Jest coś w radiu, Hali?

- Ze strony celu cisza, prezesie. Odbieram zwykłą rozmowę między dwoma masowcami daleko poza naszym sektorem.

Juan zadzwonił do hangaru lotniczego „Oregona”.

- Tu Cabrillo. Zarządzam pięciominutowe pogotowie startowe dla pilota Robinsona. - Potem włączył radiowęzeł. - Mówi prezes. Zbliża się do nas cel. Wygląda to na coś poważnego. Mało prawdopodobne, żeby ludzie na jego pokładzie stali wysoko w hierarchii przestępczej, więc, jeśli mamy uciąć leb tej organizacji, potrzebujemy jeńców, nie zwłok. Nie ryzykujcie niepotrzebnie, ale jeżeli nie będziecie zmuszeni zabić wroga, spróbujcie wziąć go żywcem. Życzę wszystkim powodzenia.

Jeszcze raz powiódł wzrokiem po twarzach swoich ludzi. Nie zobaczył na nich fatalizmu ani oznak nerwowości. Następnym ruch należał do piratów i załoga spokojnie czekała.

- Operator sterowni, zwalniamy do ośmiu węzłów. Powinniśmy wyglądać na łatwy łup, ale niech zbiorniki balastowe będą gotowe do wypompowania, na wypadek gdybyśmy musieli odciążyć statek i uciekać.

- Tak jest.

- Odległość?

- Dziesięć mil - zameldowała Linda. - Co za...? - Co jest?



- Niech to szlag! Kontakt bezpośrednio pod kilem, głębokość dwadzieścia jeden metrów. - Oderwała wzrok od wyświetlacza i spojrzała na Juana. - Mają okręt podwodny.

## 5

Żałoga w centrum operacyjnym jeszcze nie przetrawiła jej słów, gdy Mark Murphy zameldował ze stanowiska obsługi uzbrojenia:

- Mam pocisk odpalony z trawlera. Czas do uderzenia czterdzieści siedem sekund. Gatlingi wchodzą do akcji.

Sytuacja taktyczna wymknęła się spod kontroli w ciągu zaledwie kilku sekund, i Juanowi zostało mało czasu na reakcję. Już po chwili wydawał komendy:

- Nie otwierać ognia bez mojego rozkazu. Operator, wypompuj nas do sucha i przygotuj się do uruchomienia pełnej mocy. Uzbrojenie, bądź gotów do wystrzelenia wabików i zrzucenia bomb głębinowych. Sonar, co robi okręt podwodny?

- Wygląda na to, że stoi. Brak napędu i oznak, że zamierza otworzyć ogień.

- Czas do uderzenia?

- Trzydzieści jeden sekund.

Cabrillo czekał. Czuł, jak po opróżnieniu zbiorników balastowych zmniejszyło się zanurzenie „Oregona”. Przy maksymalnym przyspieszeniu silniki magnetohydrodynamiczne mogły przemieścić całą długość statku w parę sekund. Nawet gdyby jego plan się nie powiódł, frachtowca nie będzie tam, dokąd zmierzał pocisk.

- Sonar?

- Odbieram odgłos uchodzącego powietrza, ale okręt podwodny nie zmienia głębokości.

Więc na razie nie stanowił zagrożenia. Cabrillo chciał, by pocisk eksplodował jak najbliżej „Oregona”, żeby piraci myśleli, że został trafiony.

- Uzbrojenie, jak pocisk będzie dziesięć sekund od nas, rozwalisz go z gatlinga. Operator, obciąż nas z powrotem, ale czuwaj przy przepustnicach.

Murphy, również w ciemnym mundurze polowym, ale włożonym na czarny T-shirt z napisem „Olewać pierdoły, jesteśmy Sex Pistols”, wyświetlił na głównym ekranie obraz z kamery zewnętrznej. Z ciemności wyłonił się poziomy płomień pędzący w kierunku „Oregona” kilka metrów nad powierzchnią morza. Zbliżał się z prędkością co najmniej półtora tysiąca kilometrów na godzinę. Został wystrzelony ukośnie, żeby trafił w rufę „Oregona”. Piraci zamierzali pozbawić swoją ofiarę stera i śrub, żeby nie mogła uciec. Niezły plan, jeśli chcieli wziąć zakładnika lub splądrować sejf statku.

Gdy do uderzenia zostało jedenaście minut, Mark zwolnił bezpiecznik spustu działka Gatling.

Broń jakby się rwała, żeby pokazać, na co ją stać. Elektroniczny mózg podporządkowany systemowi radarowemu odnalazł rakietę w ciągu mikrosekundy, przekalkulował trajektorię, siłę i kierunek wiatru, wilgotność powietrza i sto innych czynników.

Płyta zasłaniająca stanowisko działka opuściła się automatycznie, gdy tylko radar wykrył pocisk. Gatling skorygował lekko namiar na cel, kiedy silniki elektryczne nadały ruch obrotowy sześciu lufom. W momencie, kiedy komputery i radar „uzgodniły”, że mają cel, do komory naboju zaczęły być podawane z prędkością trzech tysięcy sztuk na minutę dwudziestomilimetrowe pociski o długości trzydziestu centymetrów, zawierające zubożony uran.

Gatling brzmiał jak przemysłowa piła mechaniczna, gdy wystrzeliwał czterosekundowe serie. Trzydzieści sześć metrów od statku rakietą trafiła na grad kul. Ekspłodowała i jej szczątki opadły ognistym deszczem do morza. Wybuch oświetlił burtę „Oregona” niczym miniaturowy wschód słońca. Kilka mniejszych kawałków pocisku uderzyło w kadłub statku.

- Operator, cała stop, ster dziewięćdziesiąt siedem. Hali, odczekaj kilka sekund i nadaj SOS na częstotliwości alarmowej, ale ustaw małą moc, żeby usłyszeli to tylko nasi przyjaciele tutaj. - Cabrillo połączył się z maszynownią - Max, zrób małą zasłonę dymną. Musimy wyglądać tak, jakbyśmy oberwali.

- Pomyślą że nas trafili i jesteśmy ugotowani - powiedział z podziwem Eric Stone. - Wydymamy ich na całego.

- Taki jest plan - przyznał Juan. - Sonar, co z okrętem podwodnym?

- Cisza. Mamy go teraz milę za rufą. Nie słyszę żadnych mechanizmów, tylko uchodzące powoli powietrze.

- Znasz jego wymiary?

- Tak. Dziwna sprawa. Ma czterdzieści metrów długości i prawie jednaście szerokości. Krótki i przysadzisty jak na konwencjonalne standardy.

Juan rozważył możliwości.

- Północnokoreański miniokręt podwodny, który jakiś cudem dotarł za nami aż tutaj?

- Komputer nie może nic dopasować, ale to nieprawdopodobne. Jesteśmy czterysta mil od Półwyspu Koreańskiego, a mam wrażenie, że ten okręt tkwi tu już od jakiegoś czasu. Niemożliwe, żeby nas dogonili.

Cabrillo nie wątpił w trafność oceny Lindy.

- Dobra, miej go na oku. W tej chwili naszym priorytetem jest sprawa pirackiego trawlera. Tamtą zbadamy później. - W drugim końcu pomieszczenia Hali Kasim nadawał SOS. Powinien dostać za to Oscara.

- Statek motorowy „Oregon”, tu trawler „Kra IV”. Jaki macie problem? - Głos w radiu dochodził przez trzaski, odbiór był słaby, jakby piraci używali nadajnika o małej mocy. Nikt nie potrafił rozpoznać akcentu.

- „Kra IV”, tu „Oregon”. Mieliśmy eksplozję na rufie. Ster nie działa i dryfujemy.

- „Oregon”, tu „Kra”. Jesteśmy w odległości sześciu mil i płyniemy do was z maksymalną

prędkością.

- Jasne - mruknął Hali, zanim znów włączył mikrofon. - Dzięki Allahowi, że tu jesteście. Opuścimy schodnię z prawej burty. Weźcie ze sobą cały sprzęt gaśniczy, jaki macie.

- Tu „Kra”. Przyjąłem. Bez odbioru.

Juan ustawił częstotliwość, na której pracowały radia taktyczne Senga i jego starannie wyselekcjonowanych ludzi.

- Eddie, słyszysz mnie?

- Głośno i wyraźnie, prezesie. - Seng czekał ze swoją pięcioosobową drużyną w przejściu wewnątrz pustej nadbudowy. Żołnierze mieli na sobie czarne mundury polowe i kevlarowe pancerze, na twarzach gogle noktowizyjne trzeciej generacji. Byli uzbrojeni w pistolety maszynowe MP-5 z tłumikami i samopowtarzalne SIG-Sauery. W nabojach zmniejszono ładunki prochowe, żeby osłabić siłę uderzenia pocisków. Wystarczyły do uśmiercenia człowieka, ale nie przechodziły na wylot, by w ciasnej przestrzeni statku nie doszło do przypadkowego postrzelenia kogoś przez swoich. Z uprząży komandosów zwisały granaty błyskowo-hukowe i dość zapasowych magazynków, by mogli prowadzić ogień przez dziesięć minut.

Tylko Eddie Seng był w cywilnym ubraniu. Jego luźny sztormiak maskował dwie kamizelki kuloodporne. Eddie miał się spotkać z piratami, kiedy wejdą na górę po schodni, opuszczanej teraz ku morzu. Jego zadanie było najbardziej niebezpieczne. Musiał zwabić na pokład jak najwięcej piratów i wystawić ich swoim ludziom, których większość służyła wcześniej w jednostkach SEAL. Był uzbrojony tylko w pistolet, schowany w kaburze u dołu pleców. Dzięki kamizelkom kuloodpornym miał zyskać kilka sekund, gdyby piraci od razu zaczęli strzelać.

- Jaka sytuacja? - zapytał.

- Trawler, nazywający się rzekomo „Kra IV”, podchodzi do schodni z prawej burty, żeby pomóc w gaszeniu pożaru - odrzekł Cabrillo. - Na ich miejscu przysłałbym co najmniej dziewięciu ludzi. Dwóch na mostek, dwóch do maszynowni, czterech do dyspozycji zależnie od potrzeb i jednego dowódcę.

- Podaliśmy, że na „Oregonie” jest pięćdziesiąt parę osób załogi - skontrolował Eddie. - Przyślą co najmniej tuzin.

- Masz rację. Wystarczy ci ludzi?

- Tak, o ile pokładowe karabiny maszynowe usuną mięso armatnie, żebyśmy mogli dorwać oficerów.

- Brzmi obiecująco - stwierdził Cabrillo. - Daj mi znać, jak będziesz miał kontakt wzrokowy.

Zespół w centrum operacyjnym śledził trawler zbliżający się do „Oregonia” przez nocne kamery zamontowane na szczycie żurawia pokładowego. „Kra IV” odpowiadała opisowi, który podało kilka osób ocalałych z ataków. Miała dwadzieścia dwa metry długości, sporą szerokość, tępy dziób i odkryty pokład rufowy. Wznosił się tam wysoki dźwig w kształcie litery A, tuż za sterówką stał pojedynczy kontener. Trawler był mocno zniszczony; wyglądał z zewnątrz jak „Oregon”. Juan uznał, że piraci stosują tę samą sztuczkę co Korporacja, żeby uspić czujność przeciwników.

- Cel jest osiemnaście metrów od sterburty - zameldował przez radio Eddie. - Widzę na pokładzie około tuzina ludzi. Większość jest w szortach lub dzinsach. Kilku ma na sobie sztormiaki. Trzymają sprzęt, ale założę się, że to przykrywka dla broni.

- Przyjąłem. - Cabrillo połączył się z maszynownią na dole i powiedział Maksowi, żeby przestał robić zasłonę dymną. Przy niemal zerowej prędkości statku pokłady spowijał gęsty dym, który utrudniałby widoczność Eddiemu i obsłudze zdalnie sterowanych karabinów maszynowych.

Seng obserwował, jak jeden z „rybaków” podnosi do ust megafon i wywołuje „Oregona”. Wyszedł z mroku i zajął pozycję u szczytu schodni. Po piersi spłynęła mu kropla potu.

- Cieszymy się, że już jesteście - odkrzyknął z odpowiednią mieszaniną strachu i ulgi. Zauważył, że dym zaczyna się rozwiewać. - Chyba opanowaliśmy pożar, ale nie wiem, jakie mamy uszkodzenia.

- Postaramy się pomóc - odpowiedział pirat. Eddie usłyszał w jego głosie drwinę.

Kiedy trawler dobił do frachtowca, załoga „Kry IV” przywiązała swój statek do schodni i dwaj piraci ruszyli w górę. Jeśli zamierzali otworzyć ogień, pierwszy strzał powinien paść teraz. Eddie stęzał i wyciągnął pistolet z kabury, ale trzymał go w ukryciu.

W ciągu paru następnych sekund stało się kilka rzeczy. Na trawlerze rozbłysły niewidoczne szperacze i burtę „Oregona” zaalało jasne światło, w którym gogle noktowizyjne stały się bezużyteczne. Tuż przed wejściem na pokład pierwszy z piratów uniósł pistolet samopowtarzalny i wpakował Eddiemu dwie kule w pierś. Skinął do swojego towarzysza i obaj wtargnęli na statek, wydając niezrozumiałe okrzyki. Ze sterówki „Kry” wysypał się tuzin mężczyzn.

Eddie miał wrażenie, że dostał w tors młotem kowalskim. Zatoczył się do tyłu, zdrętwiało mu całe ciało. Bardziej usłyszał, niż poczuł, że pistolet wypadł mu z bezwładnych palców.

Zanim jego ludzie zareagowali, na „Oregona” wdarło się czterech piratów. Dwóch skosiła pierwsza seria ukrytego strzelca, ale zastąpiło ich pięciu następnych. Napotkany opór doprowadził ich do białej gorączki. Rwali się do walki jak szaleńcy. Po chwili stosunek sił wynosił pięć do jednego na niekorzyść Korporacji i dysproporcja rosła z każdą sekundą. Wśród dymu krzyżowały się czerwone wiązki promieni z celowników laserowych, natarcie zamieniło się w oblęd.

Gdy ekrany w centrum operacyjnym zrobiły się białe od ostrego blasku lamp łukowych, Cabrillo zrozumiał strategię piratów. W czasie drugiej wojny w Zatoce nazywano to „tątką szoku i strachu”. By zmiażdżyć wroga w pierwszych sekundach walki, należało wywoływać maksymalny zamęt. Niewyszkoloną załogę statku handlowego sparaliżowałyby światła, wrzaski i sama liczba ludzi wdzierających się na pokład. Nikt nie nadałby nawet sygnału SOS.

Choć ten sposób działania został wymyślony po to, by pokonać nieuzbrojonych marynarzy, zniwelował również przewagę Korporacji. Sprzęt noktowizyjny przestał spełniać swoje zadanie, a pokład nadal zasnuwało zbyt dużo dymu, aby używać zwykłych celowników. System podczerwieni nie potrafił odróżnić swoich od obcych, więc obsługa zdalnie sterowanych karabinów maszynowych przez chwilę była bezradna.

Cabrillo zerwał się z fotela, chwycił gogle noktowizyjne i pistolet maszynowy ze stojaka pod tylną przegrodą i wskoczył do windy, zanim ktokolwiek się zorientował, że opuścił swoje miejsce.

- Zablokujcie kabinę, jak dojadę na górę - zawołał, gdy dźwig hydrauliczny uniósł go pięć pięter wyżej do sterówki.

Nawet wysoko nad pokładem odgłosy strzelaniny brzmiały ogłuszająco. Byli komandos SEAL dawali pokaz skuteczności, ale Cabrillo wiedział, że do czasu. Pobiegł wzdłuż skrzydła mostka i spojrzał w dół. Co najmniej dwudziestu piratów zajmowało pozycje obronne na całym pokładzie dziobowym i ostrzeliwało nadbudowę. Zauważył postać czołgającą się wolno od szczytu schodni. Uniósł broń i już miał nacisnąć spust, gdy rozpoznał sztormiak Eddiego. Przeniósł wzrok z powrotem na piratów w momencie, kiedy jeden z nich wychylił się zza wciągarki i wycelował w Senga z kałasznikowa.

Cabrillo przesunął lufę MP-5 i wpakował mu kulę w twarz. Potem załatwił następnego, trafiając go dwa razy w pierś. Dał nura za solidną osłonę relingu, gdy pociski zabzyczały jak wściekłe szerszenie i odbiły się od stali wśród snopów iskier. Przełączył ogień z pojedynczego na ciągły, uniósł się ponad reling i posłał w pokład długą serię piętnastu pocisków. Podczas krótkiej przerwy w ostrzale z dołu wstał, wrócił do ognia pojedynczego i wycelował w szperacze na trawlerze.

Serce waliło mu jak młotem, więc dwa razy chybił. Wziął głęboki oddech, wypuścił część powietrza i dwa razy nacisnął spust. Dwa reflektory rozprysły się i znów zapadła ciemność.

Niemal natychmiast rozległ się terkot ukrytych karabinów maszynowych kaliber 7,62 mm i na pokład posypały się z metalicznym dźwiękiem puste łuski. Obsługa zdalnie sterowanej broni wróciła do akcji.

Cabrillo miał zapasowy magazynek, przyklejony taśmą samoprzylepną do tego, który tkwił w pistolecie maszynowym. Zamienił je, włożył gogle noktowizyjne i zabrał się do pracy. W upiornym zielonym blasku błyski z luf wyglądały jak świetliki, a ludzie jak promieniujące duchy. Postanowił być aniołem stróżem Eddiego Senga.

Eddie był wciąż przygwożdżony na otwartej przestrzeni. Juan zorientował się po jego powolnych ruchach, że oberwał. Nie zostawiał za sobą krwawego śladu, więc prawdopodobnie kamizelki kuloodporne uratowały mu życie. Ale Cabrillo został kiedyś trafiony w takiej kamizelce i wiedział, że miną godziny, zanim Eddie będzie mógł normalnie oddychać. Po kilku dramatycznych minutach Seng dotarł do wjazdu, gdzie czyjeś ręce wciągnęły go do środka.

Przez dym unoszący się w powietrzu jak gęsta angielska mgła Cabrillo identyfikował potencjalne cele i strzelał z mechaniczną sprawnością. Dopóki załoga nie miała przewagi nad przeciwnikiem, nie musiał się przejmować braniem jeńców.

Na pokładzie przybywało krwi i ciał, ale broń byłych komandosów SEAL odzywała się coraz rzadziej. Najwyraźniej ponosili straty. Cabrillo dostrzegł dwóch piratów, którzy rzucili się naprzód zza pokrywy luku, gdzie się ukrywali, do podstawy jednego z żurawi. Jeden wyciągnął coś z plecaka swojego kolegi. Juan rozpoznał ładunek wybuchowy i położył ich trupem, zanim zdążyli go uzbroić. Inny pirat próbował dobiec do nadbudowy. Kiedy Cabrillo wziął go na cel, to samo zrobił jeden ze zdalnie sterowanych karabinów maszynowych. Seria niemal przecięła człowieka na pół.

To odebrało piratom chęć do dalszej walki. Około dziesięciu ocalałych napastników rzuciło się biegiem do schodni, potężny diesel „Kry” zwiększył z rykiem obroty. Dostali się pod huraganowy ogień z nadbudowy. Cofając się, ludzie Eddiego zmylili piratów, którzy myśleli, że mają wolną drogę ucieczki. Dwaj napastnicy upadli na pokład w kałuże własnej krwi.

„Kra” zaczęła się oddalać, zostawiając swoją grupę abordażową Cabrillo podziurawił

pociskami pokład trawlera, ale nie było tam żadnych celów. Schodnia, wciąż przywiązana do statku rybackiego, powoli wyrywała się z mocowań. Dwaj piraci byli w połowie drogi na dół, gdy „Kra” ruszyła. Schodnia wyciągnęła się jak pomost między dwoma statkami i w końcu liny pękły od naprężenia. Ponad osiemsetkilogramowa konstrukcja obróciła się, a potem oderwała od „Oregona”. Mężczyźni wylądowali w morzu i zostali przez nią zmiażdżeni, kiedy się wynurzyli.

„Kra” zmieniła lekko kąt i zbliżyła się do „Oregona”, żeby piraci na frachtowcu mogli na nią przeskoczyć. Eric Stone na stanowisku sternika w centrum operacyjnym zorientował się, o co chodzi załodze trawlera, skręcił „Oregonem” w lewo i otworzył lekko przepustnice w momencie, gdy pozostali na statku piraci wspięli się na nadburcie. Jeden spadł na główną wciągarkę „Kry”. Wysoko na skrzydle mostka Cabrillo usłyszał trzask pękających kości i zobaczył, jak ciało pirata stacza się na pokład trawlera. Drugi bandyta uderzył w kadłub „Kry”, zniknął w wodzie i już się nie pojawił. Ośmiu innych znalazło się w wąskiej przestrzeni między dwoma statkami.

Juan nie wiedział, czy sternik trawlera nie widzi, co się dzieje, czy ma to gdzieś. Nadal skręcał w stronę „Oregona”. Stone uruchomił pędnik dziobowy, żeby odepchnąć „Kre” na bok, ale poprzeczny wylot tunelowy urządzenia był daleko przed trawlerem, więc potężny odrzut wody tylko burzył fale.

Dwa kadłuby uderzyły o siebie ze zgrzytem i zgniotły ludzi w morzu. Kiedy statki znów się rozdzieliły, spomiędzy nich wypłynęła różowa miazga.

Juan wyjął walkie-talkie z szuflady w głębi sterówki.

- Uzbrojenie, tu Cabrillo. Jak tylko będziesz miał widoczność, przedziuraw trawler na linii wodnej. Niech sukinsyny wiedzą że nie uciekną.

- Przyjąłem - odpowiedział Murphy.

Kiedy odległość między dwoma statkami zwiększyła się, Cabrillo zobaczył, że jakiś załogant „Kry” przyczepia hak dźwigu do lin przymocowanych już do kontenera za sterówką. Kilka razy strzelił ze swojego H&K, ale trafienie z niestabilnej platformy w cel podskakujący na każdej fali graniczyło z cudem. Mężczyzna nawet nie podniósł wzroku znad swojej roboty, gdy wokół niego rykoszetowały pociski. Niewidoczny operator uruchomił dźwig. Ponieważ trójkątna rama urządzenia wystawała ukośnie poza rufę trawlera, wielka metalowa skrzynia została pociągnięta po drewnianym pokładzie „Kry”, żłobiąc głębokie rysy w deskach. Dolną krawędź kontenera zablokował pacholek cumowniczy, ale bęben wciągarki nadal się obracał. Metalowa skrzynia chwiała się chwilę, a potem przewróciła z hałasem na bok. Kiedy w końcu znalazła się pod żurawiem, powędrowała do góry i zakołysała się w powietrzu nad pawężą. Operator zwolnił hamulec i kontener runął do morza. Unosił się przez chwilę na powierzchni, po czym zaczął napełniać się wodą.

Trawler się oddalał, lina odwijająca się ze swobodnie wirującego bębna wciągarki. Cokolwiek przemycano na „Krze”, było to bez wątplenia w kontenerze. Cabrillo uznał, że jeśli się pospieszą, zdążą unieruchomić trawler i zabezpieczyć linę, zanim zniknie na zawsze.

Jakby czytając w jego myślach, Murphy wystrzelił jednosekundową serię z gatlinga ukrytego w dziobie „Oregona” i pięćdziesiąt pocisków przebiło burtę „Kry” na poziomie linii wodnej. Murph wycelował w kadłub tuż przed sterówką bo uważał, że w tym miejscu nie ma zbiorników paliwa.

Zbiorniki były bliżej rufy, daleko od dziury, ale pociski trafiły w zbrojownię piratów. Pierwszy wybuch miał stosunkowo małą siłę i zasięg.

Wznicił tylko niewielki pożar, widoczny przez otwór po serii z gatlinga. Druga eksplozja

zniszczyła pokład i zrobiła w kadłubie wyrwę o średnicy dwóch i pół metra. Z trawlera buchnął ogień i dym, „Kra” przechyliła się niczym po salwie z dział wzdłuż burty. Cabrillo patrzył bezradnie, jak następne eksplozje rozrywają statek rybacki na kawałki. Widok przypominał dzieło hollywoodzkich mistrzów w dziedzinie efektów specjalnych. Sterówka rozleciała się i jej szczątki zniknęły w płomieniach, pokład rufowy wystrzelił w powietrze od detonacji głównych zbiorników paliwa. Rufa zanurzyła się tak, że dziób uniósł się nad powierzchnię. Fruwające odłamki posiekały burzę „Oregona” i Cabrillo musiał dać nura za reling. Wciągarka rufowa trawlera poszybowała nad tylnym pokładem frachtowca, ciągnąc za sobą linę, która w świetle księżyca wyglądała jak nić babiego lata. Osłabiona wybuchami stępka „Kry” przełamała się. Kiedy rufa zniknęła z widoku, dymiący dziób osiadł z powrotem na falach, znów się uniósł i wreszcie poszedł pod wodę.

Wszystko, od pierwszego uderzenia 20-milimetrowych pocisków do ostatniego syku tonącego trawlera, trwało dziewiętnaście sekund.

Juan wstał i starł krew z wierzchu dłoni, gdzie zranił go kawałek gorącej stali. Na morzu unosił się szeroki krąg dymiących szczątków, nie większych niż pokrywa śmietnika. Kiedy fale uderzeniowe rozeszły się po wodzie, jedynym dźwiękiem pozostał cichy szum ognia. Nie było słychać jęków rannych ani krzyków zdanych na własne siły. Nikt nie przeżył katastrofy.

Cabrillo nie ruszał się przez kilkanaście sekund, zanim sobie uświadomił, że jest nadzieja na uratowanie tego, co wydawało się stracone. Lina przywiązana do kontenera piratów leżała na pokładzie „Oregona” i zsuwała się wolno do oceanu, ciągnięta przez metalową skrzynię.

- Załoga pokładowa na rufę po ładunek - warknął do radia. - Ochrona na dziób. Poszukać ocalałych.

Popędził przez pustą nadbudowę na pokład rufowy, przeskakując po cztery stopnie naraz. Wypadł z włazu w momencie, gdy załoga dobiegła do uciekającej liny. Ponieważ zwój odwinął się z bębna wciągarki, kiedy poszła na dno po drugiej stronie statku, nic nie równoważyło ciężaru tonącego szybko kontenera.

Lina szorowała po pokładzie, w powietrzu unosił się pył ścieranej farby.

Juan chwycił kawałek łańcucha z bezładnego stosu u podstawy bomu ładunkowego. Owinął go kilka razy wokół liny w miejscu, gdzie wznosiła się na krawędź nadburcia, i zaczepił ogniwa za hak małej wciągarki. Choć wyglądała na nieużywaną od lat, jej dwucylindrowy silnik zaskoczył natychmiast po wciśnięciu przycisku rozrusznika. Juan przesunął dźwignię, żeby pociągnąć hak, i łańcuch zacisnął się wokół liny. Ogniwa opasywały ją coraz mocniej, tarcu stali o stal towarzyszył gryzący śwąd. Lina zwolniła na tyle, że załoga zdołała zrobić wystarczająco dużą pętlę, by założyć ją na kabestan. Lina się napięła, wibrując od naprężenia, ale nie puściła.

W ciągu kilku następnych minut zabezpieczyli ją solidniej i umocowali do jednego z czynnych żurawi na pokładzie rufowym. Eddie Seng i Linda Ross dołączyli do Cabrilla w momencie, gdy zaczęto wyciągać z wody kontener. Seng był blady i chodził lekko zgarbiony. Przyciskał rękę do piersi, gdzie dostał dwa postrzały.

- Jak się czujesz? - zapytał Cabrillo.

- Boli tylko wtedy, kiedy się śmieję - odrzekł dzielnie Eddie.

- Więc opowiem ci kawał o prostytutce, która wchodzi do baru z papugą i rulonem

ćwierćdolarówek.

Eddie jęknął.

- Nie, proszę cię. Juan spowaźniał.

- Jak było? Bardzo źle?

- Możesz mi wierzyć, że ja najbardziej oberwałem. Jeden z moich chłopaków doznał wstrząsu, drugi został draśnięty. To wszystko.

- A piraci?

- Trzynastu zabitych, dwóch rannych - poinformowała Linda. - Julia wątpi, żeby przeżyli najbliższą godzinę.

- Cholera. - Sekcja zwłok, wiek i tożsamość etniczna piratów mogły coś wyjaśnić, ale nie doprowadzić na ślad tego, kto stoi za atakami.

- Odsunąć się od relingu! - krzyknął jeden z załogantów. Cała trójka cofnęła się od burty. Z morza wyłonił się kontener. Woda lała się z jego szczytu i tryskała z dziur wywierconych wzdłuż boków. Sześciometrowa skrzynia zakołysała się nad relingiera, i operator postawił ją na pokładzie tak ostrożnie, jakby to było jajko. Ktoś podał Juanowi nożyce do metalu. Przeciął nimi kłódkę na drzwiach. Wszyscy stłoczyli się wokół. Każdy miał własną teorię, co jest w środku. Oczywiście niektórzy spodziewali się pirackich łupów w postaci złota i klejnotów, jak w XVIII wieku.

Cabrillo nie łudził się, że zobaczy takie skarby, ale nie był przygotowany na widok tego, co wysypało się z kontenera, kiedy otworzył drzwi. Ktoś z załogi omal nie zwymiotował, gdy uświadomił sobie, co to jest. Nawet Juan musiał zacisnąć szczęki, kiedy poczuł w ustach kwaśny smak. Kilka ton wody, uwięzionej jeszcze w metalowej skrzyni, wyrzuciło na pokład „Oregona” kłębowisko trzydziestu nagich ciał.

## 6

Zamek stał w dolinie blisko podnóża gór Pilatus, kawałek na południe od Lucerny. Aby dotrzeć do niego z Zurychu, wystarczyła krótka podróż pociągiem. Choć czterdziestopokojowa rezydencja zdawała się dominować w krajobrazie od pokoleń, zbudowano ją zaledwie pięć lat wcześniej. Miała tradycyjny dwuspadowy dach kryty łupkiem i niezliczone kominy, co nadawało jej baśniowy wygląd. Wokół ogromnej marmurowej fontanny ozdobionej tuzinami nimf, które wlewały do sadzawki wodę z filigranowych dzbanów, biegł kolisty podjazd.

Dom otaczało kilka kamiennych budynków gospodarczych, żeby posiadłość sprawiała wrażenie dawnej farmy. Na okolicznych górskich łąkach pasły się brunatne krowy rasy Jersey z brązowymi dzwonekami na szyjach, strzygąc trawę i użyźniając glebę.

Na placu obok garażu parkowało siedem ciemnych limuzyn, na położonym dalej lądowisku czekały dwa firmowe helikoptery Aerospatiale Gazelle. Ich piloci pili kawę z termosów w kokpicie jednego z nich.

Europejski szczyt ministrów finansów w Zurychu wzbudzał niewielkie zainteresowanie mediów, bo nie spodziewano się niczego nowego. Ale konferencja dała pretekst mężczyznom zebranim w



zamku do spotkania w tym samym czasie i w tym samym miejscu. Zgromadzili się w wielkiej sali o wysokości dwóch pięter, wyłożonej dębową boazerią i ozdobionej głowami dzików i jeleni oraz skrzyżowanymi rogami myśliwskimi nad kominkiem.

Ponieważ Szwajcaria jest jednym z centrów bankowych świata, nikogo nie powinno dziwić, że - poza jednym wyjątkiem - piętnastu mężczyzn reprezentowało największe europejskie i amerykańskie banki.

U szczytu stołu siedział Bernhard Volkmann. Wychowany na ortodoksyjnego katolika w domu swojego ojca bankiera, wcześniej porzucił tę religię dla wiary w pieniądź. Jego bogiem stała się waluta, eucharystią - gotówka. Był kapłanem w świecie finansów. Szanowano go za zaangażowanie i trochę obawiano się jego niesamowitego instynktu. Każdy dzień poświęcał na kumulowanie nowych pieniędzy dla swojego banku i dla siebie. Miał żonę, bo tak wypadało, i troje dzieci, bo przespał się z nią pół tuzina razy. Uważał je za konieczne oderwanie od życia zawodowego, ale nigdy nie pamiętał o ich urodzinach, ani nawet kiedy ostatni raz widział najmłodsze z nich, dwudziestojednoletnie, studiujące, jak mu się zdawało, na Sorbonie.

Volkmann co dzień przyjeżdżał do swojego biura przy Bahnhofstrasse w Zurychu o szóstej rano i wychodził o ósmej wieczorem. Rezygnował z tego niechętnie w niedziele i święta, kiedy pracował w domu co najmniej dwanaście godzin dziennie. Nie pił, nie palił, a wejście do kasyna było w jego wypadku równie nieprawdopodobne jak to, że muzułmanin zostanie miłośnikiem wieprzowiny. W wieku sześćdziesięciu lat był brzuchaty i siwy. Jego skóra miała taki sam szary kolor jak włosy, a oczy za okularami przypominały barwą pomyje. Nosił nawet szare garnitury, a jego białe koszule nieodmiennie przyjmowały szary odcień.

Współpracownicy Volkmana nigdy nie widzieli go uśmiechniętego, a tym bardziej roześmianego, i tylko poważny kryzys finansowy mógł wywołać u niego lekkie ściągnięcie w dół kącików ust.

Otaczali go teraz mężczyźni zaangażowani w sprawy finansowe nie mniej niż on. Byli prezesami banków, ich decyzje miały wpływ na los miliardów dolarów i milionów ludzi. Dziś zebrali się, bo fundamentom światowej gospodarki groziło zawalenie.

Na stole przed Bernem Volkmannem spoczywał mały prostokątny przedmiot przykryty kawałkiem zwykłego czarnego materiału. Kiedy wszyscy mężczyźni usiedli, nalano wodę i służba się wycofała, Volkmann ściągnął przykrycie.

Bankierzy i ich goście należeli do wąskiego grona osób, które nie reagowały na widok odsłoniętego teraz przedmiotu. Ale Volkmann dostrzegł, że nawet ci doświadczeni profesjonaliści nie potrafią całkowicie ukryć emocji. Kilku zrobiło płytki wdech, jeden potarł podbródek. Inny na moment otworzył szerzej oczy, a potem rozejrzał się jak po wyłożeniu mocnych kart podczas gry w pokera. Sześć miliardów innych ludzi na świecie z zachwytem wciągnęłoby gwałtownie powietrze i rzuciło się dotknąć przedmiot, rozważając błyskawicznie różne ewentualności.

Trapezoidalna sztaba ważyła nieco ponad dwanaście kilogramów i miała certyfikat depozytowy London Good Delivery, co oznaczało, że pochodzi z tak zwanej „dobrej dostawy”. Jej fasety promieniowały ciepłą żółcią i w subtelnym oświetleniu wielkiej sali miały niemal oleisty połysk. Sztaba zawierała 99,9 procent czystego złota i była warta około stu sześćdziesięciu tysięcy dolarów.

- Panowie, mamy kryzys - zaczął Volkmann po angielsku. Mówił wyraźnie i dobitnie, żeby słuchający dobrze go zrozumieli i nie zinterpretowali błędnie jakiegoś słowa. - Jak wam wiadomo,

na świecie zabraknie wkrótce złota. Popyt znacznie przewyższa podaż z bardzo prostej przyczyny: niektórzy z was stali się chciwi.

- Ponad dziesięć lat temu wielu z was złożyło bankom centralnym w swoich krajach propozycję, która wówczas wydawała się korzystna dla wszystkich zainteresowanych. Wy, jako bankierzy, pożyczycie złoto trzymane w depozycie, za co będziecie wypłacali odsetki w wysokości ćwierć procenta. Złoto, leżące w skarbcach w Nowym Jorku, Paryżu, Londynie czy gdziekolwiek indziej, nie miało wartości, dopóki nie było w obiegu. Płacąc bankom centralnym ćwierć punktu procentowego, mieliście sprawić, że będzie im przynosiło zyski, jak nigdy w przeszłości.

- Gdyby na tym się skończyło, nie stalibyśmy teraz w obliczu kryzysu. Ale szliście dalej. Rozglądaliście się i sprzedawaliście złoto na wolnym rynku lub wykorzystywaliście wartość waszego portfela akcji jako dźwignię finansową i zabezpieczenie dla innych przedsięwzięć. W rezultacie zastawiliście lub upłynniliście cudzą własność, którą tylko pożyczyciście. Banki centralne milcząco aprobowały te działania, zachowały jednak prawo do wycofania złota w każdej chwili. Gdyby ten plan był realizowany tylko w jednym kraju lub na małą skalę, na rynku pozostałaby nadwyżka złota wystarczająca do wywiązania się z umowy.

- Ale chciwość wzięła w was górę. Sytuacja wygląda dziś tak, że banki centralne są w posiadaniu dwunastu tysięcy ton złota wartych bilion euro, ale mają je tylko na papierze, bo w rzeczywistości to złoto jest na palcach i szyjach kobiet całego świata. Jednym słowem, panowie, nie można go odzyskać.

- Kilka banków centralnych zdaje sobie z tego sprawę i nadal przyjmują swoje ćwierć procenta od wartości złota, ale niektóre proszą o jego zwrot. Dwa lata temu francuski bank narodowy oświadczył, że zamierza sprzedać część swoich rezerw. Sfinansowaliśmy wspólnie zakup takiej ilości złota, by mogli dokonać transakcji. Jak pamiętacie, na wieść o niej cena złota wzrosła w ciągu paru tygodni o pięćdziesiąt euro. Potem Francuzi sprzedali swoje i cena znów się ustabilizowała. Pokrycie niedoborów kosztowało nas prawie miliard euro. Powiedzieliśmy naszym akcjonariuszom, że to było jednorazowe działanie, ale będzie się powtarzało, ilekroć jakiś bank centralny zażąda zwrotu swoich środków.

- Bem, nie potrzebujemy lekcji historii - odezwał się cierpko nowojorski bankier. - Jeśli się pan rozejrzy, zobaczy pan, że brakuje tu kilku znajomych, bo zostali wywaleni przez zarządy swoich banków.

- „Zostać wywalonym przez zarząd”, jak pan to ujął, Hershel, to teraz najmniejsze z naszych zmartwień. - Volkmann posłał Amerykaninowi spojrzenie, które powstrzymało replikę. - Istotą bankowości jest zaufanie - ciągnął. - Człowiek realizuje czek z zapłatą za swoją pracę, wydaje na życie tyle, ile potrzebuje, a resztę pieniędzy powierza bankowi. Nie wie, co się z nimi dalej dzieje, i nie interesuje go to. Wykonał swoje zadanie przekształcenia pracy w kapitał i zleca nam jego pomnożenie. My pożyczamy go przedsiębiorcom, którzy zakładają nowe firmy i zatrudniają nowych ludzi, by przetwarzali więcej pracy na więcej kapitału. Ten system sprawdza się od wieków.

- Ale co się dzieje, kiedy ktoś nadużyje tego zaufania? Oczywiście w przeszłości zdarzały się afery bankowe, teraz jednak grozi nam skandal na niespotykaną skalę. Zasoby kapitałowe, pozwalające rządowi zapewniać społeczeństwu o sile ich krajów, państwowe rezerwy złota - zostały sprzedane. Są rewersy bez pokrycia. Nie możemy się wywiązać z umów z bankami centralnymi. Nawet gdybyśmy mieli pieniądze na odkupienie złota, na świecie nie ma go tyle, ile jesteśmy winni.

Głos zabrał Anglik w garniturze z Savile Row.

- Można zwiększyć produkcję, żebyśmy zyskali czas na zwrot pożyczki.

- Nie można. - Odpowiedź była konkretna i szczerą jak człowiek, który jej udzielił. On też mówił z brytyjskim akcentem, ale o kolonialnym brzmieniu.

- Zechce pan to wyjaśnić, Bryce?

Bryce wstał. Był niski i stale mrużył niebieskie oczy. W przeciwieństwie do innych miał ogorzałą twarz i duże dłonie z opuchniętymi knykami. Ciężko pracował na swój majątek, czego bankierzy nigdy nie potrafili zrozumieć.

- Wybrano mnie do reprezentowania tutaj południowoafrykańskich koncernów górniczych - zaczął. - Pan Volkmann powiedział mi, o co chodzi, więc porozumiałem się wcześniej z moimi rodakami, żeby przedstawić panom dokładne informacje. W zeszłym roku Afryka Południowa wyprodukowała około trzech tysięcy czterystu ton złota po dwieście osiemdziesiąt dolarów za uncję. W tym roku planujemy taką samą produkcję, ale przy cenie trzystu osiemnastu dolarów za uncję. Koszty robocizny rosną od końca apartheidu, bo związki zawodowe są silne i naciskają na nas, żebyśmy podpisali nowy układ zbiorowy, jeszcze bardziej korzystny dla robotników.

- Nie ustępujcie - wtrącił prezes największego banku holenderskiego. Bryce spojrział na niego.

- Kruszenie twardej skały to nie praca przy taśmie montażowej. Wyszkolenie dobrego górnika zajmuje lata. Strajk sparaliżowałby nas, i związki o tym wiedzą. Widzą już cenę uncji na poziomie prawie pięciuset dolarów i orientują się, że kopalnie nie przynoszą strat.

- Możecie zwiększyć wydobywanie? - zapytał ktoś.

- Nasze kopalnie są już na głębokości ponad trzech kilometrów. Koszt wydrążenia każdego następnego poziomu rośnie w postępie geometrycznym. To jak budowa wieżowca. Żeby go podwyższyć, nie można po prostu dodać piętra na szczycie. Trzeba najpierw wzmocnić fundamenty. Doprowadzić wyżej windy. Sprawdzić, czy rury wodociągowe i kanalizacyjne mają wystarczającą przepustowość. Architekci mówią że dodanie piętra na górze jest równie trudne i kosztowne, jak zrobienie dodatkowej kondygnacji pod istniejącym budynkiem. Wydrążenie każdego nowego poziomu w naszych najgłębszych kopalniach kosztuje dwa do trzech razy więcej niż poprzedniego. Moglibyśmy zwiększyć wydobywanie, ale wydatki znacznie przekroczyłyby zyski.

- Więc musimy znaleźć inne źródła kruszcu. Może w Rosji, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych?

- Nie mają takiej zdolności produkcyjnej, żeby pokryć niedobór - odparł Volkmann. - Poza tym w Ameryce Północnej ochrona środowiska podnosi cenę uncji o trzydzieści do czterdziestu dolarów.

- A co z eksploracją budową nowych kopalń i ewentualnym uporządkowaniem chaotycznego wydobywania w Brazylii, żeby mogła zwiększyć produkcję?

- W brazylijskich żyłach złota jest tak mało kruszcu, że nawet przy najlepszym sprzęcie i zarządzaniu nie napełni się nim przez rok jednego opancerzonego furgonu - odrzekł Bryce. - A co do eksploracji, to istnieją tam złoża. Wiemy nawet, gdzie są niektóre z nich. Ale z powodu biurokracji samo nabycie praw własności zajęłoby lata, a potem musielibyście, panowie, zainwestować miliardy dolarów, żeby osiągnąć taki poziom produkcji, jaki was interesuje.

Ponure milczenie po słowach Bryce'a przerwał Francuz.

- Więc trzeba przekonać banki centralne do pozostawienia u nas swoich rezerw. Może moglibyśmy im obiecać wyższe odsetki.

- To załatwi sprawę tylko doraźnie - odezwał się drugi nowojorczyk. - Nie możemy się wiecznie uchylać od naszych zobowiązań.

- Ale jeśli zyskamy czas na zwrot długu, będziemy mogli utrzymać ceny na niezmiennym poziomie i uniknąć tego, co się stało, kiedy mój kraj ogłosił sprzedaż części swoich zasobów.

- „Wall Street Journal” to opublikuje i co wtedy? - skontrował nowojorczyk. - Ludzie zażądają, żeby rząd pokazał im złoto, które podobno ma. Przeciętny obywatel wyobraża sobie, że skarbiec w Fort Knox jest pełen tego towaru. Nie będzie zachwycony, kiedy się dowie, że leżą tam tylko bezwartościowe weksle. Spanikuje, bo ręcząc za zielonego, rząd go okłamał, czego w tej kwestii nie zrobił nigdy w przeszłości.

- Właśnie dlatego powiedziałem wcześniej, że jest to kryzys na niespotykaną skalę - wtrącił Volkmann. - Naruszyliśmy podstawy ustroju kapitalistycznego. Kiedy ludzie się o tym dowiedzą cały system runie jak domek z kart.

Szwajcar urwał i popatrzył po sali. Zobaczył, że skupia na sobie uwagę, i poznał po posępnych minach, że niektórzy już się domyślają co za chwilę powie, nawet jeśli nie znają szczegółów. Wypił łyk wody ze szklanki i mówił dalej.

- W ciągu ostatnich sześciu lat Niemcy podjęły szereg błędnych decyzji ekonomicznych. W rezultacie ten kraj, będący przemysłowym motorem Europy, stał się państwem opiekuńczym. Produkcja spada, bezrobocie jest na maksymalnym poziomie dopuszczonym przez UE, rządowi niedługo zabraknie środków na wypłaty zbyt wysokich świadczeń. Jednym słowem, Niemcy są o krok od bankructwa. Dwa tygodnie temu dowiedziałem się, że zamierzają sprzedać cały zapas swojego złota.

Wszyscy wokół stołu zrobili gwałtowny wdech, gdy zdali sobie sprawę, że stoją nad przepaścią.

- Chodzi o sześć tysięcy ton, panowie - prawie dwuletnią produkcję Afryki Południowej. W Berlinie i Bonn są tylko dwa tysiące. Musimy zdobyć brakujące cztery.

- Na kiedy? - zapytał Francuz, tracąc wcześniejszą pewność siebie.

- Dokładnie nie wiem - odparł Volkmann. - Podejrzewam, że aby utrzymać stabilność cen, operacja potrwa jakiś czas.

- Ale niedługo - mruknął nowojorczyk.

- I pamiętajcie - kontynuował Volkmann, dodając następną złą wiadomość do poprzedniej - że jeśli sprzedawcy złota zorientują się, w jak trudnym położeniu są nasze banki, będą chcieli na tym skorzystać i mogą podwoić lub nawet potroić ceny.

- Jesteśmy zrujnowani! - zawołał bankier z Holandii. - Wszyscy. Nawet jeśli Niemcy zgodzą się przyjąć walutę, nie wypłacimy się. Pieniądze, które wzięliśmy za złoto, zostały już pożyczone innym. Musielibyśmy cofnąć wszystkie udzielone kredyty. To by zrujnowało holenderską gospodarkę.

- Nie tylko waszą - zauważył Hershel. - Kupiliśmy i sprzedaliśmy niemiecki kruszec wart

dwadzieścia miliardów dolarów i duża jego część wyparowała podczas implozji rynku firm internetowych. Musielibyśmy uszczuplić rachunki oszczędnościowe naszych klientów, żeby się wypłacić. W całych Stanach Zjednoczonych mielibyśmy run na banki. Powtórzyłby się Wielki Kryzys.

W sali zapadła przygnębiająca cisza. Zebrani rozważali słowa Amerykanina. Byli za młodzi, żeby pamiętać światowy kryzys z lat dwudziestych i trzydziestych ubiegłego wieku, ale słyszeli o nim od swoich dziadków. Tym razem byłoby jednak dużo gorzej z powodu globalizacji. Kilku wybiegło nawet myślami poza straty osobiste i swoich krajów. Każde państwo starałoby się zadbać przede wszystkim o własnych obywateli i skończyłaby się pomoc międzynarodowa. Ile ludzi zmarłoby w krajach rozwijających się, dlatego że mężczyźni przy tym stole sprzedali pożyczone złoto, by zwiększyć swoje zyski?

Elegancy, rozrzutni biznesmeni stali się nagle szarzy jak Bernhard Volkmann.

- Nie da się wyperswadować Niemcom tego pomysłu? - zapytał ktoś po chwili.

- Możemy spróbować - odrzekł ktoś inny - ale oni muszą dbać o własne interesy. Chcą mieć swoje złoto z powrotem, bo inaczej będą niewypłacalni i może u nich dojść do zamieszek lub nawet do rebelii.

Volkmann przez kilka minut nie przerywał rozmowy bankierom, którzy szukali sposobu na uratowanie siebie, swoich banków i świata. Nic nie wymyślili. Gdy zamilkli, poprosił Bryce'a, przedstawiciela południowoafrykańskich koncernów górniczych, o opuszczenie sali.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, bankierzy skupili całą uwagę na Volkmannie. Nie odzywał się, dopóki ktoś w końcu nie zadał mu pytania, na które wszyscy mieli nadzieję usłyszeć odpowiedź twierdzącą.

- Zaprosił nas pan tutaj, bo znalazł pan wyjście? - spytał Anglik, dyrektor generalny szóstego największego banku świata.

- Tak - odrzekł Volkmann i niemal poczuł na skórze ich westchnienia ulgi. Wpisał wiadomość tekstową do swojego PDA i po chwili drzwi wielkiej sali znów się otworzyły.

Mężczyzna, który wszedł, poruszał się swobodnie, z podniesioną głową. Był ostrzyżonym na jeża brunetem po pięćdziesiątce, miał gładką twarz i szpakowate skronie, a jego oczy wydawały się stare. W przeciwieństwie do bankierów nie sprawiał wrażenia zadowolonego z siebie człowieka z poczuciem wyższości, jakie daje iluzja bogactwa i potęgi.

- Panowie - oznajmił Volkmann, gdy mężczyzna usiadł obok niego - to Anton Sawicz, były pracownik radzieckiego Urzędu Zasobów Naturalnych, obecnie prywatny konsultant.

Nikt nie powiedział słowa, nikt się nie poruszył. Nikt nie rozumiał obecności dawnego radzieckiego funkcjonariusza.

- Wiedziałem od pewnego czasu, na co się zanosi, więc układałem w tajemnicy plany - ciągnął

Volkmann. - Moja propozycja nie może wywołać żadnej dyskusji ani sprzeciwu. To nasza jedyna opcja, więc każdy z was zgodzi się na nią bez oporów. Pan Sawicz wyjaśni wam, o co chodzi.

Anton Sawicz nie wstał. Siedział w niedbałej pozie z ramieniem na oparciu krzesła, gdy tłumaczył, jak zamierza uratować ich banki. Mówił przez dziesięć minut. Kiedy skończył, na twarzach słuchających mężczyzn odmalowała się mieszanina szoku, gniewu i odrazy. Holenderski bankier wyglądał, jakby się nagłe rozchorował. Nawet twardy nowojorczyk, który według wiedzy Volkmana walczył w Wietnamie, był blady.

- Nie ma innego sposobu, panowie - powiedział Szwajcar. Przenosił wzrok z mężczyzny na kobietę, patrzył im w oczy i wiedział, że się zgadzają bo uciekali spojrzeniem w bok albo niemal niedostrzegalnie przytakiwali. Ostatni był Holender. Na myśl o tym, na co się zgadza, jęknął i spuścił wzrok.

- Zajmę się wszystkim - oświadczył Volkmann. - Nie musimy się znów spotykać w tym gronie.

Nowojorczyk, który wspomniał wcześniej o Fort Knox, odparł:

- Na pewno się spotkamy. W piekle.

7

Cabrillo się przeżegnał.

Ofiary były w różnym wieku, choć większość wyglądała na dwadzieścia parę lat. Niektóre osoby nie żyły już od jakiegoś czasu; ich ciała posiniały, kilka wzdęty gazy wewnętrzne. Inni najwyraźniej utonęli, gdy piraci wyrzucili kontener za burtę. W świetle lamp pokładowych wyglądali upiornie blado. W płątaniu kończyn trudno było to stwierdzić, ale wydawało się, że więcej jest mężczyzn niż kobiet. Poza straszną śmiercią łączyło ich to, że wszyscy byli Chińczykami.

- Wężowe głowy. - Cabrillo splunął z odrazą, patrząc tam, gdzie na ciemnym oceanie wciąż płonęła tłusta plama ropy.

Chętni do pracy za granicą chińscy chłopcy, a nawet w miarę dobrze sytuowani robotnicy, płacili od trzydziestu tysięcy dolarów wwyż za wywiezienie ich z kraju. Oczywiście nawet bogaci Chińczycy nie mieli tyle gotówki, więc nielegalni imigranci pracowali dla gangów, które ich przemycały. Harowali w zakładach wyzyskujących siłę roboczą i w restauracjach, by spłacić dług. Trafiali wszędzie, od Nowego Jorku po Delhi. Kobiety były z reguły prostytutkami w „salonach masażu”, które zakładano nawet w małych amerykańskich i kanadyjskich miasteczkach. Pracowały przez lata, gnieźdząc się w zatłoczonych mieszkaniach należących do gangów, dopóki nie spłaciły całego długu. Jeśli próbowały uciec, ich rodziny w Chinach torturowano lub zabijano.

W ten sposób ponad milion Chińczyków rocznie zamieniało jedno beznadziejne życie na drugie. Wszyscy wierzyli w obietnice, że ich sytuacja się poprawi, jeśli tylko będą ciężiej pracowali.

Imigranci nazywali podróż do obcego kraju „jazdą na wężu”, a szefów gangów przemytniczych

„węzowymi głowami”.

Cabrillo i jego załoga albo przechwycili transport nielegalnych, płynący najprawdopodobniej do Japonii, albo też piraci porwali taki statek i planowali sprzedać robotników z powrotem gangowi lub komuś innemu. Tak czy owak Korporacja natknęła się na handel ludźmi. Juan, patrząc na sponiewierane ciała na pokładzie, czuł smutek i zarazem gniew. Odwrócił się do Lindy Ross.

- Wezwij doktor Huxley. Niech przyjdzie tu jak najszybciej. Nie pomoże już tym biednym ludziom, ale autopsje mogą rzucić trochę światła na to, co się stało. - Przywołał marynarzy. - Jak tylko sanitariusze opróżnią kontener, sprawdźcie, czy ma jakieś numery identyfikacyjne, a potem wyrzućcie go za burtę.

- Wszystko w porządku, Juan? - zapytała z troską Linda.

- Nie, jestem wkurzony - odparł. - A muszę się jeszcze zająć okrętem podwodnym.

Wrócił do centrum operacyjnego. Wiadomość o zawartości kontenera już się rozeszła i w pomieszczeniu panował ponury nastrój. Mark Murphy przeprowadzał kontrolę systemów uzbrojenia pokładowego, na wypadek gdyby znów musieli ich użyć, Erie Stone siedział na stanowisku sternika i czekał na rozkazy.

- Panie Murphy - zawołał Cabrillo.

Mark obrócił się w fotelu. Miał poważną minę. To jego strzał wysadził w powietrze „Krę” i uniemożliwił przesłuchanie jeńców.

- Tak, szefie?

Głos prezesa złagodniał.

- Nie obwiniaj się. Ja przyłożyłbym jej w to samo miejsce. - Tak jest, szefie. Dziękuję.

- Panie Stone, prędkość trzydzieści węzłów. Płyniemy nad tamten okręt podwodny.

- Tak jest.

Linda nadal była na pokładzie. Pewnie pomagała Julii i jej zespołowi medycznemu. Juan monitorował sonar. Podawał Stone'owi korekty kursu i prędkości, dopóki „Oregon” nie znalazł się dokładnie nad tajemniczym okrętem podwodnym. Przez pół godziny, odkąd go wykryli, zszedł na głębokość dwudziestu trzech metrów. Cabrillo przepuścił sygnał akustyczny przez komputer i odfiltrował nieistotne dźwięki. Po tej operacji słyszał tylko odgłos powietrza uchodzącego wolno z okrętu. Nie wiedział, czy tamten udaje unieruchomionego, czy naprawdę ma jakiś problem. Ale gdyby działo się coś złego, z pewnością byłoby słychać alarmy i załogę pracującą w wewnętrznym kadłubie. Nawet bez urządzeń nasłuchowych wysokiej klasy na „Oregon” docierałby dźwięk metalu uderzającego o metal. Tymczasem z dołu dochodził tylko bulgot tonącego okrętu.

Juan wyświetlił na monitorze komputera mapę morską regionu. Miał pod kilem trzy tysiące metrów wody. Minęłyby dni, zanim okręt osiadłby na dnie, choć na długo przed tym zostałby zgnieciony na głębokości krytycznej.

Wrócił na swoje miejsce i połączył się z szefem obsługi basenu zanurzeniowego.

- Tu Cabrillo. Otwórzcie wrota w kadłubie i przygotujcie któregoś ROV-a do rekonesansu na małej głębokości. Wyjmijcie dla mnie jakiś sprzęt i niech dwóch nurków będzie w pogotowiu.

Piętnaście minut później stanął w pomarańczowym „mokrym” skafandrze za pilotem ROV-a. Do lewego ramienia miał przypasane gogle. Nie musiał nurkować na okręt podwodny, ale chciał poczuć kojący spokój oceanu.

ROV miał kształt torpedy i trzy przestawne śruby napędowo-manewrowe wzdłuż swojej osi. W wypukłym dziobie była kamera wideo o wysokiej rozdzielczości, na górze zamontowano reflektory o zasięgu trzech metrów nawet w najciemniejszej wodzie. Pojazd został właśnie zwodowany i dwaj członkowie obsługi pilnowali, by jego odwijający się kabel nie zaczepił o statek.

Przez otwarte do morza wrota do przepastnej ładowni w śródkręciu dostawał się chłód, światło podwodnych reflektorów umocowanych na kadłubie tworzyło ruchome zielone refleksy na przegrodach. Duży pojazd podwodny Nomad 1000 wisiał nad basenem jak sterowiec, przygotowany na wypadek, gdyby potrzebowali potężnego ramienia jego manipulatora.

- Głębokość piętnaście metrów - oznajmił operator, skupiony na obserwacji ekranu, który pokazywał przekaz na żywo z kamery ROV-a. Widać było tylko ciemność. Jego palce spoczywały na dwóch dżojstikach do sterowania pojazdem. - Osiemnaście metrów.

- Tam - wskazał Cabrillo.

Z mroku wyłonił się ledwo widoczny zarys. Najpierw był ciemny i niewyraźny, ale przybrał konkretny kształt, gdy ROV podpłynął bliżej. ROV podchodził do okrętu od rufy. W blasku jego mocnych reflektorów lśniła śruba z brązu. Potem rozróżnili ster. Juan pierwszy raz widział taki okręt podwodny.

- Daj półtora metra w górę i trzy metry do przodu.

Operator wykonał polecenie i śruba zniknęła pod obiektywem. Zobaczyli stalowe płyty poszycia, ale kadłub nie miał kształtu cygara, typowego dla okrętu podwodnego. Linda powiedziała, że obiekt jest dziwny, kiedy badała go sonarem aktywnym.

Nagle na czarnym tle kadłuba zobaczyli biały napis HAM.

- Cofnij - powiedział Cabrillo.

Mały podwodny robot odpłynął wstecz i słowo powiększyło się do jakiegoś bzdurnego UTHAMPTO.

- Co to, do cholery, jest Uthampton? - zapytał jeden z nurków.

- Nie co, tylko gdzie - odrzekł Juan. - W Anglii. To Southampton. Kiedy to powiedział, na ekranie ukazała się pełna nazwa macierzystego portu jednostki i jej nazwa - „Avalon”. I nie był to wcale



okręt podwodny.

- Myśli pan, że to statek, z którego piraci porwali uchodźców?

- Wątpię. - Cabrillo patrzył na monitor, gdy ROV przepływał nad relingiem i pokładem rufowym „Avalona”. W gąszczu urządzeń kręciło się kilka ryb. - Ale na pewno był jedną z ich ofiar. Założę się, że został zaatakowany tuż przed naszym wejściem w zasięg radaru. - Połączył się z centrum operacyjnym i kazał Murphy’emu poszukać informacji o statku badawczym pod brytyjską banderą.

- Nie usłyszelibyśmy jego SOS? - zapytał nurek.

- Piraci mogli zakłócać sygnał albo dostać się na pokład podstępem i zniszczyć jego radio, zanim ktoś zdążył wezwać pomoc.

- Prezesie, tu Murph. „Avalon” należy do Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Został zwodowany w 1982, ma długość czterdzieści metrów, wyporność...

- Kiedy ostatnio się odzywał? - przerwał mu Cabrillo.

- Według informacji Towarzystwa wszelki kontakt z nim urwał się cztery dni temu. Amerykańskie jednostki poszukiwawczo-ratownicze z Okinawy nie odnalazły go.

- To bez sensu - powiedział Juan, bardziej do siebie niż do innych. - Jeśli został zaatakowany i piraci odcięli łączność, ratownicy powinni go natychmiast zobaczyć.

- Piraci mogli go od razu zatopić - zauważył pilot ROV-a.

- Nie ma mowy, żeby przez cztery dni zanurzył się tylko na dwadzieścia trzy metry. - Cabrillo się zastanowił. - Chyba że komuś się udało zastopować napływ wody do środka.

- Statek nadal by tonął - odrzekł nurek. - Jeśli stracił pływalność na tyle, że zszedł tak głęboko, opadałby dalej.

Cabrillo spojrział na niego.

- Słusznie, chyba że utknął w haloklinie, warstwie wody o wysokim zasoleniu. Słona woda jest gęściejsza niż słodka, więc ta sama objętość wypiera większy ciężar. Ocean jest przekładany jak tort warstwami wody o różnych poziomach zasolenia i temperaturach. Możliwe, że „Avalon” dotarł do warstwy bardzo słonej wody, która na razie utrzymuje go w równowadze. - Zdawał sobie sprawę, że statek wciąż nabiera wody, więc w końcu zanurzy się głębiej, a potem opadnie jak kamień.

Mężczyźni obserwowali w milczeniu, jak robot sunie nad zatopionym statkiem. Na zewnątrz nie było śladów walki, dziur po pociskach ani wyrw po eksplozjach. Wyglądało to, jakby „Avalon” pogrążył się w morzu bez stawiania oporu. Kiedy ROV dotarł do jego dziobu, Cabrillo kazał pilotowi skierować robota wzdłuż nadbudowy i sprawdzić, czy uda im się zajrzeć do środka.

- Myśli pan, że ktoś tam przeżył? - spytał nurek.

Juan już to rozważył i odrzucił taką możliwość. Widział na własne oczy, jak brutalni byli piraci, i wiedział, że nie zostawiliby żadnych świadków, nawet na tonącym statku. Wskazywała na to również całkowita cisza. Gdyby on był uwięziony na „Avalonie”, próbowałby jakoś zwrócić na siebie uwagę. Waliłby kluczem francuskim w kadłub, dopóki mógłby ruszać rękami. Krzyczałby, dopóki nie straciłby głosu. Nie wierzył, żeby na brytyjskim statku pozostał ktoś żywy.

ROV popłynął z powrotem nad pokładem „Avalona”, kierując się w stronę mostka. W wąskim stożku światła zobaczyli, że wszystkie szyby sterowni są wybite. Albo zrobili to piraci, albo wyleciały, kiedy statek poszedł pod wodę. Pilot wprowadził robota do środka przez jedno z wielkich pustych okien, uważając, by nie zaczepić o coś kablem. Sufit wyglądał jak lśniąca ściana ciekłej rtęci. Powstała pod nim kieszeń powietrzna, którą tworzył strumień pęcherzy powietrza unoszących się z małego otworu w podłodze.

W sterowni było mnóstwo śladów ataku. Krzyżowały się rzędy dziur po pociskach, pokład zaśmiecały mosiężne łuski. Kształt w jednym rogu, wyglądający jak sterta szmat lub brezentu, okazał się ludzkim ciałem. W strużkach krwi, która wciąż wyciekała z kilku ran, śmigwały małe rybki. Pilot chciał wymanewrować tak, by mogli zobaczyć twarz martwego człowieka i być może go zidentyfikować, ale mały robot nie miał takiej mocy, żeby przetoczyć zwłoki potężnego mężczyzny.

- Postaraj się znaleźć drogę do innych części nadbudowy - polecił Cabrillo.

Pilot spróbował, ale drzwi w tylnej ścianie sterowni okazały się zablokowane metalowym drągiem wsuniętym w ich uchwyty.

- Nieważne. Wycofajmy się i sprawdźmy bulaje. Może uda nam się dostać do środka.

ROV popłynął wzdłuż lewej burty „Avalona”. Zatrzymywał się przy każdym iluminatorze, ale nie zdołali zobaczyć, co jest wewnątrz kadłuba. Panowały tam egipskie ciemności. Operator zakręcił wokół rafy statku i skierował pojazd wzdłuż sterburty. Światło tworzyło idealny krąg na czarnym kadłubie, szyba każdego bulaja lśniła niczym klejnot. Gdy reflektory rozjaśniły mrok w jednej z kajuł, rozległ się dźwięk metalu uderzającego w metal. Mężczyźni obserwujący ekran cofnęli się odruchowo, kiedy w iluminatorze ukazała się blada twarz. Kobieta wytrzeszczała ze strachu oczy i poruszała wargami. Krzyczała coś, czego nie mogli usłyszeć.

- Dobry Boże! Ona żyje.

Cabrillo już zakładał na plecy dwubutłowy akwalung. Potem włożył kamizelkę ratunkową, wstał i zapiał pas balastowy. Dwaj nurkowie poszli w jego ślady.

- Zawiadomcie Huxley - polecił, chwyciwszy płetwy i silną latarkę. Poczłapał do basenu zanurzeniowego, obciążony dwudziestoma siedmioma kilogramami sprzętu. Opuścił na twarz maskę, sprawdził dopływ powietrza i opadł tyłem do wody.

Kiedy zanurzał się wśród pęcherzy powietrza, wciągnął płetwy i usunął z maski wodę, która dostała się do środka. Zaczekał, aż dwaj nurkowie znajdą się pod powierzchnią i wypuściwszy powietrze z kamizelki ratunkowej, opadł w ciemność z jedną ręką na kablu robota, żeby utrzymywać właściwy kierunek.

Zastanawiał się, jakim cudem ta kobieta ocalała. Sądząc po stanie zwłok na mostku, piraci zatopili „Avalona” krótko po opanowaniu go. Czy wewnątrz kadłuba zostało aż tyle powietrza? Najwyraźniej tak. Tylko czy nie ujdzie, zanim dotrą do kobiety?

Zobaczył pod sobą światła robota i niewyraźne kontury statku badawczego. Powietrze wydostawało się z kadłuba w co najmniej dwunastu punktach, jakby krwawił. Juanowi przeszły ciarki po plecach. Był przesądny. „Avalon” stał się statkiem widmem, ale w przeciwieństwie do „Latającego Holendra” został skazany na żeglugę w ciemności pod wodą. Był samotnym wędrowcem, którego dni są policzone.

Cabrillo dotarł do głównego pokładu i spojrzął na głębokościomierz. Dwadzieścia pięć metrów. „Avalon” tonął teraz szybciej. Jego czas się kończył.

Podpłynął do miejsca, gdzie ROV unosił się przed bulajem, w którym zobaczyli ocalałą kobietę. Kiedy zajrzał przez mały iluminator, odskoczyła do tyłu. Ale szybko wróciła do burty i przysunęła się tak blisko, że ich twarze oddzielały tylko dwa centymetry wody i gruba szyba. Juan musiał coś wymyślić, zanim będzie za późno.

Kobieta miała na sobie dwie kurtki i kilka swetrów, a na głowie wełnianą czapkę marynarską. Temperatura powietrza wewnątrz statku powinna być taka sama jak wody: dziesięć stopni Celsjusza. Odkąd się zjawiał, w niebieskich oczach kobiety nie było już szaleństwa. Mimo rozpaczliwego położenia nie straciła poczucia humoru, bo postukała w swój zegarek, jakby chciała powiedzieć: „W samą porę”. Juan podziwiał jej odwagę.

Potem dostrzegł kilka szczegółów: miała sine wargi, była nienaturalnie blada i dygotała niekontrolowanie. Zajrzał głębiej do kajuty. Woda sięgała do poziomu koi. Jeden materac swobodnie pływał, drugi kobieta przyciskała swoim ciężarem. Ale jej schronienie i ubranie były mokre. Klęcząc na materacu, robiła w nim wgłębienie, które wypełniała woda morską. Bez wątplenia nogi też miała przemoczone. Juan nie wiedział, jak długo kobieta jest w tym stanie, ale był pewien, że wkrótce dostanie hipotermii.

Wyjął z ust regulator i zapytał bezgłośnie:

- Wszystko w porządku? Poczuł, że woda jest bardzo słona, co potwierdziło jego wcześniejsze przypuszczenie, że „Avalon” tkwi w haloklinie.

Posłała mu takie spojrzenie, jakby chciała powiedzieć, że trzeba być stukniętym, by o to pytać w tych okolicznościach, ale skinęła głową na znak, że nic jej się nie stało.

Wycelował w nią palec i uniósł go do góry, a potem wskazał inne miejsca na statku i wyprostował pozostałe palce. Dopiero po chwili zrozumiała, że pyta, czy są z nią inni. Pokręciła przecząco głową, też uniosła palec i zniknęła na chwilę. Wróciła z blokiem papieru i czarnym flamastrem. Ręka tak jej się trzęsła, że pismo było ledwo czytelne. „Jestem sama. Może mnie pan stąd wydostać?”

Juan przytaknął, choć nie miał pojęcia, jak to zrobić. Mogliby przyczepić liny żurawi „Oregona” do statku badawczego i spróbować go podnieść na powierzchnię, ale żurawie były za słabe, żeby podnieść taki ciężar, więc gdyby go źle zbalansowali, mógłby się przechylić i napełnić wodą szybciej niż teraz. Jednak warto byłoby opuścić na „Avalona” kilka lin, żeby przynajmniej ustabilizować go na jakiś czas.

Do Juana dołączyli dwaj nurkowie. Napisał instrukcje na tabliczce jednego z nich, odwrócił się z powrotem do uwięzionej kobiety i puścił do niej oko. Nagryzmoliła coś na bloku i przyłożyła go do szyby. „Kim pan jest?”

Napisał swoje nazwisko.

Spojrzała na niego gniewnie i nabazgrała: „Jesteście z marynarki wojennej?”

Odpisał, że prowadzi prywatną firmę ochroniarską, wynajętą do tego, żeby oddać piratów w ręce sprawiedliwości. Wydawała się usatysfakcjonowana. Poprosił ją, by podała, do których pomieszczeń „Avalona” nie dotarła jeszcze woda. Odpisała, że zalana jest sterownia, maszynownia i żęza. Woda podnosi się na jej pokładzie od dwunastu godzin. Zapytał, czy są jakieś zewnętrzne drzwi, które mógłby otworzyć tak, żeby zalać tylko jakąś małą przestrzeń dającą się odizolować od reszty statku.

Odpisała, że nie jest pewna, potem opadła z powrotem na koję. Materac, jej plecy i ramiona znalazły się w wodzie. Kobieta zdawała się tego nie zauważać albo już nie miała siły, żeby coś z tym zrobić.

Juan zastukał latarką w kadłub, żeby się ocknęła. Uniosła powieki, ale jakby go nie widziała. Odpływała. Gdy znów zastukał latarką, podpełzła do bulaja. Miała szkliste oczy i drżała jej broda, jakby trzymała pracujący młot pneumatyczny. Juan nie mógł wydobyć kobiety bez jej pomocy, a obawiał się, że za jakieś pięć minut straci przytomność.

„Jak pani ma na imię?”, napisał. Patrzyła przez chwilę na to zdanie, a potem powiedziała bezgłośnie coś, czego Juan nie rozumiał. Potrząsnął swoją tabliczką żeby jej przypomnieć, jak się komunikują. Po dwudziestu sekundach koncentracji zdołała napisać słowo „Tory”.

„Tory, nie zasypiaj!!! Jeśli zaśniesz, już się nie obudzisz. Jest tu jakieś małe szczelne pomieszczenie z zewnętrznymi drzwiami?” Obawiał się, że Tory nie zrozumie pytania, ale nagle wyprostowała ramiona i udało jej się zacisnąć mocno zęby. Skinęła głową i wzięła się do pisania. Zajął jej to cztery minuty, bo musiała zamazywać wiele słów i zaczynać od nowa.

Wreszcie przysunęła notatnik do bulaja. Litery wyglądały jak pierwsze kulfony małego dziecka. Tekst brzmiał: „Tylne lewe drzwi jeden pokład wyżej wychodzą na klatkę schodową którą mężno uszczelnić”. Upłynęła następna cenna minuta, zanim Juan rozszyfrował bazgroły:

„Tylne lewe drzwi jeden pokład wyżej wychodzą na klatkę schodową, którą można uszczelnić”.

„Musisz tam pójść i zamknąć się w środku. Nie wychodź, choćby nie wiem co. Zaufaj mi”.

Tory skinęła głową i dźwignęła się z koi. Kiedy stanęła w wodzie po kolana, na jej twarzy odmalowało się cierpienie. Juan niemal czuł lodowate palce zimna ściskające jej mięśnie i wbijające się w mózg. Zatoczyła się przez kajutę, straciła równowagę, omal nie uderzyła w przegrodę i upadła ciężko. Cabrillo mógł tylko bezradnie patrzeć, jak Tory podnosi się z trudem. Była wykończona. Ruszyła chwiejnie do drzwi, nie oglądając się za siebie. Szła sztywno jak zombi w filmowym horrorze.

Ledwie zniknęła z widoku, Juan popłynął w górę poszukać drzwi, które opisała. Gdy minął reling, zobaczył czterech nurków przyczepiających pętlę z liny do rufowych pachołków cumowniczych „Avalona”. Pracowali sprawnie w blasku dużych reflektorów podwodnych. Domyślił się, że druga ekipa robi to samo na dziobie. Statek badawczy był już na głębokości trzydziestu metrów. Nawet jeśli żurawie nie zdołają go podnieść, przywiązanie linami do „Oregona” zapobiegnie na razie jego dalszemu tonięciu.

Ale problemem nie była głębokość, tylko kiepski stan Tory.

Cabrillo i jego załoga nie wiedzieli, że „Avalon” ma w części dziobowej i rufowej wielkie ładownie, sięgające od zęzy do głównego pokładu i zajmujące prawie całą szerokość statku. Nie zostały dotąd zalane dzięki szczelnie zaryglowanym lukom i serwosterowanym żaluzjom w systemie wentylacyjnym, które zamknęły go niemal hermetycznie. To wypór hydrostatyczny tych pomieszczeń chronił „Avalona” przed szybkim pójściem na dno. Kiedy Juan oglądał drzwi, jeden z zamkniętych wywietrzników zaczął się wybrzuszać pod rosnącym ciśnieniem wody w przewodach wentylacyjnych za nim. Ze szpary między dwiema metalowymi listewkami żaluzji tryskał płaski, rozpylony strumień, tworząc mgłę wodną prawie na całej szerokości ładowni. Przecieki były niewielkie, w pomieszczeniu przybywało tylko kilka litrów wody na minutę, ale szczelina rozszerzała się z każdą sekundą. Lada chwila żaluzja mogła puścić, a wtedy do ładowni wdarłby się metrowy potok wody.

Juan zauważył, że drzwi to solidna płyta z zawiasami na zewnątrz. Piraci zablokowali klamkę stalowym zaciskiem, ale po jego usunięciu dała się swobodnie obrócić. Otwarcie włazu uniemożliwiłoby jednak ciśnienie wody dookoła. Należało je wyrównać po obu stronach. Aby to zrobić, trzeba było zalać komorę za progiem. Juan musiałby wyciągnąć uwięzioną w środku Tory, gdy tylko pomieszczenie wypełni się wodą i dać jej zapasową butlę ze sprężonym powietrzem, zanim znajdzie się w rzeczywistym niebezpieczeństwie.

Przywołał gestem jednego z nurków i napisał na swojej tabliczce, czego potrzebuje. Mężczyzna był w hełmie wyposażonym w system łączności, który umożliwiał porozumiewanie się z szefem obsługi basenu zanurzeniowego na „Oregonie”. W oczekiwaniu na Tory i dostawę ze statku Juan wystukiwał na drzwiach rytm Shave and a Haircut. Niecierpliwił się. Wreszcie z góry opuszczono kosz z narzędziami i akwalungiem, ale Tory się nie pojawiła. Zaczął się obawiać najgorszego.

Samo przebywanie wśród zwłok przyjaciół leżących w korytarzach było dla niej dramatem. Dochodziły do tego stres i świadomość, że jej więzienie jest trzydzieści metrów pod wodą i nadal tonie. Niewiarygodne, że jeszcze nie wpadła w katatonię. Była przerażona, przemoczona i bliska hipotermii. Czy zdoła dotrzeć do komory i będzie pamiętała, żeby odizolować pomieszczenie od reszty statku?

Cabrillo miał wątpliwości. Ale nie było innej drogi. Drzwi jej kajuty zostałyby wyrwane i woda zalałaby statek, gdyby przebili się do środka. Tory utonęłaby, zanim zrobiliby taką dziurę, żeby podać jej regulator akwalungu. Tylko obecny plan mógł się powieść.

Wystukiwał w kółko ten sam rytm, uderzając latarką o stal. Nagle wydało mu się, że usłyszał coś wewnątrz statku. Wystukał jeszcze raz Shave and a Haircut, ściągnął kaptur i przycisnął ucho do włazu.

Jest. Wyraźna odpowiedź. Dwa uderzenia. Udało się jej.

Sięgnął do kosza narzędziowego. Najpierw sprawdził, czy zapasowy akwalung dwubutłowy jest gotowy do użytku. Potem przyszła kolej na wiertarkę z napędem pneumatycznym. Zasilały ją dwa cylindry ze sprężonym powietrzem, połączone z nią długim węzłem i zawieszzone pod klatką z metalowej siatki. Wiertło było specjalnie utwardzone, a kompresor nadawał mu takie obroty, że powinno przejść przez drzwi po kilku sekundach. Cabrillo się rozejrzył. Nurkowie na rufie skończyli mocowanie pętli do „Avalona”. Dwaj przenieśli się na dziób, żeby pomóc pracującym tam kolegom, druga para dołączyła do niego.

Oparł się plecami o ciężki kosz, przycisnął koniec wiertła do włazu i nacisnął włącznik. Poczul

się, jakby stał na borowanym zębie. Hałas porażał mu uszy. Ignorował to i patrzył, jak od wiertła odpadają srebrzyste wióry. Po kilku sekundach przeszło na wylot i Juan wycofał je ostrożnie z otworu. Do statku została wessana woda i wióry. Nie znał wielkości komory i nie wiedział, jak długo będzie się napełniała, mógł więc tylko czekać, aż ciśnienie wyrówna się na tyle, że zdoła otworzyć drzwi.

Zastukał metalowym łomem, żeby dać Torze znać, że z nią jest. Odpowiedziała szybko i gniewnie. Nie spodziewała się, że będzie jej ratował życie w taki sposób.

Po czterech minutach Cabrillo podważył drzwi łomem, ale nie puściły. Wywiercił jeszcze dwie dziury i co minutę próbował otworzyć komorę - z takim samym skutkiem. Już miał zrobić następne dziury, gdy coś się wydarzyło.

Gdzieś przed nadbudową nastąpiła eksplozja pęcherzy powietrza. Żaluzja w ładowni dziobowej nie wytrzymała i do wraka w zastraszającym tempie zaczęły się wlewać tysiące litrów wody. Od szybkiego wzrostu ciśnienia wyskoczył właz inspekcyjny w luku głównej ładowni. Zza przysadzistego komina „Avalona” wyłoniło się sześciu nurków pracujących na dziobie. Przedzierał się przez wir pęcherzy powietrza i wody. Jeden przeciągnął kantem dłoni po gardle, gdy tylko znalazł się w kręgu światła reflektorów dając znak, że nie skończyli umocowywać przedniej pętli.

„Avalon” zaczął opadać dziobem w dół, a potem przechylił się na lewą burtę. Był połączony z „Oregonem” trzema linami, jedną na dziobie i dwiema na rufie. Przez chwilę wydawał się stabilny, lecz kąt jego nachylenia powodował przepływ wody z zalanych miejsc do suchych. Operatorzy żurawi na „Oregonie”, bez wątplenia nadzorowani przez Maksa, próbowali utrzymać statek w bezruchu, ale toczyli przegraną bitwę.

W pierwszych nerwowych sekundach Cabrillo uniósł się z pokładu, lecz szybko opadł z powrotem do poziomu włazu. Kosz narzędziowy zsunął się aż do spływnika. Juan pokazał jednemu ze swoich ludzi, żeby go odzyskał, i szarpnął nieustępliwe drzwi.

Nowy kąt nachylenia statku oznaczał, że Tory będzie musiała brnąć przez wodę, by dotrzeć do włazu. To był wyścig z czasem, który szybko uciekał.

Pętlę na dziobie założono na jeden z pachołków cumowniczych, stalowy odlew w kształcie grzyba. Luźny koniec liny dostał się w silny strumień pęcherzy powietrza i pląsał wokół olinowania trzymającego przedni maszt „Avalona”. Wskutek nierównego obciążenia statku pętla zaczęła zsuwać się z pachołka. Stalowe włókna tarły o jego szczyt, wydając dźwięk podobny do żalostnego krzyku alpinisty, który odpada od skalnej ściany.

Lina naprężyła się na kilka sekund pod ciężarem wody zalewającej ładownię dziobową a potem zsunęła z pachołka. Dziób „Avalona” opadł, kąt przechyłu wzdłużnego przekroczył dziewięćdziesiąt stopni i statek zawisł rufą do góry na żurawiu „Oregonie”, celując ostrym jak nóż dziobem w głąbiny. Żuraw o udźwigu sześćdziesięciu ton zmagał się z trzykrotnie większym obciążeniem, które z każdą sekundą osłabiało jego konstrukcję.

Opór wody sprawił, że obrót o dziewięćdziesiąt stopni trwał kilka sekund, wystarczająco długo, by Juan zdążył chwycić się drzwi, zanim pokład stał się ścianą a przegroda podłogą. Potem rozległ się zgrzyt, który zdawał się dochodzić przez wodę ze wszystkich stron. Cabrillo rozejrzał się gorączkowo w poszukiwaniu źródła hałasu. Reflektory ustawione przez jego załogę koziółkowały po pokładzie, tworząc koszmarny efekt jasności i ciemności. Odgłos narastał. Juan zerknął w górę i zobaczył szalupę, która uwolniła się z żurawia i pędziła w dół. Dał nura w bok. Łódź przemknęła

koło niego, jej impet pociągnął go jak wir. Szalupa wlokła za sobą spletaną całową linię, która uderzyła Juana w momencie, gdy się obejrzał, żeby zobaczyć, czy jego ludzie zdążyli uciec przed pociskiem. Węzeł liny trafił go w tył głowy i zerwał mu maskę.

Walczył z bólem i dezorientacją, szukając po omacku maski wirującej w wodzie. Otworzył oczy; zapiekły go od soli jak nigdy przedtem. Ale pomarańczowa maska opadała w głąb w zasięgu jego ręki.

Złapał ją, włożył i przechylił głowę, żeby powietrze z regulatora usunęło wodę z wnętrza. Podpłynął z powrotem do włazu i spojrzął na komputer do nurkowania na nadgarstku. „Avalon” tonął teraz w tempie trzech metrów na minutę i ciągle przyspieszał. Juan wiedział, że Max wykorzysta każdy metr liny na „Oregonie” do przyhamowania statku badawczego, ale sprężonym powietrzem mogli oddychać tylko do pewnej głębokości.

Jeden z nurków został gwałtownie zrzucony z pokładu, kiedy statek się przechylił. Dopiero po dłuższej chwili doszedł do siebie i znalazł skrzynię narzędziową, która wylądowała przy relingu blisko flagsztoku. Nie zawracał sobie głowy wiertarką; skoncentrował się na tym, by dostarczyć prezesowi zapasowy akwalung i torbę nurka.

Obaj podważyli drzwi łomem. Ze szpary eksplodowały pęcherze powietrza. Zdołali uchylić wąż, ale ciśnienie zatrzasnęło go z powrotem. Naparli mocniej. Juan miał wrażenie, że mięśnie pleców odrywają mu się od kości, pod zaciśniętymi mocno powiekami wirowały mu czarne plamy. Już chciał zmienić pozycję, kiedy drzwi otworzyły się i pomieszczenie natychmiast zalała woda.

Reflektory, które ustawili na pokładzie rafowym, roztrzaskały się na kawałki lub wypadły za burtę, więc została mu tylko latarka. Oświetlił nią komorę. Ciasne pomieszczenie było pomalowane na biało. Do solidnie wyglądającego włazu w dole, który prowadził kiedyś na mostek, prowadziły metalowe schody. Przez drzwi po prawej stronie, również szczelnie zamknięte, można było wyjść na główny pokład wewnętrzny. Potem zobaczył Tory, ciemny dryfujący kształt z bezwładnymi kończynami i w przemoczonym ubraniu.

Podpłynął do niej dwoma szybkimi ruchami nóg, włożył swój regulator między jej zwiotczone wargi i zwiększył dopływ powietrza, próbując wtłoczyć jej do płuc cenny tlen. Towarzyszący mu nurek otworzył swoją torbę, wyciągnął garść chemicznych kompresów rozgrzewających, potrząsnął nimi, żeby wywołać reakcję, i wsunął je pod ubranie Tory. W drodze na powierzchnię musieli zrobić kilka postojów dekompresyjnych - to był jedyny sposób, by ochronić ją przed zimnem.

Juan wziął swój regulator, zaczerpnął szybko powietrza i znów wcisnął go do ust Tory. Na jej głowie rósł siniak. Musiała w coś uderzyć, prawdopodobnie w momencie obrotu statku. Wokół obrzęku widniał ślad krwi. Cabrillo miał zapasowy akwalung i hełm. Włożył go Tory na głowę i uderzył ją mocno w mostek. Zakaszła, wypłuła trochę wody, zatrzepotała powiekami i znów zebrało jej się na wymioty. Juan usunął swoim regulatorem wodę z jej hełmu. Kiedy zaczęła sobie uświadamiać, że obcy mężczyzna trzyma rękę na jej piersiach, zrozumiała, że nic jej nie będzie.

Zjawili się inni nurkowie. Wyprowadzili Tory i Juana z komory. Jeden sprawdził akwalung Cabrilla. Juan przebywał pod wodą najdłużej i pracował najciężej. Na razie był w dobrej formie, ale podczas dekompresji musiał mieć świeże butle. Kiedy oddalili się na bezpieczną odległość od dyndającego statku badawczego, jeden z nurków zawiadomił „Oregon”, że można puścić „Avalona”.

Chwilę później statek runął w dół i zniknął z widoku. Końce odciętych lin, które pociągnął za sobą, wyglądały jak stalowe czułki.

Ekipa wznosiła się zwartą grupą z Tory i Juanem w środku. Szef obsługi basenu zanurzeniowego skracał im postoje o tyle, o ile się odważył, lecz upłynęło dziesięć minut, zanim jeden z nurków mógł skierować Tory w górę do wnętrza „Oregon”, i następne piętnaście, zanim Cabrillo pozwolił załodze wciągnąć ich na metalowy pomost.

Juan zdjął maskę i kaptur i robił głębokie wdechy. Powietrze w ładowni śmierdziało smarem i metalem, ale smakowało jak w górach o poranku. U boku Cabrilla wyrósł Max.

- Wybacz, stary - powiedział, podając mu kubek parującej kawy - żadnej gorzały, dopóki z twojej krwi nie zniknie cały azot.

Juan już miał odpowiedzieć, że jest gotów zaryzykować nawet za cenę najgorszych skurczów w historii medycyny, ale poczuł w kawie smak szkockiej, którą dolał tam Hanley.

Gdy Max pomógł mu uwolnić się od sprzętu, zapytał, próbując wstać:

- Co z nią?

Hanley położył mu rękę na ramieniu.

- Jest pod opieką Julii. Chyba nic jej nie będzie.

Juan opadł ciężko pod stojak ze sprzętem i uśmiechnął się z satysfakcją. Przynajmniej jedną ofiarę piratów uratowali od pewnej śmierci. Potem zauważył, że kilku załogantów je lody z półlitrowych pojemników. Wiedział, dlaczego. Julia potrzebowała miejsca w zamrażarce na zwłoki tych, których nie zdążyli ocalić.

## 8

Tory Ballinger powoli odzyskiwała przytomność. Najpierw uświadomiła sobie, że wszystko ją boli, ale najbardziej dokuczała jej głowa i goleń. Z resztą ciała nie było tak źle. Otworzyła oczy i zamrugała szybko, żeby się rozbudzić. W górze świeciła mocna jarzeniówka. Światło wpadało też przez pobliski bulaj. Pochylały się nad nią trzy osoby. Nie rozpoznawała ich, lecz coś jej mówiło, że ci ludzie nie są groźni. Kobieta miała na sobie biały fartuch lekarski i wyraz współczucia w ciemnych oczach. Sprawiała wrażenie kompetentnej. Jeden z mężczyzn był po sześćdziesiątce i wyglądał na życzliwego. Miał ogorzałą twarz i plamy na łysej głowie, jakby dużo przebywał na powietrzu. Niezapalona fajka w kąciku jego ust przypominała Tory o jej dziadku Seamusie. Ale jej uwagę przykuł drugi mężczyzna. Zmarszczki wokół jego oczu i ust nie były skutkiem wieku, lecz ciężkich przeżyć. Ten człowiek zmagał się z losem, toczył z nim codzienną walkę. Potem zauważyła jego niebieskie oczy, w których czaił się cień humoru, i już wiedziała, że ten mężczyzna częściej zwycięża, niż przegrywa.

Miała wrażenie, że go zna lub chociaż powinna wiedzieć, kim jest. Na pewno nie aktorem. Może więc jednym z tych poszukujących przygód miliarderów, którzy oblatują dookoła świat w balonach



na gorące powietrze albo płacą za to, by wystrzelono ich w kosmos? Miał w sobie coś szelmowskiego, pewność siebie zrodzoną z sukcesu.

- Witamy z powrotem - odezwała się kobieta w kitlu. - Jak się pani czuje?

Tory próbowała odpowiedzieć, ale wydała z siebie tylko ochrypły, nieartykułowany dźwięk. Starszy mężczyzna sięgnął po kubek i przysunął jej rurkę do ust. Woda zwilżyła jej język jak deszcz pustynię. Piła łapczywie, rozkoszując się tym, jak płyn spłukuje lepki osad w jej ustach.

- Chyba... - przerwała, bo zakrztusiła się. Gdy przestała kaszleć, odchrząknęła. - Chyba nic mi nie jest. Tylko zimno mi.

Dopiero teraz zorientowała się, że leży pod kocami, a ten najbliżej jej ciała jest elektrycznie podgrzewany. Szczypał ją.

- Kiedy tu panią przyniesiono, temperatura pani ciała była o dwa stopnie niższa od granicy przeżycia. Miała pani dużo szczęścia.

Tory rozejrzała się.

- To okrętowa izba chorych - uprzedziła jej pytanie lekarka. - Nazywam się Julia Huxley. To jest Max Hanley, a to nasz kapitan Juan Cabrillo. - Tory znów odniosła wrażenie, że go zna. Nazwisko nie było jej obce. - To właśnie kapitan panią uratował.

- Uratował?

- Pamięta pani, co się wydarzyło? - zapytał Hanley. Tory zebrała myśli.

- Ktoś nas zaatakował. Spałam. Usłyszałam strzały. To mnie obudziło. Schowałam się w swojej kajucie. Potem... - zamilkła sfrustrowana.

- W porządku - odezwał się Juan Cabrillo. - Nie ma pośpiechu. Dużo pani przeszła.

- Przypominam sobie, że po ataku chodziłam po statku. - Tory ukryła twarz w dłoniach i zaszlochała. Kapitan położył jej rękę na ramieniu. Uspokoiła się. - Pamiętam ciała. Widziałam zwłoki. Zginęła cała załoga. Nie wiem, co było dalej.

- Nie dziwię się - powiedziała doktor Huxley. - Umysł ma mechanizm obronny, który chroni nas przed urazem psychicznym.

Kapitan wyjaśnił:

- Po ataku na wasz statek piraci go zatopili. Tak się złożyło, że byliśmy niedaleko i zdążyliśmy panią uratować, zanim poszedł na dno.

- Mało brakowało - dodał Max Hanley. - Od ataku minęło kilka dni. Wasz statek utknął w warstwie wody o wysokim zasoleniu.

- Dni?! - wykrzyknęła Tory. Juan uśmiechnął się ciepło.

- Przeżyła pani taką przygodę jak Jonasz, tylko że wyciągnęliśmy panią z brzucha wieloryba.

Tory otworzyła szeroko oczy.

- Teraz sobie pana przypominam! Widziałam pana przez bulaj mojej kajuty. Przyplłynął pan na dół, żeby mnie wydostać.

Cabrillo lekko skinął głową, jakby chciał powiedzieć, że nie ma o czym mówić.

- To pan kazał mi iść do tylnego wjazdu i zamknąć wodoszczelne drzwi. I to pan musiał wywiercić dziury we władzie. Myślałam, że chce mnie pan zabić, i omal nie uciekłam z powrotem do kajuty, zanim zdałam sobie sprawę, że musi pan wyrównać ciśnienie, żeby mnie uwolnić. To było najgorsze. Woda podnosiła się centymetr za centymetrem. Wspięłam się po schodkach na poziom mostka, żeby jak najdłużej być nad powierzchnią, ale po jakimś czasie nie miałam się już gdzie wdrapać. - Urwała, jakby znów poczuła zimno lodowatej wody. - Kiedy woda sięgnęła mi do piersi, zaczęłam przez nią brnąć. To trwało wieczność. Boże, w życiu tak nie zmarzłam. Cud, że zęby mi nie popękały od szczekania. - Spojrzała na trójkę stojącą przy jej łóżku. - A potem obudziłam się tutaj.

- Wasz statek zaczął tonąć dużo szybciej i przechylił się, kiedy woda zalała część dziobową. Musiała pani wpaść na jakąś poręcz albo rurę i rozbiła pani sobie głowę. Kiedy wreszcie

otworzyłem drzwi, nie oddychała pani i była ranna.

Tory dotknęła głowy i poczuła pod palcami gruby bandaż.

- Skontaktowaliśmy się już z Królewskim Towarzystwem Geograficznym - ciągnął Cabrillo. - Na pewno zawiadomili pani rodzinę, że jest pani cała. W Japonii czeka wycarterowany helikopter; zabierze panią do szpitala, jak tylko znajdziemy się w jego zasięgu. Na pewno nie pamięta pani nic więcej z ataku? To bardzo ważne.

Tory próbowała się skoncentrować.

- Niestety nie, przykro mi. - Przeniosła wzrok na Julię. - Chyba ma pani rację. Mój mózg blokuje to wszystko.

- W nocy, kiedy wniesiono panią na pokład, rozmawiała pani z naszym trzecim oficerem. To kobieta nazwiskiem Linda Ross. Pamięta pani to?

- Nie - odparła Tory trochę cierpko. - Musiałam majaczyć. Mimo ostrzegawczego spojrzenia Julii Cabrillo mówił dalej:

- Podała jej pani swoje nazwisko i powiedziała pani, że jest naukowcem. Zrelacjonowała jej pani atak i dodała, że ukrywała się pani w swojej kajucie, kiedy jeden z piratów ją przeszukiwał. Powiedziała pani Lindzie, że miał czarny mundur i czarne wojskowe buty.

- Skoro tak pan mówi.

- I podobno widziała pani w pobliżu „Avalona” dwa statki. Jeden był taki wielki, że początkowo wzięła go pani za jakąś wyspę. Opisała go pani jako idealnie prostokątny. Drugi statek był mniejszy i wyglądało na to, że się zderzą.

- Jeśli nie pamiętam tego, że tkwiłam uwięziona na „Avalonie” przez cztery dni, to tym bardziej nie mogę pamiętać, co się działo parę minut po ataku. Przykro mi. - Odwróciła się do Julii. - Pani doktor, chciałabym teraz odpocząć.

- Oczywiście - odrzekła Julia. - Mój gabinet jest tuż obok. W razie potrzeby proszę mnie wezwać.

- Dziękuję. - Tory posłała Juanowi dziwne spojrzenie. - I dziękuję panu za uratowanie mi życia.

Znów dotknął jej ramienia.

- Nie ma za co.

- Kawał ślicznotki - zauważył Max, kiedy on i Cabrillo wyszli z izby chorych na korytarz.

- Kawał kłamczuchy - poprawił Juan.

- To też. - Max postukał cybuchem fajki w zęby.

- Jak myślisz, dlaczego?

- Dlaczego jest kłamczucha czy dlaczego nas okłamała?

- Jedno i drugie.

- Nie mam pojęcia - odparł Max. - Dobrze, że Linda wpadła na pomysł, by przesłuchać pannę Ballinger od razu w nocy.

- Mnie by to nie przyszło do głowy - przyznał Juan.

- Biorąc pod uwagę stan, w jakim byłeś, dziwię się, że w ogóle trafiłeś do swojej kajuty.

- Zdaniem Lindy sposób, w jaki Tory opisała statki i mundury piratów, wskazuje, że mogła przejść jakieś przeszkolenie wojskowe.

- Albo jest naukowcem, tak jak twierdzi ona sama i Królewskie Towarzystwo Geograficzne, i ma umiejętność obserwacji.

- Więc dlaczego kłamie, że nie pamięta, co się z nią działo, kiedy była uwięziona na „Avalonie”?

- Juan spochmurniał. - Nikt jej nie powiedział, jak długo tam siedziała, więc skąd wie, ile minęło dni? Coś ukrywa.

- Nie możemy ani jej zmusić do wyjawienia prawdy, ani jej zatrzymać. Helikopter będzie tu za parę godzin.

Juan ciągnął dalej, jakby nie usłyszał uwagi Hanleya:

- I te mundury. Powiedziała, że piraci nosili czarne mundury. Większość facetów, z którymi się rozprawiliśmy w nocy, była w dżinsach i T-shirtach.

Coś tu się nie zgadza.

Weszli do centrum operacyjnego. Oficerem dyżurnym była Linda Ross. Siedziała na stanowisku dowodzenia i jadła bajgla.

- Jak poszło? - zapytała z pełnymi ustami. Zdała sobie sprawę ze swojej gafy i próbowała je zasłonić serwetką. - Przepraszam - wymamrotała.

- Zasłużyłaś na tytuł pracownika miesiąca - odrzekł Juan. - Miałaś genialny pomysł, żeby porozmawiać w nocy z Tory. Dzisiaj panna Ballinger twierdzi, że nic nie pamięta. Ani statków, ani mundurów, ani nawet tego, co się z nią działo po zatopieniu „Avalona”. Chyba nie przyjrzała się dokładnie basenowi zanurzeniowemu, prawda?

- Nie, Julia owinęła jej twarz gorącym ręcznikiem, gdy tylko wyciągnięto ją z wody. Zaczęła mówić dopiero w izbie chorych, kiedy Hux ją rozgrzewała. Była jeszcze sina i trzęsa się jak osika, ale sprawiała wrażenie cholernie pewnej tego, co widziała. Zmusiła mnie do powtórzenia, że tamten duży statek miał prostokątny kształt. A teraz nic sobie nie przypomina?

- Uważamy, że wszystko pamięta, tylko się do tego nie przyznaje - powiedział Max.

- Dlaczego?

Juan sprawdził harmonogram dyżurów.

- Pytanie za milion dolarów. Odpowiedz na nie, to dostaniesz miejsce na parkingu pracowniczym.

- Miły dodatek, ale mój samochód stoi piętnaście tysięcy kilometrów stąd w garażu w Richmond.

- Linda spoważniała. - Jak już wspomniałam, miałam wrażenie, że Tory usiłuje złożyć mi raport, jakbym była jej oficerem prowadzącym.

Juan nie zakwestionował jej oceny. Linda, która służyła w wywiadzie marynarki wojennej, przyjmowała wiele takich raportów i potrafiła zorientować się w sytuacji.

- Nie była pewna, czy przeżyje, więc musiała komuś powiedzieć, co widziała.

Linda przytaknęła.

- Tak to odebrałam.

- A teraz wie, że nic jej nie będzie, więc milczy. Coś mi się zdaje, że panna Ballinger jest kimś więcej niż skromną badaczką mórz.

- To by wyjaśniało, jakim cudem udało jej się przetrwać i nie oszaleć - dodał Max.

Juan zdał sobie sprawę, że są zaangażowani w coś dużo poważniejszego niż uwolnienie Morza Japońskiego od piractwa. Jeśli mogli wierzyć Tory - a nie ma nic bardziej szczerego niż wyznanie na łożu śmierci - na tych wodach grasowały dwie grupy piratów: rozwydrzona banda, z którą walczyli ostatniej nocy, i ludzie w czarnych mundurach, którzy zaatakowali „Avalona”. Tory powiedziały Lindzie, że działali sprawnie i szybko. Kojarzyli się bardziej z komandosami niż z niezdyscyplinowaną hałastrą próbującą opanować „Oregona”. Tory zauważyła też w czasie ataku dwa tajemnicze statki. A nieszczęśni chińscy imigranci zamknięci w kontenerze? Zapłacili najwyższą cenę za to, że znaleźli się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze, czy byli w to jakoś wplątani?

Juan nie rozumiał, dlaczego Tory odmawia współpracy. Gdy ją znalazł, była przytomna, powinna więc pamiętać, co pisał na swojej tabliczce. Powiedział jej, że prowadzi firmę ochroniarską, która zajmuje się zwalczaniem piractwa. Czy to zadanie kolidowało w jakiś sposób z tym, co robiła? Nie wydawało się to prawdopodobne, ale nie mógł tego wykluczyć.

Uznał, że najlepiej będzie pozbyć się jej z „Oregona” jak najszybciej, żeby mogli samodzielnie kontynuować łowy. Wierzył, że jego ludzie rozwiążą tę zagadkę i dowiedzą się, o co naprawdę chodzi.

Mark Murphy nie miał wachty, ale Cabrillo był zadowolony, że widzi go na stanowisku ogniowym. Mark nosił dziś koszulkę z koncertu zespołu Peking Muses. Znając jego muzyczny gust, Juan wcale się nie dziwił, że nigdy o nich nie słyszał. Dostrzegłszy go, Murph zdjął słuchawki. Mimo dzielącej ich odległości Cabrillo usłyszał jakiś utwór techno, odtwarzany tak głośno, że mogły popękać bębny w uszach.

- Poszperasz trochę w komputerze, Murph?

- Jasne. Co się urodziło?

- Szukam statku takiej wielkości, że można go pomylić z wyspą i o prostokątnej sylwetce.

- Tylko tyle?

- Podobno był w tym rejonie cztery dni temu.

Cabrillo źle zrozumiał rozczarowanie Murpha. Mark spodziewał się większego wyzwania.

- Więc muszę szukać albo dużego kontenerowca, albo supertankowca, albo lotniskowca.

- Wątpię, żeby to był lotniskowiec, ale nie wykluczaj takiej ewentualności.

Obsługa wszystkich stanowisk na mostku kapitańskim miała dostęp do głównego komputera

„Oregon”, więc Murphy nie musiał zmieniać miejsca, by wejść do morskiej bazy danych i przyjrzeć się żegludze na Morzu Japońskim. Siedział pochylony nad klawiaturą i wystukiwał nogą rytm muzyki w swoich słuchawkach.

- Co z helikopterem z Japonii?
- Ma tu być za trzy godziny - odparła Linda.

Ponieważ w rejonie panował duży ruch, w stumilowym zasięgu radaru „Oregon” było pięć statków, nie mogli ryzykować zdemaskowania, wykorzystując w pełni moc potężnych silników. Płynęli z prędkością zaledwie dwudziestu dwóch węzłów, co opóźniało spotkanie z wycarterowanym śmigłowcem.

- Dobra, wracam do siebie, żeby zawiadomić Hiro Katsui, że jego konsorcjum jest nam winne dwa miliony dolców. Dajcie mi znać, jeśli Mark coś znajdzie, albo kiedy helikopter będzie dziesięć mil od nas.

- Tak jest, prezesie. Wygaszacz ekranu od półtorej godziny pokazywał na wyświetlaczu ciekłokrystalicznym figury geometryczne. Juan siedział za biurkiem i patrzył niewidzącym wzrokiem na komputer. Dotychczas napisał zaledwie jednaście słów raportu dla Hiro. Nawet jeśli pominąć powściągliwość Tory, nic nie pasowało do siebie. Czy „Avalona” zaatakował oddział komandosów? A jeżeli tak, to dlaczego? Żeby załoga nie zobaczyła, co się dzieje na dwóch tajemniczych statkach?

Najprawdopodobniej. Czy Mark mógł mieć rację, że to był lotniskowiec i operacja rządowa?

Problem polegał na tym, że jedyną marynarką wojenną w tym rejonie posiadającą lotniskowce były siły morskie Stanów Zjednoczonych. Chiny chciały kupić jeden od Rosji, ale o ile Juan się orientował, negocjacje wciąż trwały. I nie było mowy, by piraci zdobyli lotniskowiec. Tory musiała widzieć coś innego. Juan nie wykluczał, że jej statek zaatakowali wyszkoleni komandosi, tylko nie wiedział, jak ich powiązać z piratami, których na zlecenie Hiro miała wytępić Korporacja. Działali razem?

Zadzwęczał jego interkom.

- Juan, tu Julia. Możesz do mnie zejść?

Cabrillo z ulgą oderwał się od dręczących go pytań, wyszedł z kajuty i poszedł na dół do izby chorych.

Zastał Julię w pomieszczeniu wyposażonym jak najnowocześniejsza sala pomocy doraźnej. Panowała w nim temperatura osiemnastu stopni Celsjusza. Na stole, oświetlonym silnymi lampami, leżało przykryte ciało. Julia miała na sobie zielony kitel chirurgiczny i lateksowe rękawiczki ubrudzone krwią. Potężne wentylatory usuwały z pomieszczenia odór, mimo to Juan poczuł zapach rozkładu.

- Jeden z chińskich imigrantów? - spytał, wskazując zwłoki.
- Nie, jeden z piratów. Chcesz zobaczyć?

Odkryła ciało. Trup nigdy nie jest przyjemnym widokiem, a zwłaszcza z dużym nacięciem w kształcie litery Y, które zrobiła Julia, żeby otworzyć klatkę piersiową i jamę brzuszną. Pirat był młody, najwyżej dwudziestoletni, i chudy, jakby głodował. Miał proste czarne włosy, stwardniałą skórę na palcach rąk i odciski. Adidasy, w których dostał się na „Oregona”, pewnie zostały ukradzione w czasie poprzedniego napadu i były pierwszymi, jakie posiadał. Na środku jego czoła widniał okrągły, poszarpany otwór - ślad po pocisku, ohydne trzecie oko.

Cabrillo nie negował brutalności piratów, ale jednocześnie współczuł zabitemu. Nie wiedział, co go popchnęło do przestępstwa, lecz uważał, że chłopak powinien być z rodziną, a nie leżeć na stole jak przekrojony okaz.

- Co ustaliłaś? - zapytał Julię, kiedy zakryła głowę nieboszczyka.  
- Facet był trupem.  
- Domyślam się, skoro zrobiłaś sekcję.  
- Chodzi mi o to, że nawet gdyby nie zginął od postrzału w głowę, i tak by umarł za kilka miesięcy. - Przywołała go do komputera i wskazała spektrogram na ekranie. Cabrillo nie miał pojęcia, co to za linie. Na widok jego miny wyjaśniła:

- Widzisz tu próbkę włosa w spektrometrze optycznym. - Korporacja kupiła urządzenie za milion dolarów nie tylko na użytek Julii, lecz również do analizowania śladów będących dowodami przestępstw. Dzięki niemu rok wcześniej udało im się wpaść na trop zaginionego transportu materiału wybuchowego RDX. - Podczas badania zauważyłam dość charakterystyczne objawy. Przede wszystkim groziła mu wkrótce całkowita dysfunkcja nerek. Miał też poważną anemię i zapalenie dziąseł w zaawansowanym stadium. Zauważyłam zmiany chorobowe w całym przewodzie pokarmowym i krwawe strupy w obu nozdrzach. To mi nasunęło pewne podejrzenie, które potwierdziła próbka włosa.

- Jakie?  
- Ten facet był długo narażony na działanie rtęci.  
- Rtęci?  
- Tak. Rtęć, tak jak inne metale ciężkie, odkłada się w tkankach i włosach. W końcu powoduje śmierć, ale przedtem uszkadza mózg i wywołuje obłęd. Założę się, że jeśli obejrzysz nagranie wideo z ataku piratów, zobaczysz, że ci faceci walczyli tak, jakby nie zależało im na życiu. U tego zatrucie rtęcią doszło do takiego stadium, że pozbawiło go zdolności oceny sytuacji. Walczyłby bez względu na wszystko.

- Niektórzy próbowali uciec - przypomniał Juan.  
- Nie wszyscy byli w takim stadium choroby.  
- A co z Chińczykami?  
- Sprawdziłam toksyczność tylko jednych zwłok. Kobiety. Nie była zatruta rtęcią.  
- Ale ten facet był?  
- Mógłbyś nim napełnić kilka termometrów. U jego dwóch towarzyszy stwierdziłam to samo. Założę się, że wszyscy cierpieli na tę chorobę, w mniejszym lub większym stopniu.

Juan potarł podbródek.

- Gdybyśmy znaleźli źródło rtęci, może trafilibyśmy do kryjówki piratów.

- Możliwe - zgodziła się Julia i ściągnęła rękawiczki. Zdjęła czepek chirurgiczny i z wprawą związała włosy w koński ogon. - Można się zatruć rtęcią jedząc skażone ryby, ale jest to niebezpieczne głównie dla dzieci i kobiet w ciąży. Ci faceci musieli przebywać blisko skażonego obiektu przemysłowego lub dawnej kopalni rtęci.

- Orientujesz się, czy w tym rejonie jest coś takiego?

- Moja robota polega na rozwiązywaniu zagadek medycznych i składaniu was do kupy - odparła Julia. - Jeśli jest ci potrzebna lekcja geologii, zwróć się do kogoś innego.

- A co z ich tożsamością etniczną? To mogłoby zawęzić obszar poszukiwań.

- Piętnastu piratów, których tu mam, to prawdziwe ONZ. Ten wygląda na Taja lub Wietnamczyka. Trzech innych to Chińczycy albo Koreańczycy. Jest dwóch białych, Indonezyjczyk i Filipińczyk. Reszta to mieszanka wszystkich pozostałych nacji.

- Super - rzucił kwaśno Juan. - Mieliśmy szczęście natknąć się na bandę poprawnych politycznie piratów, którzy wierzą w przyjaźń między narodami. Coś jeszcze?

- Na razie tyle. Potrzebuję kilku dni, żeby wszystko zakończyć.

- A co z twoją pacjentką?

- Śpi. Albo udaje, żeby ze mną nie rozmawiać. Czuję, że chce stąd jak najszybciej zniknąć.

- Jakoś mnie to nie dziwi. Dzięki, Hux.

Juan zdążył wrócić do swojej kajuty i zamówić na lunch pasztet z wątróbek i stek, gdy do drzwi zapukał Mark Murphy.

- Co masz, Murph?

- Chyba go znalazłem.

- Siadaj. Masowiec czy kontenerowiec?

- Ani jedno, ani drugie. - Mark podał Juanowi cienką teczkę. Zawierała pojedyncze zdjęcie i półstronicowy opis.

Cabrillo zerknął na fotografię i spojrzał pytająco na Murphy'ego.

- Jesteś pewien?

- Płynie na Tajwan z Oratu w Japonii, gdzie wykorzystano go do naprawy panamskiego tankowca, który stracił śrubę w czasie sztormu.

Juan znów popatrzył na zdjęcie. Jednostka miała dwieście czterdzieści cztery metry długości i siedemdziesiąt trzy szerokości. Była prostokątna, tak jak opisała Tory. Linia dziobu ani rufy nie biegła skośnie, nic nie wystawało z pokładu i nie zakłócało konturu płaskiej sylwetki. Juan przeczytał to, czego Mark zdołał się dowiedzieć o dziwnej jednostce. Była czwartym największym pływającym suchym dokiem na świecie. Zbudowano go w Rosji do obsługi dużych okrętów podwodnych klasy Oscar II, takich jak pechowy „Kursk”. Rok temu dok kupiła niemiecka firma ratownictwa morskiego, ale sprzedała go indonezyjskiemu towarzystwu żegludowemu, które wynajmowało go innym do transportu wraków.

Juanowi skoczyło tętno.



Używanie suchego doku do porwania statków na morzu byłoby oryginalnym, ale jednocześnie przerażającym pomysłem. Cabrillo obawiał się, że ktoś zjednoczył piratów na Pacyfiku i stworzył z nich zorganizowaną grupę, ale to mógł być czubek góry lodowej. W suchym doku tej wielkości mogliby ukryć prawie każdy statek.

Wyobraził sobie takie porwanie. Najpierw musieliby się dostać na wybrany cel, żeby pokonać załogę. Potem popłynęliby zagarniętym statkiem na spotkanie z suchym dokiem. Pod osłoną nocy i tylko przy sprzyjających warunkach pogodowych, gdyż operacja byłaby niebezpieczna, obciążyliby suchy dok, żeby dno jego otwartej ładowni znalazło się niżej niż kil porwanej jednostki. Potem potężne wciągarki na rufie doku wciągnęłyby statek do środka. Wrota dziobowe zostałyby zamknięte, balast wypompowany i holowniki ciągnące dok ruszyłyby w dalszą drogę. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że w środku jest łup najbardziej zuchwałych piratów. Byłby widoczny tylko z powietrza podczas przelotu bezpośrednio nad dokiem.

- Całkiem sprytne, co, szefie?

- Owszem.

- Podpływają, połykają ofiarę i holują do swojej tajnej bazy. - Mają potem mnóstwo czasu na wyładunek i rozmontowanie statku. Ci faceci nie polują jak hieny, tylko jak lwy.

- Ale po co rozmontowywać statek? - zastanawiał się Cabrillo. - Można zmienić jego wygląd, usunąć charakterystyczne elementy, namalować nową nazwę i albo go sprzedać, albo zatrzymać dla siebie.

- Nie pomyślałem o tym, ale to ma sens.

- Co wiemy o właścicielu doku? Zaczekaj, jak on się nazywa?

- Dok? - zapytał Murphy. Cabrillo przytaknął. - „Maus”.

- To po niemiecku „mysz”. Fajnie. A firma, która jest jego właścicielem?

- Occident and Orient Lines. O&O. Istnieje od około stu lat. Jej akcje były w obrocie publicznym, ale w ciągu ostatniej dekady większość kupiły nieznane nikomu osoby prawne.

- Podstawione spółki?

- Z ograniczoną odpowiedzialnością. Tak fikcyjne, jak ich nazwy. D Commercial Advisors. Ajax Trading. Equity Partners International. Financial Assay. Doradztwo. Handel. Finanse. Górnictwo...

- Zaczekaj - przerwał Juan. - Julia mówiła, że piraci byli śmiertelnie zatruci rtęcią. Mogą mieć bazę w pobliżu opuszczonej kopalni rtęci. Ciekawe, czy któraś z tych spółek ma kopalnie w tym regionie.

- Jeszcze nie zacząłem ich prześwietlać. Myślałem, że najważniejszy jest suchy dok.

- Słusznie, ale musisz jeszcze poszperać. Chcę wiedzieć, kto naprawdę jest właścicielem „Mausa”. Nie chodzi mi o papierową firmę, tylko o konkretnego faceta.

- Co zrobimy z tym suchym dokiem? Jeśli ta Brytyjka powiedziała prawdę, w jego ładowni może być jakiś porwany statek z załogantami trzymanymi jako zakładnicy.

- Najmocniejsze holowniki świata nie pociągnęłyby takiego kolosa z prędkością większą niż sześć, siedem węzłów. Kiedy możemy go dogonić, jeśli rozwiniemy pięćdziesiąt?

Murph uśmiechnął się jak nastolatek, któremu dano kluczyki do Ferrari. Wstał.

Juan szybko podjął decyzję. Wiedział, że w pewnym momencie będzie musiał podzielić swój zespół. „Oregon” był doskonałą platformą do operacji szpiegowskich, ale Cabrillo potrzebował

swobody człowieka na łądzie, który może podróżować samolotami. Nie miał pojęcia, dokąd go zaprowadzi ta sprawa. Najprawdopodobniej do Indonezji, jeśli nadal istnieje tam biuro O&O. Nadszedł czas, by zacząć działać.

- Bądź tak dobry i znajdź Eddiego Senga. Powiedz mu, żeby spakował trochę sprzętu. Ale takiego, który nie wywoła alarmu w międzynarodowych portach lotniczych. Niech wybierze dwóch ludzi. Polecimy helikopterem Tory Ballinger zapolować na hieny i lwy.

- Ale gdzie?

Juan stuknął palcem w teczkę z raportem.

- Znajdź odpowiedź, zanim wylądujemy w Japonii.

## 9

Anton Sawicz wolałby się spotkać z Shere'em Singhiem w jego biurze w wieżowcu w śródmieściu Dżakarty, ale uparty Sikh chciał się z nim koniecznie zobaczyć w swoim nowym przedsiębiorstwie po drugiej stronie Cieśniny Sundajskiej, na Sumatrze. Po latach podróżowania po Związku Radzieckim samolotami Aeroflotu Sawicz bał się latania, więc mimo fatalnego poziomu bezpieczeństwa na indonezyjskich statkach popłynąłby promem, ale został uratowany, kiedy Singh zaproponował mu skorzystanie z jego firmowego helikoptera.

Sawicz patrzył przez pożółkłą pleksiglasową szybę na plażę pod śmigłowcem, która wydawała się chronić dżunglę przed morzem. Wioski w dziewiczym krajobrazie wyglądały tak, jakby nie zmieniły się od pokoleń. Drewniane łodzie rybackie w ustronnych zatoczkach zbudowali prawdopodobnie dziadkowie ludzi, którzy żeglowali nimi dzisiaj. Łąd na lewo od helikoptera zasłaniał nieprzenikniony gąszcz roślinności, niewykarczowanej jeszcze pod uprawy ani nie wyciętej na tarcicę. Na prawo rozciągało się niebieskie, nieskazitelnie czyste morze. Niskie fale pruć dwumasztowy szkuner z wydętymi żaglami, zapewne przybrzeżny frachtowiec. Wyglądał jak z XIX wieku.

Jak ludzie żyjący na tym rajskim archipelagu mogli stworzyć takie miasto jak Dżakarta, z osiemnastoma milionami mieszkańców, korkami ulicznymi, przestępczością, biedą, chorobami i smogiem, trującym niczym gaz musztardowy w czasie pierwszej wojny światowej? W swoim pędzie do nowoczesności Indonezyjczycy przejęli z Zachodu wszystko, co najgorsze, i odeszli od tego, co było najlepsze w ich kulturze. W kraju szerzyły się konsumpcjonizm, korupcja i fanatyzm religijny, grożący katastrofą. Anton dowiedział się swoimi kanałami, że Stany Zjednoczone potajemnie rozmieściły na wyspach ponad tysiąc żołnierzy, by pomóc wyszkolić lokalne siły zbrojne do wojny XXI wieku.

Pilot postukał Sawicza w ramię i wskazał na wprost. Rosjanin niechętnie oderwał wzrok od płynącego spokojnie żaglowca i skupił uwagę na celu ich podróży. Kompleks w zatoce zasłaniał skalisty cypel, więc zobaczył tylko flotyllę statków na kotwicy. Nawet z tej odległości i wysokości zauważył, że to wraki, stalowe skorupy dumnych niegdyś jednostek, które już przestały być potrzebne. Niektóre spoczywały w lśniących kręgach własnego paliwa niczym ludzkie trupy w kałużach swojej

krwi i nieczystości. Jeden stał tutaj od tak dawna, że jego kil przeżarła rdza. Dziób i rufa celowały w niebo, zgnieciony komin tkwił między nimi jak w gigantycznym dziadku do orzechów. Ćwierć drogi do horyzontu poplamiona olejem pływająca zaporą tworzyła szeroki łuk wokół zatoki. Wrota obsługiwały dwa małe tendery - otwierały je i wpuszczały statki. Żaden z nich już nigdy nie opuścił obiektu, przynajmniej morzem.

Helikopter okrążył cypel i ukazało się złomowisko Karamita Breakers Yard. W zatoce były zacumowane kolejne jednostki pływające wszystkich rodzajów i wielkości. Przypominały bydlę w drodze na rzeź. Dwa supertankowce o długości co najmniej trzystu metrów wciągnięto wielkimi wciągarkami na pochyłą plażę, w czym pomógł wysoki przyływ. Na wrakach roiło się od robotników z palnikami spawalniczymi, przy każdym zetknięciu płomienia z metalem sypały się iskry. Na linii przyboju stał żuraw na szerokich gąsienicach. Podnosił stalowe części kadłubów, gdy tylko zostały odcięte, i przenosił na plażę, gdzie inni robotnicy cięli je i zgniatali na mniejsze kawałki. Oddzielne ekipy wrywały z kadłubów statków rury i przewody elektryczne. Patroszyły supertankowiec niczym tuszę przeznaczoną do konsumpcji.

W pewnym sensie tak było. Złom ładowano na wagony kolejowe i po krótkiej podróży na północ trafiał do huty Karamita Steel Works. Tam go przetapiano i produkowano z niego pręty zbrojeniowe, dostarczane następnie do południowych Chin, gdzie trwał boom budowlany. Za nowoczesną stalownią lśniło sztuczne jezioro z największą indonezyjską hydroelektrownią umożliwiającą funkcjonowanie przemysłu ciężkiego w niegościnniej skądinąd dżungli.

Czysty niegdyś piasek na plaży wokół zatoki poczerniał i stał się smolistą masą która przylepiała się do stóp jak glina. Morze za pływającą zaporą było chronione, ale woda w zamkniętym akwenie dawno zamieniła się w toksyczną zupę z oleju, metali ciężkich, polichlorku bifenylny i azbestu. Na hektarach ziemi składowano kotły okrętowe, szalupy, kotwice i setki innych rzeczy nadających się do odsprzedaży. Za ogrodzonymi terenami wznosiły się tuziny bezbarwnych noclegowni, niewiele lepszych od czynszówek. Wzdłuż linii kolejowej obozowały prostytutki, oszuści i naciągacze, szukający okazji, by oskubać robotników z ich nędznej dniówki za przekształcanie starych statków w złom.

Sawicz zauważył, że powoli ubywa lasu za kompleksem. Tysiące robotników wycinały drzewa, by gotować jedzenie na ogniskach. Choć powietrze nie było skażone, bo hydroelektrownia, oddalona o piętnaście kilometrów na północ, nie musiała być opalana węglem ani ropą nad złomowiskiem wisiała chmura przemysłowych zanieczyszczeń, miazmatów jego własnego rozkładu i brudu.

Ale w tym procesie uczestniczył jeden nowoczesny element, i bez wątpienia właśnie to chciał Sawiczowi pokazać Shere Singh. Za dwoma tankowcami stała lśniąca hala z blachy falistej, z tuzinami świetlików w dachu, niemal tak duża jak te statki. Dwie trzecie budynku o długości dwustu czterdziestu metrów wystawały nad wodę i wspierały się na grubych palach. Od strony lądu do wnętrza prowadziły cztery tory kolejowe. Kiedy helikopter przelatywał nad halą Sawicz zobaczył dwie pary małych lokomotyw dieslowskich, które wyciągały na zewnątrz półtorametrowe fragmenty statku. Rozpoznał krzywiznę kadłuba, gruby kil i wewnętrzne przejścia, jakby patrzył na przepołowiony model. Ale pomyślał, że przypomina to raczej przekrojony bochenek chleba. Przecięcia biegły idealnie prosto, metal błyszczał srebrzyście w tropikalnym słońcu. Rosjanin nie pojmował, jak można przepiłować tak równo wielki statek.

Ładowisko helikopterów znajdowało się kilka kilometrów od złomowiska, odgrodzone od hałasu i smrodu skalistym wzniesieniem. Otaczały je zadbane trawniki i bungalowy dla kierowników,

urzędników i wykwalifikowanych robotników. Przy płycie czekał odkryty dżip. Stojący obok kierowca pomógł Sawiczowi przenieść bagaż. Rosjanin nie zamierzał zostawać w Indonezji dłużej, niż to będzie konieczne, więc miał ze sobą tylko neseser i skórzaną torbę sportową. Resztę bagażu zostawił w schowku na lotnisku. Pozwolił kierowcy włożyć torbę na tył dżipa, ale neseser z cielejącej skóry trzymał w czasie jazdy na kolanach.

Upłynęło kilka chwil, zanim odzyskał słuch po godzinnym locie helikopterem. Natychmiast dotarły do niego odgłosy nożyc pneumatycznych, hałas mechanicznych przebijaków i przeraźliwy warkot niezliczonych generatorów. Żuraw opuścił z łomotem na plażę dziesięcotonową metalową płytę. Kilka sekund później otoczyli ją robotnicy z młotami kowalskimi i elektrycznymi piłami do cięcia stali. Byli obszarpani i Sawicz zobaczył na ich nogach, piersiach i ramionach ciemne blizny po kontakcie z gorącym, ostrym metalem. Niejeden stracił oko, palce lub część stopy.

Z zamkniętego budynku dobiegł przeszywający dźwięk, który przeciął powietrze jak diament szkło. Jazgot trwał minutę, potem drugą. Kierowca zaoferował Rosjaninowi nauszники ochronne. Sawicz przyjął je z wdzięcznością i włożył. Hałas przycichł na tyle, że przestały mu łzawić oczy. Ku jego zdumieniu robotnicy kontynuowali pracę, jakby nic nie słyszeli. Kierowca też wydawał się obojętny na przenikliwy dźwięk.

Dżip zatrzymał się przed wielkim magazynem w momencie, gdy odgłos nagle umilkł. Sawicz nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech. Wypuścił z ulgą powietrze i zapytał gestem kierowcę, czy można już zdjąć nauszники ochronne. Indonezyjczyk przytaknął.

- Przepraszam - powiedział po angielsku. - My jesteśmy do tego przyzwyczajeni.

- Co to było? - spytał Sawicz.

- Piła do wraków - odrzekł kierowca i skierował go do zewnętrznej windy, która kursowała wzdłuż ściany dziewięciopiętrowego budynku.

Tam przekazał Sawicza innemu pracownikowi. Rosjanin dostał kask ochronny z nausznikami. Pracownik zatrzasnął drzwi windy, wcisnął przycisk i czekał cierpliwie, aż kabina wjedzie na górę. Choć widok nie robił takiego wrażenia jak podczas lotu helikopterem, Sawicz podziwiał skalę przedsięwzięcia Singha. Wyglądało na to, że następnym wrakiem, który podzieli los rdzewiejących tankowców, będzie mały biały statek wycieczkowy. Kojarzył się z niewinną panną młodą wśród prostytutek. W jego kadłubie już wycięto kwadratowy otwór i teraz pływający żuraw prznosił urządzenie odsalające statku na czekającą lichtugę.

Gdy winda dotarła na szczyt budynku, pracownik rozsunął dwuczęściowe drzwi. Sawicz poczuł odór gorącego metalu i gryzące opary. Skrzywił się i zamrugał. Kiedy jego wzrok przyzwyczaił się do mroku w środku, zobaczył, że wewnątrz jest jedną wielką przestrzenią z masywnymi wrotami na obu końcach. Mimo dużej powierzchni wydawało się ciasne, bo większość miejsca zajmował wielki statek. Lub raczej to, co z niego zostało.

Pomost, na którym stali, był niemal w jednej linii z jego mostkiem. Przed wciągnięciem statku do hali robotnicy odcięli komin i maszty, żeby zmieścił się w środku. Prawie połowa kadłuba została ucięta równo jak gilotyną. Potężne wciągarki z przodu budynku ciągnęły wrak w górę po pochyłej podłodze. Kiedy znalazł się na właściwym miejscu, spod sufitu opuściło się urządzenie na szynie i opasało kadłub czymś o wyglądzie wielkiego łańcucha. Sawicz przyjrzał się bliżej. Łańcuch był najeżony metalowymi zębami jak elastyczna piła taśmowa.

- I co pan o tym myśli, przyjacielu? - zawołał gospodarz z mostka zełmowanego frachtowca.

Jak wszyscy Sikhowie, Shere Singh nosił długą brodę i ciasno zwinięty turban. Kask ochronny trzymał się niepewnie na szycie białego zawoju jak dziecinny hełm do zabawy. Na włosach i brodzie Singha widniały siwe pasma, zarost wokół ust był odbarwiony od długoletniego nałogowego palenia. Sikh miał ogorzałą cerę, piwne oczy o intensywnym, niemal maniakałnym spojrzeniu i denerwujący zwyczaj wpatrywania się w człowieka bez mrugania. Był szerokim w barach osiłkiem z wydatnym brzuchem i beczkowatą klatką piersiową, wyższym o dobre piętnaście centymetrów od Rosjanina, który miał metr siedemdziesiąt osiem wzrostu.

Sawicz wiedział z dossier dostarczonego przez Bernharda Volkmana, że pięćdziesięciodwuletni Singh pochodzi z dzielnicy nędzy w Lahore, gdzie od najmłodszych lat wykorzystywał swoją posturę i siłę do zastraszania innych. Pierwszą legalną pracę podjął w wieku dwudziestu sześciu lat, kiedy kupił pakiet kontrolny pakistańskiej firmy importowo-eksportowej w okresie, gdy Stany Zjednoczone pompowały w ten region pieniądze, by przeciwdziałać radzieckiej okupacji Afganistanu. Mimo zbrojnego konfliktu w tym górzystym kraju przemytnicy opium zawsze znajdowali sposób na dostarczenie swojego towaru do Karaczi, a Singh wysyłał ich surowiec do wytwórców heroiny w Amsterdamie, Marsylii i Rzymie.

Wiedział, że amerykańska pomoc zapewni Afgańczykom zwycięstwo, więc zanim do władzy doszli talibowie i zlikwidowali handel opium, skierował uwagę gdzie indziej. Za łapówki uzyskał pozwolenia na wyrąb lasów w Malezji, Indonezji i na Nowej Gwinei. Kupił flotyllę statków, by transportować tarcicę. Sprzedał swoje prawo do polowań bogatym Chińczykom, żeby mogli zabijać na jego ziemi tygrysy i produkować z ich kości afrodyzjaki. Prawie w każdym legalnym przedsięwzięciu Singha było coś niedozwolonego. Cztery z dwunastu bloków mieszkalnych, zbudowanych przez jedną z jego firm na Tajwanie, zawały się w czasie łagodnego trzęsienia ziemi, bo kazał użyć lichych materiałów. Dopóki jego majątek rósł, Shere Singh nie dbał o to, jak i gdzie robi pieniądze.

Kiedy Sikh przeszedł na pomost, Sawicz pomyślał, że w działalności złomowiska Karamita bez wątplenia też jest coś nielegalnego.

- Robi wrażenie - odrzekł Rosjanin, patrząc na to, co kierowca nazwał piłą do wraków. Unikał gadziego spojrzenia Singha.

Sikh zapalił papierosa na wprost znaku „Palenie wzbronione”.

- Jedyne takie urządzenie w Azji - pochwalił się. - Cały dowcip polega na tych zębach. Rozrywają nawet stal węglową. Są zrobione z metalu niemieckiej produkcji. Najmocniejszego na świecie. Jeden komplet wystarcza do pocięcia dziesięciu wraków. Sprowadziłem techników z Hamburga, żeby nauczyli nas obsługi. Nazywamy to „dentystą”. - Sawicz się nie roześmiał, więc Singh wyjaśnił: - Wie pan, od tych zębów. Dobrze, nie?

Rosjanin wskazał szerokim gestem halę.

- To musiało kosztować.

- Nie ma pan pojęcia ile. Ale rząd indonezyjski zwolnił mnie tymczasowo z podatków w zamian za to, że zmodernizuję moją firmę. Oczywiście nie pomyśleli, że dzięki temu będę mógł wylać tysiąc robotników. Te mały są niezdarne. Ilekroć któryś zabije się przy rozwalaniu statku, wypłacam rodzinie sto tysięcy rupii. W zeszłym tygodniu zginęło piętnastu, bo przecinacz nie spuścił paliwa ze zbiornika na bunkrowcu i wysadził w powietrze kontenerowiec w zatoce.

- Ale teraz, kiedy mam piłę do wraków, inspektorzy nie będą się tutaj tak często kręcili. Cały azbest wyrwany ze statków będę mógł wyrzucać z powrotem do morza, zamiast wywozić na specjalne składowisko. Przy spadku cen złomowanych wraków, wzroście wartości stali i skreśleniu tysiąca indonezyjskich małych z mojej listy płac zwróci mi się to za dwa lata. Więc owszem, to było drogie, ale na dłuższą metę opłacalne. - Singh znów spróbował zażartować: - Zawsze mówię, że życie to maraton.

Rozległ się alarm. Singh włożył nauszники ochronne. Sawicz ledwo zdążył zrobić to samo, gdy ostrze piły o szerokości dwudziestu centymetrów ruszyło. Obracało się gładko i grzechotało tylko wtedy, kiedy biegło po dwóch wielkich kołach łańcuchowych pod sufitem. Niczym boa dusiciel zgniatający swoją ofiarę hydrauliczne tarany zaczęły dociskać piłę do frachtowca półtora metra za poprzednim przecięciem. Gdy łańcuch osiągnął wymaganą prędkość, tarany napały jeszcze mocniej i zęby wgrzyły się w kil statku. Metalową halę wypełnił przeraźliwy dźwięk. Odbijał się od ścian i docierał do mężczyzn na pomoście ze wszystkich kierunków. Armatki wodne po obu stronach kadłuba sunęły automatycznie za zębatym pasem, nawilżając i chłodząc miejsce cięcia. Tam, gdzie zęby rozrywały kil statku i rozgrzewały stal do czerwoności, leciały wióry i buchała para. Z rozcięcia unosił się gęsty, cuchnący dym. Po przejściu przez grubą kil ostrze przecięło dużo cieńsze poszycie kadłuba jak piłą łańcuchową spróchniałe drewno.

W zaledwie dziesięć minut obracający się zębata pas dotarł do głównego pokładu. Sawicz przyglądał się zafascynowany, jak przecinany metal rozżarza się od gorąca. Łańcuch rozerwał stal i przeszedł przez relingi frachtowca, jakby ich nie było. System hamulcowy zatrzymał piłę i całe urządzenie wróciło pod sufit. Odcięta część kadłuba została już przymocowana do suwnicy bramowej w hali. Dźwig unióś fragment statku, przednie wrota budynku otworzyły się i cztery małe lokomotywy wjechały tyłem do środka, by zabrać ładunek.

- Położą go na placu - wyjaśnił Singh. - Robotnicy potną to ręcznie i wyślą do huty. Jedyne części statku, których nie możemy ciąć tą piłą to diesle, ale łatwo je wymontować po wycięciu drogi do maszynowni.

Ręczna rozbiórka wraka tej wielkości trwa dwa tygodnie. Nam zajmuje dwa dni.

- Robi wrażenie - powtórzył Sawicz.

Singh poprowadził Rosjanina z powrotem do windy.

- Więc jaką sprawę ma do mnie Volkmann, że przysłał pana tutaj z drugiego końca świata?

- Porozmawiamy o tym w pańskim biurze.

Piętnaście minut później siedzieli w przybudówce największego bungalowu. Na jednej ścianie, gdzie dominowała fotografia portretowa żony Sikha, potężnej matrony o gamoniowatym wyrazie twarzy, wisiały oprawione zdjęcia jego jedenaściorga dzieci. Sawicz podziękował za piwo i wybrał wodę mineralną. Zanim otworzył neseser, Singh pił już drugą butelkę filipińskiego san miguel.

- Konsorcjum zaakceptowało wszystko, co im zaproponowaliśmy razem z Volkmannem - powiedział Rosjanin. - Czas rozwinąć to, co zaczęliśmy.

Sikh roześmiał się.

- Mieli jakieś wątpliwości?

Sawicz zignorował sarkazm i podsunął mu akta.

- To są nasze potrzeby na najbliższy rok. Może pan je zaspokoić? Singh włożył okulary do czytania na wielki nos i zaczął odczytywać liczby:

- Dodatkowy tysiąc natychmiast, dwieście miesięcznie przez pierwsze dwa miesiące. Po czterysta w ciągu dwóch następnych. Potem po sześćset. - Podniósł wzrok na Rosjanina. - Skąd ten wzrost?

- Choroby. Przewidujemy, że rozprzestrzenia się tyfus i cholera.

- Aha.

Szczegóły omawiali kilka godzin. Sawicz chciał mieć pewność, że Singh dobrze zrozumie cały plan, który on i Volkmann udoskonalili od czasu, kiedy się dowiedzieli, że niemiecki bank centralny zamierza sprzedać rezerwy złota. Na swoje szczęście, czy może nieszczęście, Sikh miał wrodzony talent do prowadzenia przestępczej działalności i zdołał dorzucić kilka celnych uwag.

Zadowolony, że od tej strony wszystko załatwił, Sawicz pożegnał się dwie godziny przed zachodem słońca, by mieć czas na powrót helikopterem do Dżakarty. Nie było mowy, żeby poleciał małym śmigłowcem po zmroku. Zamierzał przenocować w mieście, a rano rozpocząć następny etap podróży, długą odyseję powietrzną z kilkoma przesiadkami, by powrócić okrężną drogą do Rosji. Nie uśmiechało mu się to.

Dziesięć minut po wyjściu Rosjanina z biura złomowiska Karamita Shere Singh rozmawiał przez telefon z synem Abhayem. Ze względu na charakter swojej pracy Singh senior ufał tylko synom, wtajemniczonym we wszystkie jego interesy. Miał ich sześciu. Pięć córek tylko ciągnęło od niego pieniądze. Jedna nie wyszła jeszcze za mąż, więc czekał go wydatek na posag. Była najmłodsza i trochę ją faworyzował, toteż powinna dostać więcej niż dwa miliony dolarów, które dał Mamcie z końską twarzą.

- „Kra IV” nie odzywa się od dwóch dni - oznajmił najstarszy syn Singha po krótkiej wymianie uprzejmości.

- Kto jest jej kapitanem?

- W tym rejsie Mohamed Hattu.

Singh był ciemnym typem, co jednak nie oznaczało, że nie jest bystry. Krótce trzymał pracowników swoich przedsiębiorstw i znał cały starszy personel. Hattu, pirat ze starej szkoły, grasował w cieśninie Malakka dwadzieścia lat, zanim Singh złożył mu ofertę. Hattu był zuchwały i lekkomyślny, ale przestrzegał procedur. Jeśli nie zameldował się od dwóch dni, coś musiało się stać. Singh spisał na straty „Krę IV”, jej kapitana i czterdziestoosobową załogę.

- Są inni chętni do zajęcia jego miejsca - powiedział synowi. - Rozejrzę się za kimś. Ale każ swoim kontaktom nasłuchiwać wiadomości o udaremnionym ataku pirackim. Jeśli ktoś pokonał Mohameda Hattu, na pewno się tym pochwali.

- Oczywiście, tato. Pomyślałem o tym. Na razie nie było takiej informacji.
- Teraz inna sprawa. Właśnie wyszedł ode mnie Anton Sawicz. Realizujemy plan. Mam listę jego potrzeb. Są mniej więcej takie, jakich się spodziewałem.
- Na twoje polecenie już się do tego wzięliśmy.
- Dobrze. Co z twoimi ludźmi? Zrobią to, co będzie konieczne?
- Są całkowicie lojalni. Kiedy uderzymy, Sawicz i jego europejscy bankierzy nawet się nie zorientują co ich trafiło.

Pewność siebie w głosie syna wywołała u Singha poczucie dumy. Jego krew. Był przekonany, że gdyby Abhay nie urodził się bogaty, sam doszedłby do majątku i wspiąłby się na szczyt, tak jak w młodości on.

- Doskonale, chłopcze, doskonale. Wpędzili się w kłopoty, nie zdając sobie z tego sprawy.
- Ty ich wpędziłeś, tato. Wykorzystałeś ich strach i chciwość, i teraz to ich wykończy.
- Nie zniszczymy ich, Abhay. Zawsze pamiętaj, że możesz jeść owoce z obumierającego drzewa, lecz z uschniętego nie. Sawicz, Volkmann i reszta będą cierpieli, ale zostawimy ich w takiej sytuacji, że jeszcze długo będziemy mogli na nich żerować.

## 10

Wydepczesz ścieżkę w dywanie - powiedział Eddie Seng z wyściełanego fotela w rogu pokoju hotelowego.

Cabrillo podszedł w milczeniu do okna z widokiem na oślepiające światła tokijskiej dzielnicy Ginza. Zatrzymał się przy szybie z rękami złączonymi z tyłu. Szerokie ramiona miał zeszywniałe z napięcia. „Oregon” zbliżał się szybko do pływającego suchego doku o nazwie „Maus” i wkrótce miał wejść do akcji. Juan powinien być na mostku kapitańskim, a nie tkwić w apartamencie hotelowym, czekając na informacje od Marka Murphy’ego o właścicielach doku. Czuł się jak w klatce.

Zacinający deszcz przesłaniał panoramę miasta za oknem pokoju na trzynastym piętrze. Pogoda pasowała do nastroju Juana.

Od wyjścia z helikoptera przysłanego po Victorię Ballinger minęły dwadzieścia cztery godziny. Na przyłot wynajętego śmigłowca czekał na smaganym wiatrem lądowisku przedstawiciel Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, brodaty mężczyzna w jasnobrażowym trenczu. Cabrillo poznał po mowie ciała jego i Tory, że widzą się pierwszy raz. Mężczyzna przedstawił się jako



Richard Smith. Choć podziękował Juanowi za uratowanie Tory, zachowywał się powściągliwie, niemal nieufnie. Tory była oczywiście wdzięczna Juanowi i pocałowała go w policzek, kiedy sanitariusz prowadził ją do zamówionej przez Smitha karetki prywatnej służby zdrowia.

Przed wejściem do samochodu uniosła rękę, patrząc na Cabrilla swoimi niebieskimi oczami.

- W nocy przypomniałam sobie coś z akcji ratowniczej. Aha, pomyślał.

- Kiedy byłam uwięziona w mojej kajucie, zapytałam, czy jesteście z marynarki wojennej.

Odpisał pan, że z prywatnej firmy ochroniarskiej. O co chodziło?

Smith już się usadowił na rozkładanym siedzeniu z tyłu karetki i musiał się trochę wychylić, żeby usłyszeć odpowiedź.

Cabrillo przeniósł wzrok z Tory na niego, potem znów na nią.

- Skłamałem. Skrzyżowała ręce na piersi.

- Słucham?

Cabrillo się uśmiechnął.

- Skłamałem - powtórzył. - Gdybym się przyznał, że jestem kapitanem zardzewiałej starej łajby, która przypadkiem ma na pokładzie kilku płetwonurków i sonar do szukania ryb, zaufałyby mi pani i pozwoliła się wyciągnąć z wraka?

Tory milczała dłuższą chwilę, przyglądając mu się badawczo z wyrazem powątpiewania na twarzy. Wreszcie uniosła brwi.

- Sonar do szukania ryb?

- Kucharz używa go raz na jakiś czas, żeby złowić coś na kolację, kiedy jesteśmy w porcie.

- Więc dlaczego sonar był włączony na środku oceanu? - zapytał Smith niemal oskarżycielskim tonem.

Juan nie przestawał się uśmiechać i nadal grał swoją rolę.

- Chyba przez przypadek. Odezwał się, kiedy przepływaliśmy nad „Avalonem”. Marynarz na wachcie zauważył wymiary obiektu i zorientował się, że albo odkryliśmy największego wieloryba w historii, albo coś jest nie tak. Zostałem wezwany na mostek i postanowiłem zawrócić. „Avalon” tkwił w bezruchu, więc wykluczyliśmy teorię o monstrualnym wielorybie. Włożyłem akwalung i zanurkowałem zobaczyć, co to jest.

Smith skinął głową.

- Rozumiem.

Nie wyglądał na przekonanego, co upewniło Juana, że ani Tory, ani sztywny Anglik nie są członkami Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Pierwsza jego myśl była taka, że służą w

Królewskiej Marynarce Wojennej, a „Avalon” wykonywał misję szpiegowską, prawdopodobnie obserwując wybrzeże Korei Północnej lub rosyjską Flotę Pacyfiku z Władywostoku. Ale to by oznaczało, że piraci zdołali opanować nowoczesną jednostkę operacyjną pełną sprzętu elektronicznego wysokiej klasy, zlikwidować załogę i niepostrzeżenie uciec. Cabrillo w to nie wierzył. Więc może byli członkowie Królewskiej Marynarki Wojennej korzystali w jakimś celu ze statku Towarzystwa?

- W takim razie niech pan podziękuje ode mnie kucharzowi - powiedziała Tory i skinęła głową sanitariuszowi, żeby umieścił ją w karetkę.

\* \* \*

Juan, Eddie i dwaj byli komandosi wybrani przez Senga sami musieli zorganizować sobie transport. Zamiast wynająć samochód albo poszukać stacji kolejowej, wyczarterowali ten sam helikopter, którym przylecieli z „Oregoną”. Śmigłowiec dostarczył ich do Tokio, gdzie Max Hanley zarezerwował apartament z czterema sypialniami na jedną z fasadowych spółek Korporacji. I teraz tu czekali. Komandosi spędzali większość czasu w hotelowej siłowni, Cabrillo spacerował po pokoju i modlił się, żeby zadzwoniła jego komórka. Eddie pilnował, żeby jego szef nie zdemolował apartamentu z frustracji lub z nudów.

- Mogą mi doliczyć do rachunku nowy dywan - odezwał się w końcu Juan, nie odwracając się od okna.

- A co z wrzodami, których się nabawisz? Wątpię, żeby doktor Huxley zapakowała ci jakieś środki zobojętniające kwas.

Cabrillo spojrzał na Senga.

- Winna będzie marynowana ośmiornica, którą zjadłem, nie stres.

- Okej. - Eddie wrócił do lektury angielskojęzycznej gazety. Cabrillo nadal patrzył na burzę. Myślni był tysiąc kilometrów od Tokio, w swoim fotelu w centrum operacyjnym. Nie po raz pierwszy „Oregon” wyruszał do walki bez niego i nie chodziło o to, że Juan nie ufa swojej załodze. Po prostu czuł potrzebę uczestniczenia w akcji przeciwko wężowym głowom.

Boże, pomyślał, ile ja miałem lat, kiedy to widziałem? Najwyżej siedem lub osiem. Wracali z San Diego od jakiejś ciotki. Samochód prowadził tata, mama siedziała z przodu obok męża. Juan pamiętał, jak krzyknęła ostrzegawczo, że jest korek na drodze, choć ojciec kilka sekund wcześniej wcisnął hamulec. Mama natychmiast się obejrzała, żeby sprawdzić, co z synkiem na tylnym siedzeniu. Szybkie wytracenie prędkości nawet nie zablokowało jego pasa bezpieczeństwa, ale zareagowała niemal tak, jakby wyleciał przez przednią szybę.

Sznur pojazdów posuwał się metr za metrem. Przez jakiś czas byli obok samochodu z bernardynem na tylnym siedzeniu. Juan pierwszy raz widział takiego psa i zauroczyła go jego wielkość. Do dziś przysięgał sobie, że kiedy wreszcie przejdzie na emeryturę, będzie takiego miał.

- Wybrałeś już imię? - zapytał łagodnie Eddie.

- Gus - odrzekł automatycznie Juan i nagle uświadomił sobie, że opowiada tę historię na głos.

Zamilkł speszony.

- Więc co się wydarzyło? - przynaglił Seng. Cabrillo wiedział, że nie może na tym zakończyć.

- Dotarliśmy do miejsca wypadku - mówił. - Pewnie jakieś auto gwałtownie skręciło i osiemnastokółowiec złożył się jak scyzoryk. Naczepa odłączyła się i leżała na boku, tylnymi drzwiami w kierunku jezdni. Przyjechał tylko jeden radiowóz. Gliniarz już wpakował kierowcę ciężarówki do swojego samochodu. Jego partner pomagał innym poszkodowanym w wypadku. W naczepie jechało co najmniej stu meksykańskich robotników. Niektórzy zostali tylko lekko ranni i razem z gliniarzem zajmowali się pozostałymi. Kilku wyszło z wraka o własnych siłach. Innych trzeba było wyciągać. Teren już podzielono na dwie części. W jednej kobiety opatrywały rannych. W drugiej leżały rzędem ciała. Matka zabroniła mi na to patrzeć, ale sama nie mogła oderwać wzroku od tej masakry. Minęliśmy miejsce wypadku i przyspieszyliśmy. Przez kilka minut nikt się nie odzywał. Mama płakała cicho. Nie całkiem rozumiałem to, co zobaczyłem, ale wiedziałem, że tamci ludzie nie powinni jechać w naczepie. Pamiętam słowa ojca, kiedy mama w końcu przestała płakać. „Juan, powiedział, bez względu na to, co ktoś ci mówi, na tym świecie jest zło. I żeby zatriumfowało, wystarczy, że porządni ludzie będą bezczynni”.

Cabrillo wrócił myślami do teraźniejszości.

- Kiedy dorosłem, porozmawialiśmy o tamtym dniu. Rodzice wytłumaczyli mi, jak gangi przemycają ludzi z Meksyku. Powiedzieli, że dla niektórych taka podróż kończy się tragicznie. Kierowca tamtej ciężarówki przyznał się do spowodowania śmierci trzydziestu sześciu osób w wypadku drogowym i został zamordowany w więzieniu przez latynoski gang.

Eddie skinął głową.

- Kiedy otworzyliśmy na pokładzie kontener i zobaczyłeś martwych Chińczyków...

- Znow byłem na tamtej autostradzie i czułem się tak samo bezsilny. Dopóki nie przypomniałem sobie słów taty.

- Czym się zajmował twój ojciec, jeśli mogę spytać?

- Był księgowym, ale walczył w Korei i uważał, że nie ma na świecie większego zła niż komunizm.

- Jeśli miał na ciebie tak duży wpływ, jak mi się wydaje, to na pewno podwójnie ci zależy na dorwaniu tych facetów.

- Jeśli stoją za tym Chiny, to jasne, że tak. - Cabrillo popatrzył badawczo na Senga. - Chyba nie muszę ci tego mówić? Spędziłeś lata na ich podwórku.

Eddie przytaknął z powagą.

- Widziałem na własne oczy, jak pacyfikowano całe wioski, bo ktoś powiedział coś złego o lokalnym partyjniaku. Miasta może są otwarte na Zachód, ale poza nimi nadal panuje terror. Tylko w ten sposób władza może rządzić miliardem ludzi. Trzyma ich w strachu, na granicy głodu, żeby byli

wdzięczni za każdą jałmużnę.

- Coś mi mówi - rzekł Cabrillo - że to nie jest chińska operacja.

- Moim zdaniem jest - upierał się Seng. - Chiny mają kryzys demograficzny. Nie chodzi mi o przeludnienie, choć to też jest problem. Ale Chiny stoją dziś w obliczu czegoś znacznie gorszego.

- Gorszego niż konieczność wyżywienia jednej czwartej ludności świata? - zdziwił się Juan.

- To bezpośredni skutek polityki „jedno dziecko w rodzinie”, zapoczątkowanej w 1979.

Dzisiejszy wskaźnik urodzin w Chinach to jeden i osiem dziesiątych dziecka na kobietę. W miastach jeszcze mniej. Żeby utrzymać stałą liczbę ludności, każdy kraj musi mieć przyrost naturalny na poziomie co najmniej dwa i jedna dziesiąta. W Stanach i Europie malejącą liczbę urodzin równoważy imigracja, więc jest okej. Ale w Chinach średnia wieku ludności dramatycznie wzrośnie w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat. Zabraknie rąk do pracy i ludzi do opieki nad starcami. Do tego dochodzą uprzedzenia kulturowe do dziewczynek, selektywna aborcja, zależna od płci płodu i dzieciobójstwo. Już teraz w Chinach jest stu osiemnastu chłopców w wieku poniżej dziesięciu lat na każde sto dziewczynek.

- Do czego to doprowadzi?

- Jeśli znacząca część mężczyzn nie okaże się gejami lub nie wybierze celibatu, w roku 2025 będzie około dwustu milionów kawalerów bez szans na założenie rodziny.

- Uważasz, że wysyłają nadmiar mężczyzn za morze?

- Taką mam teorię.

- Brzmi przekonująco - przyznał Cabrillo. - Nie wziąłem pod uwagę masowego eksportu ludzi.

- Około miliona nielegalnych chińskich imigrantów rocznie za cichą zgodą lokalnych władz - dodał Eddie. - Bez wielkiej przesady można powiedzieć, że przywódcy w Pekinie zaczęli realizować program pozbycia się „armii kawalerów”. Wbrew propagandzie kilku ostatnich lat Chiny pozostają brutalną dyktaturą. Nadal radykalnie rozwiązują każdy problem. Gdy chcą zbudować tamę, usuwają z drogi trzydzieści milionów ludzi i pokazują zachodnim dziennikarzom nowe miasta dla wysiedlonych, ale w rzeczywistości lokują ich w kolektywnych gospodarstwach rolnych.

- Ale na „Krze” było tylko kilkadziesiąt osób - przypomniał mu Juan. - A co mogło być na statku, który widziała Tory Ballinger?

- Podejrzewasz, że ludzie?

- Dokładnie.

Zadzwieczał szyfrujący telefon komórkowy Juana.

- Cabrillo.

- Juan, tu Max.

- Co się urodziło? - Cabrillo starał się, by zabrzmiało to nonszalancko, ale nie zdołał ukryć nutki zdenerwowania w głosie.

- Jesteśmy około dwudziestu mil za „Mausem” - odparł. - Już z nimi rozmawialiśmy. Ustalaliśmy procedurę wyprzedzania suchego doku na holu. Za jakieś dziesięć minut wyślemy bezzałogowy samolot zwiadowczy z kamerą do zdjęć w ciemności, żeby zajrzeć do otwartej ładowni „Mausa”. W pogotowiu jest nasz oddział abordażowy, na wypadek gdybyśmy musieli zobaczyć z bliska, co tam jest.

- W porządku. Jaką macie pogodę? Tutaj pada.

- Dobrą. Ani śladu księżycy. Niskie fale, słaby wiatr. Posłuchaj, zadzwoniłem, bo mamy dla ciebie informacje.

Nareszcie, pomyślał Cabrillo.

- Murph wytropił właściciela „Mausa”?

- Nie, jeszcze nad tym pracuje. Julia znalazła coś w czasie autopsji Chińczyków, których wyjęliśmy z kontenera. Przełączę cię do niej.

- Dzięki. Przesyłaj przekaz z UAV-a na moją komórkę. Chciałbym się przyjrzeć „Mausowi” podczas przelotu.

- Jasne. Daję ci Julię.

- Co tam w Tokio, prezesie?

- Ciepłe suszy i zimne gejsze.

- Domyślam się. Chyba dowiedziałam się czegoś o naszych imigrantach. Wszyscy byli z tej samej wioski, miejscowości Lantan w prowincji Fucien. Większość należała do jednej rodziny.

- Zrobiłaś badania DNA?

- Nie, przeczytałam fragmenty pamiętnika, których nie zniszczyła woda, kiedy kontener poszedł pod powierzchnię. Wielu części tekstu nie mogłam rozszyfrować, ale zeskanowałam wszystko do komputera i tłumacz to rozgryzł. Autor dziennika nazywał się Sang. Byli z nim dwaj bracia, kilku kuzynów i dalsi krewni. Wężowa głowa nazwiskiem Jen Luo obiecał im pracę w Japonii. Każdy musiał mu zapłacić około pięciuset dolarów przed opuszczeniem wioski i miał dołożyć około piętnastu tysięcy po dotarciu do fabryki tekstyliów pod Tokio.

- Wspomina coś o „Krze”? Tym statkiem płynęli do Japonii?

- Nie widziałam nic takiego. Może te fragmenty pamiętnika zostały zniszczone.

- Czego jeszcze udało ci się dowiedzieć?

- Niewiele. Pisał o swoich marzeniach. Miał nadzieję, że pewnego dnia będzie go stać na to, żeby sprowadzić do Japonii swoją dziewczynę.

- Jak się nazywa ta wioska?

- Lantan.

- Skoro nie możemy pójść tropem „Kry” ani „Mausa”, to może pójdziemy tropem imigrantów. - Cabrillo zerknął na Senga. Szef operacji lądowych Korporacji usłyszał z rozmowy dość, by się zorientować, na co się zanoszą. Widać to było w jego oczach. - Zaraz do ciebie oddzwonię - powiedział Juan do Julii i przerwał połączenie.

- Chiny - westchnął Eddie. - Czuję, że do tego dojdzie.

- Możesz to zrobić?

- Wiesz, że ostatnim razem zostałem zdemaskowany tuż przed odwrotem. Wydali na mnie zaocznie wyrok śmierci. Mogę wymienić nazwiska tuzina generałów i partyjniaków, którzy niczego nie pragną bardziej, niż żebym znów pojawił się w Chinach. Minęło kilka lat, ale o ile wiem, moje zdjęcie ma każdy posterunek policji w kraju, od Pekinu i Szanghaju po najmniejszą prowincjonalną dziurę.

- Możesz to zrobić? - powtórzył Cabrillo.

- Moja stara siatka już dawno nie istnieje. Kiedy wszystko się zawaliło, musiałem uciekać z Chin i nie zdążyłem ich ostrzec. Niektórych na pewno zgarnęła policja, więc reszta też wpadła. Nie mogę tam na nikogo liczyć.

Cabrillo nie zapytał po raz trzeci. Nie musiał.

- Mam w skrytce bankowej w L.A. komplet dokumentów, o których nie wie nawet CIA - podjął Eddie. - Załatwiłem je przed przekazaniem Hongkongu Chinom, na wypadek gdybym musiał tam wrócić, żeby pomóc paru przyjaciółom. Wyemigrowali już do Vancouver, więc papiery są ciągle do wykorzystania. Jutro z samego rana skontaktuję się z moim prawnikiem i każę mu przysłać je przez kuriera do Singapuru. Stamtąd mogę polecieć liniami Cathay do Pekinu.

- Do Szanghaju - poprawił Juan. - Julia powiedziała, że ta wioska leży w prowincji Fucien. Najbliższym dużym miastem jest Szanghaj.

- Coraz lepiej - mruknął Eddie.

- Dlaczego?

- Ludzie w prowincji Fucien mówią własnym dialektem. Nie znam go zbyt dobrze.

- Więc odwołujemy to - zdecydował Juan. - Spróbujemy dogrzebać się czegoś o „Krze” albo o „Mausie”.

- Nie - zaprotestował Seng. - Wytropienie tych sukinsynów w archiwach morskich i piramidzie firm może zająć tygodnie. Jeśli jest jakiś związek między przemytem nielegalnych imigrantów i atakami piratów, musimy go znaleźć jak najszybciej. Obaj wiemy, że Chińczycy wyrzuceni za burtę „Kry” to niejedynie ofiary.

Juan skinął krótko głową.

- Zgoda. Zaczynaj się przygotowywać.

\* \* \*

Główny ekran na czołowej ścianie centrum operacyjnego pokazywał widok oceanu. Obraz był dziwnie zniekształcony. Spienione grzbiety niskich fal wyglądały jak zielone błyskawice przecinające czarną wodę. W obiektywie kamery rytmiczny puls morza przypominał bicie serca. Obraz drgnął lekko i George Adams zaklął.

Adams był pilotem helikoptera Robinson R-44 i dwóch UAV-ów, bezzałogowych pojazdów powietrznych, które mogły startować z wolnej przestrzeni wzdłuż lewego nadburcia frachtowca. UAV-y Korporacji były wyposażone w kamery do nocnych zdjęć. George mógł siedzieć przed komputerem w centrum operacyjnym i kierować nimi za pomocą dżojstika w promieniu piętnastu mil morskich od statku.

George „Gomez” Adams jako jeden z niewielu na pokładzie „Oregonia” służył wcześniej w wojsku. Dobłą reputację zdobył, transportując oddziały specjalne do Bośni, Afganistanu i Iraku. Miał czterdzieści lat i był przystojnym ciemnowłosym kawalerem. Dzięki pewności siebie i urokowi osobistemu zawsze wzbudzał zainteresowanie kobiet. Korporacja nieraz wykorzystywała jego atrakcyjny wygląd. Swoje przezwisko zawdzięczał temu, że w czasie jednej z poprzednich misji

uwiódł kochankę peruwiańskiego handlarza narkotyków, która do złudzenia przypominała telewizyjną gwiazdę Morticię Gomez.

Dzięki kamerze, umieszczonej na przegubie w dziobie UAV-a, Adams widział, co jest przed i pod półtorametrowym samolocikiem, ale nie mógł czuć lekkich prądów wznoszących i bocznego wiatru. Skontrolował nagły podmuch, który uderzył w maszynę, i cofnął dżojstik, żeby trochę zwiększyć wysokość.

- Jaka odległość? - zapytał Lindę Ross, obserwującą obraz radarowy.

- Jesteśmy cztery mile za rufą „Mausa” i trzy od jego lewej burty. Mały UAV był niewidoczny nawet dla silnego radaru „Oregona”, ale masywny suchy dok i para ciągnących go holowników rysowały się wyraźnie na wyświetlaczu.

Adams przesunął kciukiem sterownik kamery. Ocean nadal przecinały zielone pasma piany, lecz kilka mil przed UAV-em na ciemnej wodzie widniał szmaragdowy ślad.

- Tam - zawołał ktoś niepotrzebnie.

Żarzący się klin był kilwaterem „Mausa”, ciągniętego na południe. Tuż przed dokiem błyszcząły jasne punkty - szperacze na rufach holowników, oświetlające ich ciężki ładunek. Z wysokości tysiąca pięciuset metrów grube liny przyczepione do „Mausa” wyglądały jak nici babiego lata. Na burtach suchego doku też były włączone mocne reflektory, ale jego przepastna ładownia tonęła w ciemności.

- Dobra, George, wchodź - rozkazał Max Hanley ze stanowiska dowodzenia i przycisnął do ucha komórkę. - Widzisz to, prezesie?

- Mniej więcej - odparł Cabrillo z apartamentu hotelowego w Tokio.

- Niewiele rozróżniam na tym całym ekraniku.

- Najpierw przelecę wysoko - powiedział Adams i poruszył dżojstikiem. - Jeśli nic nie zobaczymy, wyłączę silnik i zejść ślizgiem w dół.

- Oderwał wzrok od ekranu i zerknął na Hanleya. - Ale jeżeli potem nie uda mi się go odpalić, będziemy mieli jednego UAV-a mniej.

- Słyszałem - odezwał się Juan. - Przekaż George'owi, że nie możemy stracić elementu zaskoczenia, jeśli mamy tam wysłać oddział abordażowy. Niech się nie przejmuję samolocikiem.

Max zwrócił się do George'a:

- Cabrillo mówi, że jeśli rozwalisz UAV-a, potrącimy ci to z pensji.

- Powiedz mu - odparł Adams, znów skoncentrowany na ekranie - że pokryję to, gdy tylko Eddie zapłaci za łódź podwodną którą poobijał.

George zredukował prędkość UAV-a niemal do zera, lecz mimo to maszyna wyprzedzała płynący wolno konwój. Nie było mowy, żeby ktoś na holownikach lub na suchym doku zauważył czarny samolocik, ale jakiś czujny marynarz mógł usłyszeć wysoki dźwięk jego silnika. Adams utrzymywał maszynę sto pięćdziesiąt metrów na prawo od konwoju.

„Maus” przypominał bardziej fortecę niż jednostkę pływającą. Jego burty były pionowymi stalowymi ścianami, a dziób miał tylko lekko opływową linię. Dwa trzydziestometrowe holowniki wyglądały jak zabawki przy kolosie, który ciągnęły.

Stone i Murphy wzmacniali komputerowo obraz z kamery, a dwaj technicy poprawiali kontrast i eliminowali zniekształcenia spowodowane przez wibracje silnika UAV-a. Nim George zakończył przelot i oddalił samolocik od „Mausa”, wyświetlili wyczyszczone nagranie wideo na głównym ekranie.

- Co ja tu mam, do cholery, zobaczyć? - zapytał przez komórkę Juan.

- Niech to szlag - mruknął Max, patrząc na wyświetlacz plazmowy. W jednej ręce trzymał komórkę, w drugiej niezapaloną fajkę.

- Co jest?

- Przez blask światła wzdłuż burty „Mausa” nie widać wnętrza ładowni. To istna czarna dziura w środku doku. Musimy przelecieć bezpośrednio nad nim.

- Już zawracam. - Adams przechylił się odruchowo, gdy UAV wykonywał ciasny zakręt.

Kilka minut później doprowadził samolocik za rufę suchego doku na wysokości sześciuset metrów. Zamiast zmniejszyć prędkość, pchnął przepustnicę do oporu i skierował maszynę prosto nad „Mausa”.

Na ekranie pojawił się widok masywnego suchego doku. George wyłączył napęd w odległości około czterystu metrów od „Mausa” i obraz przestał denerwująco podskakiwać, gdy samolocik stał się szybowcem opadającym spod nocnego nieba. Adams sprawdził wysokość. Trzysta metrów. Pogłębił kąt natarcia. UAV pikował teraz niczym bombowiec nurkujący, ale cicho jak zjawa.

Eric i Murph upewnili się, że obraz jest rejestrowany, zanim samolocik minął pionową pawęż „Mausa”. Adams wypoziomował maszynę trzydzieści metrów nad suchym dkiem i skierował ją ku dziobowi. Kamera była wycelowana w ciemne wnętrze ładowni.

Piętnaście metrów od dziobu George znów wprowadził UAV-a w nurkowanie, żeby nabrał szybkości. Gdy wysokościomierz pokazał dziesięć metrów, wcisnął przycisk rozrusznika na konsoli sterowniczej. Morze na ekranie plazmowym rosło w oczach. Silnik nie zaskoczył. Adams spokojnie puścił przycisk i spróbował jeszcze raz. Plastikowe śmigło obróciło się i znieruchomiło.

Obecni w sterowni skrzywili się, kiedy UAV uderzył w wodę i obraz na ekranie zniknął.

Adams wstał.

- Każde lądowanie, z którego możesz wyjść, jest udane - powiedział. Kilka osób jęknęło, słysząc ten stary żart. Murph włączył odtwarzanie nagrania z przelotu.

- Co widzieliście? - spytał Cabrillo przez łącze satelitarne.

- Chwileczkę, szefie - odparł Max. - Już leci.

Adams doskonale się spisał podczas sterowania samolocikiem i kamerą. Obraz był ciemny, ale stabilny i czysty. Tyle że nie taki widok chcieli zobaczyć. Cała ładownia suchego doku okazała się zasłonięta. Przykrycie wyglądało na jakąś plandekę, bo marszczył je wiatr, ale cokolwiek transportował „Maus”, było niewidoczne.



- No więc? - naciskał Juan.

- Musimy tam wysłać grupę zwiadowczą - odpowiedział Hanley. - Zasłonili całą ładownię jakimś ciemnym materiałem. Nie widać, co jest w środku.

Linda Ross już stała przy tylnych drzwiach sterowni. Była w mundurze polowym i wkładała kamizelkę kuloodporną którą wcześniej powiesiła na oparciu swojego fotela. Jej jasne włosy zasłaniała wełniana czapka marynarska.

Mimo zawziętej miny i wojskowego stroju nadal wyglądała na bezbronną kobietę. W stworzeniu groźnego wizerunku nie pomagał jej cienki, niemal dziewczęcy głos i piegi na policzkach. Linda miała trzydzieści siedem lat, ale wciąż legitymowano ją w barach, gdy zamawiała alkohol.

Choć w marynarce wojennej była analitykiem wywiadu, miała też dużą praktykę w zbieraniu informacji. Dzięki swojemu doświadczeniu spędzała mniej czasu na przygotowaniach do tajnej operacji niż inni, bo dokładnie wiedziała, jakie dane są potrzebne. W terenie potrafiła szybko ocenić sytuację i zorientować się, co jest najważniejsze. Dzięki temu cieszyła się zasłużonym szacunkiem byłych komandosów SEAL, którymi teraz dowodziła.

- Powiedz Juanowi, że będziemy ostrożni - zwróciła się do Maksa i ruszyła do wjazdu na poziomie linii wodnej, skąd mieli zwodować ponton Zodiac.

Trzej komandosi czekali na nią w hangarze łodziowym. Jeden podał Lindzie uprząż. Sprawdziła, czy jej ulubiony glock z tłumikiem jest naładowany. Podobało jej się, że ten pistolet nie ma klasycznego bezpiecznika, który można przez nieuwagę zwolnić przy szybkim wyciąganiu broni. Ponieważ planowali przeprowadzić tylko rozpoznanie i wątpili, by na holowanym doku wystawiono strażę, wszyscy w grupie byli uzbrojeni jedynie w pistolety, ale załadowane specjalną amunicją. Pociski rtęciowe z wgłębieniem wierzchołkowym miały wystarczającą energię kinetyczną by unieszkodliwić przeciwnika nawet częściowo chybnym strzałem. Linda przysunęła do szyi mikrofon krtaniowy swojego radia taktycznego i umocowała słuchawkę. Ona i jej ludzie sprawdzili, czy mają łączność między sobą i z Maksem w centrum operacyjnym.

Hangar oświetlały czerwone lampy bojowe. W ich blasku Linda pomalowała twarz czarną farbą kamuflującą i włożyła obcisłe matowe rękawice. W zodiacu wystarczało miejsca dla ośmiu osób. Ponton napędzał duży zaburtowy silnik czterosurowy w czarnej obudowie. Obok był mniejszy, z zasilaniem akumulatorowym. Z napędem elektrycznym zodiac mógł płynąć cicho z prędkością prawie dziesięciu węzłów. Do dna łodzi pneumatycznej przymocowano potrzebny komandosom sprzęt.

Szef hangaru powtórnie sprawdził oporządzenie każdego członka grupy i pokazał Lindzie uniesiony kciuk. Mrugnęła do niego i załogant zgasił światło. System linowy otworzył zewnętrzne drzwi - fragment poszycia kadłuba o wymiarach trzy na dwa i pół metra, tuż powyżej linii wodnej. Hangar wypełnił szum przepływających obok fal i Linda poczuła w powietrzu smak soli. Mimo braku księżycy sylwetka „Mausa” odcinała się wyraźnie na tle ciemności. Część dziobową doku oświetlały reflektory na dwóch holownikach, lampy sodowe na górnym pokładzie jednostki uwydatniały jej kontury.

Sternik zodiaca odpalił przyciskiem silnik i cztery osoby, po dwie z każdej burty, zepchnęły ponton w dół pochylni pokrytej teflonem, po czym wskoczyły do środka. Wystrzelili spod „Oregona” w eksplozji piany, żeby uciec przed wzburzoną wodą przepływającą wzdłuż kadłuba trampa, a potem

zwolnili, by zredukować własny kilwáter.

Na obrazach z kamer zamontowanych na pokładzie „Oregona” odległość między dokiem i frachtowcem wydawała się niewielka, ale w dole, na morzu, sprawiała wrażenie ogromnej. Ponton bez trudu pokonywał fale; wspinał się na ich grzbiety, pozostawał na nich przez ułamek sekundy i gładko zsuwał się w dół. Mimo dobrego wytłumienia silnik zaburtowy wydawał się Lindzie głośny, ale wiedziała, że zodiaca płynącego z pełną prędkością słycać dopiero z odległości poniżej jednej mili morskiej.

Pięć minut po starcie mieli za sobą trzy czwarte drogi. Sternik wyłączył czterosuw i przeszedł na cichy napęd elektryczny. Zgodnie z instrukcją Lindy okrążył rufę „Mausa”, by poszukać jakiegoś ciemnego miejsca nadającego się do wejścia na pokład.

Suchy dok poruszał się z prędkością zaledwie trzech węzłów, więc bez trudu przepłynęli za nim i skierowali się wzdłuż jego sterburty, szarej stalowej ściany ciągnącej się od dziobu do rufy. Oświetlały ją lampy zamontowane na szczycie relingu, ale śródkręcie, gdzie przepaliła się jedna żarówka, tonęło w ciemności. Sternik zodiaca zwolnił i trzymał się poza strefą kilwatera, obok nieoświetlonej części kadłuba. Musiał stałe korygować kurs na lekko wzburzonym morzu.

- Hak - powiedziała Linda przez mikrofon krtaniowy.

Jeden z komandosów uniósł do ramienia dziwną broń. Wyglądała jak duży karabin, ale jej pistoletowy chwyt był połączony węzłem z cylindrem przymocowanym do dna pontonu. Komandos włączył laserowy miernik odległości podwieszony pod niezgrabnym karabinem, skierował broń w górę i wziął na cel punkt tuż pod relingiem „Mausa”.

- Dwadzieścia metrów - szepnął.

W świetle małej latarki z czerwoną soczewką jego kolega wprowadził liczbę do zaworu na szczycie cylindra. Potem klepnął strzelca w ramię.

Mężczyzna wstrzymał oddech. Kiedy zodiak znalazł się na grzbiecie fali, nacisnął spust.

Ze zbiornika wydostała się precyzyjnie odmierzona ilość sprężonego azotu i wyrzuciła z lufy karabinu krótką strzałę pokrytą gumą. Pocisk ciągnął za sobą linkę z nanowłókna o średnicy kilku milimetrów. Kiedy osiągnął szczyt swojej trajektorii, rozłożył się i przybrał kształt haka abordażowego. Przeleciał tuż nad relingiem i cicho opadł na pokład.

Strzelec w pontonie pociągnął broń do siebie i hak zaczepił o słupek relingu.

- Trzyma.

Jego kolega odczepił od karabinu kołowrotek i za pomocą szekli przymocował do cienkiej linki nylonową linę wspinaczkową. Płynnymi ruchami, ręka za ręką, zaczął przeciągać linkę przez bloczek z tyłu haka. Lina wspinaczkowa wędrowała do góry; w ciągu zaledwie trzydziestu sekund komandos przeprowadził ją przez koło pasowe i złapał za koniec. Przywiązał go do uchwyty na dziobie zodiaca, a sternik zrobił to samo na rufie z drugim końcem liny. Mężczyźni szarpnęli linę w dół i ponton wynurzył się z wody. Pociągnęli jeszcze raz i uniósł się wyżej. Powtórzyli czynność trzykrotnie, aby mieć pewność, że nie przewróci go jakaś fala. Gdyby na czas rozpoznania na

„Mausie” zostawili gumową łódź podskakującą w kilwaterze suchego doku, przedziurawiłyby się, ocierając o jego burtę.

Po zabezpieczeniu pontonu sprawdzili, czy w komorach nabojoych ich pistoletów jest amunicja, i zaczęli się wspinać jeden za drugim po grubej nylonowej linie. Linda była trzecia w kolejności. Kiedy w jej miniaturowej słuchawce zabrzmiał meldunek „Czysto”, spojrzała w górę i zobaczyła, że strzelec prześlizguje się między metalowymi prętami relingu.

Blisko szczytu zerknęła w dół. Sternik zodiaca był tuż pod nią. W mroku poniżej zobaczyła ponton, przyciśnięty do suchego doku jak maki loka do swojej matki.

Chwyciła się ręki w górze i została wciągnięta przez reling, zadowolona, że gruba kamizelka kuloodporna chroni jej piersi. Wątpiła, aby udało się to zrobić z Julią Huxley, która nosiła stanik w rozmiarze D.

Cała trójka utworzyła formację obronną wokół relingu i zaczęła na ostatniego członka grupy. Strzelec odczepił hak abordażowy i przymocował linę trzymającą zodiaca specjalnym złączem, które mogli łatwo zwolnić po bezpiecznym powrocie do pontonu.

Górny pokład „Mausa” okazał się pusty; choć właściwie nie był to pokład, lecz pomost o szerokości trzech metrów, biegnący wokół całego suchego doku. Gdyby nie wielkie płachty sztywnego materiału rozciągnięte nad ładownią, przywodziłby na myśl parapet w warownym zamku. Linda podeszła do przykrycia. Materiał przypominał w dotyku tkaninę z włókna syntetycznego i był naciągnięty jak płótno ogromnego namiotu. Nacisnęła go. Nie ustąpił.

Jeden z komandosów wyciągnął nóż z pochwy przy bucie i już miał przeciąć plandekę, gdy Linda uniosła rękę. Bez słowa pokazała strzelcowi i jego koledze, żeby prowadzili rozpoznanie w kierunku rufy, podczas gdy ona i sternik pójdą w stronę dziobu. Potem wskazała w poprzek siedemdziesięciotrzymetrowej ładowni, gdzie się spotkają.

Wyjęła z kabury glocka. Na pomoście było za jasno, żeby używać noktowizorów, ale zbyt ciemno, by wyraźnie widzieć. Na szczęście nie zauważyli wielu miejsc, gdzie mogliby się ukrywać strażnicy. Osłonę dawało tylko kilka wentylatorów i obudowanych urządzeń. Mając za sobą sternika, Linda zaczęła się skradać wzdłuż sterburty. Trzymając pistolet na wysokości pasa, przenosiła wzrok z jednej plamy cienia na drugą. Oddychała równo i lekko, ale czuła tętno w gardle i przez krótką chwilę zastanawiała się, czyjej ludzie słyszą to przez radio taktyczne.

Blisko dziobu była jakaś nadbudówka, zapewne pomieszczenie do obsługi pomp balastowych i wrót doku. Początkowo wydawało się ciemne i puste, lecz kiedy się zbliżyli, Linda dostrzegła cienką otoczkę światła wokół kilku zasłoniętych okien. Przywarła plecami do chłodnej metalowej ściany, przechyliła głowę i przyłożyła ucho do stali. Nie mogła rozróżnić słów, a nawet rozpoznać języka, ale w środku ktoś rozmawiał. Usłyszała cztery męskie głosy i pokazała sternikowi cztery uniesione palce. Skinął głową.

Minęli ostrożnie nadbudówkę, obserwując pojedyncze drzwi. Ledwo dotarli za osłonę masywnego wentylatora, drzwi otworzyły się gwałtownie i na zewnątrz wyszedł jakiś mężczyzna. Linda spojrzała na zegarek. Druga trzydzieści. Pora na codwugodzinny patrol. Do pierwszego strażnika dołączył drugi. Obaj byli w czarnych mundurach, podobnych do tych, jakie nosili komandosi Korporacji, i mieli kompaktowe pistolety maszynowe zawieszane na szyjach. Linda nie rozpoznała modelu, ale to nie było ważne. Przeciwnicy mieli przewagę ogniową. Sprawiali wrażenie żołnierzy. Domyślała się, że to najemnicy wynajęci przez kogoś, kto stał na czele pirackiego gangu. Podejrzewała też, że ci ludzie - lub tacy jak oni - są odpowiedzialni za wymordowanie załogi

„Avalona” i zatopienie statku badawczego.

Pierwszy strażnik powiedział coś do swojego towarzysza. Lindzie wydawało się, że usłyszała rosyjski lub inny słowiański język. Żałowała, że nie ma z nią Juana. Władał biegle czterema językami, a kilka innych znał na tyle, że mógł się w nich porozumieć.

Linda i sternik dali nura głębiej w cień rzucany przez wentylator i pozwolili strażnikom przejść. Mężczyźni maszerowali energicznie śladem snopów światła swoich latarek. Trzymali je w lewych rękach, prawe mieli wolne, by móc w każdej chwili użyć broni. Co kilka kroków wyciągali szyje za reling, żeby spojrzeć na kadłub, potem oświetlali czarną płachtę zakrywającą ładownię. Wyglądało na to, że niczego nie zanedbują i w końcu zauważą zodiaca wiszącego przy burcie suchego doku.

Kiedy oddalili się poza zasięg głosu, Linda szepnęła do mikrofonu:

- Dwójka, tu jedynka. Prosto na was idzie dwóch przeciwników.
- Przyjąłem.

Nie mogli zostawić żadnych śladów obecności grupy na „Mausie”. Linda przebiegła w myślach kilka scenariuszy i uznała, że jest na to tylko jeden sposób. Kiedy wcześniej otworzyły się drzwi nadbudówki, poczuła zapach papierosów. Miała nadzieję, że przynajmniej jeden z mężczyzn na patrolu jest palący.

- Dziesięć metrów za miejscem, gdzie zawiesiliśmy zodiaca, jest wentylator do odpowietrzania zbiornika balastowego - szepnęła do swoich ludzi. - Tam ich zdejmujemy.

- Tak jest.

- Żadnej strzelaniny.

Zamiast wracać dookoła dziobu, Linda i sternik zaryzykowali przejście po plandece nad ładownią. Materiał był tak naciągnięty, że pod ich ciężarem tworzyły się tylko płytkie zagłębienia wokół butów. Płachta była zrobiona z pasów o szerokości sześciu metrów, połączonych mocno drutem przewleczonym przez gotowe luwersy. Ktoś dobrze się zastanowił, jak ukryć ładunek „Mausa”, i poświęcił na to wiele czasu.

Po drugiej stronie spotkali się z pozostałą dwójką. Zasłaniał ich wentylator, który Linda widziała wcześniej. Przez wywietrzniki uchodziło powietrze z wielkich zbiorników balastowych wzdłuż kadłuba doku, gdy napełniano je wodą, by obniżyć „Mausa” przed wciągnięciem do środka statku. Kiedy trzeba było ponownie podnieść dok, pompy w jego czeluściach usuwały wodny balast przez zawory w kadłubie.

Obserwowali snopy światła latarek strażników, wskazujące ich trasę wokół suchego doku. Wydawało się, że patrol trwa wieczność. Dwaj mężczyźni okrążyli rufę i skierowali się wzdłuż sterburty prosto w zasadzkę. Mieli do przejścia prawie sto dwadzieścia metrów. Grupa czekała. Lindzie zaschło w ustach i nie mogła poruszyć językiem, żeby zwilżyć wargi.

Strażnicy byli coraz bliżej. Pięć metrów od wentylatora jeden z mężczyzn przystanął i klepnął swojego towarzysza w ramię. Rozmawiali chwilę, zachichotali cicho, a potem jeden podszedł do relingu, rozpiął suwak spodni, wychylił się za burtę i patrzył na półkolisty strumień własnego moczu.

Normalnie pęd powietrza zwiewałby strumień do tyłu. Ale suchy dok poruszał się z prędkością zaledwie paru węzłów, a wiatr dmuchał mu w rufę z prędkością ośmiu do dziesięciu. Żeby widzieć swój mocz, strażnik musiał patrzeć w kierunku dziobu.

Cofnął się zaszokowany i omal się nie oblał.

- Nikoli! Zauważył zodiaca.

Linda i jej ludzie mieli niecałe dwie sekundy, żeby uniemożliwić wszczęcie alarmu.

Strażnik o imieniu Nikoli nawet nie wyrztał za burtę. Zgasił latarkę i popędził przez plandekę zakrywającą ładownię. Jego towarzysz został i próbował opróżnić do końca pęcherz. Nikoli zniknęła w ciemności. Najwyraźniej taka była procedura. Gdyby jeden coś zobaczył, drugi miał się oddalić i złożyć przez radio meldunek.

- Bierzcie go - rozkazała Linda bez wskazywania strażnika przy relingu. Wystartowała sprintem za Nikolim. Gdy tylko wbiegła na płachtę, poczuła wibracje wywołane uderzeniami stóp uciekającego Rosjanina.

Sztywny materiał ugiął się pod ciężarem jej długich susów, choć ważyła zaledwie czterdzieści dziewięć kilogramów i nawet z pełnym ekwipunkiem była o dobre trzydzieści lżejsza od strażnika. Liczyła na to, że jemu biegnie się dużo trudniej, jak po obluźowanej trampolinie. Dostrzegła błysk metalu jego pistoletu maszynowego i pas białej skóry na jego karku. Trzymała w dłoni glocka.

Rosjanin musiał wyczuć, że zbliża się pościg. Próbował wyciągnąć walkie-talkie z futerału przy pasie. W końcu zostawił radio w spokoju i zaczął skręcać, żeby użyć broni. Linda dała nura na brzuch i sunęła przez chwilę po plandece z pistoletem w wyciągniętej ręce. Strzeliła, gdy tylko się zatrzymała.

Chybiła, ale strażnik padł. Przez sekundę leżała nieruchomo, potem uniosła się i opróżniła magazynek tak szybko, jak tylko mogła naciskać spust. Prowadziła ogień z odległości piętnastu metrów, niczym na strzelnicy. Tam potrafiła ulokować jedenaście z dwunastu pocisków w środku tarczy. Na ciemnym pokładzie pirackiego statku miała szczęście, że przynajmniej raz nie spudłowała. Dziewięćmilimetrowy pocisk trafił przeciwnika w prawy bark i omal nie urwał mu ramienia. Rosjanin wstał chwiejnie. Ręka zwisała mu bezwładnie, krew lśniła na jego mundurze jak olej. Upuścił broń, ale natarł na Lindę.

Nie miała czasu zmienić magazynka. Zerwała się na nogi, by stawić czoło strażnikowi. Spróbowała wykorzystać jego rozpęd i przerzucić go przez biodro, ale opasał jej szyję sprawnym ramieniem i oboje się przewrócili. Podczas upadku uderzył ją kolanem w pierś, tak że straciła oddech. Usiłowała zaczerpnąć powietrza i jednocześnie się podnieść.

Nikoli zdołał wrócić do pionu. W lewej ręce trzymał nóż z dziesięcio-centymetrowym ostrzem, z czubków palców ciekła mu krew. Zamachnął się niezdarnie od dołu i Linda łatwo zrobiła unik. Starła się cofnąć, żeby mieć czas i miejsce na załadowanie glocka, ale Rosjanin zaatakował ją z detennacją szaleńca.

Zmieniła taktykę; przeszła do ofensywy i wymierzyła mu kopniaka w kolano. Poczuła i usłyszała, jak rozrywa się chrząstka, i Nikoli runął na plandekę. Wbiła pełny magazynek w chwyt glocka i odciągnęła suwadło.

Rosjanin leżał nieruchomo, wokół jego barku rosła kałuża krwi. Linda ostrożnie dała krok naprzód.

- Niet, proszu - wyszeptał strażnik, kiedy znalazła się w jego polu widzenia.

Nawet nie drgnęła. Wiedziała, że Nikoli trzyma pod ciałem rękę z nożem. Nadal był niebezpieczny. Ścisnęła mocniej chwyt pistoletu. Powinna go zastrzelić, ale gdyby udało jej się zabrać go żywego na „Oregona”, mieliby pierwszy konkretny trop.

- Pokaż mi nóż - rozkazała.

Wydawało się, że zrozumiał. Ostrożnie wyciągnął spod siebie lewą rękę. Linda stała półtora metra od niego, poza jego zasięgiem, i gdyby spróbował cisnąć w nią nożem, wpakowałaby mu kulę w głowę. Trzymał nóż daleko od siebie, jakby chciał rzucić go jej do stóp. I nagle, zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, wbił ostrze w plastikową plandekę. Małe przecięcie rozszerzyło się od naprężenia niczym linia uskoku tektonicznego i Rosjanin runął dwadzieścia pięć metrów w dół na dno ładowni.

Linda nie zdążyła zareagować. Materiał zapadł się pod jej ciężarem, straciła równowagę i zaczęła sunąć na brzuchu w kierunku powiększającej się dziury.

## 11

Linda przycisnęła dłonie do plandeki. Szukała jakiegoś punktu oparcia, ale rękawice niewiele ją spowolniły. Kiedy dotarła palcami do krawędzi rozdarcia, spróbowała złapać przecięty brzeg płachty. Zsuwała się jednak ze zbyt dużym impetem i sekundę później nad dziurą znalazła się jej głowa, a potem ramiona.

Nie zdążyła nawet krzyknąć, gdy górna połowa jej ciała ześlizgnęła się do otworu i zawisała nad ładownią suchego doku. W środku było zupełnie ciemno, ale wiedziała, że pod nią jest dwudziestopięciometrowa przepaść. Jej biodra natrafiły na krawędź rozdarcia i przesunęły jej środek ciężkości. Była bezradna, kiedy jej tułów pochylił się w dół, a nogi uniosły z plandeki.

Gdy do dziury zsuwały się jej uda, silne ręce chwyciły ją za kostki. Jeszcze przez moment opadała, potem poczuła, że ktoś szarpnął ją do tyłu. Została wyciągnięta z otworu i powleczona z powrotem po plandecę. Nie dbała o to, że trzy policzkiem o twardy materiał.

Odwróciła się na plecy i uśmiechnęła na widok sternika.

- Jezu, dzięki. Przez chwilę myślałam, że...

- Już po bólu.

- Co z drugim strażnikiem? - spytała.

- Załatwiony.

- Dobra, mamy mało czasu. Za minutę lub dwie ktoś się zorientuje, że ci faceci gdzieś przepadli. -

Linda zdjęła uprząż. Odpięła od pasa szelki i połączyła je tak, że powstała prawie dwupółmetrowa lina. - Dwójka, przynieście tu ciało.

- Tak jest.

- Daj mi swoją uprząż. - Linda podwoiła długość liny bezpieczeństwa. Wsunęła ramię w pętlę, którą zrobiła, potem włożyła gogle noktowizyjne. Odwróciła się od reflektorów, żeby nie oślepił jej ich blask.

- Asekurujcie mnie - poleciła, kiedy druga połowa grupy przyniosła martwego strażnika i położyła go na pomoście. Linda zauważyła dwie rzeczy: zabity miał zapięte spodnie i szyję wykręconą pod dziwnym kątem.

Poczołgała się w kierunku podłużnego otworu. Nikoli przeciął plandekę obok szwu, w miejscu jej największego naprężenia, dlatego tak łatwo się rozdarła. Linda początkowo chciała wypalić dziurę w płachcie, żeby pozbyć się zwłok. Miała nadzieję, że inni strażnicy uznają za przyczynę wypadku rzucony bezmyślnie niedopałek papierosa. Ale to rozcięcie też mogła wykorzystać. Załoga „Mausa” powinna pomyśleć, że dwaj mężczyźni na patrolu poszli na skróty nad ładownią i przykrycie nie wytrzymało.

Linda zbliżała się do dziury. Przy otworze ześlizgnęła się kawałek i lina bezpieczeństwa natychmiast się napięła.

- Dobra, trzymajcie mnie - poleciła.

Opuściła głowę do ładowni i zapaliła małą latarkę. Najbardziej niepokoił ją Nikoli. Gdyby wylądował tak, że jego rana postrzałowa byłaby widoczna, ich potajemna inspekcja zostałaby wykryta. Spojrzała w dół. Dwuwymiarowy obraz noktowizyjny nie powodował zawrotów głowy, których się spodziewała. Bezpośrednio pod nią stał statek, mały tankowiec z nadbudową na rufie. Komin i maszty ucięto, żeby jednostka zmieściła się pod przykryciem. Ze swojego punktu obserwacyjnego Linda nie widziała nic, co pozwoliłoby zidentyfikować statek, żadnej nazwy ani charakterystycznych szczegółów. Ale znaleźli dowód na to, że mają do czynienia zarówno z porywaczami, jak i piratami.

Przełączyła gogle na podczerwień. Na tle czerni widniała smuga światła. Biegła od relingu tankowca do dna ładowni, gdzie rosła jasna plama. Linda wróciła do noktowizji i wycelowała w tanto miejsce latarkę. Okazało się, że Nikoli spadł na reling statku. Jego krew, widoczna w podczerwieni jako ciepło, miała teraz czarną barwę. Zwłoki Rosjanina leżały na najniższym poziomie. Linda wątpiła, żeby ktokolwiek poza doświadczonym patologiem dostrzegł na zmasakrowanym ciele ranę postrzałową.

Zadowolona zawołała do swoich ludzi, żeby wyciągnęli ją z powrotem.

- W ładowni jest jakiś tankowiec. Oceniam jego długość na jakieś sto dwadzieścia metrów. Odcięli mu komin, żeby się zmieścił.

- Masz możliwość ustalenia jego nazwy? - zapytał Max z centrum operacyjnego.

- Nie. Musimy stąd zniknąć. Ci dwaj strażnicy powinni właśnie wrócić z patrolu.

- Dobra, czekamy na was.

Członkowie grupy pobiegli z powrotem do miejsca, gdzie przywiązali zodiaca, i zeszli w dół po linie. Sternik uruchomił napęd elektryczny i zaczekał, aż snajper odczepi ponton. Łódź pneumatyczna opadła na fale i natychmiast odbiła od „Mausa”.

Piętnaście minut później zbliżyli się do „Oregona”. Załogant w hangarze łodziowym, który obserwował ich przez kamerę, zgasił czerwone lampy i otworzył drzwi w samą porę, by zodiac wpadł po pochylni na górę i zatrzymał się w środku. Właz zaczął się zamykać, zanim sternik wyłączył silnik.

Powitał ich Max Hanley. Podał Lindzie swoją komórkę.

- Ross, słucham.
- Linda, tu Juan. Co znaleźliście?
- Dok transportuje tankowiec średniej wielkości. Nie udało mi się ustalić nazwy statku.
- A co z załogą?
- Ani śladu człowieka. Ale w ładowni było zupełnie ciemno, więc podejrzewam, że albo nie żyją, albo są na jednym z holowników.

Żadne nie musiało mówić, że ta druga możliwość jest mało prawdopodobna.

- Wykonaliście wspaniałą robotę - powiedział Cabrillo. - Zapiszcie się na dodatkowe racje grogu.
- Osobiście wolałabym kilka kieliszków brandy, którą trzymasz w swojej kajucie.
- Trzeba się nią delektować w podgrzanej koniakówce, a nie połykać kieliszkami jak tanią tequilę.
- To podgrzeję kieliszek - odparła Linda. - Daję ci Maksa. - Zwróciła Hanleyowi komórkę i wyszła z hangaru, żeby wziąć długi prysznic i wypić porcję koniaku Juana za tysiąc pięćset dolarów.
- Co dalej? - zapytał Hanley.
- Murph mówił, że „Maus” płynie na Tajwan. Wyprzedźcie go i zobaczcie, czy zawinie do portu. Jeśli tak, dołączę tam do was i będziemy improwizowali.
- A jeśli zmieni kurs i skieruje się gdzie indziej?
- Sledźcie go.
- Wiesz, że dok wlecze się z prędkością trzech węzłów. Możemy go obserwować przez parę tygodni, zanim gdzieś przybije.
- Wiem, ale nie ma na to rady. Wyobraź sobie, że jesteś gliniarzem z drogówki, który siedzi na ogonie jakiegoś podejrzanemu rzeźchowi.
- Ten cholerny suchy dok jest wolniejszy od migrujących homarów - odparł Max i spoważniał. - Pamiętaj, że ostatni porwany statek z floty twojego przyjaciela to był tankowiec. Jak on się nazywał?
- „Toya Mara” - odpowiedział Juan.
- No właśnie. Wygląda na to, że to on jest w ładowni „Mausa”. Nie lepiej skontaktować się z marynarką wojenną lub japońską strażą przybrzeżną?
- Jestem pewien, że to „Toya Mara”. Ale nie chodzi o jeden statek i wątpię, żeby ktoś na tych dwóch holownikach dużo nam powiedział. Piraci za sprytnie to rozgrywają. Wspomnisz moje słowa:



dzień drogi od Tajpej dostaną rozkaz, żeby płynąć gdzie indziej. Jeżeli zdejmie „Mausa” teraz, wpadnie nam w ręce jeden statek i parę płotek. Ale jeśli dotrzemy za nim tam, gdzie zamierzają zełomować „Toyę” lub zamaskować ją tak, żeby mogli jej używać, pokrzyżujemy im plany.

- Masz rację - przyznał Max. - Dobra, zabawimy się w żółwia goniącego ślimaka i zobaczymy, dokąd nas zaprowadzi ten pościg.

- Daję ci do telefonu Eddiego. Ma listę rzeczy, które będą mu potrzebne, żeby przeniknąć do Chin. Możesz wysłać kogoś jako kuriera, kiedy przepłyniesz Cieśninę Koreańską. Robinson ma więcej niż wystarczający zasięg, żeby dolecieć do Pusan. Tam kurier może złapać rejsowy samolot do Singapuru i spotkać się z Eddiem na lotnisku.

- Poczekaj, wezmę coś do pisania. I okulary.

Pięćset mil morskich na północ od „Oregona”, który trzymał się blisko „Mausa”, bliźniaczy suchy dok wychodził właśnie z Cieśniny La Perouse’a, oddzielającej północny kraniec Japonii od Sachalinu, i wpływał na lodowate wody Morza Ochockiego. Ciągnęły go mocniejsze holowniki niż „Mausa”, więc podróżował z prędkością sześciu węzłów, mimo że statek ukryty w jego ładowni był większy od tankowca, który widziała Linda.

Wysokie fale powodowały, że długie liny holownicze na przemian napinały się i luzowały. W jednej chwili były zanurzone w wodzie, w następnej wyskakiwały nad powierzchnię, sztywne jak stalowe pręty. Holowniki parły na północ. Pruły fale, poruszały się zwinnie i reagowały na kaprysy morza tak, jak powinien to robić statek. Co innego dok. Przyjmował fale prosto na dziób, toteż rozbryzgi piany sięgały niemal górnego pokładu. Potem zrzucił z siebie wodę, wolno i ociężale, jakby morze tylko trochę mu przeszkadzało.

Jego ładownia też była zakryta, ale zasłaniały ją metalowe płyty ułożone na stalowej ramie. Wszystkie połączenia zaspawano. Pomieszczenie byłoby hermetycznie zamknięte, gdyby nie kilka wentylatorów na rufie. Te potężne urządzenia umożliwiały cyrkulację powietrza wewnątrz ładowni z prędkością tysięcy metrów sześciennych na minutę. Wydostające się powietrze przechodziło przez filtry chemiczne, co likwidowało odór bijący spod pokładów - smród, jakiego nie było na pełnym morzu od prawie dwustu lat.

Cabrillo musiał tkwić w Tokio, dopóki Mark Murphy nie dostarczy mu tropu, więc przez trzy dni bawił się w turystę w mieście, którego nigdy specjalnie nie lubił. Tęsknił za świeżym powietrzem na pełnym morzu, za horyzontem, który wydaje się nieosiągalny, za spokojem, gdy stoi się na rufie i obserwuje kilwater ciągnący się w dal. Tymczasem miał do czynienia z niezrozumiałym językiem, tłumami bez wyobraźni i ciągłymi spojrzeniami ludzi, którzy powinni być przyzwyczajeni do cudzoziemców z Zachodu, ale zachowywali się, jakby nigdy żadnego nie widzieli.

Jego poczucie bezsilności potęgowała misja Senga. Eddie wyjechał kilka dni wcześniej, spotkał się w Singapurze z kurierem i dotarł już do Chin. Zadzwoił na „Oregona” po przybyciu do Szanghaju, ale potem wyrzucił komórkę. Choć w miastach powszechnie ich używano, wybierał się na głęboką prowincję, gdzie nie funkcjonowała telefonia komórkowa. Gdyby go złapano z telefonem, wzbudziłby podejrzenia. Był zdany tylko na siebie w kraju, gdzie wydano na niego wyrok śmierci, dopóki nie pozna okoliczności, w jakich mieszkańcy wioski Lantan trafili na pokład „Kry”.

Juan poczuł wibracje swojej komórki w kieszeni kurtki. Wyjął telefon i odebrał. Szedł właśnie przez park otaczający pałac cesarski, jedyne spokojne miejsce w rozległej metropolii.

- Cabrillo;
- Juan, tu Max. Jesteś gotów zakończyć wakacje?
- Murph coś znalazł? - Cabrillo nawet się nie starał ukryć radości w głosie.
- Zgadłeś. Łączę cię z nim, ale zostaję na linii.

Juan poszukał samotnej ławki, żeby móc się całkowicie skoncentrować na rozmowie. Trzymał w pogotowiu mały notes i wieczne pióro Mont Blanc, na wypadek gdyby musiał coś zapisać.

- Cześć, szefie, jak leci?
- Max mówi, że masz coś dla mnie - odparł Cabrillo. Nie mógł się doczekać informacji o kierunku polowania.
- Trochę to trwało i musiałem sporo skonsultować z Mikiem Halpertem.

Halpert był konsultantem Korporacji, zajmował się też jej inwestycjami. Brał udział w kilku operacjach „Oregona”, choć zwykle pracował na pięćdziesiątym piętrze nowojorskiego wieżowca w swoim narożnym apartamencie z widokiem na Central Park. Wiedział wszystko o międzynarodowych finansach, mrocznym świecie fasadowych spółek, rajach podatkowych i podobnych sprawach, choć teraz, kiedy sytuacja finansowa Korporacji była kiepska, nie należał do ulubieńców Juana.

- Co znalazłeś? - przynaglił Cabrillo.
- To trochę skomplikowane, więc bądź cierpliwy. - Murph urwał, żeby przestudiować tekst na monitorze komputera. - Najpierw musiałem ustalić, kto się kryje za tymi wszystkimi podstawionymi spółkami, które są właścicielami „Mausa”. Pamiętasz, mówiłem ci: D Commercial Advisors, Eavity Partners International i cała reszta. Okazało się, że założono je wyłącznie po to, żeby kupić ten suchy dok. Nie mają żadnych innych aktywów.

- To nic niezwykłego - zauważył Juan. - Gdyby kiedykolwiek były wobec nich jakieś roszczenia ubezpieczeniowe, ich jedynym majątkiem jest „Maus”.

- Halpert powiedział mi to samo. Każda z tych spółek ma siedzibę w innym miejscu: jedna w Panamie, druga w Nigerii, trzecia w Dubaju... Próbowałem się skontaktować bezpośrednio z D Commercial Advisors. Nie mają nawet numeru telefonu, więc ich „siedziba” to prawdopodobnie skrytka pocztowa, skąd korespondencja jest automatycznie przekazywana pod inny adres.

- Można się w jakiś sposób dowiedzieć dokąd?
- Trzeba by się włamać do jakiegoś urzędu pocztowego w Trzecim Świecie i zajrzeć do ich rejestru.

- Zostawimy tę sprawę otwartą - powiedział zupełnie poważnie Cabrillo. - Co dalej?

- Następnie sprawdziłem strukturę organizacyjną każdej z tych spółek. Te informacje są na szczęście w ogólnodostępnej bazie danych. Miałem nadzieję, że wszędzie znajdziemy te same nazwiska członków zarządu.

- Chyba nie myślałeś, że to będzie aż takie łatwe? - obruszył się Juan.

- Miałem taką nadzieję. Niestety, nie dopisało mi szczęście, choć trafiłem na jeden wspólny element. Właścicielami „Mausa” jest siedem spółek. Lista ich dyrektorów liczy czterdzieści osób. Wszyscy są Rosjanami.

- Rosjanami? Spodziewałem się Chińczyków.

- Nic z tego. Sami Ruscy. To się zgadza z podejrzeniami Lindy, że ochroniarze na „Mausie” są z kraju carów. Prowadzę teraz poszukiwania przez Interpol. Namierzyłem już kilku z tych facetów. Są członkami rosyjskiej mafii. Żaden nie jest wysoko w hierarchii, ale należą do organizacji.

- Więc to rosyjskie przedsięwzięcie - stwierdził Juan w zamyśleniu. - Rozumiem, jakie korzyści przynoszą im porwania, ale handel ludźmi?

Wężowe głowy są dobrze zorganizowani i mocno usadowieni w Chinach. Nie dopuściliby, żeby robiła im konkurencję rosyjska mafia.

- A może wężowe głowy mają umowę z Rosjanami? - spekulował Max. - Mogą używać rosyjskich statków albo przetrzucać nielegalnych do Europy Zachodniej przez Rosję.

- To możliwe - zgodził się Juan. - Mogą zawijać do portu we Władywostoku, wysadzać tam Chińczyków na ląd i wysyłać ich dalej Koleją Transsyberyjską. W Moskwie czy Petersburgu nietrudno zdobyć fałszywe dokumenty i można ruszać do Berlina, Londynu albo Nowego Jorku. Słyszałem, że straż graniczna na całym świecie zlikwidowała mnóstwo starych nielegalnych kanałów, więc to może być nowy szlak.

Cabrillo już myślał z wyprzedzeniem. Nie znał zbyt wielu ludzi we Władywostoku, ale wciąż miał kontakty w Moskwie i Petersburgu. Kilku spośród jego dawnych przeciwników z czasów zimnej wojny pracowało w prywatnych firmach ochroniarskich dla nowego pokolenia kapitalistycznych oligarchów, niejeden sam był oligarchą.

- Więc wyruszam do Moskwy - oznajmił.

- Nie tak szybko, prezesie - skontrował Mark. - Może tam wylądujesz, ale może też być inna droga.

- Słucham.

- Myślałem o tym, jak można by wytropić czterdziestu rosyjskich gangsterów i jak moglibyśmy ich skłonić do mówienia. Rozmawiałem o tym z Mikiem Halpertem i doszliśmy do wniosku, że ci Rosjanie pewnie nie mają pojęcia, czym się zajmują te spółki. Ktokolwiek założył firmy D Commercial Advisors, Ajax Trading i inne, prawdopodobnie zapłacił Rosjanom za użycie ich nazwisk i oni nic więcej nie wiedzą.

- Fikcyjne zarządy fikcyjnych spółek.

- Dokładnie. Niezorientowani figuranci.

- Więc co nam pozostaje? - zapytał Juan, lekko poirytowany.

- Facet, który założył te spółki.

- Facet? Powiedziałeś „facet”?

- Zgadza się.

- Spieprzyli sprawę! - wykrzyknął Cabrillo. Irytacja zamieniła się w podniecenie, gdy dotarło do niego to, co właśnie usłyszał.

- Jasne, szefie - przytaknął Mark takim głosem, jakby się uśmiechał. - Te wszystkie fikcyjne spółki łączą dwie rzeczy. Po pierwsze, każda z nich jest właścicielem części „Mausa”; nawiasem mówiąc, w dokumentach figuruje nazwa „Mice”, ale to pewnie problem translatorski. Po drugie, wszystkie założył ten sam prawnik z Zurychu. Facet nazwiskiem Rudolph Isphording.

- Nigdy o nim nie słyszałem.
- Nie było powodu, żebyś słyszał, przynajmniej jeszcze kilka miesięcy temu.
- A co się wtedy wydarzyło? - Juan nagle stał się ostrożny.

- Ispording jest głównym bohaterem największego skandalu finansowego w Szwajcarii od czasu, kiedy wykryto, że ten kraj gromadził złoto dla nazistów. Nasz prawnik uwikłał się w pranie pieniędzy, szybko się zorientował, co mu grozi, i poszedł na współpracę ze szwajcarską prokuraturą. Dochodzenie zatacza coraz szersze kręgi. Prezesów kilku banków postawiono w stan oskarżenia, para ministrów złożyło rezygnację, a teraz śledczy sprawdzają, czy przedstawiciele Szwajcarii w ONZ-cie nie brali łapówek. Cała afery może mieć związek ze zniknięciem miliardów dolarów, które nieżyjący już przywódca OWP Jasir Arafat ukrył w szwajcarskich bankach. Trudno przewidzieć, co jeszcze może wypłynąć.

- Wszystko przez tego Ispordinga?
- Miał powiązania z różnymi ludźmi o bardzo brudnych rękach.
- Jeśli jest w to zaangażowana OWP, to dziwię się, że facet jeszcze żyje.

Max Hanley zachichotał.

- Jak tylko Palestyńczycy znajdą swoje pieniądze, uściska go z wdzięcznością jakiś zamachowiec samobójca.

- Gdzie jest teraz Ispording?

- Dla jego bezpieczeństwa trzymają go w więzieniu Regensdorf pod Zurychem. Od pięciu miesięcy zabierają go stamtąd tylko do sądu na rozprawy. Wożą go opancerzonym furgonem. Mediom nie wolno się do niego zbliżać, ale na jednym zdjęciu, zrobionym teleobiektywem, jakiś człowiek, który może być nim, jest w kamizelce kuloodpornej i ma jakby obandażowaną twarz. Szwajcarska prasa spekuluje, że Ispording przechodzi w czasie procesu operację plastyczną i kiedy skończy zeznawać, dostanie nową tożsamość.

- Wożą go opancerzonym furgonem? - upewnił się Cabrillo.

- Pod eskortą policji - odparł Mark. - Powiedziałem, że jest inne wyjście niż tropienie czterdziestu Rosjan, którzy mogą coś wiedzieć lub nie, ale nie mówiłem, że proste.

- Czy ktoś może go odwiedzać? - spytał Juan. Zastanawiał się, jak mógłby zdobyć przewagę nad prokuratorem. Ispording zawarł ze szwajcarskimi władzami bardzo korzystną umowę. Dlaczego miałby ryzykować jej zerwanie, mówiąc Korporacji cokolwiek o kilku fikcyjnych spółkach, które pomógł założyć? Juan musiał coś wymyślić.

- Tylko żona.

Pomysł zastraszenia Ispordinga podczas widzenia upadł. Skoro nie mogli się z nim zobaczyć w więzieniu, a Juan wątpił, by Ispordingowi pozwolono porozmawiać z kimkolwiek w sądzie, mieli bardzo ograniczone możliwości. Cabrillo prześledził w myślach sto różnych scenariuszy - i nic. Owszem, przyszło mu coś do głowy, ale to była loteria.

- Są pewni, że ta afery ma związek z OWP? - zapytał.
- Informacje są mgliste - odparł Mark - ale pasują do tego, o co jest oskarżony.
- To będzie musiało wystarczyć. Nawet pogłoska może zadziałać na naszą korzyść.

- Co ty knujesz? - spytał Hanley.
- Na razie wolę ci nie mówić. To szalony plan. Są jakieś zdjęcia żony Isphordinga?
- Nie powinno być trudności z wygrzebaniem jakiegoś z archiwów prasowych.
- Dobra, zajmijcie się tym. Lecę do Zurychu, żeby się zorientować, czy mój pomysł może wypalić. Gdzie teraz jesteście?
- Na Morzu Wschodniochińskim, jakieś dwieście mil morskich na północ od Tajwanu.
- A „Maus”?
- Dwadzieścia mil przed nami. Sprawdziliśmy, że taki jest maksymalny zasięg jego radaru. Co dwanaście godzin wysyłamy nad niego UAV-a, żeby mieć pewność, że nic się nie zmieniło. Jak dotąd, nie. Wszystko wygląda zwyczajnie. Po prostu płynie na holu i już.
- Tyle że w jego ładowni jest statek porwany na pełnym morzu.
- Owszem.

„Maus” pokonywał tylko sto pięćdziesiąt mil morskich dziennie, więc zostało im jeszcze półtora dnia drogi do Tajpej. Ale Juan nadal uważał, że dok zmieni kurs i skieruje się gdzie indziej. Takie nowoczesne i demokratyczne państwo prawa, jak Tajwan, nie nadawało się na bazę operacyjną dla piratów. Juan był pewien, że popłyną do Wietnamu, Indonezji lub na Filipiny.

Co oznaczało, że jeśli zamierza dotrzeć do Rudolpha Isphordinga, nie będzie miał zaplecza w postaci „Oregona”. A niezwykle możliwości statku były mu potrzebne do zrobienia tego, co wymyślił. Obliczył odległości i czasy przelotów, biorąc pod uwagę zasięg robinsona R-44, ukrytego bezpiecznie w hangarze pod pokładem. Miałyby mało czasu na zabranie z „Oregona” sprzętu i ludzi. Mógłby to zrobić tylko wtedy, kiedy frachtowiec będzie mijał Tajwan. Po wpłynięciu na Morze Południowochińskie byłby już za daleko od lądu, żeby dokonać przerzutu helikopterem. Juan zdał sobie sprawę, że po przylocie do Zurychu będzie miał tylko dwa dni na podjęcie decyzji, kogo i co musi ściągnąć z „Oregona”, zanim statek znajdzie się poza zasięgiem.

Na przygotowania do przeprowadzenia akcji w Korei Północnej potrzebowali trzech tygodni, i musieli się mocno spieszyć. A tamto zadanie było drobiazgiem w porównaniu z tym, co teraz planował Cabrillo.

## 12

Eddie zawsze wierzył, że każdy jest kowalem własnego losu. Co nie oznaczało, że wykluczał istnienie ślepego trafu, takiego jak wygrana na loterii lub udział w jakimś wypadku. Po prostu uważał, że odpowiednie planowanie, właściwe nastawienie i trzeźwość umysłu wystarczają do rozwiązywania problemów. Nie trzeba mieć fartu, żeby odnieść sukces. Trzeba tylko ciężko pracować.

Po dwóch pierwszych godzinach leżenia w rowie irygacyjnym nadal w to wierzył. Nie miał czasu na odpowiednie zaplanowanie misji, więc nie za sprawą pecha znalazł się w tej sytuacji. Po prostu nie przygotował się do tego zadania. Ale teraz, kiedy mijała piąta godzina i jego dreszcze wywoływały fale na powierzchni wody, przeklinał bogów za swój brak fartu.

Do Chin dostał się bez przeszkód. Celnicy ledwo rzucili okiem na jego dokumenty i tylko pobieżnie przejrżeli bagaż. Nie był tym zaskoczony, bo podróżował jako dyplomata wracający do domu po rocznym pobycie na placówce w Australii, więc należało go potraktować uprzejmie. Po

Chinach zamierzał się poruszać z papierami bezrobotnego urzędnika. Pierwszego dnia w Szanghaju po prostu spacerował po mieście. Nie był w Chinach tak długo, że musiał się ponownie zaaklimatyzować, zmienić postawę i sposób chodzenia i znów przyzwyczać do języka.

Rodzice, mieszkający w nowojorskiej chińskiej dzielnicy, uczyli go jednocześnie mandaryńskiego i angielskiego, więc nie miał żadnego akcentu, tylko raczej bezbarwną modulację głosu, która brzmiałaby obco w uszach Chińczyka. Przysłuchiwał się rozmowom wokół siebie i przyswajał sobie od nowa akcent, którego nabrał, kiedy pracował tu dla CIA.

Nie mógł uwierzyć w transformację, jaka się dokonała od czasu jego ostatniego pobytu w największym chińskim mieście. Wieżowce należały do najwyższych na świecie, budynki i żurawie wciąż pięły się w górę, życie toczyło się w zawrotnym tempie. Przechodnie rozmawiali z podnieceniem przez wszechobecne telefony komórkowe. Po zmroku oświetlone neonami ulice Szanghaju mogły rywalizować ze Strip, główną arterią Las Vegas.

Eddie wtapiał się stopniowo w tłum. Wymeldował się z hotelu i zostawił swoje dwie walizki za śmietnikiem. Pojemnik właśnie opróżniono, więc powinien stać na swoim miejscu przez kilka dni. Nie, żeby w walizkach było coś kompromitującego. Paszport dyplomatyczny zniknął wcześniej w hotelowej spłucze. Następnie kupił nowe ubranie w domu towarowym. Sprzedawca nie skomentował faktu, że klient w drogim zachodnim garniturze wybrał rzeczy, które nie pasowały do jego standardu. Eddie włożył nowe ubranie, wyrzucił garnitur i pojechał autobusem z kwitnącego śródmieścia do dzielnicy fabryk i ponurych bloków mieszkalnych. Na koszuli miał już plamy z jedzenia, buty pozdzierał na wierzchu cegłą z budowy.

Spotkał się ze spojrzeniami paru uboższych robotników w źle dopasowanych ubraniach, lecz poza tym nikt nie zwracał na niego uwagi. Nie był jednym z nich, ale też nie wyglądał dużo lepiej niż oni. Sprzedawca w kolejnym sklepie odzieżowym wziął go za pechowego urzędnika, który został zmuszony do podjęcia pracy fizycznej. Eddie kupił dwie pary workowatych spodni, kilka koszul i cienką szarą kurtkę. W drugim sklepie nabył buty i plecak, w trzecim przybory toaletowe. Nigdzie nie wzbudził zainteresowania.

Kiedy po trzech dniach bez porządnego prysznica dotarł na dworzec autobusowy, by wyruszyć do prowincji Fucien, był anonimowym robotnikiem, który wraca do swojej wioski, bo nie powiodło mu się w dużym mieście. Powolna transformacja nie tylko gwarantowała, że nikt go nie zapamięta, lecz również pomagała mu wczuć się w rolę. Gdy siedział na zimnej ławce w poczekalni dworcowej, miał spojrzenie przegranego człowieka i garbił się pod ciężarem porażki. Stara kobieta, z którą wdał się w rozmowę, powiedziała mu, że najlepiej zrobi, jeśli wróci do rodziny. Duże miasta nie są dla każdego, stwierdziła. Dodała, że spotkała już wielu młodych ludzi szukających ucieczki w narkotykach. Na szczęście miała zaćmę i nie widziała, że Eddie jest znacznie starszy, niż jej się wydaje.

Podróż minęła bez przygód. Zatłoczony autobus napędzany etyliną wypuszczał wielkie kłęby śmierdzącego dymu, w środku cuchnęli ludzie. Kłopoty Eddiego zaczęły się po przyjeździe do wioski Lantan, skąd Sang i jego rodzina wyruszyli w rejs, który zakończyli martwi w kontenerze. Nie mógł wiedzieć - znów dlatego, że nie miał czasu się przygotować - że dotrze na miejsce w dniu wyborów do władz lokalnych. Wojsko ustawiło na rynku punkt kontrolny i wszyscy musieli tamtędy przechodzić w drodze do urn.

Eddie widział już takie wybory i wiedział, że mieszkańcy wioski nie mają alternatywy, bo na każdy urząd jest tylko jeden kandydat. Karty do głosowania często były już wypełnione, wyborcy

musieli je tylko wrzucić do urn pod czujnym okiem uzbrojonych żołnierzy. Tak wyglądała demokracja w chińskim wydaniu. Na wybory przyjechali w charakterze obserwatorów niektórzy wysocy urzędnicy ze stolicy prowincji, miasta Siamen. Wojsko przywiozło nawet czołg, masywny T-98, jeśli szybkie spojrzenie Eddiego wystarczyło, by go rozpoznać. Przypuszczał, że to propagandowa sztuczka Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, a zarazem delikatne przypomnienie, kto jest największą potęgą w Chinach.

Choć w Lantan mieszkało prawie dziesięć tysięcy ludzi, Eddie wiedział, że zwróci na siebie uwagę. Nie mówił zbyt dobrze miejscowym dialektem i nie potrafiłby przekonująco wytłumaczyć swojej obecności w tej zapadłej dziurze, gdyby zaczepił go jakiś wścibski żołnierz. Dlatego od pięciu godzin tkwił pod mostem w rowie irygacyjnym na obrzeżach wioski. Zamierzał pozostać w swojej kryjówce, dopóki oficjele i wojsko nie ruszą dalej, by zastraszyć ludzi gdzie indziej.

Ale znów mu się nie udało być kowalem własnego losu.

Był w swoim świecie zimna i męki i usłyszał głosy dopiero wtedy, gdy zabrzmiały prawie tuż nad jego głową.

- Jeszcze kawałek - mówił mężczyzna. - Widziałem tam ładne miejsce, jak wjeżdżaliśmy do wsi.

- Nie, chcę już wracać - zaprotestowała młoda kobieta, zapewne jeszcze nastolatka. Wydawała się przestraszona.

- Nie bój się - uspokajał ją mężczyzna. Miał akcent mieszkańca Pekinu lub okolic. Dziewczyna mówiła miejscowym dialektem.

- Nie, proszę. Rodzice będą mnie szukali. Miałam coś zrobić w domu.

- Idziemy. - Mężczyzna przestał udawać uprzejmego. Jego głos zabrzmiał ostro.

Byli na moście nad rowem irygacyjnym, kilkadziesiąt centymetrów nad głową Eddiego. Spomiędzy grubych desek posypał się pył. Kroki idącej pary stały się nierówne. Seng wyobraził sobie scenę na górze: dziewczyna się opiera, mężczyzna ciągnie ją za ramię, prawie wlecze.

Odepchnął się delikatnie od brzegu i przeprowił na drugą stronę dwuipółmetrowego rowu. Nasłuchiwał. Mężczyzna przeciągnął dziewczynę przez most.

- Będzie fajnie - zapewnił. - Spodoba ci się.

Tuż za wsią przy drodze gruntowej, był gęsty zagajnik. Eddie wiedział, że w tym odludnym miejscu dojdzie wkrótce do gwałtu. Kiedy mężczyzna i jego ofiara dotarli do drogi, podciągnął się na brzeg. Bystrooki obserwator w wiosce mógłby go teraz zobaczyć. Eddie nie powinien opuszczać swojej kryjówki. To, co miało się stać, nie było jego sprawą. Ale nie mógł na to beczynnie patrzeć.

Okazało się, że mężczyzna jest żołnierzem. Przez ramię miała przewieszzonego kałacha. Jego mundur wydawał się czysty w porównaniu z brudnym ubraniem wiejskiej dziewczyny. Trzymał ją za ramię i unosił tak, że ledwo dotykała stopami ziemi. Kierował się w stronę najbliższych drzew, które tonęły w cieniu, bo słońce schowało się już za łańcuchem górskim na zachodzie. Dziewczyna miała na sobie spódnicę i prostą bluzkę, długie włosy związane w koński ogon dyndały między jej wąskimi ramionami.

Eddie zaczekał, aż para zniknie w lesie. Obejrzał się na wieś. W kilku budynkach zapaliły się

lampy elektryczne. W dalej położonych domach nadal było ciemno. Ich mieszkańcy oszczędzali świece. Nikt nie patrzył w jego kierunku. Wyglądało na to, że żołnierze na rynku przygotowują się do załadunku czołgu na dwudziestokołową platformę transportową.

Seng wyszedł z rowu i przeciął drogę. Ociekał wodą. Był boso, bo wiedział, że tanie buty rozlecą się po długim moczeniu. Zagłębił się w las i zdał na swój słuch. Dziewczyna protestowała, potem jej cienki głos nagle umilkł. Najwyraźniej żołnierz zakrył jej dłonią usta. Eddie szedł cicho po skąpym poszyciu.

Zatrzymał się za wielką sosną. Jego uwagę zwróciło coś białego. Bluzka dziewczyny. Leżała na trawie. Zaryzykował i wyrzwał z za grubego pnia. Żołnierz położył karabin obok miejsca, gdzie przygwoździł do ziemi dziewczynę. Zasłaniał ją częściowo, ale Eddie dostrzegł, że jest naga od pasa w górę. Żołnierz jedną rękę przyciskał do jej ust, drugą zadarł jej spódnicę do bioder. Miała chude nogi i machała nimi w powietrzu, próbując zrzucić z siebie napastnika.

Żołnierz odsłonił jej usta, ale zanim zdążyła krzyknąć, uderzył ją w twarz. Głowa odskoczyła jej w bok i dziewczyna znieruchomiała. Eddie miał tylko sekundy, żeby zadziałać, ale między nim a żołnierzem i jego bronią nie było żadnej osłony.

Mimo to wysunął się z za drzewa. Ludzkie oko łatwiej dostrzega światło i ruch z boku niż na wprost. Gdy Eddie pokonał trzy z dziesięciu kroków dzielących go od miejsca gwałtu, żołnierz wyczuł jego obecność. Seng zerwał się do biegu, palce jego nóg wbiły się głęboko w piaszczysto-łilastą glebę niczym kolce sprintera.

Żołnierz, naładowany już adrenaliną, zareagował błyskawicznie. Odwrócił się, chwycił karabin, uniósł go i skierował lufę na cel. Nawet gdyby chybił, strzał zaalarmowałby jego towarzyszy w wiosce. Najwyraźniej wiedział o tym, bo zagiął palec na spuście, zanim wziął Eddiego na muszkę.

Eddie rzucił się naprzód. Jednym ramieniem zatoczył szeroki łuk, żeby złapać lufę, wyprostowanymi palcami drugiej ręki dźgnął żołnierza w tchawicę. Spóźnił się; tamten nacisnął spust. Ale broń nie wystrzeliła. Impet Eddiego zwałił żołnierza z dziewczyny z taką siłą że przetoczyła się dwa razy po ziemi. Zignorował jej krzyk. Kiedy się zatrzymali, żołnierz leżał na Eddim. Seng odepchnął go, przytrzymał jedną ręką, a drugą zadał mu dwa szybkie ciosy w krtani. Nie były silne, ale trafiły w to samo miejsce i zmiądzły tchawicę. Żołnierz kilka razy wciągnął gwałtownie powietrze, potem zwiotczał.

Seng odepchnął zwłoki i przestał myśleć o niedoszłym gwałtcielu. Dziewczyna leżała skulona na boku, jęcząc głośno. Eddie podniósł jej bluzkę, przykrył nią dziewczynę i odwrócił na plecy. Cios nie wybił jej szczęki, miała tylko siniaka. Wytrzeszczała oczy ze strachu i bólu. Eddie delikatnie otworzył jej dłoń. Palec wskazujący był wygięty pod kątem niemal dziewięćdziesięciu stopni. Seng natychmiast zrozumiał, dlaczego kałasznikow nie wystrzelił. Dziewczyna tylko udawała omdlenie, żeby nie dać napastnikowi satysfakcji zgwałcenia przytomnej ofiary, i w ostatniej chwili wetknęła palec za spust, co zapobiegło zwolnieniu zamka. Uratowała Eddiemu życie, a siebie uchroniła przed losem, który większość kobiet uważa za gorszy od śmierci. Seng złamał jej nieświadomie palec, kiedy szarpnął broń.

- Jesteś bardzo odważna - powiedział uspokajająco.
- Kim jesteś? - wykrztusiła przez łzy.
- Nikim. Nigdy mnie nie widziałaś, a to wszystko w ogóle się nie wydarzyło. Złamałaś sobie palec, bo się potknęłaś i upadłaś, jak wracałaś z pola. Rozumiesz?



Zerknęła na martwego żołnierza. Eddie odgadł jej nieme pytanie.

- Zajmę się nim. Nie musisz się o to martwić. Wracaj do domu i nikomu nic nie mów.

Odwróciła się i włożyła bluzkę. Na cienkiej tkaninie zostało jeszcze tyle guzików, że mogła się zapiąć. Wstała, powstrzymując łzy, które zebrały się w kącikach jej oczu. Była w tym jednocześnie duma, wstyd i cierpienie. Oblicze Chin.

- Zaczekaj - zawołał Eddie, zanim zniknęła z polany. - Znasz rodzinę o nazwisku Sang? Kilkoro z nich niedawno odjechało na wężu.

Na wzmiankę o nielegalnej imigracji cofnęła się w obronnym odruchu, gotowa do ucieczki. Ale została. Chciała się jakoś odwdziżyć człowiekowi, który ją uratował.

- Tak, mieszkają w wiosce. Mają sklep i warsztat rowerowy. Mieszkają nad nim. Masz o nich jakieś wiadomości?

Eddie domyślił się, że dziewczyna dobrze zna tę rodzinę. Może była tą ukochaną o której pisał Sang.

- Tak - odrzekł, czując do siebie wstręt z powodu tego, co zamierzał jej powiedzieć. - Są w Japonii i wszyscy pracują. Idź już!

Dziewczyna zniknęła między drzewami, a Eddie uświadomił sobie, że zrobił coś o wiele gorszego niż martwy żołnierz: dał jej nadzieję.

Przetrząsnął kieszenie zabitego w poszukiwaniu jego dokumentu tożsamości, potem zdjął mu z szyi identyfikatory i zawiesił sobie ciepłe blaszki na piersi. Zrobił linę z paska karabinu i pasa żołnierza i po dziesięciu minutach ciało utkwilo w rozwidleniu dwóch zrosniętych dębów sześć metrów nad ziemią. Znalezienie trupa zajmie oddziałowi poszukującemu dezertera kilka dni.

Eddie zatarł gałęzią wszystkie ślady i wrócił do swojej kryjówki pod mostem. Dziewczyna była już pewnie w wiosce, najprawdopodobniej ze swoją matką w domu miejscowej uzdrowicielki, która opatrywała jej palec. Jej problemy już się skończyły. Eddiego właśnie się zaczęły.

Wojsko nie mogło opuścić Lantan, dopóki na zbiórkę nie stawią się wszyscy żołnierze. Wyglądało na to, że oddział zostanie na noc. Wątpliwe, żeby do rana zauważono nieobecność martwego gwałciciela. Koledzy będą go kryli w przekonaniu, że znalazł sobie kogoś - albo profesjonalistkę, albo przysłowiową córkę gospodarza. Legendy o urodzie i swobodnych obyczajach takich dziewczyn były w Chinach równie popularne jak w Ameryce.

Kłopoty zaczną się na porannym apelu. Kiedy się okaże, że jednego żołnierza wciąż nie ma, oddział przeszuka wieś, a potem całą okolicę, zataczając coraz szerszy krąg. Eddie nie mógł zrezygnować z wykonania zadania, tak jak nie mógł zostawić dziewczyny w rękach gwałciciela. Miał czas tylko do świtu na skontaktowanie się z wężowymi głowami. Już nie zamierzał ich przesłuchiwać, żeby się dowiedzieć, co się stało z Sangiem i innymi. Teraz byli mu potrzebni do

tego, by go wywieźć z Chin.

Obrócił w palcach identyfikatory. Wiedział, że ma doskonałą przykrywkę.

## 13

Anton Sawicz odetchnął z ulgą, że czeka go jeszcze tylko jeden lot do miejsca przeznaczenia. Dotarcie do lotniska Elizowo pod Petropawłowskiem Kamczackim zajęło mu kilka dni.

Stolica Obwodu Kamczackiego na dalekowschodnim wybrzeżu Rosji, nazywana w skrócie P.K., była niedostępna do czasu rozpadu Związku Radzieckiego. Następne lata niewiele zmieniły. Niemal wszystkie budynki powstały z betonu zrobionego z popiołu wyrzuconego podczas erupcji pobliskiego wulkanu Awacza w roku 1945, co nadało ćwierćmilionowemu miastu uniformistyczny charakter, wybiegający poza jego pudełkową radziecką architekturę. Przez dziesięciolecia nie wybrukowano ulic, a gospodarka podupadła, bo wojsko, które kiedyś wspierało miasto, wycofało się stamtąd. Otoczony ośnieżonymi szczytami gór wznoszących się nad malowniczą Zatoką Awaczyńską P.K. stał się posępnym miejscem, gdzie mieszkańcy pozostali tylko dlatego, że zabrakło im energii, aby się przeprowadzić.

Całym półwyspem Kamczatka władała niegdyś Armia Czerwona. W surowym krajobrazie wyrastały nowoczesne stacje radarowe do wykrywania amerykańskich międzykontynentalnych pocisków balistycznych. W kilku bazach lotniczych trzymano samoloty do przechwytywania amerykańskich bombowców, stacjonowała tam również Flota Podwodna Pacyfiku. Kamczatka była też rejonem lądowania radzieckich pocisków balistycznych, wystrzeliwanych testowo z zachodu. Dziś okręty podwodne Floty Pacyfiku rdzewieją w bazie morskiej Rybaki na południowym brzegu Zatoki Awaczyńskiej. Kilka już zatonoło z torpedami w wyrzutniach i paliwem jądrowym w reaktorach. Stacje radarowe opuszczono, samoloty pozostały uziemione w bazach z braku części zamiennych i benzyny lotniczej. Obecność wojska spowodowała w wielu rejonach tak duże skażenie środowiska, że nawet krótki pobyt w tych miejscach groziłby poważnymi chorobami.

Ale to nie wojsko pierwszy raz przyciągnęło Antona Sawicza na Kamczatkę ponad dwadzieścia lat wcześniej, lecz geologia. Kamczatka wyłoniła się z morza dwa i pół miliona lat temu, początkowo jako wulkaniczny archipelag, tak jak alaskie Wyspy Aleuckie. Ocean szybko spłaszczył te góry, ale ląd znów się podniósł, wypychany przez ogromne ilości roztopionej skały głęboko pod ziemią. Kamczatka to łuk w Ognistym Kręgu, pierścieniu wulkanów i stref trzęsień ziemi, wyznaczającym granice rozległej płyty tektonicznej na Pacyfiku. Na półwyspie jest ponad sto pięćdziesiąt wulkanów, w tym dwadzieścia dziewięć czynnych. Najbardziej daje o sobie znać Karymski, którego erupcje następują nieprzerwanie od roku 1996. Ostatnio odezwał się nienazwany jeszcze wulkan w środku półwyspu, wyrzucający z siebie popiół i parę.

W latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku sytuacja ekonomiczna zmusiła Związek Radziecki do zainicjowania programu eksploracji i eksploatacji. W obliczu bezprecedensowej rozbudowy potencjału militarnego przez Reagana Rosjanie zaczęli poszukiwać surowców niezbędnych do zaspokojenia rosnących potrzeb własnego kompleksu militarno-przemysłowego. To były ostatnie salwy zimnej wojny, prowadzonej nie z użyciem pocisków i bomb, lecz z wykorzystaniem fabryk i bogactw naturalnych. Związek Radziecki ostatecznie przegrał tę wojnę, ale w jej trakcie odkryto ogromne złoża węgla, rudy żelaza i uranu.

Anton Sawicz był wtedy młodym geologiem. Pracował w Urzędzie Zasobów Naturalnych,

agencji państwowej, której Komitet Centralny wyznaczył zadanie odnalezienia wszystkich bogactw ziemi w granicach ZSRR. W roku 1986 Sawicz przyjechał na Kamczatkę w towarzystwie dwóch innych badaczy, by prowadzić poszukiwania złóż naturalnych pod kierunkiem profesora geologii z Uniwersytetu Moskiewskiego, akademika Jurija Strachowa.

Zespół spędził cztery miesiące na eksploracji półwyspu, korzystając z helikopterów i pojazdów terenowych, które dostarczyła Armia Czerwona. Z powodu budowy geologicznej Kamczatki uważano, że mogą tam być diamenty, ale grupa nie natrafiła na żaden ślad potwierdzający nadzieje Moskwy. Odkryła jednak coś równie cennego.

Obozowali u podnóża żyły. W dzień odłupywali próbki, w nocy wyobrażali sobie możliwości. Spekulowali, jakby to, co znaleźli, należało do nich, ale oczywiście tak nie było. Prawdopodobnie dostaliby pochwały za swoje odkrycie i może przydziały większych mieszkań.

Sawicz nie pamiętał, kto pierwszy to zasugerował; być może on sam, choć tak naprawdę nie miało to znaczenia. Narodził się pomysł, najpierw traktowany jako żart, ale wkrótce dyskutowali o tym serio. Tamtej nocy deszcz w końcu ustał, co było czymś niezwykłym. Wypili butelkę wódki, co nie było niczym niezwykłym. W Moskwie nie można było dostać porządnego papieru toaletowego, ale państwo potrafiło zaopatrzyć obywateli w alkohol pięćset kilometrów od najbliższego miasta.

Ktoś zapytał: Po co zgłaszać ich odkrycie? Po co komukolwiek o tym mówić? Tylko oni czterej znają prawdę i nikt nie będzie badał tego terenu, kiedy złożą raport. Mogą wrócić do Moskwy, żyć przez kilka lat tak jak przedtem, a potem tu wrócić i samodzielnie eksploatować żyłę. Będą bogaci.

Sawicz wysiadł z pasażerskiego Iljuszyna, który wylądował na lotnisku Elizowo, i uśmiechnął się na wspomnienie ich naiwności. Akademik Strachów pozwolił im marzyć przez godzinę czy dwie, później sprowadził ich z powrotem na ziemię. Nie skrytykował tego, co chcieli zrobić, bo nawet szanowany profesor nie mógł pokonać własnej chciwości. Ale wiedział też, że to, o czym dyskutują, jest czystą fantazją. W kilku słowach wytłumaczył im, że nigdy nie dostaną zgody na powrót na Kamczatkę, a jeśli nawet, to nie zdołają we czterech wydobyć tyle surowca, żeby odmienić swoje życie. Wyjaśnił im, jak funkcjonują światowe rynki, i powiedział, że nie będą w stanie sprzedać rudy wykopanej z ziemi. Szybko ostudził ich zapal i rozwiął ich nadzieje. Wódka przestała im smakować.

Sawicz pamiętał, że akurat w tym momencie znów zaczęło padać. Strachów zgasił syczącą lampę gazową i przez kilka minut słuchali, jak deszcz bębni w ich namiot. Potem wpełzli do śpiworów. Sawicz był pewien, że pozostali nadal myślą o możliwościach, o których rozmawiali.

Minęło wiele minut, zanim usłyszał ich chrapanie. Intuicja mówiła mu, że plan może się powieść, jeśli uwzględni się jeden dodatkowy element: odpowiedni czas.

Myśleli w kategoriach paru lat. On wiedział, że miną dekady, zanim ktokolwiek będzie mógł wrócić. Stanie się to możliwe dopiero po upadku komunizmu, gdy w rodzinie zapanuje kapitalizm. Koledzy nie brali pod uwagę takiej ewentualności, ale Sawicz już wiedział, że to nieuniknione. Propaganda nie może skrócić kolejek po chleb ani wyprodukować części zamiennych do samochodów, więc w końcu przywódcy przestaną próbować. Sawicz przewidywał spokojną implozję, nie rewolucję, ale był pewien, że Związek Radziecki zawali się pod ciężarem własnej niewydolności. Jeśli uda mu się przygotować na ten dzień, wszystkie kawałki układanki trafi na swoje miejsce.

Koledzy nie brali pod uwagę jeszcze jednej rzeczy - że on nie zamierza dzielić się z nimi

ewentualnym bogactwem.

Do przylotu ich helikoptera zostały cztery dni. Sawicz miał aż nadto czasu na realizację swojego planu. Poszukiwania złóż prowadzili na obszarze sześćdziesięciu kilometrów kwadratowych. Odkąd przybyli na Kamczatkę pięć tygodni temu, poruszali się samodzielnie. Ustalono, że śmigłowiec z P.K. będzie latał nad wyznaczonym terenem i czekał, aż wystrzelą race, żeby wskazać pilotowi swoją pozycję.

Sawicz musiał odciągnąć grupę możliwie jak najdalej od tego, co znaleźli, ale Strachów na pewno będzie chciał, żeby do przylotu helikoptera zostali tam, gdzie są, i pochwalili się swoim odkryciem. Nie mając broni, którą mógłby ich sterroryzować, postanowił zadziałać od razu.

Leżał w śpiworze jeszcze parę godzin. Zwlekał nie z powodu wyrzutów sumienia. Po prostu chciał, żeby grupa była pogrążona w jak najgłębszym śnie. Wstał o czwartej, najciemniejszej godzinie nocy, i w świetle ołówkowej latarki otworzył apteczkę. Mieli w niej podstawowe wyposażenie medyczne: bandaże, antyseptyki, trochę antybiotyków i pół tuzina strzykawek z morfiną.

W okolicy było tyle meszek, że dawno przestali się od nich opędzać i reagować na ich bolesne ukąszenia. Każdy miał pełno czerwonych śladów na twarzy, ramionach i kostkach.

Sawicz wypuścił zawartość jednej strzykawki do ziemi i odciągnął tłok, żeby napęcznieć cylinder powietrzem. Największy w grupie był Michaił, Ukrainiec z Kijowa, w przeszłości utytułowany zapaśnik. Sawicz wkłuł mu cienką igłę w pulsującą tętnicę szyjną. Nacisnął wolno tłok i wpuścił do krwiobiegu byłego mistrza sportu zabójczy pęcherz powietrza. Przywykły do ukąszeń meszek Michaił nawet nie poczuł ukłucia. Sawicz zaczął kilka sekund, aż zastrzyk spowoduje zator w mózgu i nastąpi zgon. Powtórzył to samo jeszcze dwa razy. Zareagował tylko stary Jurij Strachów. Po ukłuciu igły otworzył gwałtownie oczy. Anton zasłonił mu ręką usta, przygniótł swoim ciężarem klatkę piersiową geologa i wcisnął szybko tłok strzykawki. Strachów rzucał się przez chwilę, wreszcie zwiotczał.

W blasku lampy gazowej Sawicz obmyślił następne posunięcie. Pamiętał, że mniej więcej pięć kilometrów bliżej wybrzeża jest wysokie, strome zbocze pokryte rumowiskiem skalnym. Podłoże było zdradliwe i nieostrożny człowiek mógł się zsunąć prawie kilometr w dół. Staczające się z góry ciało zostałoby tak zmasakrowane, że jego widok zniechęciłby do autopsji nawet najbardziej odpornego patologa.

Tamtej nocy Anton Sawicz przejrzał notatniki i dzienniki swoich towarzyszy. Powyrywał strony ze wzmiankami o odkryciu i opisami terenu za zwirowym stokiem. Usunął wszystko, co mogłoby wzbudzić zainteresowanie podczas śledztwa, i upewnił się, że w żadnym notatniku nie ma nic ciekawego o ostatnim sektorze ich poszukiwań. Sreparował własny dziennik tak, by wyglądało na to, że zbadali większy obszar niż w rzeczywistości, żeby nikt nie miał powodu tu wracać.

O świcie zaczął przenosić śpiwory z ciałami na szczyt zbocza. Ukrainiec Michaił był za ciężki, żeby wziąć go na plecy, więc Sawicz zrobił nosze z gałęzi i pasków od plecaka i zaciągnął zwłoki na miejsce. Zmęczył się, ociekał potem i przeklinał siebie za to, że nie zaczął z transportem ostatniego ciała do następnego dnia. Wolał nie wracać w ciemności do obozu, więc spędził koszmarną noc skulony przy swoich ofiarach.

Nazajutrz zwinął ich namiot i przeniósł wszystkie rzeczy nad urwisko. Musiał spakować sprzęt kempingowy i władować do plecaków, zanim przypasał je do zwłok. Postanowił poczekać ze zrzuceniem ciał do następnego ranka. Nie dlatego, że chciał zobaczyć, jak się rozbijają o ostre skały; po prostu musiał wiedzieć, gdzie wylądują. Tylko profesor Strachów miał race, które byłyby mu

potrzebne następnego popołudnia do wezwania helikoptera.

Sawicz zjadł na śniadanie konserwę mięsną i puszkę krymskich pomarańczy. Popił to kawą i zepchnął Michaiła ze zbocza. Obserwował przez lornetkę, jak zwłoki najpierw się toczą potem podskakują Kiedy nabrały szybkości, zaczęły koziołkować. Wskutek siły odśrodkowej z ran tryskała krew. Połamane kończyny wyglądały jak gumowe. Dwa następne ciała zostały okaleczone jeszcze bardziej, jeśli w ogóle było to możliwe.

Zejście ze zbocza zajęło Sawiczowi ponad godzinę. Otarł sobie skórę na dłoniach, więc szczypały go od potu. Na dole wyjął z plecaków sprzęt i jedzenie i opróżnił kilka puszek, żeby upozorować, że jest u stóp urwiska od paru dni.

Kiedy do przylotu helikoptera została godzina, zrobił sobie dwa zastrzyki z morfiny i zaczął, aż narkotyk zacznie działać. Wkrótce poczuł, że drętwieją mu ręce i nogi. Wypadek musiał wyglądać autentycznie. Byłoby podejrzanym, że trzech jego koledzy zginęli, a on ma tylko podrapane dłonie.

Oparł się o występ skalny, chwycił kamień wielkości swojej głowy i uniósł go najwyżej, jak mógł. Położył lewą rękę na bazaltowym głazie i walnął w nią kamieniem. Kość promieniowa i łokciowa pękły z trzaskiem; Sawicz ryknął z bólu. Potem złapał mniejszy kamień i uderzył się nim w głowę z taką siłą że rozciął sobie skórę. Zmagał się z cierpieniem i modlił, by narkotyk uśmierzył ból.

Był prawie nieprzytomny, kiedy usłyszał w oddali helikopter, i dopiero po kilku próbach zdołał odpalić racę. Kula białego fosforu uniosła się łukiem pod niebo, ciągnąc za sobą pióropusz dymu. Najwyraźniej została zauważona, bo Sawicz ocknął się w szpitalnym łóżku w Petropawłowsku.

Przesłuchanie było formalnością. Makabryczna scena opisana przez załogę śmigłowca potwierdzała zeznanie Antona, że pod idącymi mężczyznami osunęło się zbocze i stoczyli się w dolinę. Śledczy był zdumiony, że Sawicz doznał tylko niewielkiego wstrząsu, ma kilka zadrapań i siniaków i złamaną rękę.

- Chyba po prostu miałem szczęście - powiedział Sawicz, kiedy mężczyzna zamknął notes z informacjami dotyczącymi sprawy.

Idąc przez płytę lotniska do terminalu, Sawicz masował lewe przedramię. Od kilku lat bolało go w wilgotne dni. Może nie niepokoiło go tak, jak oskarżycielskie bicie serca w opowiadaniu Poego, ale przypominało mu o jego czynach.

Urzędnik imigracyjny rozpoznał Antona w kolejce i przywołał gestem. Kilku miejscowych zaszemrało, ale nikt nie odważył się zaprotestować.

- Już z powrotem, panie Sawicz? - zapytał urzędnik i schował do kieszeni dwudziestodolarowy banknot, który Anton włożył do paszportu.

- Gdyby wasze cholerne wulkany przestały wybuchać, pracowałbym spokojnie w moim moskiewskim biurze.

- To tutejsze duchy - odrzekł urzędnik konspiracyjnym tonem. - Nocami polują na wieloryby, a potem wracają do wulkanów i pieką mięso na wielkich ogniskach.

- Jak znajdę w jakiejś kalderze kości wielorybów, będę winił duchy, przyjacielu. Na razie podejrzewam, że to aktywność tektoniczna.

Po wyjściu ze szpitala Sawicz wrócił do Moskwy. Nikomu nie powiedział o swoim odkryciu, podjął ponownie pracę w Urzędzie Zasobów Naturalnych i prowadził nieciekawe życie. W okresie rozpadu Związku Radzieckiego zdołał się utrzymać na stanowisku, a potem szukał zagranicznych kontaktów. Kontynuował znajomość z niektórymi ludźmi w nadziei, że pomogą mu urzeczywistnić jego plan.

Szansa pojawiła się, gdy na jakimś sympozjum poznał szwajcarskiego metalurga, a ten przedstawił go bankierowi nazwiskiem Volkmann. Tak doszło do zawarcia umowy, którą teraz realizował. Mając zaplecze w postaci środków Volkmana i firm kontrolowanych przez Shere 'a Singha, Anton Sawicz jeździł w ciągu ostatniego roku na Kamczatkę wiele razy i pod przykrywką wulkanologa prowadził tam niezbędne prace przygotowawcze. Był częstym gościem na tutejszym lotnisku i miał stałą rezerwację w hotelu Awacza, kawałek drogi pieszo od placu Lenina, być może jedyne go o takiej nazwie, jaki pozostał w Rosji.

Wziął bagaż i poszedł do stanowiska biura turystycznego, które organizowało wypadki na narty. Narciarstwo stawało się coraz popularniejsze na półwyspie i kilka firm oferowało amatorom białego szaleństwa loty w góry śmigłowcem. Biuro Air Adventures zajmowało się tym, żeby zachować pozory legalnej działalności, ale w rzeczywistości było fikcyjną spółką finansowaną przez Volkmana, która zapewniała Sawiczowi szybki, a nierzucający się w oczy transport. Prywatny helikopter na lotnisku Elizowo wzbudzałby zbyt duże zainteresowanie.

Na widok podchodzącego Sawicza kobieta za ladą odłożyła japoński magazyn mody i uśmiechnęła się.

- Witamy w Air Adventures - powiedziała po angielsku.
- Nazywam się Sawicz - warknął. - Gdzie Pytor?

W jej oczach pojawiło się zaskoczenie, potem strach. Zbladła i zniknęła za zasłoną na zapleczu. Po chwili wyszedł stamtąd pilot Sawicza, Pytor Fiedorów. Miał oliwkowy kombinezon lotniczy i arogancką minę, która pozostała mu z czasów, gdy latał pod niebem Afganistanu, pełnym pocisków raketowych.

- Miło pana widzieć, panie Sawicz. Myślałem, że przenocuje pan w hotelu i polecimy jutro rano.
- Chcę zobaczyć tę ostatnią erupcję, zanim zrobi się ciemno - odpowiedział Sawicz na wypadek, gdyby ktoś słuchał.
- Jedno pańskie słowo i startujemy.
- Ruszajmy.

Czterdzieści minut później lecieli krętą doliną. Po obu stronach należącego do Air Adventures śmigłowca MI-8 wznosiły się szczyty o wysokości około dwóch tysięcy metrów. W powietrzu unosiła się lekka mgiełka, którą tworzyły cząsteczki popiołu wydobywającego się z wulkanu dalej na północy.

Hałas w śmigłowcu nie pozwalał Sawiczowi zasnąć, ale tak się wyłączył, że był zaskoczony, kiedy Fiedorów klepnął go w ramię i wskazał na wprost. Nie zdawał sobie sprawy, że są prawie na miejscu.

Z wysoka i dużej odległości okolica wydawała się nieskazitelnie czysta, tylko na czarnych

wodach Zatoki Szelichowa widniała brązowa plama. Wzdłuż wybrzeża ciągnął się rząd pływających zapór, ale osad pochodzący z wykopów dryfował daleko za nimi. Teren sprawiał wrażenie dziewiczego, bo dużą jego część zasłaniały brezentowe płachty rozpięte na metalowych słupach. Plandeki pomalowano na biało, żeby wyglądały jak śnieg. Popiół osiadający na ich powierzchni potęgował to złudzenie. Statki wciągnięto na brzeg i również zamaskowano, najpierw ziemią i kamieniami z wykopów, potem płachtami materiału, żeby straciły swój kształt.

Jedyną oznaką życia na przestrzeni stu pięćdziesięciu kilometrów były smugi dymu z kominów statków, gdyż musiano ogrzewać ich wnętrza i gotować jedzenie dla robotników.

Sawicz spojrzął na morze. Z połowu wracał trawler. Zostawiał za sobą szeroki kilwater, bo miał duże zanurzenie pod ciężarem ryb.

Zbiorniki paliwa na statkach były pełne, wodę czerpano z pobliskiej rzeki lodowcowej, żywność dostarczały dwa trawlerzy. Teren robót mógł być samowystarczalny przez wiele miesięcy, jeśli nie lat. Sawicz był dumny ze swojego osiągnięcia, ale w końcu miał pół życia na dopracowanie każdego szczegółu.

Oprócz jednego, pomyślał ponuro. Nie mógł całkowicie pokonać pewnej przeszkody. Na terenie robót bardzo szybko zużywał się element najtrudniejszy do wymiany.

Kierownik robót, którego Fiedorów zawiadomił przez radio o ich przylocie, czekał na lądowisku, kiedy Sawicz wyszedł z helikoptera w lodowaty wiatr. Był maj, ale od koła podbiegunowego dzieliło ich tylko sześćset pięćdziesiąt kilometrów.

- Witaj z powrotem, Anton - powiedział Jan Paulus, barczysty inżynier górnik z Afryki Południowej.

Uścisnęli sobie dłonie i poszli do czekającego samochodu terenowego.

- Chcesz zobaczyć wykopy? - zapytał Paulus, wrzucając bieg. Sawicz widział tę część projektu tylko raz i nie miał ochoty powtarzać tego doświadczenia.

- Nie, jedźmy do twojego biura. Przywiozłem butelkę dobrej szkockiej. - Rosjanin nie przepadał za swoim kierownikiem robót, ale wiedział, że musi o niego dbać. Oczywiście wynagrodzenie Paulusa w wysokości pięciu milionów dolarów bardziej się liczyło w ich wzajemnych stosunkach niż okazjonalny drink.

Trzy stare statki wycieczkowe, które przyprowadzili na północ i wciągnęli na brzeg poniżej terenu robót, pochodziły ze złomowiska Shere'a Singha. Najlepsze lata miały już za sobą, ale były funkcjonalne i doskonale spełniały potrzeby Sawicza. Paulus ulokował się w apartamencie ambadorskim na stuszesnastometrowej jednostce kursującej kiedyś po Morzu Egejskim.

Złoto-niebieski wystrój kiedyś wyglądał elegancko; teraz dywany były wytarte i poprzypalane papierosami, meble zniszczone, armatury poczerniałe. Sawicz skorzystał z łazienki. Kiedy spuścił wodę, z toalety buchnął potworny smród. Jego odbicie w lustrze miało sepiowy kolor, bo szkło straciło dużą część spodniej warstwy.

Gdy wrócił do salonu, Paulus siedział na kanapie. Napełnił już dwie szklanki jego szkocką.

- Na jednym z suchych doków był wypadek - powiedział. Sawicz zamarł.

- Na którym?

- Na „Mausie”. Dwaj twoi komandosi Specnazu zignorowali regulamin i weszli na planckę zasłaniającą ładownię. Materiał nie wytrzymał, spadli na dół i zginęli.

Rosjanin wypił łyk whisky.

- Nic nie wskazuje na to, że ktoś im... hm... pomógł?

- Nie. Kiedy nie wrócili z patrolu, twoi ludzie przeszukali dok i statek w ładowni. Nie znaleźli żadnych śladów walki. W pobliżu był tylko frachtowiec pod irańską banderą a wątpię, żeby mułowie z Teheranu wpadli na trop naszej drobnej operacji i maczali w tym palce.

Sawicz zaklął pod nosem. Wszyscy ludzie, których zatrudnił do ochrony statków, służyli wcześniej w siłach specjalnych, osławionym Specnazie. Zostali tak wyszkoleni, że nie powinni zejść z trasy patrolu, ale mogli. Po zagarnięciu łupu utrzymanie pełnej czujności na doku płynącym spokojnie przez morze było prawie niemożliwe. Mógł sobie wyobrazić, jak skracają patrol i idą przez planckę nad ładownią. Ich lekkomyślność powinna być przestrożą dla innych strażników.

Uznał to za nieszczęśliwy wypadek i przestał o tym myśleć.

- A co tutaj?

Afrykaner miał zepsute zęby, więc jego uśmiech wyglądał jak grymas.

- Nie mogło być lepiej. Żyła, którą znalazłeś, to najwyższa próba, jaką kiedykolwiek widziałem. Cały ten region jest nafaszerowany minerałami. Już przekraczamy plan produkcji o dwanaście procent, a dopiero rozkopujemy osady aluwialne w dole zbocza. Jeszcze nawet nie zaczęliśmy robót w głównym sektorze.

- Kiedy przewidujesz wysłanie pierwszego transportu?

- Wcześniej, niż się spodziewałem. „Souri” przyplywa za dziesięć dni. Z powodu swojego ładunku ma na pokładzie potrójną liczbę strażników, więc może to zabrać w drodze powrotnej na południe.

- Powinno się udać. Dwa dni temu rozmawiałem z Volkmanem. Ośrodek przetwórczy jest już gotowy. Ostatnie barwniki i stemple przyszły w tym tygodniu.

- Banki przyjmą dostawę?

- Tak szybko, jak to będzie możliwe.

Paulus nalał następną kolejkę i uniósł szklanekę w toaście.

- Za chciwość i głupotę. Znajdź takie połączenie w odpowiedniej grupie ludzi, a będziesz bardzo bogaty.

Anton Sawicz mógł za to wypić.



Dochodziła północ, gdy Eddie opuszczał dom Sangów. To była ciężka próba psychiczna. Stracili syna raz, kiedy odjechał z węzowymi głowami, a teraz dowiedzieli się, że stracili go ponownie, bo zginął na morzu. Eddie przedstawił się jako marynarz ze statku handlowego należącego do COSCO, chińskich linii żeglugowych prowadzonych przez wojsko. Powiedział, że w drodze powrotnej do Szanghaju jego statek natknął się na kontener. Kapitan kazał wciągnąć go na pokład, sądząc, że w środku może być coś cennego. Eddie oszczędził Sangom ponurego opisu tego, co naprawdę znaleziono. Wspomniał tylko, że znalazł pamiętnik ich syna i przysiągł zawiadomić rodzinę.

Upłynęło kilka godzin, zanim wydobył od Sangów, gdzie ma swoją kwaterę główną węzowa głowa nazwiskiem Jen Luo. Na szczęście nie zapytali, dlaczego marynarz ze statku handlowego chce to wiedzieć, bo nie miał gotowej odpowiedzi.

Wyszedł z ich mieszkania nad sklepem uzbrojony we wskazówki, jak trafić do baru w rejonie magazynów, i ruszył na poszukiwanie przemytnika ludzi, który wysłał Sanga i jego krewnych w podróż zakończoną ich śmiercią. W wiosce panowała cisza. Było późno, a na rynku wciąż obozowało wojsko, więc miejscowi woleli nie wychodzić z domów.

Bar mieścił się przy ulicy Długiego Marszu. Wyboista jezdnia biegła równolegle do dopływu rzeki Min Jiang. Świeciło się niewiele latarni, w powietrzu unosił się ciężki odór rozkładu i rdzy. Większość budynków po nadrzecznej stronie ulicy wzniesiono z blachy falistej, więc zdawały się opierać o siebie. Eddie podejrzewał, że gdyby rozebrano pierwszy, reszta przewróciłaby się jak kostki domina. W kilku niewybrukowanych miejscach z czarnej od smaru ziemi wyrastały kolczaste chwasty.

Po drugiej stronie ulicy stłoczono dwupiętrowe bloki mieszkalne. Ilekroć Eddie mijał zaułek między dwoma domami, czuł smród komunalnej kupy gnoju. Z kilku stert śmieci dochodziły odgłosy kotów i szczurów, walczących o pożywienie. Od czasu do czasu w którymś z ciemnych mieszkań rozlegał się płacz dziecka.

U wylotu ulicy z jakiejś witryny biło jaskrawe światło. Kiedy Eddie podszedł bliżej, usłyszał przytłumioną muzykę. To musiał być bar, którego szukał. Zwolnił. Planował odtworzyć kroki Sanga, drogę do tragedii. Po powierzeniu swojego losu węzowej głowie Eddie nie miałby wielkiego wyboru i musiałby dołączyć do ludzi chcących uciec z Chin. Gdy światło stało się jaśniejsze, a muzyka głośniejsza, poczuł, że ma krótszy oddech i spod pachy spływa mu strużka potu.

Znał swoje obawy, stawiał im czoło najpierw w CIA, a potem w Korporacji. Wiedział, że ilekroć musi je przezwyciężać, odbija się to ujemnie na jego psychice, osłabia go. Tak jak przy kumulowaniu się skutków wstrząsów, istniało ryzyko, że następny zakończy się fatalnie.

Eddie zacisnął pięści i zmusił się do przejścia ostatnich kilku metrów dzielących go od lokalu. Przed wejściem nie stał bramkarz, więc otworzył drzwi i przekroczył próg. Z dwóch głośników zamontowanych za barem ryczała muzyka. Gęsty dym papierosowy drażnił oczy. Spróchniała gdzieś podłoga z desek była śliska od rozlanego piwa. Wśród klientów przeważali młodzi twardziele w czarnych skórzanych kurtkach i mocno umalowane dziewczyny w minispódniczkach i topach odsłaniających brzuch. Mimo zaraźliwego rytmu muzyki atmosfera w lokalu wydawała się kiepska.

Eddie zrozumiał, w czym rzecz, kiedy przyjrzał się mężczyznom siedzącym przy barze. Trzej z nich byli w mundurach. Do miejscowej oazy zachodniej dekadencji przyszło wojsko i nie wyglądało na to, żeby ktoś zamierzał coś z tym zrobić. Jeśli był tu Jen Luo, to wołał nie narażać na szwank swoich przemytniczych interesów, doprowadzając do konfrontacji z trzema pijanymi żołnierzami,

którzy przyjechali tu na jedną noc. A jeśli on wolał ich nie ruszać, to inni tym bardziej. Wojskowi mogli zostać, jak długo chcieli.

Eddie nie wzbudził zbytniego zainteresowania, kiedy usiadł na końcu baru. Zamówił piwo i postarał się, żeby barman zobaczył u niego zwitek banknotów. Zanim wypił pół butelki, zorientował się w sytuacji i ułożył plan działania.

Jeśli żołnierze nie wyjdą przed zamknięciem lokalu, będzie w tarapatkach. Ich kolega, którego zabił, zostanie uznany następnego dnia za zaginionego i wojsko zacznie przetrząsać wieś, a wtedy Jen Luo zapadnie się pod ziemię. Zawiesi działalność przemytniczą do czasu znalezienia ciała i odpowiedniej liczby aresztowań. Mogą minąć tygodnie, zanim poczuje się na tyle bezpieczny, by znów przerzucać ludzi z tego rejonu za granicę. Eddie powinien znaleźć się w transporcie nielegalnych jeszcze tej nocy, jeśli ma ustalić, czy jest jakiś związek między węzowymi głowami a piratami porywającymi statki na Morzu Japońskim. Wyjście było proste: musiał się pozbyć trzech uzbrojonych żołnierzy przed zamknięciem lokalu, co, sądząc po kwaśnej minie barmana, miało wkrótce nastąpić.

Z trzech wojskowych tylko jeden dużo pił. Był kapralem, parę lat starszym od towarzyszących mu szeregowców. Raczył ich niestworzonymi historiami i ciągnął piwo za piwem. Jego koledzy wyglądali na oderwanych od pługów i przytłoczonych tym wszystkim, co wydarzyło się wokół nich, odkąd zeszli z pola. Kapral mówił po miejsku. Możliwe, że przyjaźnił się z niedoszłym gwałcicielem i razem chodzili na podryw. Szeregowcy byli zafascynowani opowieściami podoficera o jego przygodach seksualnych oraz przechwałkami, że po dzisiejszej nocy oni też będą mieli co wspominać. Kapral spojrzał pożądliwie na najbliższe dziewczyny.

Eddie czekał na reakcję kogoś z miejscowych. Mężczyzna przy barze, ubrany w czarne dzinsy i kurtkę motocyklową, zerknął na stolik w najciemniejszym kącie sali. Żołnierze nie zauważyli tego, ale Eddie tak. W rogu siedzieli trzej mężczyźni z dwoma dziewczynami, które wyglądały na bliźniaczki. Dwaj sprawiali wrażenie goryli, trzecim musiał być Jen Luo, szef przemytniczego gangu. Był w ciemnej marynarce na czarnym T-shirtcie i okularach przeciwsłonecznych. Pokręcił lekko głową. Najwyraźniej nie chciał awantury z żołnierzami.

Węzowa głowa wyczuł wzrok Eddiego. Seng nie krył swoich zamiarów. Wstał, dopił piwo i chwycił butelkę za szyjkę. Jen Luo opuścił okulary na nos, żeby widzieć, co się będzie działo. Miał obojętną minę, jego goryle pozostali neutralni.

Eddie podszedł do żołnierzy i poklepał kaprała w muskularne ramię. Potężnie zbudowany podoficer nie zareagował, ale jeden z szeregowców posłał Sengowi ostrzegawcze spojrzenie. Gwar rozmów zamarł. Zapadła pełna wyczekiwania cisza. Tylko muzyka stereo nadal grała. Eddie znów poklepał kaprała, tym razem mocniej.

Podoficer obrócił się na stołku i wstał. Trzymał się na nogach dużo pewniej, niż Eddie się spodziewał. Jego małe, świńskie oczka zwężyły się, gdy popatrzył na intruza, który śmiał przerwać mu picie.

- Jest pan winien tym młodym kobietom przeprosiny i uważam, że będzie najlepiej, jeśli wszyscy stąd wyjdziecie - powiedział Eddie uprzejmym tonem.

Kapral ryknął śmiechem.

- Ty uważasz, że tak będzie najlepiej. - Znów się roześmiał. - A ja uważam, że będzie najlepiej, jak się odpieprzysz. - Położył wielką dłoń na piersi Eddiego i pchnął go z całej siły.

Zamiast upaść do tyłu, Seng obrócił się, a kapral z rozpędu dał chwiejny krok do przodu. Zgodnie z przewidywaniami Eddiego dwaj szeregowcy pozostali na miejscach, choć obserwowali bacznie całą scenę. Kapral zamachnął się błyskawicznie, żeby zadać Eddiemu cios w głowę. Seng zdążył się schylić, ale zainkasował mocny lewy prosty w żebra. Albo błędnie ocenił stan upojenia alkoholowego podoficera, albo facet był przyzwyczajony do pijackich rozrób.

Kapral złapał swoją butelkę i roztrzaskał ją o bar. Krąg wyszczerbionego szkła, którym chciał dźgnąć Eddiego, był ostry jak nóż. Seng mógł rozbić własną butelkę, żeby wyrównać szanse, ale zabicie wojskowego nie wchodziło w grę. Zależało mu na pozbyciu się tych trzech z lokalu, nie na nalocie policji.

- Uważam, że będzie najlepiej, jak trochę pokrwawisz - warknął podoficer i spróbował przeciąć Eddiemu gardło.

Seng odchylił się i ostre szkło minęło jego szyję o centymetr. Wbił swoją butelkę pod żebra kaprala i zagłębił szyjkę w mięsień. Mężczyzna ryknął z bólu i musiał się cofnąć.

Dwaj szeregowcy zerwali się na nogi. Eddie powstrzymał ich groźnym spojrzeniem.

- Nie wtrącajcie się - ostrzegł i skoncentrował się z powrotem na kapralu. Przyjął postawę do wschodnich sztuk walki, ruchy miał płynne, jakby jego ciało było z wody.

Kapral też pochylił się w półprzysiadzie. Poruszał rękami przed twarzą nie odrywając wzroku od przeciwnika.

Duży błąd.

Górna połowa ciała Eddiego nawet nie drgnęła, gdy wymierzył kapralowi trzy kopniaki: w żebra, kolano i nie całkiem celnie w pachwinę.

Kapral zatoczył się, ale Eddie nie przerwał ataku. Zbliżył się i zadał serię tak szybkich ciosów, że trudno było dostrzec jego ręce. Krtań, żebra, splot słoneczny, głowa, znów żebra, nos. Kiedy się cofnął po pięciu sekundach, podoficer był krwawą miazgą.

Jeden z szeregowców wykonał gwałtowny ruch, jakby zamierzał bronić swojego towarzysza. Seng chwycił go za gardło, zanim chłopak zdążył się zdecydować na udział w walce.

- Nie jest tego wart - powiedział spokojnie Eddie. Nawet się nie zasapał. Pchnął żołnierza z powrotem na miejsce.

Kapral ledwo stał, ale w oczach miał nienawiść. W tym stanie wróciłby prawdopodobnie do baru ze wsparciem. Eddie obrócił się jak derwisz i wymierzył mu dwa kopnięcia w tył głowy. Po pierwszym podoficer zgiął się wpół i przewrócił oczami. Po drugim runął na podłogę tak twardo, że

odbił się od desek. Eddie wiedział, że teraz kapral jest uziemiony na długie godziny, i minie co najmniej doba, zanim dojdzie do siebie na tyle, żeby pomyśleć o zemście. Spojrzał na szeregowców.

- Dla własnego dobra znajdźcie sobie nowego kumpla - doradził. - Ten facet tyle gada, że wpakuje was w kłopoty, ale nie ma mowy, żeby was z nich wyciągnął. Rozumiecie? - Jeden z żołnierzy przytaknął w milczeniu. - Zabierzcie go z powrotem tam, gdzie obozujecie. Powiedzcie sierżantowi, że spadł ze schodów, i więcej tu nie przychodźcie.

Wdzięczni, że nie oberwali, dwaj szeregowcy podnieśli nieprzytomnego podoficera z podłogi i zarzucili sobie jego bezwładne ręce na ramiona. Wywlekli go z lokalu, nie oglądając się za siebie. Eddie odwrócił się do barmana i pokazał, że chce następne piwo. Jakby pękła tama, wszyscy nagle zaczęli mówić jednocześnie. Młodzież dzieliła się wrażeniami z tego, co przed chwilą widziała.

Eddie ledwo zdążył wypić pierwszy łyk, gdy podszedł do niego jeden z goryli Jena Luo.

- Pan Jen chce zamienić z tobą słowo.

Eddie popatrzył na goryla, wypił drugi łyk i wstał. Nie miał już odwrotu. Podjął decyzję, że powierzy swój los węzowej głowie. Jen Luo mógł go wydać dla nagrody, kiedy powie, że jest dezerters. Mógł go zabić na miejscu po prostu dla sportu lub wysłać w podróż, która skończy się w kontenerze na pełnym morzu. Wyprostował ramiona i poszedł za gorylem do stolika Jena.

Na widok nadchodzącego Senga Jen odprawił nastoletnie bliźniaczki. Jedna z nich przycisnęła pośladki do krocza Eddiego, kiedy razem z siostrą kierowała się do baru. Zignorował ją i usiadł naprzeciwko węzowej głowy. Jen Luo zdjął okulary przeciwsłoneczne. Eddie ocenił jego wiek na niecałe trzydzieści lat, ale przemysł sprawiał wrażenie zmęczonego życiem człowieka, który zna tylko ciemną stronę ludzkiej egzystencji.

- Podejrzewam, że dałeś ten pokaz z jakiegoś powodu - zaczął Jen Luo.

- Dopóki tu byli, nie mogłem z panem porozmawiać.

- Czemu?

Zamiast odpowiedzieć, Eddie zdjął z szyi skradzione identyfikatory i rzucił je na zniszczony blat. Jen Luo nie wziął ich do ręki, nawet nie dotknął. Popatrzył na Eddiego badawczo.

- Jesteś z oddziału, który przyjechał do wsi na wybory?

- Nie. Stacjonowałem pod Fuczou.

- I uciekłeś aż tutaj?

- Jakiś czas temu pomógł pan kuzynowi mojego przyjaciela.

- Pomagam wielu ludziom. W czym pomogłem tamtemu?

- Wysłał go pan do Złotej Góry. - Taką nazwę nadali nielegalni Stanom Zjednoczonym. Eddie pozwolił, by jego słowa zawisły na kilka sekund w zadymionym powietrzu. - Ja też chcę tam popłynąć.

- To niemożliwe.

- Dlaczego?

- Za przysługi biorę pieniądze - odparł węzowa głowa. Eddie wyjął z kieszeni gruby zwitek yuanów.

- Wiem, jak działa system. Część dam panu teraz, resztę odpracuję w Ameryce. Tylko nie będzie pan miał gwarancji, że się wypłacę, bo nie zostawię tu żadnej rodziny, której można by zagrozić. - Oddzielił kilka banknotów na wierzchu, żeby pokazać, że pod spodem są dolary amerykańskie. - Pięć tysięcy z góry. Następne dwa, jak opuścę Chiny, a pan zapomni, że się w ogóle widzieliśmy.

Kąciki ust Jena uniosły się lekko, oczy zwęziły.

- A co mnie powstrzyma od zabrania ci teraz pieniędzy i wykreślenia cię z pamięci?

Eddie błyskawicznie obrócił stopą stolik o czterdzieści pięć stopni i wbił róg w pierś jednego z goryli tak mocno, że ten stracił oddech. Zerwał się z miejsca, walnął łokciem w blat i przełamał go na pół. Potem jednym kopnięciem odłamał drewnianą nogę, chwycił ją i przycisnął do gardła drugiego goryla, zanim ten zdążył pomyśleć, żeby sięgnąć po pistolet ukryty za plecami.

Jen nie ruszył się z krzesła, ale nie potrafił ukryć zdumienia, że jego dwóch najlepszych ludzi zostało tak szybko wyłączonych z akcji.

- Mógłbym zabić was trzech - powiedział Eddie tak głośno, żeby go usłyszano przez hałas muzyki zza baru. - Składam wam uczciwą propozycję. Jeśli was to nie interesuje, odchodzę.

- Chyba sobie poradzisz w Złotej Górze - uśmiechnął się nieszczercze Jen.

Eddie rzucił nogę od stołu na podłogę i usiadł. Goryl masował szyję i miażdżył go wzrokiem, ale nie wykonał żadnego wrogiego ruchu.

- Co dalej? - zapytał Eddie.

- Mam jeszcze dwóch gotowych do podróży razem z tobą - odrzekł węzowa głowa i zerknął na zegarek. - Planowałem wyjazd jutro w nocy, ale może się zrobić gorąco, jak tamten kapral podniesie raban. Mam ciężarówkę. Zabiorę cię za godzinę z końca ulicy. Jutro spotkamy się w Fuczou z moim kontaktem. Przejmą cię tam i przygotują ci dokumenty. - Jen urwał, jego spojrzenie stwardniało. - Dam ci drobną radę. Nie podskakuj tamtym ludziom. Zrobisz taki numer jak tutaj, i będziesz wpychał flaki z powrotem do swojego rozprutego bebecha.

Eddie skinął głową. Wiedział, że może zastraszyć Jena, który stoi nisko w hierarchii przemytniczego gangu, jest werbownikiem, szeregowym żołnierzem o małych wpływach. Pozostanie grubą rybą w Lantan, podczas gdy on chciał dotrzeć do ludzi usadowionych dużo wyżej. Od tej chwili musiał udawać modelowego imigranta, posłusznego, wdzięcznego i trochę wystraszonego.

Strachu nie potrzebował udawać.

## 15

Zanim opony Jumbo Jeta zapiszczały na asfalcie w porcie lotniczym w Zurychu, Juan Cabrillo miał gotowy zarys planu. Musiał przyznać, że to jeden z najbardziej szalonych pomysłów, jakie

kiedykolwiek przyszedł mu do głowy, ale biorąc pod uwagę charakter operacji i małą ilość czasu, o czym ostrzegał go instynkt, pozostało mu tylko szaleństwo.

Większą część długiego lotu z Tokio spędził na komunikowaniu się z „Oregonem” przez bezpieczny laptop. Max Hanley skompletował zespół i sprzęt, który Juan chciał mieć w Szwajcarii. „Oregon” płynął z maksymalną prędkością do Tajpej, najbliższego miasta z międzynarodowym lotniskiem. Zaryzykowali przerwanie obserwacji „Mausa”, ale Juan był pewien, że jego załoga odnajdzie suchy dok, poruszający się z prędkością czterech węzłów. On i Max oceniali, że „Oregon” opuści swoje stanowisko najwyżej na jeden dzień, jeśli na Tajwanie nie będzie żadnych kłopotów. Na wszelki wypadek Cabrillo poprosił znajomego kapitana portu w Tajpej o rewanż za przysługę z przeszłości.

W sprzęt, którego nie przepuszczono by przez cło, musieli się zaopatrzyć w Szwajcarii, ale Juan nie widział w tym problemu. W Zurychu i okolicach miał szereg kontaktów z czasów, kiedy pracował w CIA, a potrzebowali tylko kilku sztuk broni. Materiały wybuchowe potrafili zrobić sami ze środków chemicznych używanych w gospodarstwie domowym, całą potrzebną im resztę mogli kupić lub wypożyczyć.

Zespół miał się zjawić na miejscu dwadzieścia cztery godziny po nim, więc Juan musiał najpierw znaleźć jakiś bezpieczny dom i poznać trasę z więzienia Regensdorf do gmachu sądu w śródmieściu.

Dwadzieścia minut po przejściu przez kontrolę celną siedział za kierownicą wypożyczonego mercedesa ML 500. Wątpił, żeby przydały mu się terenowe możliwości tego samochodu, ale w bogatym mieście SUV nie rzucał się w oczy i miał nawigację satelitarną. Był piękny wiosenny poranek, więc Cabrillo opuścił szyby i otworzył szyberdach.

W przeciwieństwie do Tokio lubił Zurych, gdzie stare łączy się gładko z nowym. Barokowe i współczesne budowle stoją obok siebie, nie rywalizując ze sobą, lecz spokojnie harmonizując. To właśnie w Zurychu Juan po raz pierwszy przespał się ze swoim kontaktem, kiedy pracował w Firmie. Rosjanka była urzędniczką niskiego szczebla w ambasadzie i nie mogła mu dostarczyć żadnych cennych informacji, ale czuł się jak James Bond. Uśmiechnął się na to wspomnienie, gdy okrążył obwodnicą miasto i zobaczył zjazd w kierunku więzienia. Bezpieczny dom musiał poczekać, dopóki nie znajdzie najlepszego miejsca do tego, co zaplanował.

Tuż przed skrętem do więzienia Juan zawrócił i skierował się z powrotem do miasta. Pokazywanie samochodu wartownikom przy bramie nie miałyby sensu, bo był prawie pewien, że będzie musiał pokonać tę trasę kilka razy, zanim zdecyduje, gdzie zespół przeprowadzi akcję. Pojechał prosto do gmachu sądu, w którym Rudolph Isphording odgrywał rolę głównego świadka w procesie stulecia.

Ulice wokół gmachu były ciasne i zakorkowane, głównie dlatego, że obok stawiano nowy budynek i ciężarówki z materiałami budowlanymi blokowały skrzyżowania. Na razie powstał tylko sześciopiętrowy stalowy szkielet z betonowymi podłogami. Nad placem budowy górował wysoki żuraw. Jego poziome ramię mogło zatoczyć łuk daleko poza ogrodzenie z dykty i siatki, otaczające teren. Juan zatrzymał się na czerwonym świetle i patrzył, jak żuraw unosi w powietrze stalowe belki. Drgnął i ruszył ostro, kiedy kierowca z tyłu nacisnął delikatnie klakson. Zmieniło się światło. Juan pomachał do niego przeprasząco i odjechał.

Odległość między więzieniem a sądem pokonał w obie strony jeszcze sześciokrotnie, za każdym razem inną drogą. Gdyby on dowodził grupą eskortującą Isphordinga do miasta na rozprawę, co dzień wybierałby inną trasę, żeby utrudnić ewentualny atak na konwój. Ale problem polegał na tym, że

punkt docelowy pozostawał zawsze ten sam. Im bliżej gmachu sądu była opancerzona więźniarka, tym łatwiejszym celem się stawała.

Juan znalazł miejsce parkingowe kilka przecznic od sądu i przez następne dwie godziny spacerował po okolicy, popijając kawę na wynos ze Starbucks'a. Czuł, że powinien ją kupić u miejscowego sprzedawcy, zamiast w międzynarodowej restauracji, ale od miesiący nie miał w ustach swojego ulubionego naparu. Zanotował sobie w pamięci, żeby skontaktować się z centralą firmy w Seattle i zapytać, czy byłby możliwy zakup ich wyjątkowego wyposażenia dla „Oregona”.

Podczas gdy wszędzie wokół gmachu sądu i sąsiadującego z nim placu budowy panował duży ruch, na głównej ulicy za tymi dwoma budynkami było stosunkowo spokojnie. Gdyby mieli przeprowadzić akcję w tym miejscu, musiałby postawić tutaj ludzi na kilka dni, żeby zorientowali się lepiej w ruchu ulicznym. Na razie wszystko wyglądało dobrze. Plan wymagał wprowadzenia tylko paru zmian.

Wczesnym popołudniem wynajął apartament w trzypiętrowym budynku sześć przecznic od sądu. Wyjaśnił agentowi z biura pośrednictwa, że on i grupa amerykańskich prawników przyjechali do Zurychu na kilka miesięcy, żeby uczestniczyć w procesie przeciwko pewnemu towarzystwu ubezpieczeniowemu. Meble w mieszkaniu z trzema sypialniami i gabinetem do pracy były trochę podniszczone, ale kuchnię ostatnio przerobiono, a wielka wanna w łazience nadawała się do pływania. Co najważniejsze, apartament znajdował się na ostatnim piętrze i w razie potrzeby można było się dostać na dach schodami pożarowymi w zaułku za budynkiem. Musiał wynająć mieszkanie na sześć miesięcy, co oznaczało, że powinno być zajęte jeszcze długo po wykonaniu przez zespół roboty, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Zbyt często przestępca usadawia się w pobliżu banku, który chce obrabować, i znika natychmiast po skoku. Wizyta policji parę dni później ujawnia, że ta osoba już się wyprowadziła, i gliniarze mają solidny trop. Ale jeśli w ciągu kilku miesięcy przez apartament przewinie się paru członków Korporacji lub jej kontrahentów, nikt nie będzie podejrzewał, że coś jest nie tak. Dbalność o takie szczegóły zapewniała Korporacji anonimowość i sukcesy.

Po wykonaniu telefonów w sprawie broni Juanowi pozostało tylko oczekiwanie na przyłot zespołu. Zjadł coś w pobliskiej restauracji. Nie zamierzał wypijać karafki wina, ale każdy łyk działał cudownie na jego napięte mięśnie ramion i karku. Cabrillo rzadko dbał o własne bezpieczeństwo; troszczył się o swoich ludzi.

Nigdy nie wymagał od podwładnego zrobienia tego, czego sam nie chciał zrobić. Dlatego ludzie byli wobec niego lojalni, a on wiedział, że może na nich polegać w każdej sytuacji. To jednak wcale nie ułatwiało mu zadania, kiedy musiał ich prosić, żeby ryzykowali. Owszem, każdy członek Korporacji miał udział we wspólnych zyskach, każdy był co najmniej milionerem. Ale w rzeczywistości nie chodziło o pieniądze, lecz o działanie w słusznej sprawie. Taka idea przyświecała Juanowi i jego ludziom. Uważali, że ktoś musi stawić czoło nowym zagrożeniom XXI wieku.

Na szanćcach wolności byli potrzebni tajni strażnicy, strzegący jej przed wszystkimi, którzy są przeciwko niej.

Wzięła to na siebie załoga „Oregona”, stała się tą tajną strażą. Ilekroć Juan dowiadywał się z prasy lub telewizji o nowych potwornościach, uświadamiał sobie, że jeszcze długo będą musieli trwać na swoim posterunku.

Doktor Julia Huxley przyleciała następnego dnia jako ostatnia. Zamiast zakwaterować ją w bezpiecznym domu, Juan kazał jej wynająć pokój w hotelu blisko słynnej Bahnhofstrasse, ulicy banków i sklepów, która kojarzy się z Zurychem tak samo jak Piąta Aleja z Nowym Jorkiem czy Rodeo Drive z Beverly Hills. Choć Julia sprawdziła się podczas kilku tajnych operacji, była przede wszystkim lekarką. Juan wolałby wykorzystać do tej roboty Lindę Ross, ale nie miała ani figury, ani wzrostu odpowiednich do jego planu, podobnie jak żadna z pół tuzina innych kobiet na pokładzie „Oregona”. Julia chętnie zgodziła się przylecieć do Zurychu, jednak Cabrillo postarał się, żeby była tak odizolowana od reszty zespołu, jak to tylko możliwe.

Ledwo ją poznał, kiedy weszła w towarzystwie Haliego Kasima do salonu w bezpiecznym domu. Jej łagodne, ciemne oczy zniknęły. Nosiła teraz przyciemnione szkła kontaktowe, które wydawały się jasnyniebieskie za wielkimi okularami. Swój charakterystyczny koński ogon ukryła pod peruką siwych włosów, wijących się wokół jej głowy niczym przeredzone zarośla. Julia miała krągłości modelki z lat pięćdziesiątych, ale teraz jej wygniecione w podróży ubranie zasłaniało kształty pulchnej strażniczki więziennej. Głębokie zmarszczki na czole przypominały koleiny, dwie bruzdy mimiczne po obu stronach ust wyglądały jak okopy.

Doktor medycyny Julia Huxley przeistoczyła się we Frau Karę Ispording, żonę siedzącego w więzieniu malwersanta Rudolpha Ispordinga.

- Dobry Boże - powitał ją Juan - jesteś taka brzydka, że bez problemu odpędziłabyś buldoga od ciężarówki z mięsem.

Julia dygnęła i uśmiechnęła się.

- Jesteś uroczy, Juanie Rodriguezie Cabrillo. Muszę przyznać, że Kevin przeszedł samego siebie. - Kevin Nixon był szefem Magicznej Pracowni, jak członkowie Korporacji nazywali rozległe pomieszczenie na pokładzie „Oregona”, gdzie on i jego zespół mogli sfabrykować dowolną liczbę mundurów, przebrań i wszelkiego rodzaju gadżetów do brudnych sztuczek.

- Może będziemy musieli tu pobyć jakiś czas - powiedział Juan. - Potrafisz to odtworzyć?

- Kevin mi pokazał, jak to zrobić, - Julia poruszyła szerokimi biodrami. - Ten kostium, udający ponętne ciało, to żadna sprawa. Gorzej z makijażem. Trzeba go nałożyć tak, żeby nikt nie zauważył, że to tapeta. Ale chyba dam radę. Kevin wie więcej o kosmetykach i pielęgnacji skóry niż panienka w salonie piękności.

- Kilka lat przed przyjściem do nas był nominowany do Oscara za charakteryzację - odrzekł Juan. Nie dodał, że Nixon odwrócił się plecami do Hollywood po 11 września. Jego siostra leciała do niego z Bostonu samolotem, który uderzył w północny wieżowiec World Trade Center.

- Poza tym - dokończyła Julia - zapakował mi tyle niegustownych ciuchów, że mogłabym otworzyć własny lumpeks.

- Nie musisz się przejmować przebraniem, dopóki nie będziemy gotowi. Nie ma potrzeby, żeby po Zurychu kręciła się sklonowana Kara Ispording.

- Co? Mam sobie odmówić tej przyjemności, że wszyscy mężczyźni będą pożerali mnie wzrokiem?



- Jedyna głowa, jaka obróciłaby się w twoim kierunku, to łeb śruby, a i tak potrzebowałabyś do tego klucza pneumatycznego.

Juan zwołał swoich ludzi. Razem z nim było ich pięcioro. Niewielu, ale po odegraniu swojej roli Julia mogła ich wspierać, kiedy zaczną działać.

- Miałem już okazję zbadać teren i myślę, że znalazłem doskonałe miejsce. Będziemy potrzebowali jeszcze kilku dni na dodatkowe rozpoznanie, żeby się upewnić. Nie upieram się przy wybranej lokalizacji, więc jeśli coś wyda wam się nie tak, mówcie śmiało. Później prześledzimy to razem. Kiedy stwierdzimy, że wszystko gra i sprzęt jest gotowy, przejdziemy do pierwszego etapu, czyli porwania prawdziwej Kary Ispording.

- Ma ochronę? - Zapytał Hali.

- Jeszcze nie wiem. Sprawdzenie tego będzie częścią naszego rozpoznania.

- Jakiej przykrywki użyjemy?

- Zarządy wszystkich fikcyjnych spółek założonych przez Rudy'ego Ispordinga w celu zakupu „Mausa” składają się z samych Rosjan. Wykorzystamy to i będziemy udawali Rosjan, którzy chcą odbić Ispordinga z więzienia.

- Ale po co miałby uciekać? - spytał Franklin Lincoln, były komandos SEAL. - Max mówił na odprawie, że ten krętacz zawarł korzystny układ z oskarżycielami.

- Bo rozpuścimy pogłoskę, że Ispording maczał palce w zniknięciu forsy Organizacji Wyzwolenia Palestyny.

- A maczał?

- Murph szuka potwierdzenia, ale stary Rudy może wiedzieć, gdzie jest część zaginionych miliardów Jasira Arafata. Tak czy inaczej przekonamy go, że OWP tak uważa, i facet zrozumie, że jesteśmy jego jedyną szansą.

- A kiedy będziemy go mieli? - zapytała Julia. Głos Juana stwardniał.

- Przyciśniemy go. Mocno. Eddie jest jeszcze w Chinach.

- W pobliżu Fuczou - wtrącił Hali.

- Więc musimy się dowiedzieć jak najwięcej i modlić, żeby udało nam się przechwycić statek, na którym będą go przemycali. Uważam, że Ispording jest kluczem do tego, kto stoi za „Mausem” i piratami.

- A jeśli nie? - spytała Julia. - Jeśli nie wie, czym się zajmują lewe spółki, które założył?

Juan nie chciał brać pod uwagę takiej ewentualności, ale wiedział, że musi odpowiedzieć.

- Wtedy Eddie najprawdopodobniej zginie, a my wrócimy do ścigania piratów na Morzu Japońskim.

Przez kilka następnych godzin Cabrillo przedstawiał szczegóły swojego planu i wprowadzał do nich poprawki zgodnie z sugestiami zespołu. Każdy z jego ludzi był inteligentny i miał wieloletnie doświadczenie w tajnych operacjach. Nikt się nie łudził, że to będzie łatwa robota, ale kiedy skończyli, wiedzieli, że opracowali plan najlepszy z możliwych. Juan wydał wszystkim instrukcje na kilka najbliższych dni. Jednym kazał obserwować ruch wokół placu budowy, innym przygotować i

zmodyfikować sprzęt. Najważniejsza była dziesięciokołowa ciężarówka, ciągnik siodłowy z naczepą. Juan miał wynająć magazyn za miastem i zorientować się, czy dom Isphordinga jest pilnowany, a jeśli tak, to ilu ochroniarzy będą musieli pokonać.

Był wtorek. Mark Murphy ustalił, że Rudolph Isphording ma się zjawić w sądzie w najbliższy poniedziałek rano. W ciągu paru dni mogli dużo zrobić, lecz potrzebowaliby weekendu, żeby zdążyć na czas. Co oznaczało, że muszą dotrzeć do Frau Isphording nie później niż w czwartkową noc, jeśli Julia ma ją zastąpić podczas piątkowego widzenia. Juan nie cierpiał napiętego harmonogramu, ale nie było na to rady. Nie mógł przełożyć operacji o cały tydzień. Bóg jeden wie, gdzie byłby wtedy Eddie czy „Maus”.

Teraz albo nigdy.

- Sprawdzam łączność - powiedział Juan do mikrofonu krtaniowego aktywowanego głosem.

Odebrał sygnał gotowości od Linca i Halięgo Kasima. Julia po prostu położyła mu dłoń na ramieniu, bo miała go nie odstępować przez najbliższych dwanaście godzin. Noc była ciemna i bezksiężycowa z powodu zachmurzenia. Na trawie wokół dwupiętrowego domu z cegły lśniła srebrzyście rosa. W ekskluzywnej podmiejskiej dzielnicy panowała cisza, odkąd starszy mężczyzna wrócił do swojego minidworku po spacerze z jamnikiem, który najwyraźniej cierpiał na zaparcie.

Po trzydniowej obserwacji Kary Isphording Cabrillo wiedział, że kobieta mieszka sama. W dzień w domu kręciła się gospoia, ale wychodziła wieczorem. We wszystkich drzwiach i oknach były czujniki alarmowe. Cabrillo raz widział, jak gospoia po przyjsciu rano do pracy wyłącza system. Domyślał się, że zainstalowano go po aresztowaniu Isphordinga, więc w posiadłości nie ma kamer na podczerwień ani detektorów ruchu. Ale spanikowana kobieta musiałaby tylko wcisnąć przycisk, żeby rozpętało się piekło.

- Dobra, Hali, ruszajcie. Jak Linc sforsuje drzwi, będziesz miał sześćdziesiąt sekund na deaktywację. - Juan tego nie wiedział, ale tak przypuszczał. Kara Isphording dobiegała sześćdziesiątki i bez wątplenia słabo znała się na elektronice. Instalator zabezpieczeń na pewno się postarał, żeby klientce wystarczyło czasu na wyłączenie systemu, by uniknąć fałszywego alarmu.

Po wykonaniu swojego zadania były komandos SEAL i specjalista Korporacji od łączności mieli wrócić do Mercedesa. Juan zamierzał przedstawić się Frau Isphording jako członek rosyjskiej mafii, który chce uratować jej męża przed palestyńskimi terrorystami. Trochę trudno byłoby wytłumaczyć obecność Libańczyka i Afroamerykanina.

- Potraktujcie to jako bierne wsparcie - zażartował, kiedy ułożyli ten plan.

Frank Lincoln górował nad Halim Kasimem jak wieża, gdy wyłonili się z kryjówki za szerokim żywopłotem wokół domu Isphordinga. Obaj byli ubrani na czarno. Hali niósł małą torbę narzędziową. Linc miał w tylnej kieszeni płaski futerał z wytrychami.

Podkradli się do masywnych dębowych drzwi. Boczne okna po obu stronach były zasłonięte. W domu panowała całkowita ciemność. Światło w sypialni Kary Isphording zgasło trzy godziny wcześniej. Upłynęło dość czasu, by weszła w fazę szybkich ruchów gałek ocznych, ale jeszcze nie

tyle, żeby musiała skorzystać z toalety.

Hali został z tyłu, Linc przygotował wytrychy. Ćwiczył na identycznym zamku, który kupił w składzie artykułów budowlanych na drugim końcu miasta. Miał duże palce, ale poruszał nimi z precyzją chirurga, gdy wsunął do środka wytrych naprężający i zaczął ustawiać mniejszym narzędziem kołki blokujące. Odsunięcie rygla zajęło mu osiem sekund, obrócenie głównej klamki następne piętnaście.

Zerknął na Haliego. Kasim już otworzył swoją torbę i włożył na głowę opaskę z miniaturową latarką. Skinął głową. Linc otworzył drzwi. Rozległ się elektroniczny sygnał. Miał się odzywać co pięć sekund, dopóki nie zadziała alarm lub nie zostanie wyłączony.

Za progiem lśniła drewniana podłoga. Między drzwiami i solidnymi schodami na pierwsze piętro leżał ciemny orientalny dywan. Na prawo i lewo były pokoje, salon i jadalnia na dziesięć osób. Hali dostrzegł to wszystko w przelocie. Panel alarmu znalazł na prawo od drzwi. Na obudowie błyskała oskarżycielsko czerwona lampka.

Podważył pokrywę śrubokrętem. W środku zobaczył wiązki przewodów. Zignorował je. Obwód został już przerwany. Do deaktywacji systemu był mu potrzebny kod numeryczny. Zauważył dwa komputerowe chipy na małej płycie głównej. Wyszarpnął oba i połączył urwane końcówki cienkim drutem, żeby zrobić obejście. Kontrolka nie zgasła, gong nie umilkł. Linc stanął u stóp schodów i wyczuł słuch, żeby sprawdzić, czy Kara Isphording się nie obudziła.

System pozwalał właścicielowi wykonać trzy próby wprowadzenia prawidłowego kodu wyłączającego alarm. Po trzeciej automatycznie się aktywował. Ale pozbawiony układów logicznych nie wiedział, ile prób zrobi Hali.

Kasim opylił klawiaturę alarmu proszkiem do zdejmowania odcisków palców. W rzeczywistości użył drobno zmielonego grafitu ołówkowego, który spisywał się równie dobrze. Odetchnął z ulgą kiedy się okazało, że używane są tylko cztery klawisze. Odciski palców były rozmazane, ale to nie miało znaczenia. Przy czterech cyfrach potrzebnych do zresetowania alarmu istniało trzydzieści sześć możliwych kombinacji. Hali nie zdążyłby wypróbować wszystkich. Chyba że Frau Isphording korzystała z klawiszy w kolejności 1, 2, 3, 4. To był najpopularniejszy na świecie kod do wyłączenia alarmu, wygodny dla właścicieli domów, ale i dla złodziei. Hali wcisnął tę kombinację. Mała czerwona lampka nadal do niego mrugała, gong oznajmił, że minęło następne pięć sekund.

Hali wprowadził cyfry w odwrotnej kolejności. Nic się nie zmieniło.

- Czas - syknął do swojego mikrofonu.

- Dwadzieścia trzy sekundy - odpowiedział z zewnątrz Juan. Haliemu nie pozostało nic innego, jak tylko wcisnąć następne kombinacje. 1243 Enter, 1324 Enter, 1342 Enter, 1423 Enter, 1432 Enter.

- Co się dzieje? - zapytał Juan.

- Strzelam w ciemno. Na razie nie trafiłem.

- Masz dziesięć sekund.

2134 Enter, 2143 Enter, 2314 Enter, 2341 Enter.

- Hali - szepnął Linc. - Spróbuj 3142.

- Pięć sekund.

Kasim skorzystał z podpowiedzi Linca. Wprowadził jego cyfry i wcisnął Enter. Gong znów zadzwieczał, kontrolka zaczęła błyskać dwa razy szybciej.

- Musimy spadać - powiedział Hali głosem pełnym napięcia.
- Odwróć to - polecił Linc. - Spróbuj 4231!
- Sekunda.

Sugestia Linca nie była odwrotnością poprzedniej liczby, mimo to Hali wcisnął klawisze w tej kolejności: 4231 Enter.

Lampka zgasła. Alarm został wyłączony. Hali spojrział pytająco na kolegę.

- Powinieneś bardziej uważać na odprawie Maksa, człowieka - wyszczerzył zęby Linc. - Isphordingowie mają dwoje dorosłych dzieci. Jedno urodziło się czwartego lutego, drugie trzeciego stycznia. Cztery/dwa, trzy/jeden. To proste, mój drogi Watsonie!

Hali spędził przed panelem jeszcze kilka minut, żeby wyłączyć obwody przycisków alarmowych. Jeden był tutaj, drugi bez wątplenia przy łóżku Kary Isphording.

- W porządku, czysto - szepnął prezes, kiedy on i doktor Huxley weszli do holu. - Jeśli nie wyjdziemy za dwadzieścia minut, możecie uznać, że wszystko gra, i wracać do bezpiecznego domu. Julia pojedzie jutro do Regensdorf samochodem pani Isphording. Po powrocie zostanie z nią przez weekend, a ja wezmę samochód i przyjadę do miasta.

Kiedy Hali i Linc wrócili do SUV-a, Juan wyszedł na zewnątrz i zadzwonił ze swojej komórki do rezydencji Isphordingów. Słyszał dźwięk telefonu w swoim uchu i w całym domu. Po trzecim sygnale zaspany głos wychrypiał:

- Halo?

- Witam, Frau Isphording. Nazywam się Jurij Zajcew - powiedział Cabrillo po angielsku z rosyjskim akcentem. - Jestem współnikiem pani męża. Muszę się z panią natychmiast zobaczyć.

- Was? Nein. To niemożliwe - odparła Kara Isphording, przechodząc na angielski. - Mein Gott, jest druga nad ranem.

- Chodzi o bezpieczeństwo pani męża, Frau Isphording. - Juan przybrał groźny ton. Musiała zdawać sobie sprawę, że klienci jej męża - jeśli nie wszyscy, to na pewno wielu - działają poza prawem. - Jestem przed pani domem. Proszę zejść na dół. Już wyłączyłem system alarmowy. Gdybym miał złe zamiary, dawno zdążyłbym zrobić pani krzywdę.

- Kim pan jest? - W jej głosie zabrzmiał strach.

- Kimś, kto stara się pomóc pani i mężowi. Jest zaufanym członkiem organizacji, dla której pracuję, i dowiedzieliśmy się, że ma zostać zamordowany w poniedziałek rano.

- Zamordowany?

- Tak, Frau Isphording. Przez ludzi z OWP.

- Niech pan powtórzy swoje nazwisko.

- Jurij Zajcew. Przysłano mnie z Petersburga, żebym pomógł waszej rodzinie.

Musiała wiedzieć, że Rudolph dużo robił dla Rosjan, bo po chwili milczenia zgodziła się na spotkanie. Juan odetchnął z ulgą. Mógł po prostu związać i zakneblować Frau Isphording w jej łóżku, kazać Julii odprawić rano pokojówkę i zrealizować swój plan. Ale to nie byłoby w jego stylu. Ta kobieta była niewinna, i nie chciał jej narażać na nic więcej niż to, co jest absolutnie konieczne.

U szczytu schodów zapaliło się światło. Kara Isphording nie należała do atrakcyjnych kobiet, nawet starannie umalowana i elegancko ubrana. Ale tuż po wstaniu z łóżka, ze zmierzwionymi włosami i twarzą opuchniętą od snu, wyglądała wręcz przerażająco. Na coś, w czym spała, włożyła

gruby szlafrok. Juan miał nadzieję, że jej okrycie się nie rozchyli. Na to spotkanie ubrał się w czarne dżinsy, czarną koszulę i obszerną czarną skórzaną kurtkę, obowiązkowy strój egzekutora rosyjskiej mafii. Ufarbował sobie włosy i miał pięciodniowy ryży zarost.

Nosił też przyciemnione szkła kontaktowe, żeby zmienić kolor jasnoniebieskich oczu.

- Przepraszam, że panią niepokoję, Frau Isphording - powiedział, kiedy kobieta zeszła na parter. Żadne z nich nie wykonało ruchu do uścisku dłoni. - Nie było innego sposobu. Zaplanowaliśmy uwolnienie pani męża, ale potrzebujemy pani pomocy. Tylko pani może go odwiedzać w Regensdorf, a trzeba go uprzedzić, co ma się stać.

- Mówi pan, że ktoś chce zabić Rudy'ego? - Opadła na krzesło. Do oczu napłynęły jej łzy.

- Tak. Może pani o tym nie wiedzieć, ale pewne frakcje w palestyńskim ruchu wyzwolenicznym uważają, że pani mąż jest kluczem do dużej sumy ich pieniędzy. Być może miliardów dolarów.

- Ale... ale Rudy powiedział, że to, co zrobił dla Palestyńczyków, było legalne.

Juan przyklęknął przed przerażoną kobietą i wziął w dłonie jej drżące ręce.

- To może być prawdą, ale dla tych ludzi pogłoska jest tym samym, co fakt. W poniedziałek albo spróbują go zabić, albo porwać. Musimy zadziałać wcześniej niż oni.

- Nie wiem... nie wiem, co robić. Nie powinno się zawiadomić policji?

- Zeznania pani męża już zniszczyły kariery kilku prominentnym biznesmenom i członkom rządu. Jest jeszcze wielu potężnych ludzi, którzy bardzo chcieliby go uciszyć.

Juan zdał sobie sprawę, że wyraża się zbyt powściągliwie. Kara Isphording była już u kresu wytrzymałości nerwowej i nie rozumiała go. Nie mógł jej za to winić. Jeszcze rok temu wiodła wygodne życie szwajcarskiej Hausfrau u boku odnoszącego sukcesy prawnika. Teraz atakowali ją reporterzy i co dzień czytała artykuły o przestępczej działalności męża.

- Chodzi mi o to, że policja nie udaremni zamachu na pani męża.

- To nie w porządku! - krzyknęła z oburzeniem. - Płacimy podatki. Cabrillo omal się nie uśmiechnął. Co za naiwność.

- Jak powiedzieliby Amerykanie, pani mąż poruszył gniazdo szerszeni. Mam dopilnować, żeby go nie ukąsiły.

Wytarła oczy chusteczką higieniczną, która wyglądała tak, jakby tkwiła w kieszeni jej szlafroka od dnia jego zakupu. Spróbowała wyprostować ramiona.

- Nie wiem, co robić. Co mam przekazać Rudy'emu? Jaki jest plan?

- Nie musi pani nic robić, Frau Isphording. - Juan odwrócił głowę i zawołał w kierunku salonu: - Ludmiła.

Julia weszła w światło lampy u szczytu schodów. Na widok swojej bliźniaczki Kara wciągnęła gwałtownie powietrze i przycisnęła knykcie do ust. Juan obawiał się przez moment, że kobieta

zemdleje, ale wzięła się w garść i wstała. Podeszła do Julii i przyjrzała się uważnie swojemu sobowtórowi.

- To moja współpracowniczka Ludmiła Demonowa. Pojedzie jutro do Regensburg zamiast pani. Nie chcę pani obrazić, ale z operacyjnego punktu widzenia zastąpienie pani będzie dla niej bezpieczniejsze niż dla nas tłumaczenie pani szczegółów naszego planu. Gdybyśmy mieli więcej czasu, mogłaby pani odwiedzić męża osobiście, ale... - Cabrillo urwał, pozwalając kobiecie wyciągnąć własne wnioski. - Może pani coś przywozić mężowi?

Kara Isphording nadal wpatrywała się w Julię, zmuszając Juana do powtórzenia pytania.

- Nie, ale daję mu krótkie liściki. Jak dotąd, strażnicy mi nie zabronili.

- To dobrze. Chciałbym, żeby pani napisała do męża. Niech pani mu przekaże, że nie zrobiliśmy pani krzywdy, i żeby uważnie wysłuchał Ludmiły. Zgoda?

- Ja, tak, oczywiście. - Dochodziła do siebie i wydawała się rozumieć, że Juan i Julia chcą jej pomóc. - A co będzie dalej?

- Kiedy już uwolnimy pani męża? Nie wiem. Mam go tylko zabrać w bezpieczne miejsce. A potem... - Juan wzruszył ramionami jak żołnierz, który po prostu wykonuje rozkazy. - To będzie zależało od pani męża i mojego szefa. Na pewno przyślą kogoś po panią i oboje wyjedziecie na południe Francji lub na Costa del Sol.

Uśmiechnęła się słabo, jakby wiedziała, że reszta jej życia nie będzie taką idyllą.

Julia wyruszyła do więzienia tuż po dziewiątej rano. Cabrillo irytował się, że musi czekać w rezydencji, ale zawsze istniało ryzyko, że Kara Isphording straci zimną krew i zadzwoni na policję. Dali gosposi dzień wolny i siedzieli oboje w salonie przy wystygłej kawie. Juan nadal grał rolę rosyjskiego gangstera, więc niewiele rozmawiali, i był z tego zadowolony. Do porwania prawnika zostały tylko trzy dni i czuł każdą mijającą minutę. Modyfikacji ciężarówki jeszcze nie ukończono, ale przeprowadzili próby wypożyczonymi samochodami osobowymi i powinni się zmieścić w czasie. Najbardziej niepokoiło go to, co mieli zrobić przez weekend na placu budowy. Na szczęście nocą terenu nie pilnowali ochroniarze, więc to nie był problem. Ale żeby zdążyć, musieli tej nocy ulokować na miejscu dziesięć ton cementu.

O jedenastej Juana rozbolał nadgarstek od patrzenia na zegarek. Skontaktował się z Linkiem i dowiedział, że ciężarówka w magazynie jest już gotowa i teraz ładują dwudziestokilogramowe worki cementu.

Odgłos otwierających się automatycznych drzwi garażowych poderwał go z fotela. Czekał w wejściu, kiedy Julia wysiadła z BMW 740 Isphordingów.

- I co?

- Pyszcz - uśmiechnęła się. - Po kilku sekundach zorientował się, że nie jestem jego żoną ale strażnicy nawet mi się nie przyjrzel.

- Dobra robota. Jest gotowy?

- Bardziej niż gotowy. Pali się do tego. Chyba naprawdę kombinował z OWP. Jak tylko wspomniałam, że na niego polują od razu zgodził się na wszystko.

- Wyłożyłaś mu cały plan?

- Wie, gdzie i kiedy go odbijemy. Powie dyrektorowi więzienia, że w poniedziałek wczesnym rankiem musi się zobaczyć ze swoim adwokatem. To spowoduje, że konwój dojedzie do placu budowy, zanim robotnicy przyjdą do pracy.

- Coś ci zdradził?

- O „Mausie”? Nie. I nie naciskałam. Ale kiedy mu powiedziałam, że przysłali mnie Rosjanie, zapytał, czy pracuję dla Antona Sawicza.

Udałam głupią i przytaknęłam. Wyraźnie mu ulżyło. Sawicz musi być jego głównym kontaktem.

- Sawicz? - Juan powtórzył głośno nazwisko, jakby próbował przywołać z pamięci. Pokręcił głową. - Nic mi to nie mówi. Każę Murphowi poszukać. Jesteś gotowa do pilnowania prawdziwej Kary Ispording?

- Wzięłam wszystko, co będzie mi potrzebne. - Julia poklepała torbę na ramieniu. W środku była strzykawka. Po zastrzyku zrobionym w niedzielną noc Kara powinna spać dwadzieścia cztery godziny, dopóki Juan i Julia nie będą w drodze powrotnej na „Oregona”.

## 16

Bez względu na to, jak często doktor Huxley go upominała, Max Hanley nie rezygnował z fajki ani deserów. Uważał, że człowiek w jego wieku sam wie, co jest dla niego najlepsze. Ważył tylko pięć czy sześć kilogramów za dużo i choć nie zdołałby przebiec mili w czasie poniżej dziesięciu minut, jego praca rzadko wymagała biegania na taką odległość. Ciśnienie miał niskie, poziom cukru prawidłowy, cholesterol prawie w normie. Więc w czym problem?

Zanurzył widelczyk w piance malinowej na swoim talerzyku i upewnił się, że nie zostawił ani okruszka tortu czekoladowego. Widelczyk był nieskazitelnie czysty, kiedy go odłożył i odsunął się od stolika w mesie z pomrukiem zadowolenia.

- Koniec? - zapytał steward w białej marynarce.

- Tylko dlatego, że musiałbym mieć mikroskop, żeby znaleźć tych kilka pozostałych drobinek ciasta. Dzięki, Maurice.

Tego wieczoru Max jadł sam, ale przed wyjściem z mesy, wyłożonej mahoniową boazerią, skinął głową personelowi przy innych stolikach. Jego mocne buty zagłębiały się w dywan o grubości prawie trzech centymetrów. Od kilku godzin z północy uderzał szkwał, więc postanowił wypalić fajkę w swojej kajucie. Właśnie usadowił się w głębokim fotelu z tygodniową porcją „International Tribune”, dostarczoną helikopterem na „Oregona”, gdy zadzwieczał jego interkom. Zdjął okulary, zostawił je wiszące na szyi i odłożył fajkę do popielniczki.

- Przepraszam, że zawracam ci głowę w wolny dzień - powiedziała z centrum operacyjnego Linda Ross.

- Nie ma sprawy. W czym problem?

- W niczym, tylko chciałeś wiedzieć, czy odezwał się Eddie. Okazuje się, że opuścił Fuczou i



może być w drodze powrotnej do Szanghaju.

Max przetrwał meldunek.

- Z punktu widzenia węzowej głowy to ma sens. Szanghaj jest jednym z najbardziej ruchliwych portów na świecie. Grupę nielegalnych dużo łatwiej wpakować na odpływający frachtowiec w zamieszaniu niż w mniejszym porcie, takim jak Fuczou.

- Murph i Eric Stone też tak uważają. Chcesz, żebym zawiadomiła prezesa?

- Nie. Kiedy ostatnio z nim rozmawiałem, miał dość spraw na głowie. Jeśli zdobędziemy więcej informacji, poproszę cię, żebyś mu je przekazała. Jaka jest nasza pozycja i co z naszym powolnym przyjacielem?

- Płyną z prądem, więc rozwijają teraz prędkość sześciu węzłów. Za pięć godzin będziemy jakieś sto mil morskich na wschód od Ho Szi Min.

Ta nazwa za każdym razem zaskakiwała Maksa. Największym wietnamskim miastem zawsze był dla niego Sajgon. Ale w innych czasach, podczas innej wojny. Ilekroć do „Oregona” zbliżał się helikopter, Hanleya ogarniała fala wspomnień, które dręczyły go potem przez kilka dni.

Te wspomnienia właściwie stale czaiły się w pobliżu. Ale nie prześladował go huk eksplozji granatów przeciwpancernych Wietkongu ani terkot ich kałasznikowów. A krzyki, gdy jego łódź patrolowa została podziurawiona od dziobu do rufy, były tylko hałasem w tle. Najbardziej utkwił mu w pamięci warkot Hueya nad ciemną dżunglą kiedy śmigłowiec kierował się na blask rac, które Max odpalał w noc jedną ręką a drugą przytrzymywał jelita swojego zielonego strzelca dziobowego. Boże, krew była gorąca nawet w tamtym cuchnącym piekle. Karabin maszynowy zamontowany w drzwiach Hueya brzmiał jak piła mechaniczna, gdy kosił dżunglę po obu stronach dopływu rzeki z prędkością trzech tysięcy pocisków na minutę. A kiedy w kierunku helikoptera poszybował granat przeciwpancerny...

Max ocknął się i wrócił z przeszłości, którą wciąż przeżywał. Zobaczył, że zmiął w rękę gazetę.

- Żadnej zmiany kursu? - zapytał w końcu.

- Nie, nadal jest na jeden osiem pięć. Albo płynie do Singapuru, co nie wydaje się prawdopodobne, bo są tam najmniej przekupni robotnicy portowi w regionie, albo niedługo skręci na południe i skieruje się do Indonezji.

- Raczej to drugie - zgodził się Max. Indonezyjska straż przybrzeżna nie dawała sobie rady z patrolowaniem kilku tysięcy wysp. Piraci mogliby łatwo uniknąć kontroli i znaleźć ustronne miejsce do wylądowania statku porwanego na Morzu Japońskim. Po minięciu Tajwanu jedna połowa załogi „Oregona” obstawiła jako punkt docelowy Filipiny, druga Indonezję.

- Dobra - powiedział Max - daj mi znać, jeśli „Maus” skręci albo odezwie się Eddie lub Juan.

- Jasne.

Max wygładził pogniecioną gazetę i odłożył ją na bok. Zapalił ponownie fajkę i wypuszczał ustami dym, dopóki kajuty nie wypełnił aromatyczny zapach. Nie rozumiał, dlaczego piraci nie poszukali dotąd jakiegoś spokojnego miejsca na oceanie, żeby zwodować skradziony statek. Mieli dość czasu na zmianę jego nazwy i wyglądu. Po odpowiedniej kosmetyce nikt by go nie rozpoznał,

zwłaszcza gdyby skierowali go na inne wody, powiedzmy u wybrzeży Afryki Południowej. Więc po co ryzykują, trzymając go tak długo w suchym doku? Chyba że płyną do określonego punktu docelowego. Jakiegoś miejsca blisko lądu, gdzie czują się bezpieczni. Hanley miał nadzieję, że „Maus” doprowadzi Korporację do kryjówki piratów, ale to nie mogło być aż takie proste.

W tej operacji było coś, czego nie dostrzegali. Max wiedział, że samo śledzenie „Mausa” nie wystarczy do rozwikłania tej sprawy, ale był przekonany, że uda się to prezesowi lub Eddiemu Sengowi. Stawiał raczej na Eddiego. Bez konkretnego powodu, po prostu mocno wierzył w twardego, niezależnego byłego agenta CIA.

\*\*\*

Gdyby Eddie wiedział, że Max liczy właśnie na niego, doradziłby mu, żeby postawił swoje pieniądze na Cabrilla i jego zespół w Szwajcarii.

Podczas szkolenia w CIA Senga i innych agentów uczono, jak sobie radzić z niewolą i torturami. Zajęcia były męczące. Odbywały się w Fort Bragg w Karolinie Północnej. Prowadzili je wojskowi specjaliści. Przed wyjazdem Eddiego do Bragg jego instruktor na Farmie podał mu wybrany na chybił trafił kod: aardvark. Eddie nie mógł nikomu zdradzić tego słowa, a żołnierze mieli je z niego wyciągnąć.

Znęcali się nad nim przez miesiąc. Bili go regularnie gumowymi wężami, zamykali w metalowej skrzyni i trzymali tam godzinami na słońcu bez wody, często zatrawali mu nędzne racje żywnościowe, żeby wymiotował. Próbowali go złamać, nie pozwalając mu zasnąć przez sześć dób z rzędu i wykrzykując pod adresem jego rasy wszelkie obelgi, jakie tylko potrafili wymyślić. Raz wrzucili go nago do mrowiska, pewnej nocy włali mu do gardła pół butelki szkockiej i przesłuchiwali go przez godzinę, dopóki nie zemdłał. Nie cofali się przed niczym, ale Eddie nie ujawnił im kodu. Mówił sobie, że to tylko ćwiczenia, i cokolwiek mu zrobią nie umrze.

Teraz nie miał takich złudzeń. Kiedy ciężarówka szarpnęła, tłum nielegalnych, stłoczonych razem z nim w środku, tak się zakołysał, że ci najbliżej tylnych drzwi omal nie zostali zgniecieni.

- Aardvark - szepnął. Po sześciu dniach w rękach wężowych głów tamten miesiąc w Fort Bragg wydawał się wakacjami z Club Medem.

W dusznej ładowni ciężarówki upchnięto około stu mężczyzn. Nie dawano im jedzenia ani wody co najmniej od dwóch dni. Wielu stało tylko dlatego, że nie mieli gdzie upaść. Odór potu i odchodów przytłaczał, wypełniał Eddiemu usta i płuca.

Trwało to od chwili, gdy Jen Luo przekazał go w Fuczou dalej. Następnym ogniwem w przemytniczym łańcuchu byli członkowie triady, chińskiej mafii. Zrobili Eddiemu zdjęcie do fałszywych dokumentów podróży i zamknęli go w celi pod fabryką cementu razem z sześćdziesięcioma innymi osobami. Nie było toalet. Siedzieli tam dwa dni. Co noc strażnicy wybierali kilka bardziej atrakcyjnych kobiet. Dziewczyny wracały po paru godzinach zakrwawione i zawstydzone.

Trzeciego dnia rano przyjechali Azjaci z południa kontynentu. Rozmawiali z wężowymi głowami po chińsku, więc Eddie nie mógł się zorientować, skąd są. Mogli być Indonezyjczykami, Malajczykami lub nawet Filipińczykami. Ale był pewien, że ich obecność to odstępstwo od

normalnych zasad przetrwania imigrantów z Chin, i podejrzewał, że są powiązani z piratami.

Nielegalnych wyprowadzano z celi po dziesięciu i demonstrowano gościom. Azjaci kazali członkom grupy Eddiego rozebrać się do naga i poddali ich poniżającym oględzinom. Eddie czuł się jak niewolnik na sprzedaż. Sprawdzili, czy ma zdrowe zęby, i obejrzel mu genitalia, żeby zobaczyć, czy nie jest chory wenerycznie. On i pozostali musieli dowieść, że zdołają podnieść dwa pustaki zawieszane na bambusowym kijku. Azjaci pokazali Eddiemu i jego dwóm towarzyszom, żeby stanęli z boku. Wybrali z grupy trzech najsilniejszych. Inni wrócili do celi.

Z sześćdziesięciu imigrantów dziesięciu załadowano do ciężarówki. Azjatyccy strażnicy upchnęli ich w przepelnionym pojeździe deskami, niczym spychacze. W środku panował taki tłok, że nie można było oddychać.

Przed zamknięciem tylnych drzwi na tłum skierowano wąż strażacki. Niektórzy tak gorączkowo próbowali ugasić pragnienie, że zostali ranni. Eddiemu udało się napić i zliżać jeszcze trochę wody z gorącej metalowej ściany ciężarówki. Potem drzwi się zatrzasnęły i w środku zapadła zupełna ciemność.

Na Eddiego najgorzej działała cisza na początku podróży. Nikt nie krzyczał, nie skarżył się, nie żądał, żeby go wypuszczono. Imigranci byli gotowi znieść każde cierpienie, byle tylko opuścić Chiny. Za wolność oddaliby wszystko.

Wydawało się, że jadą od kilku dni, choć mogło upłynąć najwyżej dwadzieścia godzin. Ciągłe kołysanie i podskoki wskazywały, że przemytnicy trzymają się bocznych dróg. Wielu mężczyzn dostało choroby lokomocyjnej i smród ich wymiocin potęgował odór panujący w ciężarówce.

Samochód pokonał wyjątkowo gładki odcinek jezdni i zatrzymał się. Nikt nie przyszedł otworzyć drzwi. Eddie miał wrażenie, że usłyszał samolot odrzutowy, ale odgłos był przytłumiony i niewyraźny. To mógł być grzmot. Pocili się w ciężarówce co najmniej godzinę, zanim ktoś wreszcie odryglował i otworzył tylne drzwi.

Imigrantów oślepiło ostre światło. Eddiemu zaczęły łzawić oczy, ale pierwszy haust świeżego powietrza od wielu godzin był tego wart. Samochód stał w wielkiej nowoczesnej hali, nie w obskurnym magazynie portowym, którego spodziewał się Eddie. Gdyby nie był taki zdezorientowany, zauważyłby, że łukowego dachu metalowego budynku nie podpierają żadne filary, i domyśliłby się, gdzie są.

Mężczyznom pozwolono zeskoczyć z ciężarówki. Wielu upadło z osłabienia na lśniąca betonową podłogę. Musieli się odczołgać na bok, żeby zrobić miejsce dla następnych. Eddie był dumny z tego, że nie stracił równowagi. Powłócząc nogami, odszedł kilka kroków od samochodu i spróbował ukucnąć, żeby odciążyc bolące kolana.

Nielegalnych pilnowało czterech strażników. Eddie był prawie pewien, że to Indonezyjczycy. Nosili tanie bawełniane spodnie i T-shirty, a na nogach plastikowe sandały. Wszyscy mieli chińskie wersje kałasznikowa. Eddie z przyzwyczajenia wrył sobie w pamięć ich twarze.

Kiedy oczyściły mu się zatoki, poczuł nowy zapach. Nie słońca woń morza, lecz chemikaliów. Niedbałym krokiem, żeby nie wzbudzić podejrzeń strażników, okrążył tył ciężarówki. W drugim końcu hali zobaczył wielkie wrota, sięgające niemal do sufitu. Ale jego uwagę przykuł samolot pasażerski, stary rosyjski odrzutowiec z czterema silnikami na ogonie, Il-62. Przeraził się.

Przemytnicy nie zamierzali zabrać imigrantów z Chin statkiem towarowym, lecz drogą powietrzną. Eddie zdał sobie sprawę, że jest w większych tarapatkach, niż się spodziewał. Ci ludzie wcale nie byli powiązani z piratami. Działali nielegalnie, ale samodzielnie. Wyprawa do Chin

zaprowadziła go w ślepy zaułek i nie miał teraz możliwości skontaktowania się z „Oregonem”. Strażnicy ustawiali mężczyzn w kolejce do wejścia na pokład samolotu. Wrota hangaru były jeszcze zamknięte, więc ta droga ucieczki odpadała.

Cieżarówka, która ich tu przywiozła, stała z wyłączonym silnikiem, ale Eddie pomyślał, że być może kierowca zostawił kluczyki w stacyjce. Ostatni imigranci opuścili ładownię samochodu i poczapali w kierunku Iljuszyna. Eddie dołączył do kolejki. Od kabiny ciężarówki dzieliło go tylko dziesięć metrów. Mógłby pokonać tę odległość w ciągu sekund, wskoczyć za kierownicę i spróbować przebić się na zewnątrz.

Przygotował się do sprintu i już miał wystartować, gdy zobaczył, że w kabinie siedzi kierowca. Eddie zastanawiał się przez ułamek sekundy, czy mimo to nie spróbować, choć straciłby trochę cennego czasu na obezwładnienie kierowcy. Jeden ze strażników zauważył, że Seng się zatrzymał, i warknął rozkaz zrozumiały w każdym języku. Eddie zrobił długi wydech, rozluźnił mięśnie i przyjął postawę pokonanego.

Kiedy przysła jego kolej na wejście do samolotu, zerknął po raz ostatni na ciężarówkę. Nie miał pojęcia, co czeka jego i innych u celu podróży, ale gdy szedł w kierunku wolnego siedzenia, w oczach mijanych mężczyzn widział strach. Oni też nie spodziewali się takiego obrotu sprawy.

Piętnaście minut później Iljuszyna wyholowano z hangaru. Po następnej zwłoce silniki odrzutowca ożyły i maszyna zaczęła kołować. Eddie domyślał się po wielkości lotniska i czasie ich jazdy tutaj, że są niedaleko Szanghaju. Jego teoria potwierdziła się, kiedy samolot po starcie poszybował nad miastem, zanim skręcił na północ.

- Jak myślisz, ile będziemy lecieli do Ameryki? - szepnął sąsiad Eddiego, wielki wiejski chłopak, który nie miał pojęcia, w co się wpakował.

Nadal myślał, że są w drodze do Stanów Zjednoczonych, kraju dobrobytu i możliwości, nazywanego Złotą Górą. Eddie nie wiedział, gdzie wylądują ale był pewien, że nie w Stanach. Iljuszyn nie miał takiego zasięgu. Obawiał się też, że wkrótce będzie uważał martwych nielegalnych wyłowionych przez „Oregon” z Morza Japońskiego za szczęściarzy.

- Dowiesz się, jak tam dolecimy, przyjacielu - odparł i zamknął oczy na nieuniknione.

\*\*\*

Cabrillo i jego zespół spędzili weekend na przygotowaniach do porwania. Pod osłoną ciemności pracowali na placu budowy. Harówka, jaką było przenoszenie ton cementu, zajęła im całą piątkową noc i część sobotniego wieczoru. Nie musieli się obawiać, że brygadzysta sprawdzający w weekend teren coś zauważy, bo worki portlandu leżały wszędzie. Rozmieszczenie i podłączenie ładunków wybuchowych zostawili na niedzielną noc. Dzięki ich saperskiemu doświadczeniu poszło to szybko. O północy mogli wrócić do magazynu, który Cabrillo wynajął w miasteczku położonym trzydzieści kilometrów na północ od Zurychu.

Juan wysłał innych przodem w samochodach osobowych, których mieli użyć w czasie akcji, a sam został z Linkiem z tyłu w ciągniku siodłowym, żeby przeprowadzić ostatnią próbę. O tak późnej porze na ulicy nie było żadnych przechodniów, więc nikt się nie zainteresował, dlaczego kierowca

ciężarówkę zamknął swojego kolegę w naczepie kontenerowej. Kiedy Linc zarygłował drzwi, Juan wcisnął się w kąt zmodyfikowanej ładowni, żeby nie być rzucanym po wnętrzu. Był wykończony i gdy siadał na podłodze, zatrzeszczały mu stawy. Chwilę później usłyszał warkot potężnego diesla MAN i samochód ruszył. Miał przy sobie latarkę, ale rezonujące wnętrze kontenera było trochę klaustrofobiczne. Silnik elektryczny i układ bloków, przymocowane do dachu, wyglądały doskonale i Linc mógł obsługiwać prosty mechanizm z kabiny.

Juan włączył małe radio, ale nie mógł złapać żadnej stacji. Komórka też nie działała.

- Nie słychać mnie teraz? - powiedział do nieczynnego telefonu. - To dobrze.

W naczepie zainstalowali przegrody akustyczne i urządzenia zagłuszające, żeby odizolować wnętrze od sygnałów elektronicznych. Linc i Hali Kasim przetestowali sprzęt w magazynie, ale Juan chciał mieć pewność, że system będzie działał w mieście, gdzie sieć telefonii komórkowej jest gęściejsza. Ten szczegół, podobnie jak inne, nie mógł być uzależniony od kaprysów prawa Murphy'ego.

W czasie półgodzinnej jazdy Juan co pięć minut upewniał się, że telefon jest głuchy. Linc wypuścił go, kiedy Hali zamknął drzwi magazynu za dziesięciokołową ciężarówką.

- I co? - zapytał wielkolud.

- Nada - odrzekł Juan. Zauważył, że na zewnątrz naczepy jego komórka ma połączenie z najbliższą stacją bazową. - Wszystko gra. Możemy się przespać kilka godzin. Więźniarka wioząca Isphordinga powinna być na pozycji nie później niż o ósmej piętnaście. Musimy być gotowi o siódmej trzydzieści. Julia się odezwała? Hali przytaknął.

- Dzwoniła do mnie, jak byłeś w ciężarówce. Żona Isphordinga jest uziemiona. Julia właśnie wraca do hotelu. Będzie czekała przed więzieniem o siódmej i da nam cynk, jak tylko furgon wyjedzie za bramę.

- Okej. Pojedzie za nimi do miasta. Ty, Linc, zaczekasz w ciężarówce za placem budowy. Samochód do zablokowania drogi jest na miejscu?

- Sam go tam zaparkowałem - odpowiedział Kasim. - I trzy razy sprawdziłem, czy z tyłu są liny.

Juan skinął głową. Tego się spodziewał.

- Do tej chwili jedyną nielegalną rzeczą jaką zrobiliśmy, było podstawienie Julii za żonę Isphordinga, choć może nawet i to nie jest wbrew prawu. Ale jutro rano naruszymy chyba każdy paragraf w szwajcarskim kodeksie karnym. Jeśli akcja się nie uda, ten, kogo złapią spędzi kilkadziesiąt lat za kratkami w Regensdorf.

Jego ludzie zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Płacono im za to, że ryzykują ale Juan przed każdą operacją mówił im, na co się narażają. Hali, Linc i inny najemnik Korporacji, były spadochroniarz nazwiskiem Michael Trono, wyglądali na świadomych tego.

Wstał szary, zimny świt. Zanim członkowie zespołu dotarli na swoje stanowiska, zaczęło mżyć. Nieliczni przechodnie kulili się w trenczach lub pod parasolami. Ale brzydka pogoda nie była problemem, lecz błogosławieństwem, bo zdawała się opóźniać poranny szczyt komunikacyjny.

Juan bez trudu włamał się na plac budowy. W końcu robił to już trzeci raz. Odpalenie na krótko potężnego silnika żurawia okazało się drobnostką. W czasie wspinaczki do kabiny przemókł i przemarzł, ale na szczęście w środku było ogrzewanie. Uruchomił je, pił kawę z termosu i czekał. Na szyi miał zawieszony gogle na podczerwień.

Julia znów się odezwała. Zawiadomiła zespół, że opancerzony furgon wiozący do miasta Rudolpha Ispordinga będzie na miejscu za dziesięć minut. Ze swojego punktu obserwacyjnego wysoko nad ulicami Juan powinien zobaczyć konwój pięć przecznic od placu budowy. Linc zaparkował ciągnik siodłowy z naczepą za błotnistym terenem i czekał z pracującym silnikiem. Juan widział dym z pionowej rury wydechowej ciężarówki. Hali i reszta siedzieli w samochodzie przeznaczonym do zablokowania drogi, małej używanej furgonetce, którą kupili w Lucernie od firmy przeprowadzkowej. Juan ich nie widział, ale wiedział, że też mają gogle na podczerwień i maski gazowe.

Popatrzył jeszcze raz na plac budowy. Stosy materiałów piętrzyły się obok przepelnionych kontenerów ze śmieciami. Koparki i spychacze stały nieruchomo. Wokół przyczepy kempingowej nic się nie działo, bo jeszcze nikt nie przyszedł do pracy. Według tego, co zaobserwował przez tydzień zespół Korporacji, pierwszy robotnik powinien się zjawić dopiero pół godziny po ich akcji. Z powodu ponurej pogody stalowo-betonowy szkielet sześciopiętrowego budynku tonął w mroku. Juan nie widział z wysoka miejsc, gdzie on i jego ludzie podłożyli ładunki wybuchowe.

Zadzwęczała jego komórka.

- Juan, to ja - powiedziała Julia Huxley. - Furgon wiozący Ispordinga właśnie stanął. Z radiowozu na czele konwoju wysiadł gliniarz i rozmawia z kierowcą więźniarki. Poczekaj. Chyba jest okej. Gliniarz wsiada z powrotem do samochodu. W porządku, ruszyli. Za moment powinnięś ich zobaczyć.

W głębi ulicy pojawił się radiowóz, a za nim więźniarka i drugi wóz policyjny. Nie miały włączonych kogutów ani syren i posuwały się w tempie innych pojazdów.

- Dobra, ludzie, czas na przedstawienie - oznajmił Juan na zakodowanym kanale walkie-talkie swojego telefonu.

Wytarł spocone dłonie i oparł je lekko na dźwigniach sterowniczych żurawia. Choć nigdy nie obsługiwał takiej maszyny, a wysokość utrudniała ocenę odległości, miał wystarczająco duże doświadczenie jako operator okrętowych bomów ładunkowych, by uważać, że sobie poradzi. Obrócił już trzydziestometrowe poziome ramię w kierunku ulicy i wózek, z którego zwisała lina, znalazł się dokładnie nad jezdnią. Ciężki stalowy hak opuścił na wysokość piętnastu metrów od bruku.

- Widzę ich w lusterku wstecznym - zameldował Hali z furgonetki przeznaczonej do zablokowania drogi.

- Włożyć gogle. - Obraz był zniekształcony, ale Juan rozróżniał szczegóły wystarczająco dobrze, zwłaszcza podczerwoną lampę stroboskopową, którą zamontowali na haku żurawia. Jej światło, niewidoczne gołym okiem, wyglądało w goglach jak blask racy sygnalizacyjnej. Podobna technologia

pozwała pilotom niewykrywalnych myśliwców zrzucać bomby dokładnie na cel przy każdej pogodzie.

Uwagę Juana zwrócił jakiś ruch. Spojrzał w dal. Zza rogu wypadło Ferrari i ostro przyspieszyło. Pędziło lewą połową jezdni dwukierunkowej ulicy z prędkością co najmniej stu trzydziestu kilometrów na godzinę.

Gardłowy odgłos jego wydechu odbijał się echem w kanionie barokowych budynków i docierał na wysokość trzydziestu metrów do kabiny żurawia. Juan ocenił prędkość i odległość i zdał sobie sprawę, że niski sportowy samochód znajdzie się przed radiowozem na czele konwoju akurat w krytycznym momencie. Gdyby Hali zajechał Ferrari drogę, energia kinetyczna uderzenia nie tylko zniszczyłaby włoskie auto i zabiła jego kierowcę, lecz również zepchnęłaby więźniarkę wiozącą Isphordinga z trasy wozu policyjnego, umożliwiając konwojowi ominięcie starannie zastawionej pułapki.

- Juan? - zawołał z niepokojem Hali.

- Widzę.

Choć Cabrillo nie miał ochoty zmieniać dokładnie wyliczonej pozycji żurawia, musiał zadziałać. Przesunął dźwignię i długie ramię zaczęło zataczać łuk na tle horyzontu. Podniósł kciukiem osłonę zabezpieczającą jeden z przełączników i gdy ramię znalazło się w miejscu, które uznał za odpowiednie, przestawił go. Zespół mechaniczny haka, ważący prawie tysiąc czterysta kilogramów, runął w dół.

Kierowca Ferrari nie zauważył ciężaru spadającego z nieba, toteż zostały mu tylko sekundy na reakcję, kiedy masa stali uderzyła w jezdnię i zrobiła w nawierzchni ponad półmetrową dziurę niecałe dwie długości samochodu przed jego wozem. Wdepnął hamulec, szarpnął kierownicę w prawo i walnął bokiem w nadjeżdżający z tyłu radiowóz. Juan przestawił inny przełącznik i oblepiony brudem hak uniósł się do góry Roztrzaskał przednią szybę auta za milion dolarów, gdy znalazło się pod nim, i zerwał mu dach niczym wierzch puszeki sardynek. Tylne koło Ferrari wpadło w dziurę, supersamochód zarzucił i znów walnął w radiowóz. Oba pojazdy zatrzęsły się i znieruchomiały.

Kasim widział całą scenę w lusterku wstecznym, ale to go nie zdekoncentrowało. Kiedy pierwszy wóz policyjny minął furgonetkę, Hali ruszył ostro za nim i stuknął go lekko w tylny zderzak. To wystarczyło, by radiowóz się obrócił i całkowicie zablokował wąską ulicę.

Opancerzony furgon wiozący Rudolpha Isphordinga zahamował gwałtownie i ledwo uniknął kolizji z wozem policyjnym. Julia Huxley, jadąca za konwojem, skręciła i ustawiła swoje auto w poprzek jezdni, żeby uniemożliwić więźniarce wycofanie się z pułapki.

Juan odpalił kształtowane ładunki wybuchowe domowej roboty, które podłożyli w niedokończonym budynku.

Rozmieścili je tak, by wywołały jak największy efekt. Kiedy eksplodowały, siła wybuchu została skierowana na cement, ułożony przez nich na każdym piętrze jak umocnienia z worków z piaskiem. Eksplozje następowały kolejno od parteru w górę. Podczas wybuchów z budynku wystrzeliwały

chmury szarego pyłu. Scena przypominała zawalenie się wieżowców World Trade Center. W ciągu sekund rozpylony cement utworzył w promieniu dwóch przecznic nieprzeniknioną mgłę, która sięgała od poziomu ulicy do wysokości prawie sześćdziesięciu metrów. Upłynęło co najmniej dziesięć minut, zanim rozwiął ją lekki wiatr. Do tego czasu nikt nie był w stanie zobaczyć, co się dzieje wokół placu budowy.

Kasim i jego ludzie wypadli z furgonetki. Każdy trzymał kawałek splecionej liny. Przed pyłem chroniły ich maski gazowe, mimo to Hali przy każdym oddechu czuł smak cementu. W goglach na podczerwień widział tylko wiszący hak i lampy podczerwone, przymocowane do liny w jego rękę. Miał wrażenie, że biegnie przez płonący las.

Kierowca więźniarki został zapewne tak wyszkolony, że potrafiłby się przebić przez blokadę, i prawdopodobnie próbował to zrobić, kiedy Cabrillo zdetonował ładunki wybuchowe. Teraz, podobnie jak wszyscy na ulicy, załoga opancerzonego furgonu była sparaliżowana siłą serii eksplozji, od których zdawał się walić pobliski budynek.

Hali dotarł do przodu więźniarki i oplótł linę wokół jej osi. Ciągnąc za sobą luźne końce, wspiął się po zaparkowanym samochodzie na dach opancerzonego furgonu. Spojrzał w górę. Lampa podczerwona na haku świeciła w szarej mgle niczym gwiazda na nocnym niebie. Ludzie Kasima owinęli obie tylne osie więźniarki swoimi linami i podali ich końce Haliemu. Potem zdjęli gogle i maski i zniknęli w spanikowanym tłumie. Uciekający przechodnie byli zakurzeni cementem i przypominali duchy we mgle na moczarach.

Wysoko w kabinie żurawia Juan naprowadzał hak nad światła podczerwone na dachu furgonu. Zobaczył, że się kawałek przesunęły, gdy Kasim stanął pewnie na pojeździe.

- Dobra, wystarczy. - Głos Haliego tłumiała maska gazowa. - Jesteś dokładnie nade mną. Opuść hak jakieś trzy metry.

- Przyjąłem. - Juan wypuścił więcej liny i obserwował uważnie, jak dwa punkty świetlne stapiają się w jeden. Bez lamp podczerwonych znalezienie więźniarki w tumanach wirującego pyłu byłoby niemożliwe.

- Okej, stop. - Hali założył na ciężki hak zatraskowy sześć pętli na końcach trzech lin. - Dobra, prezesie, towar jest twój. Daj mi sekundę, żebym się stąd zmył, i podnoś.

Zeskoczył na ziemię i już miał się wmieszać w potok biegnących ludzi, gdy nagle z mgły wyłonił się gliniarz z radiowozu na czele konwoju. Patrzyli na siebie przez chwilę, która wydawała się wiecznością. Policjant z twarzą pokrytą kurzem wytrzeszczył oczy, gdy wreszcie rozpoznał przedmiot w ręku Haliego - maskę gazową. Kasim pozwolił mu tylko na taką reakcję. Ponieważ nie był tak wyszkolony we wschodnich sztukach walki, jak Eddie Seng, po prostu kopnął gliniarza w krocze i rzucił się do ucieczki.

Pokonał zaledwie kilka metrów, kiedy zauważył drugiego policjanta. Gliniarz wysiadał właśnie od strony pasażera z radiowozu zamykającego konwój. Był oszołomiony wypadkiem drogowym i eksplozją, ale miał tyle przytomności umysłu, że trzymał dużą latarkę i pistolet samopowtarzalny. Wydostał się do połowy z samochodu, gdy zobaczył Haliego biegnącego przez cementową zamieć. Mimo pyłu rozpoznał jego arabskie rysy i natychmiast wyciągnął z tego wniosek. Spróbował unieść broń ponad otwór drzwiowy, choć niewygodny kąt nie wróżył celnego strzału. Hali rzucił się całym ciałem na drzwi radiowozu, złamał gliniarzowi nogę w kostce i unieruchomił go. Sięgnął po jego



pistolet i poczuł, że tamten trzyma SIG-Sauera w stalowym uścisku. Zdzielił go łokciem w twarz i gliniarz rozluźnił palce. Kasim wyrwał mu broń, zostawił go nieprzytomnego na chodniku i pobiegł dalej.

Wysoko nad miejscem walki Juan Cabrillo przesunął dźwignię, by podnieść hak. Liny się naprężyły i chwilę później siedmiotonowa więźniarka oderwała się od ziemi. Gdy była dziesięć metrów nad jezdnią Juan przestawił dźwignię, żeby obrócić żuraw odwrotnie do ruchu wskazówek zegara. Patrzył, jak jasny blask lampy podczerwonej zatacza łuk w pyle. Zwolnił tempo obrotu, kiedy opancerzony furgon znalazł się nad ulicą, gdzie czekał Franklin Lincoln z ciężarówką.

Podczas przygotowań sprzętu w magazynie Linc i Hali odcięli palnikami spawalniczymi dach naczepy. Przepołowili go wzdłuż i obie części zamontowali z powrotem, ale na długich zawiasach, żeby kontener otwierał się ku niebu. Na każdym rogu naczepy przymocowali lampę podczerwoną. Podczas gdy na wysokości Juana kurz zaczął opadać i widoczność przez szyby kabiny żurawia stale się poprawiała, w dole przy ciężarówce wciąż kłębił się cementowy pył. Ale w goglach Juan wyraźnie widział prostokąt, który tworzyły światła. Delikatnie opuścił więźniarkę do środka.

Linc czekał na dachu kabiny ciągnika siodłowego. Kiedy tylko opony furgonu ugięły się lekko pod ciężarem opancerzonego pojazdu, zabrał się do odczepiania lin. Po uwolnieniu haka zawiadomił Juana przez radio, że może go podnieść, i wrócił za kierownicę. Wrzucił pierwszy bieg i zamknął pilotem dach naczepy.

Załoga więźniarki została odcięta od świata. Nawet jeśli w czasie porwania wzywała pomocy, nic nie widziała w cementowej mgle, a ustalenie, że to nie był zamach terrorystyczny, musiało zająć miejscowej policji kilka godzin.

Juan spojrzął na zegarek, zanim zszedł po długiej drabince z żurawia. Od eksplozji do zabezpieczenia opancerzonego furgonu upłynęła minuta i czterdzieści siedem sekund. Trzydzieści mniej, niż się spodziewał, ale w końcu pracował z najlepszymi. Ledwo odnajdywał po omacku drogę przez plac budowy. Szedł w gęstym pyle jak ślepiec. Kurz wciskał mu się do oczu i dusił go. Dotarcie do bramy zajęło mu pięć długich minut. Wspiął się na siatkę i opuścił na chodnik.

Na ulicy nie było nikogo. Jasnoszary pył pokrywał wszystko niczym popiół wulkaniczny. Juan musiał przesuwając ręką po zaparkowanych samochodach, żeby się wydostać z najgorszej strefy. Ale dopiero dwie przecznice od miejsca akcji zaczął widzieć na tyle dobrze, że mógł przyspieszyć krok. Zjeżdżały się wozy policyjne, koguty na ich dachach rozświetlały mgłę jak latarnie morskie.

- Co się stało? - zapytał jakiś Anglik stojący przed kawiarnią. W przeciwieństwie do Juana miał czyste ubranie.

- Chyba jakiś wypadek na budowie - skłamał Cabrillo, kaszląc.

- Dobry Boże. Ktoś ucierpiał, nie wie pan? Juan obejrzał się na chmurę kurzu.

- Nikt - odparł. Tym razem powiedział prawdę.

Rudolph Ispording orientował się trochę, jak Rosjanie zamierzają go uwolnić, toteż nie był tak oszołomiony, jak towarzyszący mu strażnicy, kiedy usłyszeli pisk opon, poczuli uderzenie w przeszkodę i furgon gwałtownie się zatrzymał. Ale gdy moment później budynek obok gmachu sądu zadrżał od huku eksplozji, Ispording naprawdę się przestraszył.

Ani on, ani strażnik nie mogli nic zobaczyć przez małe boczne okna więźniarki, nie rozumieli też, co się dzieje, kiedy pojazd zaczął się nagle kołysać. Obaj poczuli lekkie działanie siły odśrodkowej,

jakby pokonywali łagodny zakręt. Potem ten ruch ustał, furgon huśtał się przez chwilę jak wahadło, nastąpił lekki wstrząs, rozległo się wycie jakiegoś mechanizmu, a następnie głośny łomot w górze.

Po kilku sekundach dał się odczuć nowy ruch i Isphording był pewien, że furgon jedzie dalej. Na zewnątrz ich opancerzonej skrzyni panowała ciemność. Strażnik spróbował skorzystać z komórki, ale nie miał sygnału. Mógł się skomunikować z dwoma kolegami w kabinie, tylko waląc z przegrodę, która ich rozdzielała.

Przez trzydzieści pięć minut byli w ruchu, gdy więźniarka opuszczała miasto. Czuli i słyszeli przyspieszenie, kiedy furgon wydostał się na autostradę, później hamowania i przechyły na zakrętach, gdy zjechał z głównej arterii komunikacyjnej. Wkrótce potem pojazd znieruchomiał.

Isphording domyślił się, że są tam, dokąd zabrali ich Rosjanie, Jurij Zajcew i kobieta imieniem Ludmiła, która udawała Karę.

On i strażnik czekali w milczeniu, aż coś się wydarzy. Mijały minuty.

Isphording nie mógł zobaczyć z więźniarki, że Linc i reszta czekają na przyjazd Juana. Kiedy tylko Cabrillo zaparkował Mercedesa ML między naczepą ciągnika siodłowego i Volkswagemem Julii, Kasim opuścił wielkie podnoszone drzwi hali. Z powodu zachmurzonego nieba przez matowe świetliki wpadało niewiele światła i w rozległym magazynie panował półmrok. Hali włączył kilka lamp sufitowych, ale niewiele poprawiły ponurą atmosferę w budynku.

SUV-a Cabrilla pokrywał cementowy pył, sam Juan również był brudny. Przyjął od Julii wilgotny ręcznik, żeby wytrzeć twarz z kurzu. Wypił też duszkiem pół litra wody

- Jak dotąd, wszystko idzie dobrze - pogratulował swoim ludziom. - Wygląda na to, że nikt nie miał trudności z dotarciem tutaj, więc otworzmy tę puszkę i dokończmy sprawę. Linc, jak ustawiłem furgon w naczepie, bo nie widziałem we mgle?

- Przodem do wyjazdu.

- To powinno nam trochę ułatwić zadanie. - Juan chwycił ze stołu roboczego pistolet maszynowy Heckler&Koch MP5 i zawiesił sobie na ramieniu. Wziął również dwa kuliste granaty. Były ćwiczebne, ale nie różniły się wyglądem od bojowych. Rozdał wszystkim czarne kominiarki i opuścił swoją na twarz.

Kiedy wszyscy zajęli pozycje z tyłu naczepy, odryglował drzwi. Odliczył pięć sekund i otworzył kontener. Cała piątka wdarła się do środka, wymachując bronią i krzycząc niezrozumiale. Szwajcarski kierowca i strażnik na siedzeniu pasażera mieli w rękach pistolety, ale nie mogli strzelać przez kuloodporne szyby. Zanim kierowca zdążył uruchomić silnik, żeby spróbować wyjechać z naczepy, Juan łypnął na niego przez przednią szybę i pokazał mu granaty.

Wskazał każdego z mężczyzn, potem obie pary drzwi i wyciągnął jedną zawleczkę. Nietrudno było odgadnąć, o co mu chodzi.

Strażnicy wiedzieli, że nie mogą nic zrobić. Położyli pistolety na tablicy przyrządów i sięgnęli wolno do klamek. Kiedy wysiedli, członkowie zespołu skuli ich plastikowymi kajdankami, zakneblowali i zawiązali im oczy. Hali oderwał od lśniącego pasa kierowcy klucze na kółku i rzucił Juanowi.

Cabrillo wspiął się na dach opancerzonego furgonu i zeskoczył lekko na podłogę naczepy. Za

piątym razem dopasował właściwy klucz do zamka, ale zanim go obrócił, skinął głową jednemu ze swoich ludzi.

Aby Kara i Rudolph Ispording nie mogli podać takiego samego rysopisu Jurija Zajcewa, gdyby coś poszło źle, pracownik operacyjny Korporacji Michael Trono zawołał po angielsku z rosyjskim akcentem, tak jak polecił mu Cabrillo:

- Do strażnika towarzyszącego Herr Ispordingowi. Twoi dwaj koledzy są już unieszkodliwieni. Nic im nie grozi, tobie też nie. Uchylę drzwi na tyle, żebyś mógł wyrzucić swoją broń. Jeśli tego nie zrobisz, będę zmuszony użyć gazu łzawiącego. Zrozumiałeś?

- Tak - odpowiedział strażnik.

- Herr Ispording, ile sztuk broni ma strażnik?

- Tylko pistolet - odrzekł prawnik.

- Bardzo dobrze. Wyjął go z kabury?

- Tak.

- Bardzo mądrze z jego strony - pochwalił Trono. - Herr Ispording, niech pan mu zabierze pistolet i podejdzie do drzwi. Otwieram je. Niech pan rzuci broń na podłogę.

Gdy Cabrillo uchylił ciężkie drzwi, z tylnego zderzaka spadł czarny pistolet. Dołączyli do nich Julia i Hali, oboje z bronią gotową do strzału. Juan skinął im głową i otworzył drzwi na całą szerokość. Przestraszony strażnik siedział na ławce biegnącej wzdłuż ściany więźniarki i już trzymał ręce na głowie. Hali skuł go kajdankami, zakneblował i zawiązał mu oczy. Julia pomogła brzuchatemu prawnikowi wyjść z opancerzonego furgonu. Dwóch pozostałych strażników wepchnięto do pojazdu i Juan zamknął ich w środku.

\*\*\*

Ispording zobaczył piątkę uzbrojonych komandosów. Dwóch było w roboczych ubraniach, reszta w czerni. Jedna osoba miała kobiece kształty. Domyślił się, że to Ludmiła. - Czy jest tu Jurij Zajcew? - zapytał z przejęciem.

- Da - przytaknął jeden z mężczyzn. Jego ubranie robocze pokrywał szary pył. Zdjął kominiarkę. Twarz też miał brudną. Był rudy i nosił kozią bródkę, tak jak prawnik został poinformowany.

- Pan Sawicz przesyła pozdrowienia, Rudolph. - Mężczyzna wymienił nazwisko, które podał sam Ispording. - Rzecz jasna, nie mógł się z tobą spotkać osobiście, ale niedługo się zobaczycie. W głębi magazynu jest biuro. Ludmiła cię tam zaprowadzi. Za kilka minut odjeżdżamy stąd.

Julia zdjęła kominiarkę, żeby pokazać prawnikowi, że jest tą kobietą, którą poznał jako Ludmiłę, choć teraz nie była w przebraniu. Ispording potrzęsnał mocno jej dłoń.

- Dziękuję. A co z moją żoną?

- Właśnie zabiera ją inna grupa - odparła Ludmiła.

- Dziękuję - powtórzył prawnik. - Dziękuję wam wszystkim za uratowanie mnie.

- Nic się panu nie stało? - zapytała Ludmiła, kiedy Ispording wyszedł za nią z naczepy. Linc

ustawił przy tylnych drzwiach schodki, żeby mu to ułatwić.

- Nie. Tylko trochę się przestraszyłem. Do pani piątkowej wizyty nie miałem pojęcia, że siedzą mi na karku Palestyńczycy. Jestem wam wszystkim wdzięczny.

Julia się uśmiechnęła.

- Podziękowania należą się panu Sawiczowi. My tylko wykonujemy jego polecenia.

- Wiedziałem, że to potężny człowiek, ale nie przypuszczałem, że może zorganizować coś takiego.

- Jak widać, może - oznajmiła Ludmiła.

Biuro było urządzone po spartańsku - parę biurek, kilka szafek na dokumenty i zniszczona winylowa kanapa pod oknem z matową szybą. Na podłodze leżało wytarte linoleum, w pokoju cuchnęło papierosami. W dużym oknie wychodzącym na magazyn wisiały zaciągnięte zasłony. Ispording opadł na kanapę i przyjął od Ludmiły butelkę wody.

Po kilku minutach do biura wszedł Jurij Zajcew. Pistolet maszynowy zostawił w magazynie, ale przy pasie miał kaburę.

- Co dalej, Herr Zajcew? - zapytał Ispording.

- Zaczekamy na resztę moich ludzi i pojedziemy. Kierowca ciężarówki uważa, że mógł być śledzony, więc przyspieszymy operację. Nie wiemy, czy Palestyńczycy są na naszym tropie, czy nie.

- Dawno nie działali poza Bliskim Wschodem - odrzekł prawnik. - Muszą być naprawdę zdesperowani.

- Po śmierci Arafata zniknęło tyle ich pieniędzy, że każdy byłby zdesperowany.

Ispording już miał odpowiedzieć, gdy w magazynie rozległ się hałas. Wszyscy aż podskoczyli. Sekundę później usłyszeli charakterystyczne odgłosy strzałów z broni z tłumikiem. Jeden z ludzi Zajcewa wydał zduszony okrzyk, który ucięła następna seria. Zajcew wyszarpnął z kabury pistolet i odciągnął suwadło.

- Nie ruszajcie się stąd - rozkazał Ludmile.

Podkradł się w półprzysiadzie do drzwi. Na zewnątrz zabrzmiały kolejne strzały. Wychylił się zza framugi z wycelowanym pistoletem. Zaklął i cztery razy nacisnął spust, żeby utorować sobie drogę z biura. Dał ostrożnie krok naprzód i znów strzelił do ciemnej postaci przebiegającej za ciężarówką. Odwrócił się, żeby wydać Ludmile nowy rozkaz, gdy sześć pocisków podziurawiło go od kolan po piersi. Siła trafienia odrzuciła go do tyłu, z powrotem do pokoju. Runął na biurko cały we krwi.

Szyba w oknie z widokiem na magazyn rozprysła się pod gradem kul z broni z tłumikiem. Pociski demolowały biuro, odbijały się wśród snopów iskier od metalowych mebli i rozrywały tanią boazerię. Ludmiła z kocim refleksem rzuciła się na Ispordinga, zasłoniła go własnym ciałem i wyciągnęła z kabury pistolet. Stoczyła się z prawnika, gdy w rozbitym oknie pojawiła się jakaś postać. Strzelec miał wokół twarzy kufiję, kraciastą chustę, jakie noszą Palestyńczycy. Zauważył

Ludmiłę i uniósł do ramienia karabin szturmowy. Strzeliła pierwsza i Ispording zobaczył, jak głowa Araba dosłownie się rozpada. Krew i różowa substancja mózgowa opryskały ścianę obok niego, tworząc obsceniczną plamę jak z testu Rorschacha. Miejsce zabitego zajął inny muzułmanin i posiekał pokój serią z karabinu samoczynnego. Odstrzelił Ludmiłę kawałek ramienia i trafił ją dwa razy w brzuch. Wydała okrzyk bólu i upadła na brudne linoleum. Wokół niej rosła kałuża krwi.

Ataku dokonano tak błyskawicznie i brutalnie, że Ispording był zbyt oszołomiony, by się ruszyć. Małe biuro wypełniał zapach krwi i prochu strzelniczego. Napastnik, który musiał być zabójcą Zajcewa, wkroczył do pokoju. Podszedł do ciała Ludmiły i odwrócił nogą jej zwłoki, żeby zobaczyć rany.

- Dobra robota, Mohammad - pochwalił po arabsku strzelca przy oknie. Przywódca terrorystów odwinął z twarzy kufiję i zerknął na Ispordinga. Miał ostre rysy i groźną minę, w jego ciemnych oczach błyszczała nienawiść. - Wiem, że znasz mój język - powiedział do prawnika. - Pracowałeś dla przewodniczącego Arafata. Ukrywałeś pieniądze, które powinny być wykorzystane do walki z Amerykanami i Żydami.

- Wszyscy pozostali nie żyją Rafik - zameldował Mohammad zza progu biura. - Budynek jest nasz.

- Nie mówiłem ci, że ktoś spróbuje uwolnić tę świnię z więzienia? - Rafik posłał Ispordingowi takie spojrzenie, że prawnik ze strachu zmoczył sobie spodnie. - Wystarczyło zaczekać.

Rafik otworzył nóż sprężynowy, ostrze zaślniło w świetle jarzeniówek.

- A teraz porozmawiamy o pieniądzach.

## 17

Rudolph Ispording nigdy nie interesował się bliżej ludźmi, którym prał pieniądze. Izolował się od swoich klientów, więc znał tylko ich kody dostępu do rachunków bankowych lub nieczytelne podpisy na dokumentach prawnych. Zawsze uważał się za człowieka liczb i najlepiej czuł się za biurkiem, w papierowej fortecy. Teraz dowód tego, co robił, był rozprysnięty na ścianach pokoju i tworzył kałużę pod ciałem Ludmiły. Ispording nie mógł się zmusić do tego, żeby spojrzeć na zmasakrowane zwłoki Jurija Zajcewa.

Rafika wezwano do magazynu, zanim zdążył zadać prawnikowi jakiegokolwiek pytanie. Mohammad obserwował więźnia od drzwi biura oczami jak kawałki obsydianu. Ispording widział, że Palestyńczycy przysuwają do tyłu naczepy pochylnię, żeby wyprowadzić opancerzony furgon. Rosjanie, którzy porwali prawnika, dołożyli wszelkich starań, żeby nikt nie został ranny lub zabity. Ispording był pewien, że Rafik i jego bandziory nie będą zawracali sobie tym głowy. Cały się trząsał, jakby dostał ataku epilepsji.

Przywódca terrorystów zawołał Mohammada. Ten przeszył Ispordinga groźnym wzrokiem i poszedł do magazynu.

Mijały minuty. Prawnika wyobrażał sobie coraz straszniejsze rzeczy, więc kiedy dotarł do niego dźwięk, nie był pewien, co usłyszał. Miał wrażenie, że ktoś go zawołał po nazwisku, ale zniekształconym i chrapliwym głosem, jakby z bardzo daleka lub w jego śnie. Spojrzał w stronę

drzwi. Nikogo. Rozejrzał się po pokoju. Ludmiła leżała na wznak, jej ubranie było przesiąknięte krwią.

- Isphording.

Znów to usłyszał i gdyby nie odwrócił głowy w kierunku Zajcewa, nigdy by nie uwierzył, że Rosjanin poruszył ustami. Jakimś cudem Zajcew jeszcze żył. Był blady jak trup, z piersi ciekła mu krew. Isphording poczuł lekki przyływ nadziei.

- Zajmij ich - wymamrotał Zajcew.

- Jak? - szepnął przynaglająco prawnik. W każdej chwili mógł wrócić Mohammad lub Rafik.

- Powiedz im wszystko, o co zapytają. Niech z tobą rozmawiają. - Zajcew mówił tak cicho, że Isphording musiał osłonić dłonią ucho i przechylić głowę, żeby go usłyszeć.

- Nie rozumiem - poskarżył się.

- Reszta moich ludzi jest w drodze... - Zajcewowi załamał się głos. Zatrzepotał powiekami, przewrócił oczami i znów stracił przytomność. To, że przeżył wielokrotny postrzał, przechodziło ludzkie pojęcie.

Rudolph Isphording przypomniał sobie słowa Rosjanina sprzed ataku, że czekają na resztę jego ludzi. Bez wątpienia byli uzbrojeni. W prawnika wstąpiła jeszcze większa nadzieja. Uratują go. Wyjdzie z tego żywy!

Z magazynu dobiegł ryk silnika. Z naczepy wyłonił się wolno opancerzony furgon. Za kierownicą siedział jeden z zamaskowanych terrorystów. Chwilę później do biura wrócił Rafik. Na jego twarzy malowała się mieszanina nienawiści i samozadowolenia. Przyciągnął sobie krzesło zza jednego z biurek i usiadł okrakiem przed Isphordingiem. Miał cuchnący oddech.

- A teraz, świnio, gadaj, co zrobiłeś z pieniędzmi, które ukradłeś mojemu narodowi - rozkazał po angielsku. Twardy akcent dodawał grozy jego słowom.

- Powiem wszystko, co chce pan wiedzieć - zapewnił Isphording po arabsku.

Rafik zdzielił go w twarz tak mocno, że na skórze został czerwony ślad.

- Nie kalaj języka Proroka. Mów po angielsku, Isphording. Isphording? To żydowskie nazwisko.

- Jestem katolikiem.

Rafik znów go uderzył. Wytrzeszczał oczy w szaleńczej furii.

- Masz tylko odpowiadać na pytania!

Isphording zerknął na nieruchome ciało Jurija Zajcewa. Modlił się, żeby jego ludzie przyjechali jak najszybciej.

- Wiemy, że za część pieniędzy naszego narodu założyłeś fałszywe spółki - zaczął Rafik. - Jedna z nich nazywa się D Commercial Advisors, inna Equity Partners International. Wykorzystałeś te firmy

do zakupu wielkiego statku o nazwie „Maus”, który jest gdzieś na Dalekim Wschodzie. Mów, kto kieruje tymi spółkami i zgarnia zyski, podczas gdy mój naród cierpi.

Ispording przez dłuższą chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć. Palestyńczycy całkowicie się mylili. Nie ruszył pieniędzy OWP, które ukrył. Tamto załatwił wyłącznie dla Antona Sawicza i Shere’a Singha. Potem pomyślał, że jeśli powie o tym wszystkim Rafikowi, to i tak nie będzie miało znaczenia. Lada chwila wpadną tu ludzie Zajcewa i zabiją Arabów.

- Zgadza się - powiedział ochryplym głosem i odchrząknął. - Właściwie są dwa statki, a raczej pływające suche doki. Jeden nazywa się „Maus”, drugi „Souri”.

- Kto nimi zarządza? - spytał ostro Rafik.

- Rosjanin nazwiskiem Anton Sawicz i Sikh o nazwisku Shere Singh.

- Mądrze robisz, że nie kłamiesz. - Stwierdzenie Rafika nie zabrzmiało jak pochwała. - Słyszeliśmy o Sawiczu. Gdzie go można znaleźć?

- Nie... nie wiem - wyznał żałośnie Ispording. - Cały czas podróżuje. Wątpię, żeby gdzieś mieszkał na stałe. Ma tylko skrytkę pocztową w Petersburgu.

Rafik zamachnął się na prawnika.

- To prawda, przysięgam! - krzyknął Ispording. - Widziałem go tylko raz, ponad dwa lata temu.

- Za chwilę do niego wrócimy. Ten Sikh to kto?

- Shere Singh. Pakistańczyk, ale teraz mieszka w Indonezji. Bogaty człowiek. Prowadzi rozległe interesy: przemysł drzewny, żegluga, nieruchomości. Jego największe przedsiębiorstwo to złomowisko statków Karamita Breakers Yard na zachodnim wybrzeżu Sumatry. Chyba przez tę firmę zarządza tymi dwoma suchymi dokami.

- Znasz go osobiście? Jak wygląda?

- Poznałem go w zeszłym roku na wideokonferencji. Wysoki, potężnie zbudowany, jak wszyscy Sikhowie, ma długą brodę i nosi turban.

Do pokoju wpadł nagle Mohammad.

- Rafik! - wrzasnął. - Policja aresztowała Fodla. On zna naszą... naszą, eee... - zamilkł.

- Lokalizację - warknął Rafik. - Wie, gdzie jesteśmy.

Terrorysta zerwał się na nogi. Ispording wydał okrzyk przerażenia i skulił się na kanapie, spodziewając się bicia.

- Nie róbcie mi krzywdy, błagam.

- Cicho! - zgromił go Rafik. Wziął od Mohammada opaskę na oczy i twarde plastikowe ochraniacze na uszy.

- Co... co pan robi? - jęczał Ispording. Po policzkach spływały mu łzy.

- Powiedziałem, cicho! - ryknął Rafik.

Zanim przywódca terrorystów zawiązał Isphordingowi oczy, Mohammad wcisnął sobie do uszu miękkie gumowe zatyczki. Potem przyszła kolej na opaskę i nauszники ochronne. Prawnik cały się trząsał. Przestał widzieć i słyszeć. Później go zakneblowano, ale - o dziwo - niezbyt mocno. Jeden z terrorystów postawił go na nogi i wyprowadził z biura. Isphording nie miał pojęcia, co się dzieje, nie wiedział, dokąd go zabierają. Po kilku krokach poczuł spaliny z rury wydechowej więźniarki, która stała z pracującym silnikiem. Chwilę potem wepchnięto go bezceremonialnie na tył pojazdu. Choć zdezorientowany, wyczuł obecność trzech strażników obarczonych zadaniem dowiezienia go do sądu. Nogi miał skrupowane w kostkach czymś plastikowym, nadgarstki i dłonie ciasno owinięte taśmą. Nie mógł ruszyć palcem, co oznaczało, że nie zdoła oswobodzić rąk. Ludzie Rafika byli nie tylko zabójczy, lecz również skuteczni.

Drzwi się zatrzasnęły i furgon ruszył, ale pokonali niewielką odległość. Sądząc po tym, jak przetaczali się po podłodze, przejechali trzy ostre zakręty. Prawnik podejrzewał, że Palestyńczycy po prostu przestawili więźniarkę za magazyn. Kierowca wyłączył silnik. Minęło kilka minut, zanim zatrzasnęła drzwi kabiny.

Isphording i strażnicy nie mogli się ze sobą porozumieć z powodu knebli i więzów, nauszники ochronne izolowały ich od wszelkich dźwięków. Prawnik nie potrafił sobie wyobrazić gorszej deprivacji. Choć jeszcze żył, nie miał pojęcia, jak długo to potrwa i kiedy opancerzony furgon znów ruszy, a potem wszyscy czterej zostaną wyciągnięci na zewnątrz i zlikwidowani.

Cabrillo zatrzasnęła drzwi więźniarki tak mocno, żeby mężczyźni wewnątrz to poczuli, i rzucił kluczyki na dach. Popatrzył jeszcze raz na ulicę przed magazynem. Nikt nie widział, jak wjeżdżał furgonem za budynek. Kiedy stamtąd odchodził, obracał w palcach pojemnik ciśnieniowy z wybielaczem. Był pewien, że nikt nie zostawił w kabinie odcisków palców, ale na wszelki wypadek spryskał ją tym środkiem, żeby zlikwidować wszelkie ślady DNA.

Linc czekał na niego w drzwiach. Były komandos SEAL odwinął kufiję, którą zasłaniał swoją czarną twarz, i zostawił kraciastą chustę na szerokich barach. Z frędzli na jej krawędziach kapąca sztuczna krew, która wytrysnęła po strzałach Julii.

- Dobra robota - powiedział Juan i obaj mężczyźni wyszczerzyli zęby w szerokim uśmiechu.
- Masz talent do grania ról złych Arabów, prezesie - drażnił się z nim wielkolud. - Najpierw byłeś pułkownikiem Houranim z armii syryjskiej, dziś jesteś przywódcą palestyńskich terrorystów, Rafikiem. A kim będziesz jutro? Ali Babą?
- Pod warunkiem że ty zagrasz Szeherezadę i wykonasz taniec siedmiu zasłon.

Mike Trono, który na użytek Rudy'ego Isphordinga wcielił się w Jurija Zajcewa, wydłubywał ze specjalnej kamizelki pod koszulą resztki miniaturowych petard, składających się z maleńkich ładunków wybuchowych i odrobiny sztucznej krwi. Te gadzety były od lat głównym produktem hollywoodzkich czarodziejów od efektów specjalnych. Bardziej skomplikowane urządzenie zostało umieszczone w nakryciu głowy Linca, żeby wywołać złudzenie, że Julia odstrzeliła mu pół czaszki. W biurze, wzdłuż ścian i na meblach, też rozlokowano małe ładunki wybuchowe, pozorujące uderzenia pocisków w płyty gipsowe i metal. Oczywiście w czasie udawanego ataku wszyscy członkowie zespołu strzelali ślepakami.

To, co Isphording i trzech strażnicy opowiedzą po ich odnalezieniu, zabrzmia tak niewiarygodnie, że na pewno zostanie uznane za prawdę, bo nikt by tego nie wymyślił. Porwała ich rosyjska mafia, którą



potem zaatakowali członkowie OWP, szukający swoich pieniędzy zaginionych po śmierci Arafata. Atak był tak brutalny, że żaden z Rosjan go nie przeżył. Po wiadomości o aresztowaniu ich człowieka terroryści uciekli. Trudniej będzie wyjaśnić, co się stało z ciałami Rosjan i dlaczego terroryści nie zabrali Isphordinga ze sobą. Nikt też nie będzie potrafił wytłumaczyć, jak „Palestyńczycy” dostali się do Szwajcarii.

Juan nie przejmował się zbytnio tymi szczegółami. Szwajcarskie władze zarządzają uszczelnienie granic, ale w końcu zadowolą się tym, że nie ucierpiał żaden cywil, ich główny świadek powrócił do więzienia, a na świecie jest kilku rosyjskich gangsterów mniej. Pewnie przycisną Isphordinga, żeby wyśpiewał, gdzie nieżyjący już przywódca OWP ukrył miliardy ukradzione swojemu narodowi. Kto wie, może część uda się odzyskać?

Juan nie miał niestety wpływu na to, czy prawnik ujawni, co powiedział w czasie przesłuchania. Nie chciał, żeby Szwajcarzy zainteresowali się Antonem Sawiczem, kimkolwiek jest, ani sikhijskim potentatem żeglugowym nazwiskiem Shere Singh. Mógł mieć tylko nadzieję, że Isphording boi się Sawicza tak bardzo jak Palestyńczyków, więc będzie siedział cicho.

Z jedynej toalety w magazynie wyszła doktor Huxley. Zmyła z twarzy sztuczną krew. Rozebrała się też do czarnego bezrękawnika, w którym ledwo mieściły się jej krągłości, żeby umyć brudne ramiona. Eksplozja miniaturowej racy, pozorująca odstrzelenie jej kawałka ramienia, pozostawiła brzydki czerwony ślad na nieskazitelnie białej skórze Julii.

- Wszystko w porządku, Ludmiła?

- Da - odrzekła Julia, masując miejsce kontuzji. - To drobiazg. - Uniosła przekornie brwi. -

Dlaczego wszyscy, poza tobą i Halim, wyglądają jak zombi z horroru klasy B?

- Bo nikt z was nie zna arabskiego i nawet nie przypomina Araba. - Juan się roześmiał. - Choć występ Halięgo w roli groźnego terrorysty Mohammada pozostawiał wiele do życzenia. Miał się nauczyć na pamięć tylko dwóch linijek tekstu i obie sknocił. Na plus muszę zapisać to, czego dokonał Kevin ze swoim personelem Magicznej Pracowni. Tym razem naprawdę przeszli samych siebie. Zwłaszcza w wypadku Linca. Przez moment myślałem, że coś poszło nie tak i naprawdę rozerwało mu głowę.

- Ja też się przestraszyłam - wyznała Julia. Juan zwołał resztę zespołu.

- Przede wszystkim chcę was pochwalić za to, że się doskonale spisaliście. Ten numer od początku był ryzykowny i wykonaliście go bezbłędnie.

- To znaczy, że dostaniemy premie? - zapytał Hali.

- Ty największą. Wysyłam cię do Berlitz, żebyś mógł przynajmniej poudawać, że znasz arabski.

- Wszyscy wybuchneli śmiechem i przez chwilę mieli ubaw z Kasima. - Julia, jak tylko będziesz gotowa, wracaj do hotelu. Zarezerwowałaś sobie miejsce w samolocie?

- O drugiej ląduję w Stambule. Stamtąd mogę do was dołączyć gdziekolwiek. Sądząc po tym, co mówił Isphording, lecimy do Indonezji?

Cabrillo przytaknął.

- Wygląda na to, że następnym ogniwem w naszym łańcuchu jest Shere Singh.

- Na lotnisku Ataturk kupię bilet do Dżakarty. - Julia włożyła ciemną bluzkę. - Całe moje przebranie jest w walizce w biurze.

- Spalimy je - zapewnił Juan i pocałował ją w policzek. Pomachała wszystkim na pożegnanie, wsiadła do wypożyczonego samochodu, a gdy Linc otworzył drzwi garażowe, wyjechała z magazynu.

- Starłem odciski palców z więźniarki i spryskałem kabinę i klamki drzwi wybielaczem - podjął Cabrillo. - Spalimy ten budynek, ale sprawdźcie wszystkie miejsca, w których byliście, zwłaszcza toaletę. Wolę nie ryzykować. Wszyscy macie zaplanowaną drogę ucieczki. Jutro o tej porze widzimy się na „Oregonie”.

Choć Juan załatwiał większość spraw w różnych przebraniach, zidentyfikowanie jego osoby było najbardziej prawdopodobne, musiał więc opuścić kraj jako następny. Kiedy inni sprząтали magazyn, zmienił ubranie, wziął wiadro wody i ścierkę i zmył z Mercedesa cementowy pył. Zanim skończył, Hali, Linc i Trono zrobili w budynku porządek i rozmieścili bomby zapalające.

- Na ile nastawić timer? - zapytał Linc.
- Zaczekaj. - Juan zadzwonił ze swojej komórki na „Oregona”.
- Kancelaria Adwokacka Dewey, Cheatem i Howe - powitała go Linda Ross piskliwym głosem.

Cabrillo obliczył różnicę czasu między Szwajcarią i Morzem Południowochińskim.

- Dobry wieczór, Linda.
- Jak poszło, prezesie?
- Jak po maśle. Czy Murph i Eric monitorują wiadomości w Zurychu?
- Jasne. Już ich daję.

Chwilę później na linię wszedł Mark Murphy. Do Juana docierała głośniejsza muzyka speedmetalowa z jego słuchawek, które opuścił na szyję. Brzmiała jak odgłos przecinania szyny piłą łańcuchową.

- Z przekazów CNN i SkyNews, które odbieram, wynika, że Szwajcarzy nie mają pojęcia, co się stało. Najpierw myśleli, że to jakaś katastrofa budowlana, potem podejrzewali, że doszło u nich do powtórki jedenastego września. Łapię rozmowy miejscowej policji i słyszałem kilka wzmianek o zaginięciu opancerzonego furgonu i obecności niezidentyfikowanych uzbrojonych osobników na miejscu zdarzenia, kiedy nastąpiły eksplozje.

- Zamykają granice lub opóźniają odloty samolotów?
- Nie. Uważają że to lokalna sprawa.
- Więc na razie jesteśmy bezpieczni.
- Połapanie się, o co chodzi, zajmie im tyle czasu, że będą musieli doliczyć odsetki.
- Co?
- To był żart. No wiesz, szwajcarskie banki. Dlatego odsetki. Dobrze, nie?
- Lepiej pozostań znawcą muzyki, a dowcipy zostaw zawodowcom, takim jak Max. Jak daleko jesteście od Sumatry?
- Kilka dni drogi, a dlaczego pytasz?
- Isphording powiedział, że „Mausem” zarządza niejaki Shere Singh, właściciel złomowiska statków Karamita Breakers Yard. Sprawdź to. I wytrop drugi pływający suchy dok o nazwie „Souri”. Też należy do Singha.

- Jak to się pisze?

Juan przeliterował nazwę i dodał:

- To po francusku „mysz”.

- Okej.

- Dzięki, Murph. Przekaż Maksowi, że macie zostawić „Mausa” i wziąć kurs na złomowisko Karamita. Utrzymujcie zwykłą prędkość podrózną. - Takie tempo było dużo wolniejsze od maksymalnej prędkości „Oregona”, ale wykorzystywanie pełnej mocy silników w ciągu dnia lub bez antyradaru zdradziłoby jedną z najważniejszych tajemnic statku.

- Powiem mu.

- Do zobaczenia jutro. - Juan się wyłączył i odwrócił do swoich ludzi czekających na instrukcje. - Wygląda na to, że policja nie wie, co się stało, więc na razie nic nam nie grozi. Wszyscy będziemy poza Szwajcarią w ciągu sześciu godzin. - Spojrzał na Linca. - Nastaw zapalnik na ósmą wieczorem. Isphording i strażnicy przeżyją nieprzyjemny dzień, ale nie odwodnia się, zanim przyjedzie straż pożarna i znajdzie więźniarkę.

Odpalił silnik SUV-a, widlastą „ósemkę” o gardłowym dźwięku. Czekala go długa jazda do Monachium. Miał nadzieję, że zanim dotrze na miejsce, adrenalina przestanie działać, bo jeszcze trzęsły mu się ręce i czuł ucisk w żołądku. Łudził się, że może Mark ustali, iż bliźniaczy suchy dok „Mausa” jest używany zgodnie z przeznaczeniem, a nie do porwań statków na pełnym morzu, ale wiedział, że szanse na taką wiadomość są równie nikłe jak na to, że Hali Kasim wygłosi główne kazanie podczas przyszłorocznej pielgrzymki do Mekki.

## 18

Juan Cabrillo znał ten typ ludzi. Mężczyzna za biurkiem naprzeciwko niego był biednie ubrany i jedynym powodem do dumy w jego wyglądzie mogło być to, że trzyma się zasad swojej wiary. Nosił turban, ale postrzępiony i przepocony. Ciemne plamy pod pachami koszuli z taniej bawełny wydawały się nie do sprania. Na brodzie i wąsach miał resztki jedzenia.

Pokój również utrzymywano w takim stanie, by wywoływał określone wrażenie. Na biurku wałały się papiery, szafki na akta pękały w szwach. Meble z przeceny były niewygodne, plakaty na ścianie dostarczyła najprawdopodobniej indonezyjska izba turystyki. Stary komputer nadawał się do muzeum techniki.

Chuda jak patyk Indonezyjka w starszym wieku, która wprowadziła Juana do biura, była zapewne jedynym autentycznym elementem tej maskarady. Nosiła takie samo tanie ubranie jak jej szef, ale Cabrillo podejrzewał, że z powodu nędznych zarobków, a nie dlatego, by podtrzymać fałszywy wizerunek firmy walczącej o przetrwanie.

Po przeczytaniu dossier, które Mark Murphy skompletował przed tym spotkaniem, Cabrillo wiedział o Shere Singhu i jego rodzinie więcej, niżby sobie życzył. Ich majątek oceniano na prawie ćwierć miliarda dolarów. Mieszkali w dwustuhektarowej posiadłości w domu tak wielkim, że pod jednym dachem mieściło się wygodnie jedenaścioro dzieci patriarchy wraz z rodzinami. Singh ufał swoim zięciom tylko do pewnego stopnia - prowadzili legalną część jego interesów. Nielegalną

kierowali jego synowie. Najstarszy, Abhay, reprezentował firmę Karamita Breakers Yard.

Miał biuro w podupadłej dzielnicy Dżakarty, wystarczająco blisko portu, by czasami usłyszeć syrenę okrętową ale na tyle daleko, że kto chciał tu trafić, musiał się naszukać.

Umówienie się na spotkanie z Abhayem Singhiem było proste. Cabrillo skontaktował się z firmą w drodze z Monachium do Dżakarty. Podał się za kapitana, który zamierza sprzedać statek na złom i chce wiedzieć, ile Karamita by mu zapłaciła.

Juan prezentował się niewiele lepiej od gospodarza biura. Ostatni raz golił się w przeddzień porwania Rudy'ego Isphordinga i miał na głowie czarną tłustą perukę, a na niej jachtową czapkę. Jego drelichowe spodnie nigdy nie widziały żelazka, przy rękawie sportowej marynarki brakowało paru guzików. Skoro bogata rodzina Singhów chciała uchodzić za robotników walczących o przetrwanie, Cabrillo mógł udawać przegranego kapitana.

Abhay Singh czytał opis „Oregona” przyniesiony przez Juana. Figurowała tam fałszywa nazwa statku - którą właśnie malowano na kadłubie starego frachtowca - podano jego wymiary, tonaż i listę wyposażenia oraz dołączono kilkadziesiąt zdjęć.

Świńskie oczka Sikha przebiegły treść szybko i uważnie. W zaniedbanym pokoju biurowym słychać było tylko terkot wentylatora i odgłosy ruchu ulicznego dochodzące przez otwarte okno.

- Nie widzę tu jednej rzeczy, kapitanie... eee... Smith - powiedział Singh, świdrując Juana wzrokiem. - Mianowicie dokumentu własności. Może statek, który chce pan sprzedać na złom, nie należy do pana?

Cabrillo, grający rolę Jefa Smitha, za którego często się podawał w urzędowych kontaktach, wytrzymał spojrzenie Abhaya.

- Brakuje tam jeszcze czegoś. - Wręczył Sikhowi dodatkowy plik papierów.

Singh zerknął na nie sceptycznie, ale gdy doszedł do połowy pierwszej strony, podniósł głowę z błyskiem chciwości w oczach.

- Zgadza się - rzekł Juan. - W ładowniach jest osiem tysięcy ton aluminium w sztabach. Wzięliśmy je na pokład w Karaczi. Może się dogadamy, panie Singh? Pan zapomni, że statek nie jest mój, a ja zapomnę, że przeszedł w pańskie ręce załadowany surowcem o wartości dziesięciu milionów dolarów, nienależącym do żadnego z nas.

Singh położył papiery na biurku i splótł na nich ciemne dłonie. Przyjrzał się badawczo Juanowi.

- Jak to się stało, kapitanie, że pan do nas trafił?

Cabrillo doskonale się orientował, że Sikh pyta o to, skąd kapitan Jef Smith wiedział, że właściciele złomowiska Karamita są zdeprawowani i przekupni.

- Poeci często piszą o tym, jaki wielki jest ocean, bo to fakt, panie Singh, ale jednocześnie świat jest mały. Słyszysz się to i owo.

- Gdzie?

- W różnych miejscach od różnych ludzi. Nie pamiętam dokładnie, kto mi powiedział o waszej firmie, ale wieści rozchodzą się szybciej, niż rozprzestrzenia się czerwotka, i bywa, że trudniej sobie z tym poradzić niż z tą zarazą. - Utkwił w Sikhu wzrok i przybrał kamienny wyraz twarzy.

Abhay Singh zrozumiał podtekst: zadawaj więcej takich pytań, a postaram się, żeby władze wzięły Karamitę pod lupę. Uśmiechnął się nieszczercze.

- Cieszę się, że nasza firma ma taką dobrą opinię. Myślę, że dojdziemy do porozumienia, kapitanie Smith. Na pewno zna pan rynkową cenę złomu, więc proponuję sto dziesięć dolarów za tonę.

- Myślałem raczej o pięćset pięćdziesięciu - odparł Juan. Mógł zażądać czterokrotnie wyższej sumy, bo dokładał aluminium, ale chciał mieć te negocjacje z głowy i splukać z siebie odór nieuczciwości.

- Nie, to wykluczone - odparł Abhay takim tonem, jakby Juan właśnie obraził jego siostrę. - Mogę dać najwyżej dwieście.

- Może pan dać czterysta, ale wezmę trzysta.

- Oj, kapitanie - jęknął Singh, jakby Cabrillo obrażał teraz jego matkę. - Przy takiej cenie nic nie zarobię.

- Zarobi pan, i to dużo. Obaj wiemy, ile jest wart ładunek. Umówmy się na dwieście pięćdziesiąt dolarów za tonę i za dwa dni dostarczę panu statek.

Singh w milczeniu rozważał propozycję. Juan wiedział, że „Maus” dotrze do Karamity w tym samym czasie, kiedy on doprowadzi tam „Oregonę”, i zastanawiał się, co zwycięży w umyśle Sikha: chciwość czy rozwaga. Gdyby był ostrożny, zamknąłby złomowisko na tak długo, żeby rozładować suchy dok i pozbyć się dowodu piractwa, ale mogła go skusić perspektywa zbitcia majątku dzięki cenie zaproponowanej przez Juana.

Wreszcie podjął decyzję.

- Złomowisko jest teraz pełne. Niech pan dostarczy swój statek za tydzień. Wtedy będzie wolne miejsce.

Juan wstał i wyciągnął spoconą rękę.

- Umowa stoi, ale na wypadek, gdyby właściciele statku mieli w Dżakarcie szpiegów, i tak będę w Karamicie za dwa dni. - Wyszedł z biura i minął recepcję, zanim jego słowa dotarły do Abhaya Singha.

Na lotnisku spotkał się z pilotem helikoptera George'em Adamsem; polecili na „Oregonę”, który czekał z dala od szlaków żeglugowych. W ciągu ostatnich dni George spędził w powietrzu ponad dwadzieścia godzin, przerzucając na statek członków Korporacji wracających ze Szwajcarii. Załoga była wreszcie w komplecie, brakowało tylko Eddiego Senga.

W swojej kajucie Cabrillo zdjął strój Jefa Smitha, wepchnął cuchnące ubranie i perukę do

plastikowej torby, zamknął ją szczelnie i rzucił w głąb szafy do następnego razu, kiedy będzie musiał grać tę rolę. Namydlił twarz pędzlem do golenia i ostrożnie usunął zarost brzytwą.

W lustrze nad miedzianą umywalką zobaczył w swoich oczach błysk, który pojawiał się, ilekroć Juan zbliżał się do celu. To, że Singh zgodził się kupić statek bez dokumentu własności, wystarczyło, żeby go aresztować, ale przede wszystkim upewniło Cabrilla, że trop wskazany przez Isphordinga jest właściwy. Abhay Singh i jego ojciec tkwili w tym po uszy. Juan musiał teraz spowodować, by odsłonili się na tyle, żeby mógł znaleźć Antona Sawicza, a potem uziemić ich wszystkich.

Wziął prysznic, zwilżył twarz olejkiem pimentowym, a potem włożył ciemnoszare spodnie, białą bawełnianą koszulę i miękkie ciemne mokasyny. Zadzwoił do kuchni okrętowej i polecił podać coś do jedzenia w sali posiedzeń, gdzie zwołał zebranie starszego personelu Korporacji.

Sala była ulokowana przy sterburcie za nadbudową. Mieściło się w niej czterdzieści osób, ale wokół stołu tylko dwanaście. Kiedy nie musieli się ukrywać, otwierano duże prostokątne iluminatory, żeby wpuścić do środka naturalne światło. Juan przyszedł pierwszy i usiadł w skórzanym fotelu z wysokim oparciem u szczytu stołu. Maurice, główny steward Korporacji, wniósł parujący półmisek z samosami i dzbanek swojej słynnej mrożonej herbaty. Napelnił szklanek Cabrilla i postawił przed nim talerz.

- Witamy z powrotem, panie prezesie.

Juan dostał dossier rodziny Singh mailem w czasie lotu z Europy, a George Adams czekał na niego w Dżakarcie z przebraniem Jefa Smitha, był na „Oregonie” po raz pierwszy od podróży do Tokio niemal dwa tygodnie temu.

- Dobrze znów być u siebie - powiedział. - Co nowego? - Maurice był nieuleczalnym plotkarzem.

- Podobno Eric Stone utrzymuje znajomość z jakąś Hiszpanką przez internet. Słyszałem, że ich czaty są bardzo namiętne.

Stone był pierwszorzędnym sternikiem i znał się na systemach statku nie gorzej od Juana i Maksa Hanleya, ale kompletnie sobie nie radził z płcią piękną. Kiedy po operacji „Święty Kamień” w londyńskim barze zaczęła go nachalnie podrywać jakaś kobieta, ze zdenerwowania wybiegł na zewnątrz i zwymiotował.

- Chyba nie wykorzystałbyś mojego podglądu do sprawdzenia, co jest w komputerze okrętowym, Maurice?

- Nawet nie wiedziałem, że coś takiego istnieje, panie Cabrillo. Po prostu podsłuchiłem jego rozmowę z Murphym.

To pasowało. Murph, zaprzyjaźniony z Erikiem, miał jeszcze mniej szczęścia do kobiet niż Stone, jeśli nie liczyć okazjonalnych spotkań z fanką rocka gotyckiego. Ale Cabrillo nie sądził, żeby dziewczyna z większą liczbą nakłuc niż poduszczeńka do szpilek, której w dodatku imponuje facet szalejący w rynnie na deskorolce, była dobrą partią. Zachichotał.

- Wiesz, co mówią, Maurice. Każda miłość jest dobra.

- Ja się na tym nie znam, panie Cabrillo.

Steward uklonił się i wycofał, kiedy do sali wszedł Max w towarzystwie Lindy Ross i Julii Huxley. Nalali sobie herbaty i nałożyli na talerze pikantne samosy. Kilka sekund później zjawili się Hali Kasim i Franklin Lincoln. Linc normalnie nie uczestniczyłby w spotkaniu, ale zastępował nieobecnego Eddiego Senga. Ostatni przyszli Eric i Murph, kłócąc się o jakąś kwestię z filmu Monty Pythona.

- Eddie się odezwał? - spytał Juan, kiedy wszyscy usiedli.

- Jeszcze nie - odparł Hali. Cabrillo spojrzał na doktor Huxley.

- Podskórny nadajnik, który mu wszczepiłam w mięśnie uda - powiedziała - sprawdził się doskonale przed waszym wyjazdem do Tokio. Ale ten typ istnieje dopiero od trzech miesięcy.

Kilku czołowych członków Korporacji, łącznie z Juanem, miało pod skórą implanty lokalizacyjne. Te urządzenia elektroniczne wielkości znaczka pocztowego czerpały energię z układu nerwowego nosiciela. Co dwanaście godzin wysyłały sygnał do satelity, który przekazywał go na „Oregona”. Ten sposób monitorowania pracowników operacyjnych w terenie uwalniał ich od konieczności noszenia pluskiew, łatwych do wykrycia i skonfiskowania.

Technologia była nowa i daleka od doskonałości, dlatego Juan nie do końca ufał lokalizatorom. Jednak w wypadku Eddiego nie było alternatywy.

Hali dodał:

- Ostatnia transmisja, jaką od niego odebraliśmy, wskazywała, że jest na obrzeżach Szanghaju, gdzieś w pobliżu nowego lotniska.

Juan przetrawił tę informację.

- Mogli zaplanować wywiezienie go samolotem? Hanley postukał cybuchem fajki w zęby.

- Rozważaliśmy taką ewentualność, ale nie pasuje do tego, co wiemy o przemytnikach. Eddie idzie śladem nielegalnych, których znaleźliśmy w kontenerze. Powinien przebyć taką samą drogę.

- Ale jeśli w pirackich napadach tracili zbyt wielu imigrantów, mogli zmienić taktykę - zauważył Eric Stone.

- Nie wiemy, ilu im zabrali piraci - odrzekł Hali. - Chińczycy na „Krze” mogli być pierwszą przechwyconą grupą.

- Albo ostatnią - odparł Eric - i teraz węzowe głowy przerzuciły się na samoloty.

- Jeśli mieli zorganizowany transport morski, nie opłaciłoby się im przerzucać na lotniczy. Potrzebowaliby całej nowej infrastruktury.

Juan pozwolił na dyskusję, ale wiedział, że nie ma odpowiedzi. Dopóki nie odezwie się nadajnik Eddiego, tkwią w próżni.

- Dobra, wystarczy - przerwał w końcu jałową debatę. - Hali, zwiększ liczbę sprawdzanych

satelitów. Może sygnał Eddiego odbiera jakaś nie nasza stacja orbitalna. Wykaż inicjatywę. Rozszerz zakres poszukiwań.

Ekspert od telekomunikacji zjeżył się.

- Sprawdzam wszystko. Moi ludzie monitorują każdego satelitę w promieniu półtora tysiąca kilometrów od Szanghaju.

- Nie wątpię w kompetencje twojego zespołu, Hali - uspokoił go Juan. - Gdyby Eddie był wewnątrz tego kręgu, namierzyliby go. Ale przypuszczam, że go tam nie ma. Rozszerz strefę poszukiwań do trzech tysięcy kilometrów wokół Szanghaju. Jeśli to nic nie da, szukaj go do skutku.

Hali zrobił kilka notatek na bloczku z logo Korporacji.

- Załatwione, szefie.

Juan milczał, dopóki zebrani nie skupili na nim uwagi.

- Co do mojego wczorajszego spotkania, to Shere Singh, jego syn Abhay i wszyscy inni powiązani z firmą Karamita Breakers Yard są na naszej liście podejrzanych. „Maus” i jego bliźniaczy pływający suchy dok należą do nich. - Spojrzał na Murphy'ego. - Masz coś o „Souri”?

Murph chwycił laptopa Erica i zmienił kilka ekranów.

- Jest. Został zbudowany w Rosji i kupiony w tym samym czasie co „Maus”, ale przez inną sieć fikcyjnych spółek. Popelnili ten sam błąd i zlecili ich założenie Rudolphowi Isphordingowi. W przeciwieństwie do „Mausa”, „Souri” nie brał jeszcze udziału w żadnej akcji ratowniczej. Nikt go nie wynajął, nikt go nawet nie widział. Figuruje w rejestrze Lloyda, ale kiedy ostatni raz mieli o nim informacje, jeszcze stał we Władywostoku i czekał, aż odbiorą go nowi właściciele.

Juan otworzył usta, żeby zadać pytanie, ale Murph go ubiegł.

- Już to sprawdziłem. Zabrano go z portu osiemnaście miesięcy temu. I nikt nie pamięta nazw holowników.

- Niech to szlag.

Linda Ross odezwała się z ustami pełnymi samosy.

- Więc przez ostatnie półtora roku Singh i spółka mogli go używać do wszystkiego, nawet jeśli nie porywali statków na pełnym morzu. Jednostka tej wielkości doskonale się nadaje do operacji przemytniczych. Zmieściliby w niej kilkaset ukradzionych samochodów. Kurczę, nawet parę dużych odrzutowców firmowych, i to bez demontowania skrzydeł. Albo parę tysięcy nielegalnych imigrantów.

Mówiła teoretycznie, ale w sali powiało chłodem, jakby chmura przesłoniła słońce i na ściany



wyłożone boazerią padł cień. Każdy wyobraził sobie wielki suchy dok zamieniony w statek z niewolnikami, pełen nieszczęśników, których czeka życie gorsze niż śmierć.

- Jezu - szepnął ktoś.

- Znajdź go, Mark - polecił Cabrillo. - Znajdź go za wszelką cenę.

- Tak jest! - odpowiedział Murph.

- Wracamy do mojej wizyty - ciągnął Juan z powagą. - Tym, którzy nie znają sprawy, wyjaśniam, że właśnie byłem w Dżakarcie, gdzie negocjowałem sprzedaż „Oregona” na złom. - Normalnie taka wiadomość wywołałaby sarkastyczne uwagi lub przynajmniej chichoty, ale teraz wszyscy byli zbyt skoncentrowani. - Tak jak powiedział Ispording, właściciele Karamity są całkowicie zdeprawowani. Do wczoraj mieliśmy tylko spekulacje, relacje z trzeciej ręki i słowo skazanego małwersanta. Teraz jestem pewien, że Singh ma powiązania z piratami i być może również z przemytnikami. Nie chciał, żebyśmy dostarczyli mu „Oregona” wcześniej niż za tydzień, bo potrzebuje czasu na pozbycie się statku ukrytego w ładowni „Mausa”, ale rzucimy kotwicę przed złomowiskiem za dwa dni. Tej nocy, kiedy pojawi się „Maus”, zdemaskujemy całą operację.

- Jaki jest plan? - zapytał Linc.

- Zebraliśmy się, żeby to przedyskutować. Naradzicie się z personelem swoich sekcji i przedstawicie scenariusze. Mark, masz już zdjęcia złomowiska?

- Z satelity komercyjnego. Pochodzą sprzed roku i wygląda na to, że ten obiekt był wtedy dopiero w budowie.

- Niech George przeleci tam parę razy helikopterem i pstryknie kilka fotek. Jeśli Robinson nie ma wystarczającego zasięgu, powiedz mu, żeby wypożyczył w Dżakarcie inną maszynę. Gdy tylko wróci, zrób dla wszystkich odbitki.

- Dobra.

- Linc, nie wiem, ilu tam jest ochroniarzy i jak są uzbrojeni, więc dopilnuj, żeby twoi ludzie mieli wszystko, co potrzeba, łącznie z ręcznymi wyrzutniami rakietowymi.

- Okej.

- Doktor Huxley?

- Wiem, wiem - odparła Julia. - Sprawdzę nasz zapas krwi i zabawię się z załogą w wampiryzę, jeśli będziemy potrzebowali więcej.

Wszyscy wstali, ale Juan jeszcze nie skończył.

- Panie i panowie, powiem jasno: ta operacja daleko wykracza poza to, do czego nas wynajęto. Narazamy się i jak dotąd, wychodzimy z tego cało. - Spojrzał znacząco na Lindę. - Ty już się spotkałaś z cyngłami Singha i znasz ich możliwości. Pieniądze, które teraz zarabiamy, są niczym w porównaniu z ryzykiem, jakie podejmiemy, wkraczając na teren złomowiska. Ledwo pokrywają koszty utrzymania naszego statku. - Zobaczył kilka szerokich uśmiechów. - Wasi podwładni dostają pensje i premie. My nie. Mamy wypłatę tylko wtedy, kiedy jest zysk. Wszyscy wstąpiliście do Korporacji w nadziei, że będziecie wykorzystywali swoje nieprzeciętne umiejętności do zarabiania pieniędzy. Obawiam się, że tym razem forsy nie będzie dużo, więc jeśli ktoś z was chce się wycofać, ma na to moją zgodę. Nikt z tego powodu nie straci pracy, nie będzie żadnych pytań ani pretensji.

Czekał na reakcję swojego starszego personelu, ale nikt się nie odezwał. Wreszcie Max odchrząknął i powiedział:

- Wszyscy mieliśmy już okazję o tym porozmawiać, odkąd zaczęliśmy śledzić „Mausa”. I doszliśmy do wniosku, że niektóre zadania są ważniejsze od pieniędzy. Moglibyśmy nawet dopłacić za szansę dorwania tych sukinsynów. Popieramy twoje działania w stu procentach.

Rozległy się pomruki aprobaty.

Cabrillo mógł się tylko uśmiechnąć z wdzięcznością do swoich ludzi.

Znów w przebraniu Jefa Smitha - tym razem na użytek przypadkowych obserwatorów na plaży - Juan opierał się o reling na skrzydle mostka „Oregona”. Stał tak już od pewnego czasu, żeby na dłoniach zostały mu ślady rdzy. Gasnąca kula słońca chowała się za górami daleko za złomowiskiem Karamita Breakers Yard. W powietrzu unosił się ciężki zapach gorącego metalu, rozpuszczalników przemysłowych i rozlanego paliwa. W drodze na północ wzdłuż wybrzeża Sumatry Juan widział czyste białe plaże i bujną dżunglę. Większość lądu pozostała w naturalnym, pierwotnym stanie, ale okolica złomowiska wyglądała, jakby trawił ją rak. Plaża zamieniła się w smoliste grzęzawisko, morze miało kolor pomyj. Z wyjątkiem nowego magazynu nad zatoką wszystkie budynki były zniszczone i pokryte czarnym kurzem.

Żurawie górujące nad terenem przenosiły stalowe płyty z wraków na plaży do ogrodzonych sektorów, gdzie brudni mężczyźni rzucali się na nie z palnikami spawalniczymi i młotami. Z punktu obserwacyjnego Juana ćwierć mili morskiej od brzegu wyglądali jak mrówki pożerające pancierz ogromnego chrząszcza.

A „Oregona” otaczała armada potępionych. Flota wraków do rozbiórki ciągnęła się niemal po horyzont. Tworzyły archipelag zardzewiałych kadłubów, opuszczonych jak udęczone dusze zmarłych czekające na wejście do piekła. Kontenerowce, tankowce i masowce przypominały Juanowi stado bydła przed rzeźnią. Opłakany stan „Oregona” był mistrzowskim kamuflażem, ale wokół stały statki naprawdę zniszczone przez słońce, powietrze, rozszalałe morze i zaniedbanie.

- Popatrz na to - powiedział Hanley, wychodząc ze sterówki. Miał na sobie poplamiony kombinezon. Olej był świeży. Główny mechanik wrócił właśnie z maszynowni. - W porównaniu z niektórymi z tych łajb stary „Oregon” wygląda jak nowy.

Po zatoce rozszedł się nagle potworny hałas i zagłuszył odpowiedź Cabrilla. Dobiegł z wnętrza wielkiego magazynu.

- Co to? - zastanawiał się Max, gdy dźwięk ucichł.

- Nowe stereo Murpha? - zażartował Juan. - Pewnie jakaś duża piła. Kiedyś o takich czytałem. Mają ostrza napędzane łańcuchem i przecinają statek jak kraljelnica bochenek chleba.

Max dał nura do sterówki i wyciągnął lornetkę z uchwytu pod stołem nawigacyjnym. Po kilku minutach wrota magazynu od strony lądu otworzyły się, ukazując małe lokomotywy dieslowskie holujące sześciometrowy fragment kadłuba. Był wdzięcznie zaokrąglony, niemal jak rzeźba, i pochodził z dziobu nieznanego statku. Żuraw samojezdny uniósł go, kiedy tylko pociąg dojechał do

końca toru. Fragment kadłuba okazał się pusty w środku. Zezłomowany statek nie miał wewnątrz pokładów, lecz ładownie. Najprawdopodobniej był masowcem lub tankowcem.

- Chyba mają foremkę do wykrawania ciasteczek w kształcie frachtowca - zauważył Max.
- Dużych ciasteczek - dodał Juan, gdy kawał stali został położony na boku, żeby robotnicy mogli go rozmontować.

Coś w tonie głosu Cabrilla zwróciło uwagę Hanleya.

- Nad czym główkujesz? - spytał.

- Wiemy, że Singh jest w to zamieszany. Ale tkwię tu od paru godzin i nic nie wygląda podejrzanie, może z wyjątkiem tego, co się dzieje w hali.

- Tam, gdzie jest piła do cięcia statków?

- Tak. - Juan popatrzył na budynek przez lornetkę, którą wziął od Maksa. - Chciałbym zajrzeć dziś w nocy do środka.

- A co z „Mausem”?

- Niedługo tu będzie. Jeśli w międzyczasie zdołamy się dowiedzieć, jaki statek tam rozbierają może coś nam to wyjaśni.

- Możliwe, że jeden z tych, które porwali piraci, zanim nas wynajęto - zgodził się Hanley. - Mogli go tutaj przywieźć w drugim suchym doku.

- Nie będziemy tego wiedzieli, dopóki nie sprawdzę, co tam jest - powiedział Cabrillo.

Max uniósł krzaczaste brwi. - Sam?

- Nie ma sensu narażać innych. Rozejrzę się i zniknę, zanim ktokolwiek zorientuje się, że tam wszedłem.

- Linda mówiła to samo, kiedy ona i jej zespół wybierali się na „Mausa”.

- Spójrz na koniec hali od strony morza.

Max wziął lornetkę i popatrzył na długi budynek.

- Czego mam szukać?

- Ta hala stoi na palach. Podejrzewam, że metalowy siding nie sięga dna, a jeśli nawet, to wrota na pewno nie. Byłby za duży opór przy ich otwieraniu i zamykaniu.

- Chcesz pod nimi przepłynąć.

- Jak będę w środku, powinienem zidentyfikować statek. Zajmie mi to najwyżej godzinę, z czego większość czasu spędzę w drodze tam i z powrotem.

Max przyjrzał się masywnemu budynkowi, oceniając szanse Juana i ryzyko.

- Weź recyrkulacyjny aparat oddechowy Draegera - doradził w momencie, gdy na brzegu rozległa się syrena, oznaczająca koniec dnia pracy.

- Nie zdradzą cię pęcherze powietrza.

Godzinę po północy Cabrillo wkładał „mokry” skafander w hangarze łodziowym w śródkręciu. Woda wokół złomowiska Karamita była ciepła jak krew, ale ochrona z cienkiego czarnego mikroprenu miała mu się przydać po dotarciu do celu. Wciągnął buty nurka na grubej podeszwie, na ławce obok niego leżały płetwy. Sprawdził draegera. W przeciwieństwie do klasycznego akwalungu, dostarczającego przy każdym oddechu świeży tlen, niemiecki aparat recyrkulacyjny działał w obiegu zamkniętym, w którym filtry oczyszczały dwutlenek węgla, kiedy nurek robił wydech, co eliminowało strumień pęcherzy powietrza, zdradzający jego pozycję.

Używanie draegera na głębokości dużo większej niż dziesięć metrów mogło być niebezpieczne, toteż Juan planował trzymać się blisko powierzchni. W płaskiej wodoszczelnej torbie przypasanej pod prawą pachą miał minikomputer, latarkę i pistolet podwójnego działania Fabrique Nationale Five-seven. Broń strzelała nową amunicją 5,7 mm. Zaletą małych nabojów było to, że w magazynku ulokowanym w chwycie pistoletu mieściło się ich dwadzieścia, plus jeden w komorze. Ponadto pociski przebijały większość kamizelek kuloodpornych, ale nie przechodziły przez cel na wylot.

Wyposażenie Juana uzupełniały nóż, przypasany do zewnętrznej strony prawego uda, i komputer do nurkowania na lewym nadgarstku.

W pobliżu kręcił się technik.

- Poprosiłem doktor Huxley, żeby zrobiła analizę próbki wody - powiedział, kiedy Juan skończył kontrolę sprzętu. - Okazało się, że morze jest tu bardziej skażone niż rzeka Cuyahoga, kiedy się zapaliła w latach sześćdziesiątych.

- Uważasz, że to zabawne? - zapytał sarkastycznie Juan. Technik wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Lepiej robić analizę tego bagna, niż w nim pływać. Do mrocznego hangaru wszedł Max.

- Jak przygotowania? - zapytał.

Towarzyszyła mu Linda Ross. Wyglądała przy nim jak chuchro.

- Świetnie. - Juan wstał. Skinął głową technikowi, który zgasił czerwone lampy bojowe.

- Eric jest za sterem - poinformował prezesa Hanley - a Mark na stanowisku ogniowym, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Linc i jego komandosi już się ubierają. Będą w pogotowiu przy zodiaku, zanim przepłyniesz połowę drogi do magazynu.

- Dobry pomysł. Ale miejmy nadzieję, że nie będą mi potrzebni. Drzwi hangaru się otworzyły. Juan zszedł po pochylni, włożył płetwy i zanurzył się w morzu. Kiedy tylko znalazł się w wodzie, przestał czuć ciężar sprzętu. Był w swoim żywiole. Tutaj mógł zapomnieć o Eddiem Sengu, piratach, przemytnikach i tysiącach problemów związanych z prowadzeniem firmy. Wydawało mu się, że na świecie nie istnieje nic poza nim i morzem.

Wyregulował pływalność, zszedł trzy metry pod powierzchnię i spojrzał na kompas w komputerze do nurkowania. Popłynął bez wysiłku przez atramentową wodę, oddychając równo i swobodnie. Po minucie przestał wyczuwać obecność „Oregona” na lewo od siebie. Minął dziób statku.

Mimo dużego ustnika aparatu Draegera miał na wargach metaliczny smak brudnej wody, zupełnie jakby ssął monetę. Dotknął skafandra. Osiadła na nim tłusta warstwa rozlanego oleju. Juan nie należał do zwariowanych zielonych, którzy przykuwają się do drzew - rozumiał, że cywilizacja musi

wywierać wpływ na środowisko naturalne - ale chciał uziemić Singha choćby dlatego, że jego działalność groziła katastrofą ekologiczną w regionie.

Obawiał się zapalić latarkę, więc musiał polegać na swoich zmysłach. Był w drodze od dwudziestu minut, pokonując łagodny odpływ, gdy usłyszał szum. Odgłos wydawała woda przelewająca się pod wrotami Wielkiego budynku. Zmienił trochę kurs, by skontrolować napór prądu, i po minucie otarł się ręką o szorstki beton. Natrafił na jeden z pali podtrzymujących halę. Okrążył ją i znalazł się dokładnie za nią. Znaczną część plaży oświetlały lampy, ale od strony morza budynek tonął w całkowitej ciemności. Cabrillo włączył latarkę do nurkowania. Czerwona soczewka dawała słabe światło, wystarczyło jednak, żeby się zorientował, gdzie jest.

Zgasił latarkę, wypłynął do góry i przebił powierzchnię, wywołując drobne fale. Wrota miały wysokość siedmiopiętrowego budynku i szerokość prawie sześćdziesięciu metrów. Do środka mogły swobodnie wpływać wszystkie statki z wyjątkiem największych transatlantyków, kontenerowców i tankowców.

Juan wrócił pod wodę. Ledwo zanurkował, trafił na dolną krawędź wrót. Przepłynął pod nimi i wynurzył się w hali przypominającej hangar. Wypluł regulator i zsunął na czoło maskę. Kiedy zaczerpnął powietrza, nozdrza poraził mu swąd przypalonego metalu.

Przez chwilę myślał, że wewnątrz magazynu jest całkiem ciemne, ciemniejsze niż bezksiężycowa noc na zewnątrz, ale uświadomił sobie, że wynurzył się pod pomostem. Kiedy wyłonił się z jego cienia, zobaczył kilka gołych żarówek pod sufitem daleko w górze. W ich świetle dostrzegł ciemny zarys statku. Popłynął wzdłuż niego. W przeciwieństwie do wraków w zatoce ta jednostka nie była zardzewiała. Kadłuba nie pokrywała narośl, lecz gładka warstwa świeżej farby, czarnej lub granatowej.

To nie była stara łajba u kresu żywota, tylko nowy, najwyżej kilkuletni statek. Juanowi skoczyło tętno.

Znalazł metalowe schody, prowadzące spod wody aż na galerię, która biegła pod sufitem wokół budynku. Zdjął oporządzenie i przywiązał pod powierzchnią. Przełożył pistolet z tłumikiem do kabury pod pachą i sprawdził, czy minikomputer nie ucierpiał w czasie podróży. Z bronią wycelowaną przed siebie ruszył wolno w górę schodów. Stawiał ostrożnie każdy krok, zanim przeniósł ciężar ciała z jednej stopy na drugą. Nie miał pojęcia, czy magazyn jest strzeżony, ale wiedział, że najłżejszy dźwięk odbije się echem w metalowym budynku, więc starał się zachować ciszę.

Schody i główny pokład statku łączyło metalowe rusztowanie. Juan zatrzymał się w cieniu, nasłuchując cichej rozmowy znudzonych ochroniarzy lub przypadkowego kasznięcia. Ale słyszał tylko plusk wody omywającej kadłub statku i od czasu do czasu szum większej fali wpływającej z zewnątrz.

Przeszedł po rusztowaniu na statek i ukrył się za jednym z kabestanów. Przesunął palcami po metalowym pokładzie. Był gładki i świeżo pomalowany, podobnie jak kadłub. Juan rozpoznał w statku mały tankowiec, używany zwykle do transportu gotowych produktów, takich jak nafta czy benzyna, nie surowej ropy. Brakowało około dwudziestu pierwszych metrów kadłuba. Część dziobowa została odcięta piłą i wyciągnięta na zewnątrz. Takie potraktowanie nowego, pięknego statku było wbrew marynarskiej naturze Juana.

Zignorował lekki zabobonny dreszcz i ruszył w kierunku czteropoziomowej nadbudowy na rufie. Robotnicy usunęli skrzydła mostka i komin, żeby tankowiec zmieścił się w hali. Juan zobaczył

otwarty właz i wszedł do środka. Zanim zapalił latarkę, upewnił się, że jest daleko od iluminatorów. Na podłodze leżało czyste linoleum, ściany pokrywała boazeria. Przesunął dłonią po przegrodzie. Zamiast trafić na tabliczkę z nazwą statku, rejestracją i innymi informacjami, wyczuł cztery dziury po śrubach. Ktoś zadał sobie trud, żeby uniemożliwić identyfikację tankowca.

Juan znalazł schody i wspiał się do sterowni. Osłaniając ręką latarkę, zauważył, że pomieszczenie ogołocoło z całej elektroniki. Radiostacja, pomoce nawigacyjne, komputer meteorologiczny - wszystko zniknęło. Puste miejsca, gdzie powinien być sprzęt, wskazywały, że ktoś miał czas na wymontowanie urządzeń. Nie powrywał przewodów i nie zostawił żadnych śladów pośpiechu.

Usunięto też wszystko, co mogłoby zdradzić nazwę statku. Juan przeszukał resztę nadbudowy. Z kambuza z nierdzewnej stali zabrano lodówki, kuchnie, nawet garnki, patelnie i inne przedmioty, a także elementy wystroju wnętrza, na których zwykle jest logo armatora i nazwa statku. Z kajut wyniesiono meblowanie, ale pozostały w nich oznaki niedawnej obecności lokatorów. W jednej unosiła się woń cygar, w łazience innej - zapach płynu po goleniu.

Przeszedł do maszynowni.

Większość przestrzeni zajmowały dwa diesle, każdy wielkości autobusu. Biegły do nich kilometry kabli, przewodów i rur. Juan obejrzał uważnie oba silniki i zaklął, kiedy zobaczył, że ktoś oderwał tabliczki znamionowe i spiłował wybite na blokach numery seryjne. Zamiast nich lśnił teraz srebrzyście gładki metal.

Schowwał pistolet do kabury i rozpoczął dokładniejsze poszukiwania. Szło mu to mozolnie, bo pomieszczenie było rozległe, a snop światła latarki słaby. I gdziekolwiek go kierował, widział głównie cienie. Ale nie rezygnował. Położył się na podłodze i wcisnął pod skraplacz słodkiej wody, by się przekonać, że z urządzenia zerwano naklejkę producenta. Zajrzał w każdy zakamarek, ale nic nie znalazł.

Pomyślał, że ludzie Singha wiedzieli, co robią. Potem dostrzegł pod prawym silnikiem kałużę zgęstniałego oleju. Dotarcie tam było prawie niewykonalne, dlatego chciał to zignorować, ale tak samo mogli rozumować ci, którzy starali się uniemożliwić identyfikację statku.

Wyginając ciało jak człowiek guma, wpełzł pod zimnego diesla. Przestrzeń była ciasna, mocowania silnika zajmowały tyle miejsca, że ledwo mógł oddychać. W dodatku zawadził ręką o jakiś niewidoczny przewód i musiał wyssać krew z trzech skaleczonych knykci. Kiedy dotarł do celu, zaczął usuwać dłonią smolistą maź. Nagle wyczuł palcami wystającą lekko metalową tabliczkę. Jedną przeoczyli!

Po kilku minutach ścierania z niej oleju zdołał odczytać, że silnik zbudował koncern Mitsubishi Heavy Industries. Poniżej widniał piętnastocyfrowy numer. Juan wrył go sobie w pamięć i wyczołgał się spod diesla. Wyjął i włączył komputer, żeby wprowadzić do niego numer.

Hiroshi Katsui dostarczył im mnóstwo informacji o statkach zaginionych na Morzu Japońskim: dossier członków wszystkich załóg, łącznie ze zdjęciami, oraz numery seryjne tuzinów głównych podzespołów każdego statku. Gdyby piraci nie zabrali z kambuza kuchni, Juan porównałby jej numer z tym w bazie danych i ustalił, na którym statku została zainstalowana.

Wpisał rysikiem piętnaście cyfr, wybrał ikonę silników i wcisnął klawisz „Szukaj”.

Kiedy wyświetliła się nazwa statku, dosłownie opadła mu szczeka.

- Wykołowali nas - mruknął.

- Oględnie powiedziane, kapitanie - usłyszał znajomy głos i poczuł z tyłu głowy lufę pistoletu.

Sekundę później w jednym z kilku wejść do maszynowni rozległy się męskie głosy i pojawiły snopy światła kilku latarek.

## 19

Minęło zbyt wiele czasu, odkąd Eddie Seng jako student pierwszego roku Uniwersytetu Nowojorskiego chodził na zajęcia z literatury, by teraz mógł pamiętać, ile kręgów Piekła opisał Dante w Boskiej komedii. Był jednak pewien, że odkrył jeden więcej, niż wyobrażał sobie średniowieczny włoski poeta.

Gdy tylko ich samolot wylądował po sześciogodzinnym locie, Eddiego i innych nielegalnych zapędzono do kontenera. Seng zorientował się po ruchach niewentylowanej stalowej skrzyni, że dojechali ciężarówką do portu i zostali załadowani na statek. Rejs trwał dziesięć godzin. Jediną wskazówką co do ich lokalizacji była niższa temperatura. Biorąc pod uwagę pogodę i przyjmując, że przez sześć godzin lecieli z prędkością około pięciuset węzłów, Eddie przypuszczał, że są w granicach półokręgu obejmującego północną Mongolię, południową Syberię i wybrzeże Rosji. A ponieważ wiedział, że w głębi lądu nie ma tak dużych jezior, by podróż statkiem mogła zająć dziesięć godzin, domyślał się, że jest gdzieś na Kamczatce lub na wybrzeżu Morza Ochockiego.

Kontener wylądowano i opuszczono na ziemię tak twardo, że ludzie w środku upadli. Po chwili drzwi się otworzyły i Eddie po raz pierwszy spojrzał na piekło.

W oddali wznosiły się ciemne góry. Ich wyższe partie przesłaniała jakaś sadza, więc poszarpane szczyty zamazywały się. Musiał zamrużyć, żeby je wyraźnie zobaczyć. Stał na kamienistej plaży zalewanej przez wodę. Wśród drobnych otoczków leżały gązdy wielkość kuli do kręgli.

Kamienie grzechotały przy każdej fali przyboju. Ciemnoszary ocean wyglądał groźnie. Kojarzył się Eddiemu z ciszą przed burzą.

Ale nie te szczegóły wprawiły go w odrętwienie, lecz widok ludzkiego nieszczęścia na wzgórzu wyrastającym z morza. Scena przypominała Holocaust. Wychudzone postacie, tak brudne, że trudno było rozpoznać, czy są ubrane, uwijały się na zboczu; cała przestrzeń wydawała się poruszać jak wzdęta padlina pożerana przez robaki. Stan tych ludzi pozbawiał ich człowieczeństwa.

Na pochyłości pracowało co najmniej dwa tysiące robotników.

Jedni wspinali się po zboczu z pustymi wiadrami, inni schodzili chwiejnie w dół z pełnymi. Na płaskim terenie w trzech czwartych drogi na górę kopacze napełniali wiadra gliną. Wszyscy poruszali się jak automaty, jakby ich ciała nie mogły już robić nic innego poza załadunkiem i wylądunkiem. Wyżej na zboczu inni obsługiwali armatki wodne. Działka zasilały węże wijące się do ziemnego zbiornika retencyjnego, do którego wpadał potok lodowcowy spływający z odległych gór. Wodę wtlaczała do szlauchów siła grawitacji, toteż z armatek tryskały półkoliste strumienie, którymi robotnicy polewali skarpe, wypłukując kolejne warstwy ziemi.

Nadmiar wody z działek spływał po zboczu, gdzie tworzyło się grzęzawisko, zdradliwe jak ruchome piaski. Na oczach osłupiałego Eddiego z góry runęła nagle błotna lawina. Kto nie zdążył uciec, został przez nią porwany i stoczył się w dół. Niektórzy szybko się podnieśli. Inni wolno. A

jeden wcale. Po chwili był pogrzebany żywcem.

Nikt nie przerwał pracy.

Nad terenem robót rozciągały się hektary siatki maskującej, przymocowanej do drewnianych słupów. Kamuflaż miał takie same szare, czarne i brązowe barwy, jak krajobraz wokół, więc miejsce było zupełnie niewidoczne z powietrza.

Blisko plaży, gdzie stał Eddie i jego grupa, robotnicy o udreńczonych twarzach wrzucali zawartość swoich wiader do rzędu mechanicznych płuczek. Urządzenia niewiele się różniły od tych, które wymyślono ponad sto lat temu. Gлина była zmywana z długiego stołu przez łagodne kołysanie. Przegrody na dnie koryta zatrzymywały i oddzielały cięższy materiał od lżejszego. Odpady docierały do krańca skrzyni i w końcu trafiały do oceanu, gdzie rozprzestrzeniały się jako brązowa plama. Zgromadzoną rudę czyszczono i zabierano do dalszej rafinacji.

Brygada robotników z wiadrami tworzyła ludzki łańcuch między stołami i dwupiętrowym budynkiem niedaleko plaży. Wiadra z rudą wędrowały z rąk do rąk od płuczek w kierunku przetwórnicy, jak przypuszczał Eddie. Przypominało to falisty ruch ogromnej glisty. Eddie zobaczył, że budynek jest ulokowany na płaskiej barce pełnomorskiej, którą można łatwo odholować z tego miejsca. Z niskiego komina obok przetwórnicy unosił się biały dym, co wskazywało, że do otrzymania produktu finalnego potrzebne jest ciepło.

Rozległego terenu pilnowali uzbrojeni strażnicy, ubrani odpowiednio do pogody w grube spodnie i kurtki oraz gumki dla ochrony przez wszechobecnym błotem. Większość nosiła rękawice. Każdy miał kałasznikowa na ramieniu i pałkę lub krótki bicz. Na wzgórzu było ich niewielu, więcej stało bliżej budynku, gdzie kończył się proces wydobywczy. Każdej z dwunastu płuczek strzegło czterech ludzi, na dziesięciu członków brygady z wiadrami przypadał jeden strażnik, przynaglający ich świstem bicia do pracy.

Wyglądało na to, że wszyscy robotnicy są Chińczykami. Ogrodzenie z drutu kolczastego uniemożliwiałoby im wchodzenie za budynek, gdzie parkował pojazd gaśnicowy, podobny do transportera arktycznego. Mógł dojechać bezpośrednio do statku wycieczkowego, zagrzebanego częściowo w ziemi dalej w dole wybrzeża.

Po stronie ogrodzenia przeznaczonych dla robotników też stały statki wycieczkowe, wyciągnięte na brzeg, małe i tak skorodowane, że chyba tylko cudem tu dopłynęły. One również były obłożone tłuczniem i miały pokłady zamaskowane siatką dla zniekształcenia konturów.

Eddie domyślił się, że to kwatery robotników.

Natychmiast poprawił się w duchu, że to nie robotnicy, lecz niewolnicy, zmuszani do pracy w najgorszych warunkach, jakie można sobie wyobrazić.

Tylko kilka rzeczy na świecie mogło być powodem takiej nienasyconej chciwości; instynkt podpowiadał Eddiemu, że wydobywa się tu złoto.

Wprawdzie dość dawno miał na studiach zajęcia z geologii, ale pamiętał z nich dość, by rozpoznać, że ktoś odkrył na wzgórzu żyłę złota. Armatki wodne wykorzystywały ciśnienie hydrokinetyczne do kruszenia ziemi, która wędrowała do płuczek. Potem koncentrat trafiał do wirówek, gdzie następowało dalsze oddzielenie lżejszych odpadów. W ostatniej fazie procesu to, co zostawało na dnie wirówek, wrzucano do rtęci, jedynej substancji, która przyciąga cenny metal. Po związaniu mikrocząsteczek złota kula rtęci była wygotowywana i otrzymywano czysty, roztopiony kruszec.

W najnowocześniejszych hutach opary rtęci wychwytywano, skraplano i wykorzystywano



ponownie w obiegu zamkniętym, by robotnicy nie mieli kontaktu z zabójczym metalem. Sądząc po opłakanym stanie mężczyzn pracujących na wzgórzu, nieszczęśnicy w tutejszej rafinerii wdychali niezliczone ilości jednej z najniebezpieczniejszych toksyn na świecie.

Kilka sekund obserwacji tej zbrodniczej działalności było dla Eddiego ostatnią chwilą oddechu od brutalności jego porywaczy. Jemu i innym nielegalnym, którzy wyruszyli z Szanghaju, kazano stanąć w szeregu. Indonezyjski strażnik zapiął mu na szyi mały łańcuch. Zwisiała z niego tabliczka z numerem identyfikacyjnym. Inny strażnik zapisał numer w notesie i grupę zaprowadzono na jeden ze statków wycieczkowych. Przydzielono im nieogrzewane kajuty. Statek nigdy nie należał do luksusowych, ale teraz w kabinach stały piętrowe łóżka, tak że każde dwuosobowe pomieszczenie zajmowało dziesięciu mężczyzn. Odór wskazywał, że kanalizacja już nie działa, i nawet tak głęboko pod pokładem Eddie widział obłoczki pary własnego oddechu. Na każdym wyrku leżał pojedynczy ubłocony koc, materace były wilgotne i pleśniały. Robotnicy nie mieli się gdzie wysuszyć, więc po pracy padali po prostu na łóżka mokrzy i brudni.

Strażnik popchnął Eddiego naprzód. Jemu i innym pokazano, gdzie będą dostawali posiłki. Pomieszczenie było kiedyś główną jadalnią statku. Całe umeblowanie dawno zniknęło, ściany ogołococono z ozdób. Robotnicy musieli siedzieć bezpośrednio na stalowej podłodze. Grupie kazano ustawić się w szeregu. Wszyscy wzięli ze stosu brudne metalowe miski. Chińczyk z ręką na temblaku wrzucał do nich wolną dłonią garście ryżu. Obok niego inny niepełnosprawny robotnik nalewał chochlą szarawo-różową breję z wielkiego kotła.

Chłodny posiłek ledwo nadawał się do jedzenia. Eddie dowiedział się później, że zarządcy kopalni wysyłają w morze dwa kutry rybackie. Wszystko, co złapało się w ich sieci, trafiało do ogromnej szatkownicy, która rozrywała większe kawałki, a potem było rozwadniane.

Pięć minut po tym, jak znaleźli na podłodze miejsca, by usiąść i wmusić w siebie ohydny kleik, strażnik odbezpieczył broń i krzyknął:

- Wstawać!

Wiedząc, że musi mieć siłę, Eddie wepchnął do ust resztki z miski i połknął obrzydliwą pastę razem z własną żołącią. W gardło zadrapały go kawałki rybiej łuski.

- Dostaliście żarcie teraz, bo dopiero przyjechaliście - wyjaśnił strażnik. - Odtąd będziecie jedli tylko po pracy.

Mężczyzn znów wyprowadzono na zewnątrz. Eddie po raz pierwszy poczuł, że jest wiatr. Morska bryza przenikała przez jego ubranie do kości. Przynosiła też drobiny popiołu - wulkanicznego, jak się domyślał - co potwierdzało jego przypuszczenia, że jest na Kamczatce. Kazano im wejść z wiadrami na zbocze wzgórza. Gdy Eddie rozpoczął pierwszą ze stu, jak się potem okazało, morderczych wspinaczek tego dnia, klepnął się w umięśnioną część uda, gdzie doktor Huxley wszczepiła mu nadajnik naprowadzający.

Był daleko od „Oregona”, ale wiedział, że nie jest sam. Za dzień, najwyżej dwa, zjawi się tu zespół wysłany przez Juana i ten koszmar się skończy, zanim naprawdę się zacznie.

W nocy Eddie miał okazję porozmawiać z mężczyznami przydzielonymi do jego kajuty. Nie było prądu, więc wykończeni robotnicy szeptali w ciemności. Wszyscy opowiadali podobne historie o

tym, jak zostali przemyceni w kontenerach z Chin jako nielegalni imigranci. Zapłacili wężowym głowom za podróż do Japonii, ale wylądowali tutaj.

- Jak długo tu jesteście? - zapytał Eddie.

- Całą wieczność - odrzekł ze swojego wyrka jakiś bezcielesny głos.

- Pytam poważnie.

- Cztery miesiące - powiedział ten sam mężczyzna i poruszył się w ciemności, żeby znaleźć mniej wilgotne miejsce na materacu. - Ale kopalnia działa dużo dłużej. Może kilka lat.

- Czy ktoś próbował uciec?

- Dokąd? - odezwał się ktoś inny. - Wpław nie da rady. Woda jest za zimna. A kutry rybackie są dobrze pilnowane po powrocie z morza. I stoją w porcie tylko tyle czasu, żeby wylądować sieci. Widziałeś góry. Nawet gdybyś ominął strażników, co jeszcze nikomu się nie udało, nie przeżyłbyś tam jednego dnia.

- Jesteśmy ich niewolnikami - dodał trzeci mężczyzna. - Od chwili kiedy powiedzieliśmy, że chcemy wyjechać z Chin. Co za różnica, czy zaharujemy się na śmierć tutaj, w fabryce tekstyliów w kraju czy w zakładzie wydobywającym siłę roboczą w Nowym Jorku? Taki los przeznaczili dla nas bogowie, dla wszystkich chińskich chłopów. Pracujemy, a potem umieramy. Jestem tu dziesięć miesięcy. Nikogo z poprzednich lokatorów tej kajuty już nie ma. Nie myśl o ucieczce, przyjacielu. Stąd jest tylko jedno wyjście - śmierć.

Eddie wahał się, czy im zdradzić, kim naprawdę jest. Z tego, co widział, kiedy mężczyźni wchodzili do kajuty, byli w strasznym stanie, więc wątpił, żeby nadzorcy kopalni umieścili wśród robotników jakichś informatorów. Nie mógł jednak wykluczyć, że któryś z nich wydałby go za dodatkową porcję jedzenia lub suchy koc. Chciał dać tym biedakom odrobinę nadziei, ale kłóciło się to z jego wyszkoleniem i wieloletnim doświadczeniem. Bolały go wszystkie stawy i wreszcie poddał się zmęczeniu. Dwóch z jego współlokatorów kaszlało suchotniczo przez całą noc. Zapalenie płuc albo gorzej. Pomyślał, że samo życie w tych strasznych warunkach i nędzne jedzenie powodują choroby.

Trzeciego dnia morderczej harówki zmarznięty i przemoczony Eddie zaczął sobie zdawać sprawę, że może długo czekać na ratunek. Juan na pewno mógłby wysłać kogoś samolotem do Rosji, gdzie wypożycziliby helikopter i przynajmniej przelecieli nad tym terenem. Ale nie pojawił się żaden śmigłowiec i Eddie nadal pracował razem z innymi. Znosili bezmyślnie glinę ze zbocza niczym mrówki, które kierują się tylko instynktem.

Stracił już buty i przy każdym głębszym oddechu rzeziło mu lekko w płucach. Zaczął w dużo lepszej kondycji niż inni, ale jego organizm był przyzwyczajony do regularnego jedzenia i odpoczynku, natomiast chińscy chłopcy całe życie głodowali i tylko ciężko pracowali. Dwaj z jego kajuty już nie żyli. Jeden zginął pod lawiną, drugi został tak mocno pobity przez strażnika, że zmarł, krwawiąc z uszu i okolic oczu.

Piątego dnia, kiedy plecy piekły go od brutalnej chłosty, której niczym nie sprowokował, Seng uświadomił sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, że nadajnik w jego nodze zawiódł, i po drugie, że umrze na tym odludnym wybrzeżu.

Szóstego dnia rano, gdy robotników wyprowadzano na dwór w chłód przedświt, w zatoce pojawił się wielki statek. Eddie przystanął na pochylni prowadzącej na plażę i rozpoznał pływający

suchy dok, ale wziął go mylnie za „Mausa”, nie za jego bliźniaczą jednostkę. Mimo dużej odległości z olbrzyma o czarnym kadłubie docierał na ląd potworny smród. Wokół otwartych furt krążyły stada mew i porywały ludzkie odchody wypuszczane za zewnątrz.

Kiedy strażnik popchnął go naprzód szturchnięciem pałki w nerki, Seng zorientował się, że to statek z nowymi robotnikami, mającymi zastąpić tych, którzy zmarli lub nie mogą wstać z łóżek bez względu na to, jak mocno są bici. Zastanawiał się, ilu ludzi już zginęło tylko po to, by ich miejsce zajęli następni pełni nadziei imigranci, myśląc, że kupili sobie jedyną szansę na wolność.

- Tak mnie tu przywieźli - odezwał się Tang, jeden z jego współlokatorów, gdy wspinali się na zbocze. To on pierwszej nocy powiedział, że jest tu już cztery miesiące. Był chudy jak patyk i Eddie widział wyraźnie przez - jego podartą koszulę wystający mostek i żebra. Miał dwadzieścia siedem lat, ale wyglądał na sześćdziesiąt. - Załadowali nas na stary statek, a potem wprowadzili go do środka większego, takiego jak tamten. Podróż była jeszcze gorsza od pracy, do której nas tu zmuszają.

Zanim napełnili wiadra, żeby zanieść glinę na dół, z ładowni suchego doku wyłonił się zardzewiały statek. Robotnicy zrzucali z jego pokładu jakieś toboły.

- Ciała - wyjaśnił Tang. - Mnie też zmuszono do tej roboty. Kazano nam pozbyć się zwłok tych, co nie przeżyli podróży.

- Ilu?

- Stu, może więcej. Sam musiałem wyrzucić za burtę ciała moich dwóch kuzynów i najlepszego przyjaciela.

Tang nie zwolnił kroku, ale Eddie wiedział, że prześladowuje go to wspomnienie.

- Więc wciągną ten statek na brzeg i zakwaterują na nim nowych robotników?

- Najpierw obłożą go dookoła kamieniami i przykryją siatką żeby nie był widoczny z powietrza.

- A z wody? To wszystko jest odsłonięte od strony morza. Tang pokręcił głową.

- Odkąd tu jestem, nie widziałem żadnego przepływającego tędy statku, poza tymi dwoma kutrami rybackimi. Chyba jesteśmy za daleko od szlaków morskich.

Właśnie doszli do płuczek, gdy Eddie upadł nagle na plecy, jakby ktoś wyszarpnął spod niego dywan. Rozejrzał się oszołomiony i zobaczył, że setki innych też leżą. Wtedy poczuł drżenie gruntu.

Kiedy sobie uświadomił, że to trzęsienie ziemi, drżenie ustało, ale basowe dudnienie trwało nadal jak odległy grzmot.

Podniósł się i oczyścił trochę z błota obszarpane ubranie. Jego uwagę, a po chwili wszystkich w kopalni, przykuła środkowa góra, dominująca nad terenem robót. Z jej szczytu wydobywała się para i czarny popiół. Tworzyły rosnącą chmurę, która wkrótce miała przesłonić słońce. Niebo nad górą przecinały błyskawice niczym ognie świętego Elma.

Drzwi separatorni otworzyły się gwałtownie i wypadł z nich jakiś mężczyzna. W biegu zerwał z twarzy maskę gazową. Był pierwszym białym, jakiego Eddie tu zobaczył.

- To Jan Paulus - szepnął Tang, kiedy mężczyzna skierował się w ich stronę. - Nadzorca.

Paulus był barczysty, miał ogorzałą twarz i dłonie wielkie jak kowadła. Zatrzymał się kilka

kroków od Eddiego i Tanga i popatrzył na czynny teraz wulkan górujący nad zatoką. Przyglądał mu się tylko przez moment, po czym wyciągnął niezgrabny telefon satelitarny z futerału przy pasie. Wysunął antenę, zczekał na sygnał i wybrał numer.

- Anton, tu Paulus - powiedział po angielsku, ale z holenderskim lub afrykanerskim akcentem. Słuchał przez chwilę. - Nie dziwię się, że poczułeś to w Petropawłowsku. Potrzęsęło nami jak cholera. Aż tak jeszcze nigdy nie było, ale nie dlatego dzwonię. Wulkan nad terenem robót jest czynny. - Urwał. - Bo rozmawialiśmy o takiej ewentualności sto razy, a teraz patrzę na cholernie wielką chmurę popiołu i pary, stąd wiem. Jeśli to gówna naprawdę wybuchnie, będziemy skończeni.

Jakby dla podkreślenia jego słów, ziemia znów zadrżała od łagodnego wstrząsu następczego.

- To też poczułeś, Sawicz? - zapytał sarkastycznie Paulus. Milczał przez moment. - Twoje zapewnienia nic nie znaczą. To ja nadstawiam tutaj dupę, a ty siedzisz sobie w hotelowej saunie trzysta kilometrów stąd.

- Rozejrzał się, kiedy słuchał odpowiedzi. Eddie szybko zanurzył wiadro w płuczce. Miał nadzieję, że brygadzysta nie zauważył, iż podsłuchiwał.

- Tak, „Souri” właśnie przyplłynął. Wyładowują teraz ostatni transport Chińczyków z kolejnej zardzewiałej łajby Shere’a Singha. Jak tylko skończą, załaduję pierwszą partię towaru, tak jak mówiłem w zeszłym tygodniu.

Paulus zerknął gniewnie na Eddiego. Seng nie miał wyboru, musiał odejść, ale podsłuchiwał, dokąd mógł.

- Właśnie skończyliśmy kolejny wytop z rtęcią, więc to dobry moment, żeby pomyśleć o odholowaniu przetwórci od brzegu przynajmniej do czasu, aż będziemy wiedzieli, co się dzieje z wulkanem. Masz takie wpływy, że możesz powstrzymać swoich rodaków od wysłania tutaj naukowców, żeby się temu przyjrzel, ale jest jasne jak cholera, że nie powstrzymasz wybuchu tej góry. Mógłbyś wsiąść w helikopter i zerknąć na nią. Na razie zamierzam ułożyć plan ewakuacji. - Podniósł głos, jakby zanikała łączność. - Co? A kogo oni obchodzą? Możemy wsadzić strażników na „Souri”, Singh może nam przysłać więcej statków, a co roku z kraju chce uciec milion Chińczyków. Mnóstwo z nich da się zastąpić... Co z tego, że stracimy miesiąc czy dwa, skoro mamy już wystarczająco dużo surowca, żeby dać mennicy zajęcie przynajmniej na taki sam okres czasu... Dobra, do zobaczenia za parę godzin.

Tang szedł z przodu. Wspinał się pod górę miarowym krokiem zwierzęcia pociągowego. Eddie nie próbował go dogonić. Obserwował rosnącą chmurę popiołu w powietrzu i przetrawiał to, co usłyszał. Zarządca mówił, że chce ewakuować swoich ludzi i strażników, ale wyglądało na to, że potrzebuje zgody jakiegoś Antona, który ma takie wpływy, że może nie dopuścić do wizyty rosyjskich wulkanologów w tym rejonie. Paulus argumentował, że teraz jest doskonały moment. Suchy dok i jego potężne holowniki są gotowe do drogi. Z rozmowy wynikało, że zgromadzili już pokaźną ilość złota, przeznaczonego na monety. Separatornię, zapewne najważniejsze i najdroższe urządzenie, mogli odholować w bezpieczne miejsce. Statki stojące na brzegu i służące za kwatery miały tylko

wartość złomu i wyglądało na to, że ci ludzie mogą dostać następne. Pozostawiali robotnicy ale - jak powiedział Paulus - przy milionie nielegalnych chińskich imigrantów rocznie łatwo byłoby zastąpić jednych niewolników nowymi.

Eddie rozumiał tę pokrętną logikę. Jediną cenną rzeczą, jaką naprawdę mogli stracić, był czas.

Nastąpił kolejny wstrząs. Eddie wiedział, że istnieje realne niebezpieczeństwo erupcji. Wyobraził sobie taki kataklizm, jak eksplozja, która zrównała z ziemią kilkaset kilometrów kwadratowych terenu wokół wulkanu Saint Helens. Nie było mowy, żeby on czy ktokolwiek inny pozostawiony na tej plaży zdołał uciec przed takim wybuchem. W ciągu ostatnich kilku dni pogodził się z tym, że przepracuje tu tygodnie lub nawet miesiące, zanim Juan go znajdzie, jednak nie wątpił, że w końcu zostanie uratowany. Korporacja nie zapomniała o swoich ludziach.

Ale Paulus i Sawicz wciąż mieli coś, czego Eddie Seng już nie miał: czas.

## 20

Juanowi mimo woli przyszło na myśl pytanie: Dlaczego ze wszystkich maszynowni na wszystkich statkach świata musiała wybrać akurat moją?

Niewidoczna napastniczka odsunęła pistolet od jego głowy w tym samym momencie, kiedy wyłączył komputer i latarkę.

- Masz gogle noktowizyjne? - szepnął jej do ucha.

- Tak - padła cicha odpowiedź.

- Prowadź. - Cabrillo wziął ją za rękę. Mimo skórzanych rękawic wyczuł, że dłoń jest szczupła i delikatna.

Latarki zbliżających się mężczyzn dawały dość światła, by Juan mógł uniknąć kontuzji kolana lub głowy w gąszczu rur, ale za słabo widział, żeby się zorientować, czy idą w dobrym kierunku. Musiał po prostu zaufać osobie, która chwilę wcześniej celowała mu w głowę z pistoletu.

Był na statku prawie czterdzieści minut, więc uważał, że nie wykryto jego obecności, co oznaczało, że ochroniarzy ściągnęła jego towarzyszka. Najmądrzej byłoby się z nią rozstać, dotrzeć do burty tankowca i popłynąć z powrotem do „Oregona”. Ale wtedy zbyt wiele pytań pozostałoby bez odpowiedzi. Na razie tkwili w tym oboje.

Doszli do włazu, który prowadził do pomieszczenia z urządzeniami sterowniczymi. Gdy tylko przestąpili próg i skręcili w korytarz techniczny, Juan przestał słyszeć odgłosy pościgu.

- Skąd jesteś? - zapytał, kiedy posuwali się cicho w kierunku dziobu. - Z MI6? - Wymienił skrótową nazwę brytyjskiego odpowiednika CIA.

Jego pytanie pozostało bez odpowiedzi. - Z Królewskiej Marynarki Wojennej?

- Nie - odrzekła Victoria Ballinger. - Jestem terenową śledczą z londyńskiego Lloyd'a. Tropię oszustwa ubezpieczeniowe.

Jeśli Lloyd musiał wypłacać odszkodowania za statki porywane przez piratów na Morzu

Japońskim, to nic dziwnego, że polecił komuś zbadać tę sprawę. Na pokładzie „Avalona” był prawdopodobnie cały zespół, który miał odeprzeć napastników i dowiedzieć się, kto stoi za atakami.

Niestety za nisko ocenili spryt przeciwników i w rezultacie ocalała tylko Tory.

- A ty? - spytała. - Nadal będziesz twierdził, że jesteś kapitanem trampa wyposażonego w sprzęt do szukania ryb i kilka akwalungów, który potrafi znaleźć się we właściwym miejscu o właściwej porze?

- Porozmawiamy o tym, jak się stąd wydostaniemy - uciął Cabrillo. Nie był zachwycony jej obecnością ani implikacjami tego, co odkrył tuż przed tym, zanim się zjawiała. Później będzie czas na wzajemne oskarżenia. Najpierw musieli wrócić na „Oregona”.

Zaryzykował włączenie latarki, ale przyciemnił ją tak, że dawała tyle światła, ile gasnąca świeca. Tory zdjęła gogle noktowizyjne i schowała do torby na ramieniu. Musiała znów upchnąć długie czarne włosy pod wełnianą czapkę marynarską. Juan spojrzał na nią. W jej niebieskich oczach był spokój, zdecydowanie i ani śladu strachu. Nie miał pojęcia, jakie szkolenie przeszła, ale sądząc po jej zachowaniu na tonącym „Avalonie” i opanowaniu tutaj, była przygotowana na wszystko.

Korytarz kończył się drabinką prowadzącą w górę do włazu.

- Przypuszczam, kapitanie, że masz jakiś plan.

- Mój plan nie zakładał spotkania z tobą i typami, którzy najwyraźniej cię szukają. Chcę ominąć tych facetów i wrócić bez strzelaniny do miejsca w hali, gdzie zostawiłem recyrkulacyjny aparat oddechowy Draegera. Umiesz nurkować? - Tory przytaknęła. - Więc popłyniemy do mojego statku.

- Nie ruszę się stąd, dopóki się nie dowiem, co to za tankowiec. Cabrillo zauważył, że uniosła podbródek. Nie żartowała. - Nazywa się „Toya Mara” i nie powinien tu być. Porwano go, gdy piraci atakowali „Avalona”. Tamten wielki statek, który zapamiętałaś, to był pływający suchy dok o nazwie „Maus”. Ukryli ten tankowiec w jego wnętrzu i przyholowali tutaj. Dodam, że prawie przez cały czas śledzili ich moi ludzie.

- Więc dlaczego nie powinien tu być?

- Bo „Maus” jest jeszcze kilka dni drogi stąd. Wyraz jej pięknej twarzy wskazywał, że się pogubiła.

- Nie rozumiem.

Irytacja Juana rosła. Musieli się stąd wynosić, a Tory zamierzała grać w dwadzieścia pytań. Ale tak naprawdę był zły bardziej na siebie niż na nią. Jak wszystkich zaangażowanych w tę sprawę, jego też zaskoczyła przebiegłość piratów.

- Zorientowali się, że mają ogon, i czekali na okazję, żeby wyładować „Mara”. Nadarzyła się, kiedy musiałem odwołać „Oregona” na jeden dzień w pobliżu Tajwanu. Wsadzili na ten statek załogę i wysłali go tutaj. Przyplłynął tu, podczas gdy moi ludzie śledzili suchy dok obciążony balastem. Sądząc po tym, co zostało z tego tankowca, muszą go rozmontowywać od kilku dni. - Dotknął jej ramienia. - Wszystko ci opowiem, ale później. Musimy iść.

Nie czekając na odpowiedź, wetknął pistolet do kabury i wspiął się po drabince. Mechanizm

ryglujący włazu wydał odgłos protestu, kiedy Juan odszczelnił zamknięcie, ale koło obróciło się lekko. Uniósł pokrywę, wycelował przed siebie broń i wystawił głowę na następny poziom. Wokół panowała ciemność i cisza. Podciągnął się przez otwór do góry i zaczekał na Tory. Gdy do niego dołączyła, znów zaryzykował użycie latarki.

Rozpoznał główne pomieszczenie do obsługi balastu. Stąd załoga mogła go przepompowywać z jednego zbiornika do drugiego, żeby wytrzymować statek. Juan zastanawiał się przez chwilę, czy nie poszukać zaworu w kadłubie, służącego do wpuszczania wody morskiej jako obciążenia statku, ale zlokalizowanie i otwarcie włazu inspekcyjnego zajęłoby za dużo czasu. Poza tym trafiłby na ciężką siatkę chroniącą pompy przed zassaniem dużych ryb lub wodorostów podczas pobierania wody.

Teraz, kiedy już wiedział, gdzie jest, włączył swój minikomputer i wyświetlił plany „Toya Mara”. Na maleńkim ekranie niełatwo było się w nich rozeznąć, więc znalezienie drogi ucieczki zajęło mu kilka minut.

- Mam - oznajmił w końcu. - Trzymaj się z tyłu blisko mnie.

- Jesteś taki rycerski, kapitanie?

- Po prostu praktyczny Mam na sobie opancerzenie osobiste, a ty raczej nie. Chyba że przez dwa tygodnie zrzuciłaś dziesięć kilo.

Posłała mu zuchwały uśmiezek.

- Zgadłeś. Prowadź.

Cabrillo wyjrzał na korytarz i wysunął się na zewnątrz. Przy braku jakiegokolwiek światła do wzmocnienia gogle noktowizyjne Tory były bezużyteczne. Juan musiał polegać na latarce i mieć nadzieję, że ochroniarze zdradzą swoją obecność, zanim zauważą blask.

Na końcu korytarza natrafili na strome schody. W połowie wspinaczki Juan usłyszał głosy i zobaczył w górze światło. Cofnął się bez odwracania i wyczuł Tory tuż za sobą. U dołu schodów dostrzegł dwóch przechodzących mężczyzn z karabinami szturmowymi. Kiedy głosy ucichły, on i Tory odczekali pełne trzy minuty, zanim znów zaczęli się wspinać.

Weszli na poziom tuż pod głównym pokładem. Juan zamierzał po wyjściu na zewnątrz po prostu skoczyć za burtę i odszukać aparat oddechowy. Ludzie Shere'a Singha nie zauważyliby go w ciemności.

W głębi korytarza rozległ się charakterystyczny trzask zamka broni i wokół rozbłysły światła. Cabrillo pchnął Tory na pokład i nacisnął spust, zanim znalazł cel. Strzelał na ślepo, żeby wywołać jak największe zamieszanie. Przez pierwsze sekundy nie przejmował się rykoszetami. Ważne było tylko to, żeby wydostać się z zasadzki. Tory też otworzyła ogień ze swojej „dziewiątki”. W ciasnym metalowym wnętrzu statku jej pistolet bez tłumika hałasował jak armata w porównaniu z dobrze wyciszoną bronią Juana.

Cabrillo chciał wrócić po schodach na dół, ale kiedy wychylił się za podest, z poziomu poniżej nadleciała seria. Pociski przeszły tak blisko, że poczuł ich ciepło. Miał wrażenie, że błysk z lufy eksplodował mu prosto w twarz.

Strzelił w ciemno do przeciwnika na dole i przeczołgał się za róg korytarza. Kiedy zniknął atakującym z oczu, wciągnął Tory za osłonę, Jakimś cudem nie został trafiony i teraz przestał się

troszczyć o Angielkę.

Rzucił z za rogu swój minikomputer. Natychmiast zaterkotała broń automatyczna. To dobrze. Ochroniarze byli nerwowi. Wystawił rękę z pistoletem na korytarz i trzykrotnie nacisnął spust, przesuając się tak, że zanim oddał czwarty strzał, był odsłonięty. Zauważył człowieka w turbanie, który leżał na pokładzie z kałasznikowem. Cabrillo wpakował mu w głowę dwie kule i schował się, zanim inny ochroniarz, ulokowany dalej, opróżnił w jego kierunku cały magazynek.

Juan chwycił Tory za rękę i oboje oddalili się biegiem od miejsca zasadzki, nawet nie próbując zachować ciszy.

Cabrillo skręcił za róg i zobaczył jakiś ruch moment wcześniej, niż dostał kolbę karabinu w głowę. Upadł oszołomiony, ale nie stracił przytomności. Kiedy dochodził do siebie po ciosie, Tory strzeliła dwa razy do ochroniarza. Energia kinetyczna dziewięciomilimetrowych pocisków odrzuciła go do tyłu i ścianę za nim opryskała krew.

Juan czuł się, jakby czaszkę miał kruchą niczym szkło. Pozwolił, by Tory pomogła mu wstać. Źle widział i krwawił z rozciętego czoła. Nad lewym okiem wisiał mu płat zdartej skóry. Oderwał go mocnym szarpnięciem, co wzmogło krwawienie, ale odzyskał ostrość widzenia. Tory zrobiła gwałtowny wdech.

- Znam dobrego chirurga plastycznego - powiedział Cabrillo i ruszyli biegiem dalej.

Nagle zabrzmiał przeraźliwy metaliczny jazgot, jakiego Juan jeszcze nie słyszał. Natychmiast zorientował się, że to piła do cięcia statków. Moment później gruby łańcuch tnący wgrzył się w tankowiec tuż przed nadbudową nie więcej niż pięć metrów od Cabrillo i Tory. Woda, natryskiwana na ostrza, zamieniła się w parę, i wilgotność powietrza sięgnęła stu procent. Stalowe wióry fruwały w korytarzu jak szrapnele. Piła zmieniła pozycję i zaczęła się do nich zbliżać. Rozrywała metalowe przegrody jak chusteczki higieniczne. Zęby grubego łańcucha przecinały statek niczym otwieracz do konserw puszkę. Rozpruły ścianę obok Juana i Tory i sunęły ku nim półtora metra nad pokładem niemal w tempie ich biegu. Swąd rozżarzonej stali dusił, gorące opiłki wypalały dziury w skafandrze Cabrilla.

Dotarli do kolejnych schodów i wbiegli na górę, koncentrując się na tym, by trzymać się z daleka od zabójczej piły. Maszyna skręciła za nimi, jakby wiedziała, dokąd się kierują, i rozszarpała schody niczym prehistoryczny drapieznik. Wyrwane z mocowań poręcze rykoszetowały od ściany.

Juan ledwo widział. Spowalniało go krwawienie i lekki wstrząs, którego doznał. Ale Tory go nie odstępowała. Uciekali razem przed atakiem żarłocznego mechanicznego potwora. Minęli biegiem kajuty załogi, a gdy skręcili za kolejny róg, puścili się sprintem do włazu wyjściowego. Ścigali się z posuwającym się równolegle do nich i niewidocznym już grubym łańcuchem tnącym, który zagłębiał się w „Toya Maru”.

Trzy metry od otwartych drzwi przegroda na prawo od nich zaczęła się żarzyć i wibrować, kiedy zębaty stalowy wąż poczuł jej smak. Ponieważ japoński tankowiec nie stał w hali całkiem prosto, piła rozplatała najpierw róg, za który właśnie skręcili, i zaczęła rozdzielać ścianę.

Juan zerknął za siebie. Łańcuch przeciął już pierwsze trzy metry korytarza i sunął dalej przez całą jego szerokość. Metalowe opiłki wypełniały przestrzeń jak rój wściekłych os.

Półtora metra od włazu Cabrillo walnął Tory między łopatki. Przewróciła się, ale z rozpędu przekoziółkowała. Juan rzucił się za nią. Piła przeszła nad nimi w momencie, gdy wypadli na odkryty



pokład.

Prosto w następną zasadzkę.

Czekało na nich czterech ludzi w turbanach. Celowali do toczącej się dwójki z kałasznikowów. Juan i Tory zatrzymali się ze splątanymi kończynami, jakby w parodii intymnego zbliżenia. Nim zdążyli oswobodzić ręce z pistoletami, Sikhowie przystawili im lufy do głów. Zębaty łańcuch znieruchomiał i ucichł.

- Miałem nadzieję, że jeszcze tym razem piła was nie dopadnie - zadudnił czyjś głos z pomostu zawieszzonego nad statkiem.

Juanowi i Tory zabrano broń i pozwolono im wstać z rękami za głową. Cabrillo przyjrzał się mężczyźnie powyżej. Jego wiek i podobieństwo do Abhaya wskazywały, że to przywódca piratów.

- Shere Singh - warknął Juan.

- Mam nadzieję, że znaleźliście to, czego szukaliście - odrzekł Sikh. - Byłbym niepocieszony, gdybyście spoczęli w grobie, nie zaspokoivszy swojej ciekawości. - Wydał rozkaz w języku, którego Cabrillo nie rozpoznał. Jego i Tory popchnięto w kierunku dziobu tankowca.

Gdzieś w górze niewidoczny operator przemieszczał piłę do cięcia statków. Szyny biegnące blisko stropu umożliwiały manewrowanie nią niemal po całej hali. Segmentowe ostrze rozciągało się teraz nad pokładem jakieś pięć metrów za miejscem, w którym odcięto dziób. Łańcuch był naprężony tak mocno, że choć miał prawie sześćdziesiąt metrów długości, ani trochę nie zwisał. W blasku lamp pod sufitem końce zębów ze specjalnego stopu lśniły jak sztylety.

Shere Singh zszedł na pokład „Toya Maru” w towarzystwie dwóch ochroniarzy. Niósł dziwną metalową rurę z długimi prostopadłymi uchwytyami. Juana i Tory trzymało po dwóch ludzi w taki sposób, że oboje ledwo dotykali pokładu palcami nóg. Cabrillo próbował przesunąć ciężar ciała, by znaleźć podparcie i oswobodzić się, ale przy każdym jego ruchu Sikhowie podnosili go wyżej. Singh podszedł do niego i wepchnął mu rurę pod ramionami za plecy. Ochroniarze złapali za jej uchwyty.

Juan zrozumiał, do czego służy to urządzenie. To musiał być ulubiony sposób piratów na pozbywanie się wrogów. Uchwyty umożliwiały ochroniarzom trzymanie ofiary tak, że gdy przyciskali jej ciało do pracującej piły łańcuchowej, byli poza zasięgiem metalowych zębów.

Kiedy Tory uświadomiła sobie w pełni groźbę sytuacji, ryknęła jak rozjuszona lwica i szarpnęła się, by uciec. Sikhowie po obu jej stronach tylko się roześmieli i dźwignęli ją tak wysoko, że cały ciężar ciała zawisł na ścięgnach ramion. Ból szybko odebrał jej chęć do walki i poddała się.

- Nie wywiniesz się z tego - powiedział Cabrillo.

Groźba zabrzmiała pusto nawet w jego uszach, toteż nie zrobiła żadnego wrażenia na Singhu. Zwalisty Pakistańczyk zarechotał.

- Bez obaw, kapitanie Smith. Ale jesteś dużo chudszy, niż mówił mój syn.

- Dieta cud. - Ciekawe jaka?

- Nieważne. Posłuchaj, Singh. Wiemy o „Mausie” i „Souri”. Gdy tylko któryś z nich spróbuje

zawinąć do jakiegoś oficjalnego portu, zostanie zatrzymany. Jesteś skończony, więc lepiej to przerwij i oszczędź sobie oskarżenia o dwa zabójstwa.

- Czyli nie oskarżyłbyś mnie o wymordowanie załogi „Toya Maru”? Juan nie łudził się, że piraci po prostu przetrzymują marynarzy z tankowca, a teraz jego obawy się potwierdziły.

- Za jakieś dziesięć minut do tej hali wpadnie oddział sił specjalnych i rozwalą wszystkich na miejscu - powiedział.

Singh znów zarechotał. Dobrze się bawił, mając pełną kontrolę nad swoimi więźniami.

- Zjawią się o pięć minut za późno dla ciebie i twojej apetycznej przyjaciółki. Cokolwiek powiesz, nie powstrzymasz mnie. Nie możesz nic zrobić. W tej chwili moi ludzie zbliżają się do twojego statku. Masz najwyżej garstkę najemników. Niedługo będzie po nich.

Cabrillo wiedział, że nawet jeśli nie wyjdzie z tego żywy, jego załoga zabije Singha i wszystkich jego ludzi. Ale chciał, żeby Sikh mówił dalej. Musiał zyskać na czasie, żeby pomyśleć, jak się wykaraskać z tych tarapatów.

- Jeśli mamy umrzeć, to przynajmniej mnie oświeć, jak do tego wszystkiego dopasować Chińczyków.

Singh podszedł bliżej. Miał przenikliwe piwne oczy i w ogóle nie mrugał. Śmierdział papierosami i przy wzroście ponad metr dziewięćdziesiąt przewyższał Cabrilla o pół głowy. Zacisnął pięść i walnął go w splot słoneczny tylko siłą ramienia. Juanowi zabrakło powietrza. Gdyby Sikh wykorzystał do zadania ciosu masę swojego ciała, połamałby mu żebra. Cabrillo doszedł do siebie dopiero po kilku głębokich oddechach.

- Nie wiedziałeś, że zorientowałem się, że śledzicie „Mausa” od Morza Japońskiego. I że wylądowałem ten statek - Singh tupnął w pokład - kiedy miałem okazję. Cały czas byłem krok przed tobą, więc dlaczego myślisz, że jestem taki głupi, żeby ci teraz coś zdradzić? Na wiedzę trzeba zapracować. Nauczyłem tego moich synów. Wszystko, co dostajesz, jest warte dokładnie tyle, ile wkładasz, żeby na to zasłużyć. Co robimy ze złapanymi Chińczykami, to nie twój interes.

To przynajmniej upewniło Cabrilla, że Sikh ma powiązania z węzowymi głowami.

- Nie interesuje cię nawet to, kim jesteśmy i dlaczego cię tropiliśmy? Na twarzy Singha pojawił się wilczy wyraz.

- Owszem, przyjacielu. Chciałem się tego dowiedzieć i gdybyście tu weszli tydzień temu, z przyjemnością wydobyłbym z was te informacje. Ale dzisiaj to już nieważne. Pozwolę wam zabrać wasze tajemnice do grobu i będę strzegł swoich.

Zakręcił palcem młynka i potężne silniki napędzające piłę ożyły. Łańcuch zaczął się obracać tuż nad pokładem i wkrótce nabrał szybkości. Hałasował, ale nie tak strasznie jak wtedy, gdy w gryzał się w statek.

Juan rozejrzał się za czymkolwiek, co mogłoby odwlec nieuniknione. Miał w głowie załączek planu, ale zdołałby wyeliminować najwyżej dwóch, może trzech ochroniarzy, zanim sam by zginął. Liczył tylko na to, że Tory zachowa tyle przytomności umysłu, by wyskoczyć za burtę tankowca i wypłynąć z hangaru. Spojrzał na nią. Popatrzyli na siebie, jakby czytali wzajemnie w swoich myślach. Wiedziała, że Juan zamierza zrobić coś szalonego, i dała mu wzrokiem znak, że jest z nim. Pomyślał, że w innym świecie chętnie poznałby ją bliżej.

Ochroniarze pchali go coraz bliżej warczącej piły. Opierał się, jak mógł, ale wbrew swojej woli stąpił na palcach w kierunku przemysłowej gilotyny. Nawet z odległości półtora metra czuł moc urządzenia. Było żywą siłą która rozdzierała powietrze jak wyładowania elektryczne podczas burzy.

Próbował wykręcić ramiona. Bez skutku.

Shere Singh szedł obok, lecz trzymał się poza jego zasięgiem. Miał w ręku deskę. Upewnił się, że Juan koncentruje na nim swoją uwagę i opuścił drewno na wirujący łańcuch. Rozległ się krótki trzask i w powietrze wystrzeliły trociny. Piła unicestwiła grubego kawał mahoni w ułamku sekundy. Sikh wyszczerzył zęby, cofnął się i krzyknął przez jazgot maszyny:

- Chyba pozwolę moim ludziom zabawić się z twoją przyjaciółką zanim ją pokroją.

Juan nie dał po sobie poznać, że zamierza zareagować, ale starannie zaplanował każdy krok, żeby zadziałać bez wahania. Nie wiedział tylko, czy przeżyje pierwszy moment.

Błyskawicznie wyrzucił obie nogi w powietrze, opierając się na ochroniarzach za sobą i wyciągnął je w stronę piły. Prawa łydka zetknęła się z ruchomym łańcuchem. Zdał sobie mglście sprawę, że Tory wrzasnęła. Ostrze natrafiło na coś twardego w jego kończynie, nastąpił gwałtowny wstrząs i Sikhowie wypuścili z rąk uchwyty rury.

Szarpnięcie omal nie wyrwało mu nogi ze stawu. Paski, trzymające protezę poniżej kolana, naprężyły się do granic możliwości. Ale udało się. Ochroniarze nie spróbowali zabawić się z piłą w przeciąganie liny, co doprowadziłoby do tego, że łańcuch przeciąłby tytanowe rozporki w sztucznej nodze. Pęd maszyny odrzucił Juana na odległość pięciu metrów. Wylądował na pokładzie i przetoczył się zgrabnie przez ramię. Gdy tylko się zatrzymał, sięgnął do szczątków swojej kompozytowej protezy, którą nazywał „nogą bojową”, po ukryty w niej pistolet Kel-Tec.

Broń należała do najmniejszych na świecie. Nienaładowana ważyła niecałe sto pięćdziesiąt gramów. Jednak w przeciwieństwie do innych małych pistoletów o kalibrze ograniczonym do 0,22 lub 0,25 cala, strzelała amunicją .380. Pociski miały dużą moc obalającą, a rusznikarze na „Oregonie” jeszcze zwiększyli ładunki prochowe w nabojach.

Cabrillo bardzo chciał wpakować pierwszą kulę w głowę Singha, ale w magazynku mieściło się tylko siedem sztuk amunicji. Wziął na cel dwóch zaskoczonych ochroniarzy, którzy trzymali go chwilę wcześniej, i nacisnął spust. Pierwszy pocisk chybił. Juan oddychał za szybko i zaczynał go boleć kikut nogi. Dwa następne strzały były celne. Jeden z Sikhów dostał w gardło i upadł twarzą na piłę.

Łańcuch rozerwał go w fontannie kiwi. Głowa i tułów wylądowały z odrażającym plaśnięciem na pokładzie, dolne części ciała zostały wyrzucone do góry, gdy ząb zahaczył o kręgosłup. Pokoziołkowały w powietrzu i trafiły drugiego ochroniarza w pierś. Uderzenie zważyło go z nóg i wyłączyło z walki na kilka następnych sekund. Juan wycelował w mężczyzn trzymających Tory. Stali tak, że nie miał szansy na śmiertelne trafienie, więc strzelił jednemu z nich w kolano. Kiedy Sikh

obrócił się z wrzaskiem, Tory zdołała się wyrwać drugiemu. Juan wpakował mu dwie kule w pierś, kładąc go trupem.

Dwaj ludzie w turbanach, którzy weszli na „Toya Maru” razem z Singhiem, dali nura za osłonę i przygotowywali się do otwarcia ognia ze swoich kałachów. Juan wystrzelił w ich kierunku trzy ostatnie pociski i zawołał Tory. Szybko dołączyła do niego i oboje pobiegli do relingu. Cabrillo ledwo mógł utrzymać równowagę, więc poruszali się chwiejnym krokiem pary uczestniczącej w wyścigu na trzech nogach.

Dotarli do burty w momencie, kiedy ochroniarze wzięli ich na cel. Pociski płaszczowe zrykoszetowały z brzękiem wśród snopów iskier. Juan i Tory runęli przez reling bez zatrzymywania się, głowami w dół, niezgrabnie niczym zwłoki zrzucone z mostu. Wylądowali w ciemnej wodzie z potężnym pluskiem, zanurzyli się głęboko i choć Juana jeszcze bolały płuca po ciosie Singha, pozostali pod powierzchnią, gdy odpływali od fali uderzeniowej.

Cabrillo zorientował się, że ktoś wyłączył piłę łańcuchową, bo w hali zapadła cisza. Zaczął liczyć w myślach do dziesięciu, obiecując sobie, że kiedy skończy, wynurzy się dla złapania oddechu. Ale gdy doszedł do magicznej liczby, zmusił się, żeby przedłużyć liczenie do dwudziestu, a potem do trzydziestu. Tory pierwszej zabrakło powietrza i wynurzyli się razem tak blisko kadłuba, jak tylko mogli. Juan napełnił płuca i wrócili pod wodę, nie wiedząc, czy ich zauważono.

Kiedy przebili powierzchnię drugi raz, Cabrillo rozejrzał się dookoła. Byli niecałe dwadzieścia metrów od miejsca, gdzie przywiązał do poręczy aparat Draegera. Nagle wodę wokół nich podziurawiły pociski, wzbijając małe fontanny piany. Zanurkowali bez nabrania powietrza do płuc, ale jakoś dopłynęli do celu.

Juan był zbyt zamroczony z bólu, by próbować rozwiązać prosty węzeł, który zrobił. Zamiast tego sięgnął do roztrzaskanej protezy po płaski nóż bojowy. Piła uszkodziła jedną krawędź ostrza, ale druga pozostała nienaruszona. Cabrillo przeciął linki, dał Tory regulator i pokazał, żeby zanurzyli się głębiej. Ponieważ recyrkulacyjny aparat oddechowy nie wytwarzał pęcherzy powietrza, ludzie Singha nie mogli ich zobaczyć trzy metry pod powierzchnią. Sikhowie strzelali seriami w wodę na oślep w nadziei, że dopisze im szczęście, ale głównie po to, by wylądować wściekłość, że ich dwóch towarzyszy nie żyje, a trzeci będzie kulał do końca życia. Juan nie współczuł żadnemu z nich.

Wziął od Tory ustnik, uważając, by do systemu nie dostała się woda, gdyż mogłaby uszkodzić oczyszczacze dwutlenku węgla. Mimo skażenia morza poczuł na gumie smak Tory. Ścisnął uspokajająco jej rękę i włożył na ramiona draegera. Mechaniczne części jego sztucznej nogi zostały całkowicie zniszczone, więc nie wciągnął na nią płetwy. Zadowolili się jedną drugą dał Tory.

Kiedy usunął wodę z maski i oboje byli gotowi do drogi, usłyszał strzały. Ale nie bezładne serie z kałasznikowów. To było rytmiczne pulsowanie broni, które dobrze znał. Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Ludzie Singha próbowali wdrzeć się na „Oregona”. Wyobraził sobie, jak Mark Murphy siedzi przed ekranami i otwiera do atakujących ogień z działka Bofors kaliber 40 milimetrów.

Sikhowie na górze musieli zauważyć ruch pod wodą bo nagle wokół Juana i Tory zaroilo się od pocisków. Ich ślady, przecinające ciemną toń, wyglądały jak białe strzały z łuku.

Max Hanley kazał Lincolnowi i jego drużynie szturmowej złożonej z byłych komandosów SEAL zwodować zodiaca, gdy tylko usłyszał hałas piły łańcuchowej w budynku po drugiej stronie zatoki.

Pobiegł z hangaru łodziowego do centrum operacyjnego „Oregon”. Czerwone światło włączonych lamp bojowych stapało się z niebieskawą poświatą ekranów, zalewając pomieszczenie blaskiem w odcieniu purpury. Pytanie, dlaczego nigdy przedtem nie zwrócił uwagi na ten szczegół, było tylko jedną z miliona spraw, które zaprzętały umysł Maksa.

O tak późnej porze na złomowisku statków od dawna panowała cisza, więc kiedy nagle odezwała się piła, Hanley domyślił się, że Shere Singh złapał prezesa. Eric Stone czuwał za sterem, Murph na stanowisku ogniowym, Hali Kasim i Linda Ross prowadzili nasłuch i obserwację. Max usadowił się w fotelu dowodzenia i włożył na łysiejącą głowę bezprzewodowe słuchawki z mikrofonem.

- Linc, jesteś na linii?

- Tak, „Oregon”. Zbliżamy się do celu z zachowaniem maksymalnej ostrożności. Powinniśmy być na miejscu za siedem minut.

Max już miał zapytać, dlaczego nie odpalili potężnego silnika zaburtowego, którego gardłowy ryk zostałby zagłuszony przez jazgot piły, ale przypomniał sobie, że w świetle księżyca biały kilwater zodiaca byłby wyraźnie widoczny na czarnym morzu.

- „Oregon”, na wodzie jest spory ruch - ciągnął Lincoln. - Naliczyłem cztery, powtarzam, cztery łodzie transportowe. Wychodzą w morze. Termowizja pokazuje, że są pełne ludzi.

- Widzę je - zawołał Murphy ze stanowiska ogniowego. Miał na monitorze obraz z kamery termowizyjnej zamontowanej na grotmaszcie „Oregon”. - Oceniam, że w sumie jest pięćdziesięciu żołnierzy, uzbrojonych w broń automatyczną i granatniki ręczne. - Wpisał do komputera polecenie, żeby wywołać ogromny arsenał statku. Ekran podzielił się tak, że każda z czterech dwunastometrowych łodzi płynących od plaży była w oddzielnym kwadracie. Na każdą nałożyła się siatka celownika. - Cele oznaczone jako tango od jeden do cztery. Wszystkie namierzone.

- Gdzie jest zodiak? - zaniepokoił się Max. Tylko tego brakowało, żeby ponton przypadkowo znalazł się pod ogniem baterii „Oregon”.

- Linc usuwa się z drogi, ale wolno.

Max wyświetlił na swoim monitorze obraz z szerokokątnej kamery. Ludzie Singha trzymali kurs na „Oregon”, zodiak oddalał się powoli na prawo od statku. Komandosi Linca nie mogli uruchomić silnika, bo Sikhowie zaczęliby do nich strzelać, kiedy tylko zobaczyliby kilwater pontonu. Max został zmuszony do denerwującego czekania - zodiak schodził z linii ognia wolno, łodzie przeciwnika zbliżały się szybko.

- Nadlatujący pocisk od strony plaży! - zawołała Linda Ross ze swojego stanowiska.

W ciągu dwóch sekund, które trwał jej ostrzegawczy okrzyk, granat przebył połowę drogi do „Oregon” i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, pokonał resztę dystansu. Ponad dwukilogramowy pocisk trafił w kieszeń kotwiczną wysoko na dziobie i eksplodował. Radziecki granat wyrwał kawał stali i zrobił dziurę w pokładzie, ale nie zniszczył łańcucha kotwicznego ani mechanizmu.

- Są następne!

Tak blisko brzegu odległość była zbyt mała, żeby automatyczne systemy obronne statku mogły unieszkodliwić nadlatujące pociski. Max nie miał wyboru.

- Sternik, cała wstecz pełna!

Eric Stone spodziewał się takiego rozkazu i już przesuwał do tyłu dźwignie dwóch przepustnic. Głęboko w czeluściach kadłuba ożyły cztery potężne silniki magnetohydrodynamiczne. Jakby za naciśnięciem włącznika światła, natychmiast rozwinęły pełną moc. Pobierały ładunki elektryczne z wody morskiej, kierowały je na schłodzone magnesy, by zwiększyć ich potencjał, i wytwarzały energię, która przepompowywała wodę przez pędniki tunelowe z niewyobrażalną siłą.

Przyspieszenie wstecz było tak gwałtowne, że w kambuzie naczynia pospadały z półek, a papiery na biurku Cabrilla pofrunęły przez kajutę. Ale nie zdążyli uciec przed salwą z granatników.

Sześć pocisków wylądowało nieszkodliwie w morzu. Siódmy uderzył w jeden z fałszywych żurawi bomowych „Oregona” i ściał go jak drzewo. Ciężki stalowy maszt runął na pokład z taką siłą że jedenastotysięcznik Korporacji zadrżał. Ósmy granat trafił w nadbudowę pod mostkiem kapitańskim. Głowica bojowa przeznaczona do przebijania grubych panczerzy czołgowych nie straciła całej energii kinetycznej, kiedy jej wybuch rozerwał półcalową stal. Siła eksplozji zdemolowała dwie z fałszywych kajut, których załoga używała w czasie inspekcji portowych, ale zniszczenia były powierzchowne. Komputer kontroli uszkodzeń uruchomił system gaśniczy i obyło się bez interwencji ludzi. Skierował też na miejsce ekipy naprawcze.

- Za trzydzieści sekund chcę mieć raport - powiedział Max na kanale alarmowym statku.

Sprawdził wskazania GPS-u i prędkościomierza. Cofali się od złomowiska z prędkością dwudziestu węzłów i przyspieszali. Za kilka sekund powinni być poza zasięgiem granatników Shere'a Singha. Ale gdyby Sikh miał lepszą broń, na przykład pociski Stinger, potrzebowaliby więcej miejsca, żeby zestrzelić rakiety.

- Linc, melduj.

- Siedzą nam na ogonie - zawołał były komandos SEAL. Max usłyszał ryk silnika zodiaca i terkot karabinu maszynowego. - Ściga nas jedna łódź. Trzy pozostałe nadal zbliżają się do was.

- Za chwilę wydostaniemy się poza zasięg granatów i damy ci osłonę ogniową. Adams zaraz wypuści w powietrze naszego drugiego UAV-a, więc za kilka minut powinniśmy mieć dobry widok pola walki.

- Przyjąłem.

Pędząc przez zatokę z prędkością prawie czterdziestu węzłów, Linc nie łudził się, że w coś trafi, gdy walił ze swojego M-4A1 do ścigającej go łodzi. Trzystrzałowe serie miały tylko zniechęcić przeciwnika do prowadzenia ognia. Jak dotąd, nadleciało stamtąd niewiele pocisków i wszystkie chybiły. Ludzie Singha po prostu wystawiali broń za burtę i strzelali na ślepo.

Linc nie mógł uwierzyć, że „Oregon” został trafiony. Zdał sobie sprawę, że się ich spodziewano.

Ale to nie miało znaczenia. Teraz ważne było tylko to, żeby znaleźć prezesa i szybko się wycofać.

Piła łańcuchowa przestała jazgotać chwilę wcześniej. Linc nie wiedział, czy to dobry, czy zły znak. Ale nie mogli ryzykować ataku na halę, dopóki „Oregon” nie zatopi łodzi przeciwników. A może jednak?

Zodiakiem sterował Mike Trono i Linc pokazał mu gestami, co chce zrobić. Trono bez słowa skinął głową i wykonał pontonem ostry skręt w ślizgu, by ominąć tył wielkiej hali.

Manewr pozwolił łodzi transportowej zmniejszyć odległość do zodiaca i ochroniarze na pokładzie postanowili wykorzystać okazję. Dwunastu ludzi Singha jednocześnie nacisnęło spusty. Gdyby Trono nie dodał gazu, gumowy kadłub i czterech pasażerów pontonu podziurawiłyby pociski.

Linc i jego komandosi odpowiedzieli ogniem. Nawet Trono strzelał z pistoletu jedną ręką, drugą trzymając na dźwigni przepustnicy. Jeden z ochroniarzy na łodzi transportowej chwycił się za gardło i wypadł za burtę. Wylądował w fali zadziobowej i spieniona woda wessała go pod powierzchnię. Nawet jeśli rana nie była śmiertelna, śruby przepływającej nad nim łodzi posiekały go na kawałki.

Łódź Singha została z tyłu i Trono mógł zwolnić, kiedy znaleźli się za magazynem. Piła łańcuchowa znów się odezwała, tym razem ciszej, bo nie przecinała metalu.

Linc przycisnął karabin do piersi, stoczył się tyłem za miękką burtę zodiaca i zamortyzował uderzenie w wodę szerokimi barami. Unosił się w kilwaterze pontonu, kiedy Mike wystrzelił naprzód równolegle do plaży.

Linc zanurkował pod metalową ścianę hali i wynurzył się w środku.

W budynku było na tyle jasno, że zauważył brak nazwy na rufie statku wewnątrz. Ale jazgot piły łańcuchowej, przesuwej się w stronę lądu, zagłuszał wszelkie głosy, które mogłyby mu powiedzieć, co się dzieje.

- „Oregon”, tu Szturmowiec Jeden - nadał przez radio. - Jestem w hali i ruszam na poszukiwanie prezesa.

- Przyjąłem - odrzekł Max. - Jesteśmy prawie gotowi do walki, więc nie będziecie mieli problemu z odwrotem. Powodzenia.

Linc popłynął wzdłuż statku. Po drodze zastanawiał się nad sposobem wejścia na pokład. Nagle usłyszał charakterystyczny trzask pistoletu blisko odciętego dziobu.

Kilka sekund później za burtę wypadły dwa ciała, oba w czerni. Jedna postać, w skafandrze płetwonurka, to musiał być Cabrillo. Linc nie rozpoznał drugiej osoby, ale nie zaskoczył go widok kobiecych krągłości. Tylko prezes mógł mieć randkę w takim miejscu jak to.

Ledwo para znalazła się pod powierzchnią, przy relingu pojawili się dwaj ochroniarze. Przesuwali lufy automatów tam i z powrotem w poszukiwaniu uciekinierów. Linc był za daleko, żeby oddać celny strzał, więc płynął cicho dalej. Trzymał się blisko pomostu, który biegł wokół hali, nieco powyżej linii wskazującej poziom wody podczas przyływu. Cabrillo i jego towarzysza wynurzyli się dwa razy, żeby nabrać powietrza. Kobieta wydawała się Lincowi znajoma. Był pewien, że para kieruje się do metalowych schodów. Pomyślał, że Juan musiał tam zostawić swój recyrkulacyjny aparat oddechowy.

Ochroniarze otworzyli ogień, ale Linc widział, że nie mają pojęcia, gdzie się podział Cabrillo. Według jego obliczeń Juan wynurzył się ostatni raz minutę temu. Wiedział, że prezes jest doskonałym nurkiem i może wytrzymać bez powietrza dwie minuty lub nawet dłużej, ale nie po strzelaniu na

statku i upadku z wysokości dziesięciu metrów. Najwyraźniej dotarł już do draegera.

W momencie, gdy doszedł do tego wniosku, usłyszał przez radio słowa Maksa, że wchodzi do akcji. Jednocześnie rozległy się strzały z automatycznego działka kaliber 40 milimetrów zamontowanego na dziobie „Oregona”.

Niezrażeni kanonadą na zewnątrz ochroniarze skoncentrowali ogień jakieś trzy metry od schodów. Coś przyciągnęło ich uwagę. Ruchem wymagającym ogromnej siły, bo był w wojskowych butach, a nie w płetwach, Linc wypchnął się nogami do góry, wynurzył tors i uniósł do ramienia M-4A1. Zanim grawitacja ściągnęła go z powrotem w dół, oddał dwie trzy-strzałowe serie. Pociski wytrąciły jednemu z ochroniarzy automat z rąk. Głowa drugiego zniknęła w czerwonej mgle.

Linc czekał pod powierzchnią, aż jakiś inny ochroniarz podziurawi wodę kulami. Zamiast tego ktoś chwycił go za kostkę. Linc ledwo powstrzymał odruch, żeby odkopnąć rękę. Prezes.

Cabrillo przycisnął mu do warg ustnik regulatora. Linc wziął kilka oddechów i oddał go. Juan musiał przekazać ustnik kobiecie, bo Linc poczuł na ramieniu ruch jej klatki piersiowej. Zaczęli płynąć, korzystając na zmianę z regulatora. Po kilku minutach dotarli do rufy tankowca. Przy tylnych wrotach hali wynurzyli się pod pomostem.

Juana piekło czoło w miejscu, gdzie oderwał sobie płat skóry. Prawa noga bolała go od pachwiny do palców, które stracił przed laty.

- Zjawileś się w samą porę - powiedział do Linca. - Pewnie uniosłem płetwę nad wodę i zdradziłem naszą pozycję.

- Jest tu jeszcze ktoś, szefie?

- Shere Singh uciekł, jak tylko wyciągnąłem pistolet, więc jeśli załatwiłeś dwóch ostatnich ochroniarzy, to chyba nie.

- Może lepiej nie czekajmy na ich posiłki - odezwała się Tory.

- Ta pani ma rację. - Linc włączył swoje radio taktyczne. - „Oregon”, tu Szturmowiec Jeden. Znalazłem prezesa i rusałkę, którą wyciągnęliśmy z „Avalona”. Jesteśmy gotowi do odbioru.

- Musicie poczekać. Została jeszcze jedna łódź transportowa. Tropimy ją teraz z powietrza, ale będziemy potrzebowali kilku minut, żeby ją zatopić.

Cabrillo wziął od Linca słuchawkę z mikrofonem.

- Nie zgadzam się, „Oregon”. Podejrzewam, że Shere Singh próbuje się ulotnić. Trzeba go dorwać.

- Dobra. Kieruję do was zodiaca.

Chwilę później ponton pomknął z rykiem silnika do miejsca, gdzie Linc stoczył się za jego burtę. Cabrillo zostawił aparat oddechowy i zanurkował za Tory i Lincolnem pod wrota hali. Komandosi Linca wyłowili Tory i pomogli Juanowi i swojemu dowódcy wdrapać się do łodzi. Ledwo Cabrillo wciągnął się do środka, Trono dał pełne obroty i zodiak wystrzelił naprzód.

Natychmiast dostali się pod ogień ludzi na plaży. Błyski z luf wyglądały w ciemności jak wściekłe świetliki. Trono oddalił się od brzegu i wziął kurs przez zatokę na „Oregona”, który próbował znaleźć ostatnią łódź transportową. Trzy inne płonęły i powoli szły na dno. Czwarta musiała się ukryć wśród tuzinów skorodowanych statków czekających na demontaż w hali lub na



plaży.

Gdy wpłynęli między wraki, Juan włożył gogle noktowizyjne i przeszedł na dziób pontonu, by wskazywać sternikowi kierunek. Odgłos silnika zaburtowego odbijał się echem od rdzewiejących kadłubów. Powrót na „Oregona” przez złomowisko był jazdą slalomem z pełną prędkością. Manewrując zodiakiem według wskazówek Juana, Trono ominął super-tankowiec o długości co najmniej trzystu metrów i prześliznął się między dwoma promami samochodowymi, na których jeszcze widniały barwy firmy przewożącej pojazdy przez kanał La Manche.

Okrążyli dziób jednego z promów i kierowali się w stronę luki między częściowo zatopionym holownikiem a kontenerowcem, gdy zza innego statku wyłoniła się ostatnia łódź transportowa. Zespół Korporacji zareagował sekundę wcześniej niż przeciwnicy i podziurawił im celnym ogniem kadłub od dziobu do rufy.

Ochroniarze skręcili ostro i ruszyli w pościg za zodiakiem. Nadciągał przypływ, w zatoce rosły fale. Ponton i łódź transportowa unosiły się i opadały, co uniemożliwiało użycie broni. Na spokojnym morzu zodiac łatwo odskoczyłby mocno obciążonej łodzi, ale wysokie fale wyrównywały szanse.

Ilekcroć Trono próbował się wydostać z labiryntu wraków, łódź transportowa odcinała mu drogę ucieczki do „Oregona”.

Silnik zaburtowy przerwał i stracił na moment moc, potem znów zaczął pracować na wszystkich cylindrach. Mike przesunął ręką wokół osłony motoru i zaklął, gdy wyczuł dziurę po pocisku. Powąchał mokre palce.

- Trafili nas w zbiornik paliwa - krzyknął przez ryk silnika. - Nie wiem, jak długo jeszcze będziemy mogli się bawić w kotka i myszkę.

Łódź transportowa zaprzestała pościgu, ale zodiac oddalał się od „Oregona”. Wciąż otaczało ich tyle wraków, że nie sposób było przewidzieć, gdzie zaatakują ludzie Singha.

- Zrezygnowali? - zapytała Tory.

- Wątpię - odparł Juan dokładnie w momencie, gdy łódź transportowa wyskoczyła zza dużego trawlera przetwórci.

Wodę wokół zodiaca zaczęły siec pociski. Trono starał się wycisnąć z silnika jeszcze pół wężła. Spod osłony doszedł śwąd palącego się oleju. Pocisk przebił nie tylko zbiornik paliwa. Znów zygzakowali obok promów, kiedy coś przykuło uwagę Cabrilla.

- Mike, zawróć do tamtego zatopionego holownika. Mam pomysł. Pomknęli przez zatokę w stronę ciemnego kształtu statku, który osiadł krzywo na jakiejś przeszkodzie na dnie morza. Dziób wystawał z wody, pokład rufowy zalewały fale. Złamany żuraw zwisający za burtę był prawie niewidoczny w świetle księżyca.

Cabrillo koncentrował się na utrzymaniu właściwego kursu. Ignorował wszystko dookoła, łącznie z ostrzałem z łodzi transportowej. Miał tylko jedną szansę na powodzenie swojego planu. Z rozpostartymi ramionami wykrzykiwał minimalne zmiany kierunku. Trono reagował na jego komendy

lekkimi ruchami steru.

- Dobra, zwolnij, niech się do nas zbliżą.

Wszyscy usłyszeli ryzykowny rozkaz, ale nikt go nie zakwestionował. Zodiak wytracił prędkość i dystans dzielący go od łodzi transportowej zmalał do dwudziestu metrów. Jakby wyczuwając, że nadchodzi chwila zwycięstwa, sternik łodzi pchnął przepustnice do oporu w nadziei, że staranuje ponton.

Juan prowadził Mike'a tak, żeby ominęli rufę zatopionego holownika. Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że łódź transportowa zbliża się do nich jak atakujący rekin do swojej ofiary. Przez gogle wzmacniające obraz dostrzegł nawet wyraz tryumfu na twarzy sternika.

Jeszcze kilka sekund, pomyślał, gdy znów spojrzął na przeciwnika. Jeszcze nie, jeszcze nie... Teraz!

Opuścił lewą rękę na znak, że Mike ma skrócić ostro w lewo. Po manewrze zodiak pomknął prosto pod złamany żuraw holownika.

Większa od pontonu łódź transportowa kontynuowała pościg, jej sternik nie miał pojęcia, że uciekinierzy wciągają go w pułapkę.

- Padnij! - krzyknął Juan, kiedy minęli zanurzony reling holownika. Ramię żurawia zwiisało zaledwie metr nad pontonem i gdyby nie dali nura na dno zodiaca, kawał stali uciąłby im głowy.

Kiedy przeszli pod żurawiem, Juan się obejrzał. Łódź transportowa płynęła ich śladem, ale sternik musiał w ostatniej chwili zauważyć przeszkodę, bo nagle zakręcił kołem do oporu. Za późno. Prędkość była zbyt duża i łódź wpadła na żuraw. Stal rozpruła fiberglasowy kadłub na całej długości i wyrwała z mocowań jeden ze zbiorników paliwa.

Żaden z dwunastu ludzi na pokładzie nie zdążył się niczego złapać i gwałtowne hamowanie wyrzuciło wszystkich przez dziób. Większość ochroniarzy wylądowała bezpiecznie w morzu, ale jeden trafił głową w ramię żurawia i zginął na miejscu.

Olej napędowy z przedziurawionego zbiornika zalał brudną zęzę, lecz zanim zmieszał się z wodą morską, iskra z uszkodzonej instalacji elektrycznej spowodowała wybuch i nad złomowiskiem wyrosła pomarańczowo-czarna kula ognia i dymu.

- Wykreśl ostatnią łódź transportową - powiedział Cabrillo przez radio taktyczne. - Wracamy do domu.

Silnik zodiaca wyzionął ducha sto metrów od „Oregona” i musieli chwycić za wiosła. W ciszy, która zapadła, gdy umilkł motor, słyszeli kanonadę z plaży. Ludzie Singha strzelali na ślepo w morze.

Kiedy ponton dotarł do pochylni, Juan rzucił czekającemu załogantowi faleń.

Zanim ostatni z komandosów Linca wysiadł z zodiaca, Cabrillo dokuśtykał do Julii Huxley, która przyniosła mu zapasową protezę. Zawiadomił ją wcześniej przez radio. Obcięła nożyczkami chirurgicznymi nogawkę jego „mokrego” skafandra i obejrzała kikut. Noga była tylko zaczerwieniona i spuchnięta, więc Julia pozwoliła mu przypiąć nową protezę i zajęła się jego czołem.

- Jak to się stało? - spytała, patrząc na ranę w świetle latarki ołówkowej.

- Dostałem kolbą karabinu.

Poświeciła mu w oczy, żeby sprawdzić, czy nie doznał wstrząsu. Chrząknęła, bynajmniej niezaskoczona, że źrenice zareagowały normalnie.

- Masz czaszkę jak kula armatnia. Jak się czujesz? Nie kręci ci się w głowie? Nie mdli cię?

- Nic z tych rzeczy. Trochę mnie tylko szczypie od słonej wody.

- Nie dziwię się. - Julia wiedziała, że Cabrillo, jak większość mężczyzn, bagatelizuje ból. Oczyszczyła ranę o powierzchni dwudziestu pięciu centymetrów kwadratowych tak dokładnie, że Juan skrzywił się kilka razy, potem nałożyła na rozcięcie duży sterylny opatrunek i owinęła mu głowę gazą. - Już po wszystkim. Przykro mi, ale właśnie skończyły mi się lizaki.

- Więc chyba powinienem głośniej płakać. - Połknął bez popicia tabletkę przeciwbólową, którą mu dała.

Julia zauważyła, że w pobliżu stoi Tory Ballinger.

- A co pani tu robi?

- Tory jest z londyńskiego Lloyda - wyjaśnił Juan. Wstał i sprawdził, jak sztuczna noga utrzymuje jego ciężar. Mimo kontuzji kikuta znów był w pełni mobilny. - Rozpracowuje tę samą sprawę co my, tylko z innej strony.

- A ja myślałam, że spodobało się pani moje podejście do pacjenta. - Kobiety uściśniły sobie dłonie i Julia zapytała, czy Tory potrzebuje pomocy medycznej.

Tory wycierała ręcznikiem włosy.

- Nie, pani doktor, dzięki. Jestem może trochę oszołomiona, ale cała.

- Juan ma w kajucie butelkę dobrej brandy. Przepisuję co najmniej jedną koniakówkę.

- Prezesie, jesteś tam? - zawołał przez interkom Max Hanley. Cabrillo wcisnął przełącznik zamontowany na pobliskiej grodzi.

- Jestem. Jaka sytuacja?

- Ciągłe do nas strzelają z plaży. Ale z broni ręcznej, nie z granatników. George Adams wysłał tam UAV-a. Krąży nad złomowiskiem. Kilka minut po tym, jak piła łańcuchowa ucichła na dobre, zauważył jakichś ludzi wybiegających z hali. Wskoczyli do dżipa i wyjechali z kompleksu w kierunku skupiska domów jakieś półtora kilometra w górę wybrzeża.

Na pobliskim lądowisku stoi helikopter, ale na razie nic się wokół niego nie dzieje.

- A co z naszym?

- Czeka w dziesięciominutowym pogotowiu. - Oznaczało to, że śmigłowiec Robinson z czteroosobową załogą może być w powietrzu za dziesięć minut.

- Niech George przekaże UAV-a Stone 'owi. Chłopak przelatał tyle godzin na symulatorze Microsoftu, że mógłby spokojnie wystąpić o licencję pilota cywilnego. Chcę wystartować najszybciej, jak się da. Jeśli mamy rozgryźć tę sprawę, musimy dopaść Singha żywego.

- Na pewno czujesz się na siłach wziąć w tym udział? - zapytała Julia.

- Jestem bardziej wkurzony niż ranny - odparł Cabrillo. - Singh wiedział, że złożymy mu wizytę. - Znów przełączył interkom. - Max, to ja. Posłuchaj. Singh cały czas wyprzedza nas o krok. Niedawno wyładował z „Mausa” statek „Toya Maru” - wtedy, gdy zostawiliście suchy dok bez opieki u wybrzeży Tajwanu. Ten tankowiec, należący do Hiro, stoi teraz w hali na złomowisku i jest już do połowy pocięty na żyletki.

- Jak to możliwe?

- To w tej chwili nieważne, ale przypuszczam, że na „Mausie” jest lepszy radar, niż myśleliśmy. Musieli się zorientować, że ich śledzicie. Niech Hali przygotuje się do złożenia raportu władzom indonezyjskim. Pewnie będzie miał problemy z lokalną biurokracją bo podejrzewam, że Singh ma znajomości w rządzie, ale trzeba ich nakłonić, żeby marynarka wojenna albo straż przybrzeżna zrobiły nalot na to miejsce, gdy tylko się stąd wyniesiemy.

- Jestem na linii - wtrącił się Hali Kasim. W jego głosie brzmiało podniecenie. - Prezesie, nie uwierzysz, ale właśnie odebrałem sygnał z transpondera Eddiego.

- Kiedy?

- Przed chwilą. Dwie sekundy temu.

- Gdzie on jest?

- To bez sensu - mruknął z powątpiewaniem ekspert od łączności.
- Mów, Hali.
- W Rosji. Na zachodnim wybrzeżu Kamczatki. Co on tam robi, do cholery? Myślałem, że węzowe głowy przemycają ludzi do Stanów i Japonii.

Juan milczał. Starał się nie słyszeć Linca i jego komandosów krzątających się przy zodiaku, nie widzieć zatroskanej miny Julii i badawczego spojrzenia Tory Ballinger. Eddiego zabrano na Kamczatkę. Zastanawiał się, dlaczego, i jednocześnie układał plan. Obliczał czas, odległości i rozważał priorytety operacji. Uwzględnił prędkość „Oregona”, maksymalną prędkość robinsona R-44 z różnym obciążeniem i potrzebę przesłuchania Shere’a Singha.

Był pewien, że Eddie nie jest jedynym chińskim imigrantem, którego wywieziono do odludnego rejonu Rosji, na wulkaniczny półwysep odizolowany od świata przez większą część ubiegłego wieku. Nie wiedział, ilu ludzi tam trafiło, ale instynkt podpowiadał mu, że bardzo wielu.

Co Singh ma z tym wspólnego? Odpowiedź wydawała się oczywista: zapewnia transport. Może przewozić ludzi i statki na dwóch suchych dokach praktycznie bezkarnie. Porywa jednostki z nielegalnymi na pokładzie i likwiduje wszystkich świadków, tak jak zatopił nieszczęsnego „Avalona” Tory. Musi się tylko dowiedzieć, które statki transportują imigrantów, i może dowolnie wybierać ofiary. Cabrillo uświadomił sobie, że w takim razie ktoś w Chinach dostarcza Singhowi informacji. Ale czy przemyt ludzi to jedyne przestępstwo, jakie ma miejsce, czy też jest środkiem do jakiegoś celu?

- Potrzebują taniej siły roboczej - powiedział głośno.
- Słucham? - zapytała Tory. Zdjęła mokrą kurtkę i została tylko w czarnym T-shircie. Na ramiona narzuciła puszysty ręcznik, żeby zasłonić piersi. Miała jeszcze wilgotne, potargane włosy i wyglądała bardzo atrakcyjnie.

- Chodzi o tanią siłę roboczą o niewolników. Tamtej nocy, kiedy cię uratowaliśmy, zatopiliśmy piracki trawler. Przewoził kontener, który udało nam się wyłowić, ale za późno, żeby ocalić życie ludziom zamkniętym w środku. Dowiedzieliśmy się, że byli nielegalnymi chińskimi imigrantami. Wysłałem ich tropem swojego człowieka w nadziei, że ustali, dokąd płynęli i jaki to miało związek z piratami. Właśnie się okazało, że wylądował na Kamczatce.

- My podejrzewaliśmy Singha tylko o porywanie statków i niszczenie dowodów.
- Ma na sumieniu znacznie więcej - odparł Juan. - Przechwytuje transporty chińskich imigrantów i dostarcza ich na Kamczatkę. A skoro używa takich wielkich suchych doków jak „Maus” i jego bliźniacza jednostka, to pewnie porwał już setki lub nawet tysiące nielegalnych. Są zmuszani do niewolniczej pracy.

- Ale po co, na Boga? - zapytała Tory.
- To może być cokolwiek. - Juan znów przełączył interkom. - Max, wynosimy się stąd. Biorę ze sobą Linca i Mike’a Trono i wyruszam na poszukiwania Shere’a Singha. Weź kurs na pozycję Eddiego.

Wyciśnij z naszej starej łajby, ile się da. Złapiemy samolot do... - potrzebował chwili, żeby sobie przypomnieć nazwę stolicy Kamczatki - Pietropawłowska.

- Nic z tego, prezesie - wtrącił się Mark Murphy na otwartym kanale. - Jak tylko Hali mi powiedział, gdzie jest Eddie, wszedłem do Internetu. Władze ostrzegają, że na Kamczatce trwa erupcja wulkanu. Potwierdza to strona amerykańskiego instytutu badań geologicznych. Rosjanie informują że z powodu dużych ilości opadającego popiołu musieli zamknąć lotnisko. Nie ma żadnych przylotów ani odlotów.

Juan zaklął pod nosem.

- To niczego nie zmienia. Płyn tam pełną parą.

- A co z Singhiem? - zapytał Max.

- Po prostu mam mniej czasu na to, żeby go dorwać. Ale nawet jeśli rozwinięsz maksymalną prędkość, nie powinieneś się oddalić poza zasięg Robinsona wcześniej niż za pół godziny.

- Mogę coś powiedzieć? - odezwała się Tory. Juan skinął głową.

- Dostałam się na złomowisko od strony lądu. Jest cholernie wielkie. Obserwowałam je przez tydzień, a mimo to nie widziałam wszystkiego, co kombinuje Singh.

- Do czego zmierzasz?

- Jeśli dajesz sobie tylko trzydzieści minut na to, żeby go znaleźć, to mogę cię zaprowadzić do jego tutejszej kwatery.

Juan wahał się tylko przez ułamek sekundy. Tory Ballinger była dla niego praktycznie obcą osobą ale czuł się, jakby ją dobrze znał. Zaledwie kilka minut wcześniej doskonale się spisała, nie straciła też zimnej krwi, kiedy była uwięziona na „Avalonie”.

- Okej.

Tory spodziewała się sprzeciwu, świadczyły o tym ciemne chmury zbierające się na jej czole. Szybka zgoda Juana na moment zbiła ją z tropu. Zastygła z otwartymi ustami.

- Mamy pięć minut na przebranie się i przygotowanie - powiedział Cabrillo. - Chodź ze mną. Ty też, Linc. Jeszcze nie skończyliśmy.

Kiedy tylko Robinson R-44 uniósł się z wysuwanego hydraulicznie lądowiska, „Oregon” zatoczył w zatoce ciasny krąg na poprzecznym pędniku dziobowym i Linda Ross wydała Stone’owi rozkaz, żeby płynął z pełną prędkością. Hanley był na dole w swojej ukochanej maszynowni. Cztery silniki magnetohydrodynamiczne natychmiast weszły na obroty i niemal w tym samym momencie woda za rufą statku wzburzyła się od mocy systemu napędowego. Linda poleciła Murphy’emu ostrzelać morze wzdłuż plaży z działka Gatling, żeby dać odlatującemu helikopterowi osłonę ogniową.

George Adams siedział w lewym fotelu Robinsona, Juan na prawo od niego. Linc i Tory zajmowali miejsca na tylnej ławce. Helikopter skierował się nad morze i przekroczył linię brzegową daleko na północ od złomowiska.

- Jakieś półtora kilometra w górę plaży jest kompleks mieszkalny szefostwa firmy - powiedziała Tory przez interkom. - W zeszłym tygodniu obserwowałam to miejsce przez parę dni. Jeden dom jest

dużo większy od pozostałych. Kiedy zobaczyłam Singha z bliska, przypomniałam sobie, że to on tam kwateruje.

- Ma jakąś ochronę? - zapytał Juan.
- Widziałam kilku facetów, ale po dzisiejszej nocy pewnie zebrało się całe stado goryli.

Juana rozbawiło to zdanie, ale przygotował się w duchu na najgorsze.

- Jak się tam można dostać?
- Za kompleksem biegnie droga północ-południe. Na północy jest tama i huta.
- Duży ruch?
- Jeżdżą głównie ciężarówki ze złomem do przetopu. A po zmroku prawie nikt.
- Dobra, ludzie, lecimy z powrotem nad brzegiem morza. - Hełm Adamsa był sprzężony z kamerą noktowizyjną zamontowaną na dziobie, co zapewniało pilotowi lepszą widoczność. - Widzę kompleks. W środku pali się mnóstwo świateł i kręci się masa ludzi. Zdecydowana większość ma broń.
- Trzymajmy się poza ich zasięgiem i zobaczymy, co się dzieje.
- Kawalek od kompleksu widzę lądowisko - powiedział Adams. - Wygląda na to, że mają JetRangera i właśnie uruchomili rotory.
- Możemy za nim polecieć? - spytała Tory.
- Jest od nas szybszy o czterdzieści czy pięćdziesiąt węzłów i ma zasięg większy o co najmniej sto pięćdziesiąt kilometrów - odparł Juan. Obejrzał się na Lincolna. - I jak, duży?
- W porządku, szefie. George, trzymaj równo maszynę. - Linc poluzował pasy bezpieczeństwa, otworzył swoje drzwi i zignorował huraganowy podmuch powietrza od wirników, który wdarł się do kabiny śmigłowca. Barrett był niewygodną bronią miał prawie półtora metra długości i dużo ważył. Ale kiedy strzelał z niego ekspert, półcalowe pociski trafiały w cel z odległości półtora kilometra.

Adams obrócił Robinsona bokiem, żeby Linc dobrze widział. Kilku ochroniarzy w kompleksie otworzyło ogień do helikoptera w zawisie, ale byli za daleko. Lincoln przyłożył wielki karabin do ramienia i sprawdził widok w celowniku noktowizyjnym. Świat miał upiornie zieloną barwę, ale wydawał się dziwnie bliski. Linc zobaczył frustrację na twarzach ludzi strzelających do śmigłowca. Naprowadził podziałkę na gotowy do startu helikopter JetRanger. Obraz miał tak ostry, że widział, jak w wydechu turbiny drga gorące powietrze.

Broń huknęła jak armata ale Linc zniósł silny odrzut bez odrywania oka od celownika. Pocisk dotarł do celu znacznie wcześniej, niż ktokolwiek na ziemi go usłyszał, więc katastrofa, jaką spowodował, była pełnym zaskoczeniem. Trafił w wał rotora JetRangera, najbardziej narażoną na zniszczenie część każdego śmigłowca. Wirujący wał rozleciał się i łopaty rotora poszybowały w powietrzu jak dwa zabójcze ostrza. Jedna skosiła grupę mężczyzn, którzy przygotowywali się do odpalenia rakiety z ręcznej wyrzutni. Masakra wstrząsnęła nawet takim weteranem jak Franklin Lincoln.

Druga łopata przedziurawiła wielką cysternę na palach. Blask eksplozji paliwa lotniczego oślepił Linca, patrzącego przez celownik noktowizyjny. Spojrzał ponad lufę karabinu i zobaczył rozprzestrzeniający się pożar. Każdy, kto stał bliżej niż trzydzieści metrów od cysterny, został odrzucony przez wybuch do tyłu. Ci w odległości mniejszej niż piętnaście metrów zginęli.

- Widzę ruch - zawołał Adams. - Właśnie otworzyły się tylne drzwi JetRangera. Biegnie do nich jakiś facet w turbanie.

- To musi być Shere Singh - powiedziała Tory. - Co on kombinuje? Minęła pełna napięcia chwila.

- W porządku, wskakuje do samochodu. To chyba duży Mercedes sedan. Władował się na tylne siedzenie. Jest tylko on i kierowca.

- Mam go zdjąć, Juan? - zapytał Linc, unosząc karabin do ramienia.

- Nie tutaj. Niech wyjedzie na szosę i oddali się od swoich ludzi. - Musiał się z kimś porozumieć przez radio - oznajmił George. - Z kompleksu mieszkalnego rusza drugi samochód. W środku jest co najmniej trzech uzbrojonych facetów.

- Nikt nie mówił, że to będzie łatwe. - Cabrillo zerknął na zegarek. Jedna trzecia z trzydziestu minut, w których musieli się zmieścić, żeby dogonić „Oregon”, już minęła.

Chwilę później zobaczyli światła dwóch samochodów.auta wypadły przez tylną bramę kompleksu i skręciły na południe. Po obu stronach drogi ciągnęła się ciemna dżungla, więc blask reflektorów odbijał się tak, jakby pojazdy pędziły tunelem. George otworzył przepustnicę silnika i szybko je dogonił.

Kierowcy utrzymywali pięciometrowy odstęp między samochodami. Trochę za mały na to, co planował Juan, ale nie miał wyboru. Odczepił od swojej uprząży granat i odsunął małą szybę w prawych drzwiach helikoptera. Granat powinien mieć pięciosekundowy zapalnik, jednak zdarzały się sekundowe różnice - nic wielkiego przy niszczeniu kryjówki przeciwnika lub próbie zatrzymania oddziału nacierającego pieszo, ale auta jadące z prędkością stu czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę pokonywały w ciągu jednego tyknięcia zegara ponad trzydzieści metrów.

Cabrillo wyciągnął zawleczkę i wystawił rękę z granatem na zewnątrz. Musiał polegać bardziej na doświadczeniu i instynkcie niż na kalkulacji. Zwolnił bezpiecznik, żeby uruchomić zapalnik, odczekał moment i otworzył dłoń.

Granat natychmiast zniknął w ciemności, a sekundę później Mercedes gwałtownie skręcił, kiedy kierowca zareagował na uderzenie czegoś ciężkiego w bagażnik. Granat spadł z samochodu na asfalt i potoczył się po jezdni. Drugie auto pomknęło nad nim, jakby pasażerowie go nie zauważyli lub nie wiedzieli, co to jest. Minęła następna sekunda, jedna z najdłuższych w życiu Juana. Był pewien, że obstawa Singha przejechała bezpiecznie nad granatem, i już sięgał po drugi, gdy dokładnie pod zbiornikiem paliwa nastąpiła eksplozja.

Tuż po huku granatu rozległ się grzmot wybuchającej benzyny. Tył samochodu uniósł się do góry, auto obróciło się na przednim zderzaku i przewróciło na dach.

Przekoziołkowało kilka razy, rozrzucając kawałki blachy i rozpryskując płonące paliwo. Wypadło z drogi, uderzyło w tekowy słup i złożyło się wokół niego na pół.

Kierowca Singha odruchowo zwolnił, kiedy zobaczył w lusterku wstecznym wypadek. George wyprzedził Mercedesa, lecąc trzy metry nad sklepieniem dżungli i piętnaście na prawo od drogi. Linc przyłożył barretta do ramienia i strzelił. Podczas gdy normalna amunicja mogłaby co najwyżej przebić oponę samochodu, pocisk kaliber.50 roztrzaskał piastę przedniego koła, które oderwało się od pojazdu. Mercedes opadł na zniszczoną oś i wśród snopu iskier zaczął wytracać prędkość, kiedy kierowca walczył o utrzymanie się na asfalcie.



Dla pewności Linc wpakował dwie kule w osłonę chłodnicy auta i skinął z satysfakcją głową gdy spod maski buchnęła para.

Adams skręcił Robinsonem nad szosę tuż za hamującą limuzynę, a kiedy samochód wreszcie stanął, wylądował na jezdni. Zanim płozy helikoptera osiadły mocno na ziemi, Cabrillo, Linc i Tory Ballinger popędzili naprzód. Linc i Juan mieli w rękach karabiny szturmowe M-4A2, Tory trzymała samopowtarzalną berettę wypożyczoną ze zbrojowni „Oregona”.

Gdy przebiegli połowę dwudziestometrowego dystansu, kierowca Mercedesa pchnął gwałtownie drzwi, wyskoczył z auta i ukrył się za nimi, zanim ktokolwiek zdążył użyć broni. Zza osłony otworzył ogień z pistoletu maszynowego. Był spanikowany i strzelał niecelnie, ale cała trójka padła na asfalt. Linc nacisnął spust swojego M-4 i pociski zrykoszetowały od opancerzonych drzwi. Na kuloodpornej szybie pojawiła się pajęczyna pęknięć.

Juan, widząc, że wielki mercedes jest opancerzony, celował pod drzwi. Pierwsza seria chybiła, ale druga rozerwała kierowcy łydkę. Kiedy upadał, zamknął swoim ciężarem drzwi, odsłonił się i dostał dwa razy z beretty Tory. Siła trafienia odrzuciła go na błotnik. Osunął się na ziemię i znieruchomiał.

Juan szarpnął klamkę tylnych drzwi. Zamknięte. Z małej odległości opróżnił w szybę prawie cały magazynek. Pierwszy tuzin pocisków nie zdołał przebić twardego laminatu, ale po dociśnięciu do niego lufy udało się go przedziurawić. Kiedy Cabrillo się cofnął, żeby zmienić magazynek, zastąpił go Linc i powiększył otwór. Odłamki szkła szybowały w powietrzu jak połyskujące diamenty.

Po załadowaniu broni Juan poklepał Linca w ramię, żeby przestał strzelać.

- Singh, daję ci trzy sekundy na wystawienie obu rąk przez okno. - Z wnętrza pojazdu nie dobiegł żaden dźwięk. - Jeden. Dwa. Trzy.

Linc i Juan jednocześnie otworzyli ogień. Serie wlatujące przez dziurę zaczęły kruszyć szybę w przeciwległych drzwiach. Kilka pocisków utkwilo w oparciu tylnego siedzenia, parę odbiło się z brękiem od opancerzenia i rykoszetowało w samochodzie, dopóki nie zagłębiło się w miękki cel. Wśród terkotu broni rozległ się nagle okrzyk bólu. Mężczyźni przerwali ostrzał.

- Singh!

- Dostałem - odpowiedział Sikh mocnym głosem. - Allahowi niech będą dzięki, umieram!

- Wystaw ręce przez okno, do cholery, bo wrzucę tam granat. - Nie mogę się ruszyć. Mam sparaliżowane nogi.

Juan i Linc wymienili spojrzenia. Wiedzieli, że nie powinni wierzyć Sikhowi, ale nie mieli innego wyjścia. Juan sięgnął do auta i chwycił za klamkę, Linc celował do środka. Kiedy Cabrillo otworzył drzwi, włączyło się oświetlenie wnętrza. Singh czał się na podłodze i gdy tylko zobaczył przeciwnika, nacisnął spust pistoletu maszynowego. Strzelał jeszcze gorzej niż jego kierowca. Seria trafiła w opancerzone drzwi, co uratowało Lincowi życie. Były komandos zareagował tak, jak go wyszkolono podczas tysięcy godzin ćwiczeń. Robiąc unik, wpakował Sikhowi dwie kule w twarz, jedną poniżej oka, drugą prosto w gardło. Turban Singha rozwinął się niczym atakujący wąż, z tyłu jego głowy wytrysnęła krew i tkanka.

Linc zaklął.

- Niech to szlag. Przepraszam, Juan. Po prostu...

- Zadziałał instynkt - dokończył za niego Cabrillo i zajrzał do samochodu, żeby zobaczyć masakrę. - Nie miałeś wyboru. Zrobiłbym dokładnie to samo.

Tory przepchnęła się obok nich i dała nura do tylnej części długiego Mercedesa. Obszukała zwłoki Shere'a Singha i wyjęła mu skórzany portfel. Wzięła z siedzenia jego neseser, rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy niczego nie przeoczyła, i wycofała z auta.

- Ślepa uliczka, co, panowie? - Wytarła dłonie o tył spodni i wskazała drogę za czekającym na silniku helikopterem. - Ludzie Singha na pewno niedługo się pozbiorają i zaczną go szukać. A że odwaga powinna iść w parze z rozwagą uważam, że czas stąd spadać.

Ruszyli do śmigłowca. George Adams w oczekiwaniu na start zwiększył obroty rotora i w powietrzu zawirował kurz, więc musieli się schylić. Juan poklepał Tory w ramię i wskazał kciukiem za siebie w kierunku Mercedesa.

- Tylko śledcza z Lloyd'a? - zapytał.

Tory wiedziała, co ma na myśli. Posłała mu łobuzerski uśmiech.

- Przedtem byłam w służbie rządu Jej Królewskiej Mości. - Ico robiłaś?

Położyła rękę na kaburze beretty.

- Rozwiązywałam problemy.

## 22

Juan siedział w niedbalej pozie na fałszywym mostku „Oregona”. Choć skórzany fotel kapitański z wysokim oparciem miał równie opłakany wygląd, jak reszta starego frachtowca, został zrobiony na zamówienie i był zapewne najwygodniejszy na statku. Każdy oficer wachtowy musiał zajmować główne stanowisko w centrum operacyjnym, ale ten fotel był zarezerwowany wyłącznie dla Cabrilla.

Z lewej burty zachodziło słońce. Grę kolorów i światła intensyfikowała zasłona pyłu wulkanicznego, który unosił się do stratosfery z półwyspu Kamczatka daleko na północy. Upał nie malał. Dotykając metalu, czuło się jego ciepło, Juan był bez koszuli, na nogach miał buty żeglarskie. „Oregon” płynął z taką prędkością, że otwarcie drzwi sterówki spowodowałoby huraganowy przeciąg, więc w pomieszczeniu panował zaduch.

Zamiast ryzykować rejs przez Morze Wschodniocchińskie i Morze Japońskie, zatłoczone jak Los Angeles w godzinach szczytu, Cabrillo postanowił, że po minięciu najbardziej wysuniętych na północ wysp filipińskich weźmie kurs na wschód wzdłuż japońskiego wybrzeża Pacyfiku. Na szlakach żeglugowych ruch był bardziej uregulowany, więc Juan nie musiał się obawiać, że jakiś statek zamelduje o frachtowcu pędzącym z prędkością ponad pięćdziesięciu węzłów. Radar „Oregona” stale pracował w trybie zakłócania, toteż Juana niepokoił tylko kontakt wzrokowy z innymi

jednostkami. Za kilka godzin opuszczą szlaki żeglugowe do Tokio, ruch znacznie zmaleje i skończy się konieczność omijania samochodowców, kontenerowców i tuzinów innych statków przemierzających Pacyfik.

Każdy taki manewr wydłużał podróż tylko o kilka minut, ale czas uciekał. Od Eddiego dzieliły ich jeszcze dwa dni drogi, a skąpe informacje udzielane przez rosyjskich wulkanologów uwięzionych w Pietropawłowsku brzmiały coraz bardziej alarmująco. Półwysep niemal bez przerwy drżał od powtarzających się trzęsień ziemi, trzy wulkany wyrzucały popiół i trujący gaz. Na razie nie było informacji o ofiarach śmiertelnych, ale większość skupisk ludzkich na Kameczatce leżała tak daleko, że mogły minąć tygodnie, zanim dotrze stamtąd jakaś wiadomość.

Optymizmem napawał tylko fakt, że nadajnik Eddiego wciąż wysyłał sygnał, który Hali odbierał z satelity. Ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Według przekazywanego namiaru Eddie był na plaży w cieniu jednego z eksplodujących wulkanów. Juan mógł zapytać Julię Huxley, na ile wystarczają baterie nadajnika po śmierci nosiciela, ale już znał odpowiedź. Gdyby Eddie zginął tydzień temu, nikt na „Oregonie” nie dowiedziałby się o tym.

- Nad czym tak dumasz?

Juan obrócił się gwałtownie w fotelu, zanim rozpoznał głos, i na jego twarzy zastygł wyraz irytacji, że ktoś zakłóca mu spokój.

- Przepraszam - powiedziała Tory. - Nie chciałam cię przestraszyć.

- Nie przestraszyłaś mnie. - Odwrócił się z powrotem, jakby wpatrywanie się w horyzont mogło go przybliżyć.

- Pomyślałam, że może będziesz miał ochotę. - Wyciągnęła rękę z butelką piwa San Miguel, które Juan uważał za jedyny filipiński produkt nadający się na eksport.

Była w białej lnianej spódnicy, kolorowej koszulce polo i pantoflach na płaskim obcasie. Ciemne włosy zczesła tak, że uwydatniały wdzięczną linię wysokich kości policzkowych, artystyczny makijaż podkreślał zniewalający błękit oczu i kształt warg. Przyglądała się Juanowi i czuł, że nie jest jej obojętny. Patrzyła na jego barczyste ramiona, umięśnioną klatkę piersiową i brzuch. Ale gdy spojrzała na sztuczną nogę, szybko odwróciła wzrok.

Ponieważ Cabrillo nie pokazywał się publicznie w szortach, od czasu utraty nogi przeżył kilka krępujących momentów. Nagłe zakłopotanie Tory uświadomiło mu dotkliwie obecność protezy, zwłaszcza że ten egzemplarz nawet nie próbował udawać nogi. Był po prostu rurą ze stali i czarnego włókna węglowego. Juan nagle pożałował, że nie jest w długich spodniach albo że przynajmniej proteza nie przypomina bardziej ludzkiej kończyny.

Zdjął stopy z poręczy pod przednimi oknami i usiadł prosto, żeby schować sztuczną nogę. Był zły jednocześnie i zaintrygowany, że zależy mu na opinii Tory o nim.

Wziął zaoferowaną butelkę piwa, przetoczył zroszone szkło po czole i wypił kilka solidnych łyków. Julia na nowo zabandażowała mu ranę, więc nie wyglądał już, jakby miał głowę owiniętą pieluszką. Przeszczep skóry odłożył do czasu zakończenia operacji.

- Dzięki. Przepraszam, że tak zareagowałem.

- Myślałeś o swoim człowieku? O Eddiem?
- Tak, o Eddiem Sengu. To jeden z moich najlepszych ludzi.
- Max trochę mi o nim opowiedział. Właściwie o was wszystkich. - Uśmiechnęła się. - Zgromadziłeś niezłą zbieraninę piratów.

Juan zachichotał.

- Wszyscy, co do jednego, to zbójcy i korsarze, ale w życiu nie pracowałem z lepszym zespołem. Przepraszam, że nie mogłem cię oprowadzić po statku i przedstawić całej załodze.
- Wiem, że nie miałeś czasu. Linda była tak uprzejma i zajęła się mną. - Tory wskazała swoje ubranie. - I pozwoliła mi wypożyczyć te ciuchy z waszej Magicznej Pracowni.
- A jak twoja kajuta? Wygodna? Otworzyła szeroko oczy z zachwytem.
- Wygodna? Jest większa od mojego londyńskiego mieszkania. I nie zdziw się, jeśli po naszym rozstaniu stwierdzisz brak marmurowej wanny.

Zdaje się, że lubisz dobre rzeczy. Jedzenie może rywalizować z daniami u Cunarda, a Maurice jest niezrównany.

- To, że nasza branża jest barbarzyńska, nie oznacza, że mamy się zachowywać jak barbarzyńcy.
- Jak zostaliście... hm, chyba najemnikami?

Juan wskazał Tory najbliższy fotel. Należał do Maksa i niemal w nim utonął.

- Kiedy skończyła się zimna wojna, zniknęła globalna polaryzacja, która przez ponad pół wieku trzymała świat w ryzach. Wiedziałem, że będą wybuchały regionalne konflikty i wzrośnie zapotrzebowanie na usługi w zakresie ochrony. Dlatego stworzyłem Korporację. A co do „Oregona”, to uznałem, że zamiast zakładać firmę w jakimś kraju, gdzie podlegałbym miejscowemu prawu, lepiej będzie korzystać ze statku, co zapewni mi potrzebną swobodę działania.

- I robisz to dla pieniędzy?
- Nie różnię się od innych przedsiębiorców, ale jestem też bardzo zasadniczy, jeśli chodzi o moich klientów.
- Myślę, że jesteś bardziej zasadniczy niż przedsiębiorczy Juan się roześmiał.
- Maurice już ci o mnie naplotkował.
- Świata poza tobą nie widzi. - Tory się uśmiechnęła. - Zresztą tak jak cała twoja załoga. Słyszałam, że w ciągu ostatnich lat odrzuciłeś parę bardzo lukratywnych ofert.
- I parę przyjąłem.
- Wiesz, o czym mówię. W tym wszystkim nie chodzi tylko o pieniądze.
- Powiedzmy po prostu, że to duża satysfakcja, kiedy płacą ci za robienie tego, co uważasz za słuszne. A ty, pani śledcza? Zatrudniłaś się w Lloydzie, bo z ogłoszenia w „Financial Times” wynikało, że u nich zarobisz więcej niż w jakimś domu maklerskim?
- Zgadłeś. - Pociągnęła łyk piwa ze swojej butelki. - Więc masz jakieś teorie na temat tego, co się dzieje?
- Teorie tak. Odpowiedzi nie. Zwłaszcza że straciliśmy nasze ostatnie ogniwo w tym łańcuchu.

- Franklin nie może sobie tego darować.

- Jest najbliższym przyjacielem Eddiego. Nie wybaczy sobie tego, dopóki się nie dowie, że Eddie żyje. To mi o czymś przypomniało. - Juan wychylił się z fotela, chwycił aktówkę leżącą na pokładzie i podał ją Tory. - To wyszło z komputera jakąś godzinę temu. Może cię zainteresuje.

- Co to jest? - zapytała, otwierając skórzaną teczkę.

- Przekład tego, co znaleźliśmy w neseserze, który zabrałaś z samochodu Singha. Znajdziesz tu listę wszystkich statków porwanych przez jego bandę na Pacyfiku w ciągu ostatnich kilku lat. Mam nadzieję, że to pomoże zakończyć szereg twoich dochodzeń. Większość statków została zezłomowana w Karamicie, ale część wciąż pływa pod różnymi banderami w fikcyjnych spółkach, którymi zarządza Singh.

- Zarządzał - poprawiła Tory, nie podnosząc wzroku znad dokumentu.

- Niestety - ciągnął Juan - nie ma żadnej informacji o tym, do czego był używany bliźniaczy suchy dok „Mausa”, „Souri”. Podejrzewam, że również transportowano nim statki, które Singh kierował do jakiegoś innego miejsca w ramach tej części swojej przestępczej działalności.

Podniosła wzrok.

- Ale po co by to robił?

- Nie mam pojęcia.

- A może za tą częścią jego przestępczej działalności stoi ktoś inny? Juan pochylił się w fotelu. Czuł, że Tory na coś wpadła.

- Anton Sawicz?

- Max powiedział mi, że to nazwisko pojawia się od początku waszego dochodzenia, choć muszę przyznać, że ja nie zetknęłam się z nim podczas mojego.

- Dowiedzieliśmy się tylko, że Sawicz pracował w radzieckim Urzędzie Zasobów Naturalnych i po upadku ZSRR pozostał w rosyjskim odpowiedniku tej instytucji. Nie wiemy, jakim sposobem związał się z Singhem.

- Czy na Kamczatce są jakieś bogactwa naturalne? Może odkrył tam coś, kiedy pracował w tamtym urzędzie? Na przykład kamienie lub metale szlachetne?

- Mark Murphy przejrzał różne bazy danych, ale nie znalazł żadnych informacji o jakichś znaczących ilościach.

Tory nagle olśniło.

- A może Sawicz czegoś nie zgłosił? Może w czasach Związku Radzieckiego na jego biurko trafił raport o jakimś ważnym odkryciu, a on to zataił?

Juan skinął głową.

- To możliwe. Wszyscy uważamy, że wylądowało tam mnóstwo nielegalnych chińskich imigrantów. Mogą być zmuszani do pracy w jakiejś kopalni.

Wpadł na pewien pomysł. Wyjął z kieszeni szyfrujący telefon komórkowy i wybrał numer. Po

trzecim sygnale na linii prywatnej sieci komórkowej „Oregona” odezwał się Mark Murphy.

- Murph, tu Juan. Gdzie jesteś?

- Na dole, w Magicznej Pracowni. Naprawiam moją deskorolkę - odparł specjalista od uzbrojenia.

- Skocz do komputera i sprawdź, czy w jakichś technikach górniczych jest używana rtęć.

Przyzwyczajony do tajemniczych poleceń Mark obiecał, że zaraz się tym zajmie.

- O co chodzi z tą rtęcią? - zapytała Tory.

- Podczas sekcji zwłok piratów, którzy zaatakowali nasz statek i wyrzucili za burtę kontener z chińskimi imigrantami, Julia ustaliła, że byli silnie zatruci rtęcią.

- Myślisz, że nabawili się tego na Kamczatce? Cabrillo skinął głową.

- Chińczycy nie mieli takich objawów, tylko marynarze. Jeśli spędzili tam dużo czasu, na przykład dostarczając nielegalnych lub jako strażnicy, to możliwe, że stąd się to wzięło.

Zapadła kojąca cisza. Czekali na informacje. Po paru minutach zadzwieczała komórka Juana. Odebrał i zapytał:

- Co znalazłeś?

- Rtęć to jedyny pierwiastek, który wiąże złoto - odrzekł Mark. - Używa się jej do oddzielania kruszcu od rudy. W wielu krajach ta metoda jest zabroniona, bo zagraża środowisku i ludziom, ale miejscowi górnicy w Afryce Południowej nadal ją stosują na szeroką skalę.

Juan spojrzał na Tory i wymówił bezgłośnie słowo „złoto”. - Dzięki, Murph. Możesz już wrócić do swojej deski. Tory odchyliła się w fotelu.

- Więc Anton Sawicz wykorzystuje nielegalnych chińskich imigrantów dostarczanych mu przez Shere'a Singha do wydobywania złota na Kamczatce, najprawdopodobniej pod nosem rosyjskich władz.

- Myślę, że tak - zgodził się Juan i pociągnął następny łyk piwa. - Więc tę zagadkę możemy uznać za rozwiązaną. Wiemy, kto, jak i dlaczego.

- Na to wygląda.

Coś w głosie Juana zaniepokoiło Tory.

- O co chodzi?

- Teraz, kiedy Shere Singh wypadł z pirackiego interesu, twoja część śledztwa jest zakończona. Nie wiem, co zastaniemy po dotarciu na miejsce, ale jeśli dojdzie do starcia z bandą Singha, walka będzie krwawa.

- I? - zapytała Tory. Już się domyślała, co Juan zamierza powiedzieć.

- Nie musisz nam towarzyszyć. Stracimy najwyżej godzinę, jeśli odstawimy cię helikopterem na ląd, kiedy minimy północny kraniec Japonii i wpłyniemy na Morze Ochockie.

Zanim skończył mówić, wpadła w furję. Zerwała się z miejsca, oparła ręce na poręczach jego fotela i pochyliła się tak, że ich twarze dzieliło tylko kilka centymetrów.

- Poświęciłam na to dochodzenie sześć miesięcy, żyłam tym przez ostatnie pół roku. Musiałam walczyć, żeby Królewskie Towarzystwo Geograficzne pozwoliło nam się przyłączyć do ich ekspedycji, a potem nic nie mogłam zrobić, kiedy zaatakowali nas piraci. Ci dranie zabili moich przyjaciół, więc nie myśl, że nie doprowadzę tej sprawy do końca, panie prezesie tej waszej choleralnej Korporacji.

Patrzyli na siebie przez kilka długich sekund. Żadne nawet nie drgnęło. Juan poznał już jej wewnętrzną siłę i inteligencję, a teraz zobaczył jej pasję. Gdyby mógł zapomnieć, że Tory go pociąga, natychmiast by jej zaproponował, by przyłączyła się do Korporacji.

- Uprzedzam, że nie będę mógł zagwarantować ci bezpieczeństwa - odrzekł cichym, intymnym tonem.

Tory dostrzegła zmianę w jego głosie i natychmiast złagodniała. Ich usta nadal były zaledwie centymetry od siebie, ale obojgu ta odległość wydawała się nie do pokonania.

- Nie proszę cię o to. Po prostu chcę tam być, kiedy położysz temu kres raz na zawsze. - Wyprostowała się niechętnie.

Juanowi zaschło w gardle i musiał dokończyć piwo.

- Umowa stoi.

## 23

Eddie Seng podziwiał operatywność swoich porywaczy. Wulkan górujący nad Plażą Śmierci, jak ją nazywano, stale dudnił i wyrzucał z siebie popiół, który opadał na teren robót, tworząc czarną duszącą zadymkę. Trzęsienia ziemi powtarzały się niemal co godzinę, morze wyglądało jak skręcająca się warstwa ołowiu. Ale nadzorcy kopalni ani na chwilę nie zwalniali tempa pracy, choć prowadzili już ewakuację. Kotły w separatorni pozostawały rozgrzane, żeby mogli przed odwrotem uzyskać jeszcze ostatnie gramy cennego kruszcu. Strażnicy popędzali pałkami i biczami robotników, którzy kursowali w górę i w dół zbocza wzgórza z wiadrami rudy złota.

W nocy niewolnicy byli zamknięci na statkach wyciągniętych na brzeg i z lękiem oczekiwali na poranny sygnał do ponownego rozpoczęcia pracy.

W zatoce załoga holownika zdołała tak zbalastować wielki suchy dok, żeby z jego ładowni mógł wypłynąć ukryty tam statek. Wzburzone morze kilkakrotnie opóźniło zakończenie ryzykownej operacji, dlatego ewakuacja przebiegała wolniej, niż Eddie się spodziewał. Widział, jak młody Sikh w turbanie kłóci się z Rosjaninem nazwiskiem Sawicz; przypuszczał, że nie zgadza się na poświęcenie drogiego suchego doku, kiedy w końcu wybuchnie wulkan. Wyładowanie statku wskazywało, że przed wyruszeniem w drogę chcą się pozbyć kompromitującego dowodu.

Podobnie jak inne jednostki, które już zaśmiecały plażę, ostatnia przywieziona na Kamczatkę również była statkiem wycieczkowym. Przy długości około stu dwudziestu metrów nie należała do dużych, ale miała zgrabne linie, rufę o klasycznym przekroju szampanki i niemal wszystkie kajuty z balkonami. W okresie świetności z pewnością wypełniała niszę rynkową tylko dla najbogatszych pasażerów, skłonnych zapłacić każde pieniądze za rejs na Galapagos lub wody Antarktyki.

Dziś była po prostu kolejnym wrakiem, jasny niegdyś kadłub został upakowany odchodami nieszczęśników, którzy przeżyli ciężką podróż do Rosji. Kiedy statek zaczął dryfować po zatoce, przy relingu stłoczyły się setki chińskich imigrantów. Pozbawiony silników i niezbalastowany miał tak małe zanurzenie, że widać było szeroki pas farby antykorozyjnej poniżej linii wodnej. Przechylał się niebezpiecznie nawet przy najmniejszych falach. Ilekroć przechodziła większa, Eddie słyszał krzyki ludzi uwięzionych na pokładzie.

Na szczęście przyływ popychał ich do brzegu. Wiatr smagający lodowate wody zatoki zwiastował sztorm. Eddie miał nadzieję, że zanim uderzy, statek osiądzie mocno na mieliźnie; inaczej podryfowałby z powrotem na morze. Wówczas ustawiłby się burtą do wiatru i przewrócił, kiedy wysokość fal przekroczyłaby trzy metry. Na pokładzie nie było szalup.

Eddie przeniósł wzrok z dryfującego statku z powrotem na suchy dok. Masywne wrota dziobowe znów zamknięto, z wylotów pomp wzdłuż kadłuba tryskała woda morska. Miało upłynąć kilka godzin, zanim ładownia zostanie osuszona i dok będzie na tyle lekki, by mógł go pociągnąć jeden z dwóch holowników. Drugi zajął pozycję jakieś sto metrów od budynku przerobu rudy.

Jak wcześniej zaobserwował Eddie, budynek ulokowano na płaskiej barce, którą przyholowano do zatoki. Przy użyciu ciężkiego sprzętu dużą halę wciągnięto wysoko ponad poziom przyływu. Pod czujnym okiem uzbrojonych strażników robotnicy usuwali teraz śmiecie i kamienie wyrzucone przez fale na plażę przed budynkiem, żeby holownik mógł go zabrać z powrotem na morze. W pobliżu stały beczki z olejem do wylania na skalisty brzeg, by barka łatwiej zsunęła się do wody. Paulus, południowoafrykański nadzorca, kazał wylać całą zbędną rtęć za halę. Żywe srebro tworzyło połyskujące kałuże, które stopniowo spływały do morza. Fale zagarnęły już setki litrów toksycznego metalu.

To niebezpieczne zadanie dostali chińscy robotnicy, którzy wcześniej wchłaniali śmiertelne dawki oparów rtęci podczas pracy w budynku.

Większość poruszała się jak zombi. Inni trzęśli się tak, że ledwo mogli stać. Gdyby jakimś cudem przeżyli zatrucie rtęcią, nigdy by nie wyzdrowieli. A jeśli nawet, to ich dzieci rodziłyby się poważnie upośledzone.

Eddie przyglądał się nieszczęsnym robotnikom rozchlapującym kałuże rtęci. Był tym tak zaabsorbowany, że nie zauważył, kiedy mężczyzna obok niego skończył napełniać jego wiadro gliniastą rudą. Młody Chińczyk próbował mu to zasygnalizować, ale strażnik pierwszy dostrzegł przestój. Zamachnął się obciążonym kawałkiem węża i trafił Senga za kolano. Pod Eddim ugięła się noga, ale nie upadł. Wiedział, że lepiej nie patrzeć na strażnika, bo Indonezyjczyk uznałby to za bunt, a wycieńczony Eddie mógłby nie przeżyć jego ataku wściekłości.

Postawił sobie na ramieniu dwudziestodwukilogramowe wiadro, drażniąc otarcie skóry, które nie chciało się goić w ciągłej wilgoci. Tang tak skoordynował z nim swoją pracę, żeby mogli razem zejść ze zbocza. Z dziesięciu mężczyzn przydzielonych do kajuty Eddiego w dniu jego przyjazdu tylko



Tang jeszcze żył.

- Pewnie dziś się wyniosą - powiedział półgębkiem, patrząc pod nogi, żeby się nie przewrócić.

- Chyba masz rację, przyjacielu. Suchy dok niedługo będzie pusty, a odholowanie przetwórnicy rudy od brzegu też nie zajmie im dużo czasu. Zauważyłeś, że ostatnio już nie widać kutrów rybackich?

- Jak mógłbym nie zauważyć? - odparł Tang z nutą humoru w głosie.

- Jedyna rzecz gorsza od świeżej pasty rybnej to trzydniowa pasta rybna.

- Ominęli szczególnie zdradliwe miejsce i Tang ciągnął dalej. - I coś się dzieje przy statku, na którym kwaterują strażnicy.

Od kilku dni między tym statkiem a holownikiem przeznaczonym do zabrania w morze przetwórnicy rudy kursował tender. Teren wokół kwatery strażników zawsze był niedostępny dla Chińczyków, lecz odkąd rozpoczęto ewakuację, liczba uzbrojonych mężczyzn podwoiła się. Większość stanowili Indonezyjczycy, ale była też grupa Europejczyków. Ci ostatni wyglądali na twardzieli i składali meldunki Sawiczowi, nie Sikhowi. Ich zdyscyplinowanie wskazywało, że służyli kiedyś w siłach specjalnych, elitarnym rosyjskim Specnazie, jak domyślał się Eddie.

Zauważył też, że Rosjanie nie ufają Indonezyjczykom tak samo, jak robotnikom.

Nie trzeba było być geniuszem, by się domyślić, że transportują świeżo przetworzone złoto. Sądząc po dużym zanurzeniu dziesięciometrowego Tendera, kiedy robił kursy do holownika, musieli przewozić setki ton kruszcu. Złoto lokowano w dwóch kontenerach na pokładzie holownika.

- Jak myślisz, co się z nami stanie? - zapytał Tang.

- Mówiłem ci, co podsłuchałem, kiedy Paulus rozmawiał z Sawiczem. Zostawią nas tutaj.

- Więc umrzemy na tym odludnym skrawku wybrzeża bez względu na to, czy tu będą czy nie.

Eddie poznał po tonie Tanga, że jego towarzysz jest u kresu wytrzymałości psychicznej. W każdej sytuacji zagrożenie warunkiem przeżycia było pozytywne nastawienie. W ciągu ostatniego tygodnia Eddie widział ludzi, którzy potrafili znieść wszystko, bo się nie załamywali, podczas gdy inni umierali po kilku dniach, jakby pragnęli szybkiej śmierci. Wiedział, że jeśli Tang straci nadzieję, nie dożyje jutra.

- Posłuchaj mnie - powiedział, próbując dodać mu otuchy - nie umrzemy tutaj.

Tang posłał Eddiemu słaby uśmiech.

- Dzięki za pocieszenie, ale obawiam się, że to puste słowa.

- Nie jestem Chińczykiem - wyjaśnił Eddie i zaraz się poprawił:

To znaczy jestem, ale pochodzę z Nowego Jorku. Jestem Amerykaninem i prowadzę śledztwo w sprawie przemytu nielegalnych imigrantów. Szuka mnie teraz mój zespół.

- Naprawdę?

Eddie na moment wcielił się w Roberta De Niro.

- „Do mnie mówisz? Do mnie mówisz?” - zacytował po angielsku. Tang przystanął i wlepił w niego wzrok. Nie wierzył własnym uszom.

- Znam ten film! - wykrzyknął.

- Widziałeś Taksówkarza?

- Tak! Pokazali nam go w szkole, żebyśmy zobaczyli, jak dekadencja doprowadziła jednego z waszych obywateli do tego, że próbował zabić prezydenta.

Eddie zachichotał, kiedy wyobraził sobie funkcjonariusza partii komunistycznej tłumaczącego, że próba zamachu na Reagana, dokonana przez Hinckleya wiązała się z upadkiem tradycyjnych wartości w Stanach Zjednoczonych.

- Naprawdę jesteś Amerykaninem?

- Tak - potwierdził Eddie. - I bardzo niedługo do zatoki wpłynie pewien statek.

Tang obejrzał się przez ramię na dymiący wulkan, który był oddalony od plaży o kilka kilometrów, ale zdawał się przesłaniać pół horyzontu. Choć z kaldery przestał się wydobywać popiół, nadal unosił się nad terenem robót.

- Wiem - rzekł Eddie. Tylko tak potrafił odpowiedzieć na niezadane pytanie.

- Patrz. - Tang wskazał morze. Ku plaży kierowały się dwa trawlerzy. - Na kolację będzie świeża breja.

Eddie przyglądał się przez chwilę przysadzistym kutrom. Nad ich rufami krążyły mewy. Trawlerzy nie miały powodu wracać. Sawicz zamierzał zostawić Chińczyków w cieniu eksplodującego wulkanu, więc po co miałyby ich karmić? Kutry płynęły szybciej niż zwykle. Spod ich tępych dziobów pryskała piana i ptaki musiały mocno machać skrzydłami, żeby dotrzymać im kroku. Eddie zorientował się, że ładownie trawlerów są puste. Zobaczył też, że kutry nie kierują się do nabrzeża, lecz skręcają w stronę holownika.

Stał się czujny. Poczul przyływ adrenaliny, co pozwoliło mu zapomnieć, przynajmniej tymczasowo, o wyczerpaniu i cierpieniu. Rosjanie musieli poczuć to samo, bo ścisnęli mocniej broń i instynktownie ruszyli na osłonięte stanowiska.

- Za mną - rozkazał Eddie.

On i Tang byli blisko płuczek, dwadzieścia metrów od separatomi. Eddie poprowadził Tanga wokół przeciwległego krańca długich metalowych stołów, a potem w górę zbocza. Starał się jak najbardziej oddalić od przyszłego pola walki.

- Co się dzieje? - wysapał Tang.

Zanim Eddie zdążył odpowiedzieć, załoga bliższego trawlera otworzyła ogień z broni automatycznej. Dwunastu komandosów Specnazu znalazło już dostateczną osłonę, więc mogli zignorować ostrzał i skoncentrować się na wyeliminowaniu indonezyjskich strażników, którzy wzięli ich na cel. W ciągu kilku sekund rozpętało się piekło. Pociski smugowe przecinały zamglone powietrze jak promienie laserowe. Robotnicy, którzy byli zbyt powolni lub zbyt zdezorientowani, by uciec z linii ognia, ginęli od kul.

Do co najmniej pięćdziesięciu Indonezyjczyków dołączali następni, ale doskonale wyszkoleni i lepiej uzbrojeni Rosjanie bez trudu niwelowali ich przewagę liczebną. Żaden z rosyjskich komandosów nie został trafiony i kiedy minął początkowy chaos, likwidowali przeciwników prawie bezkarnie.

Moment ataku wybrano bezbłędnie. Sawicz i Jan Paulus byli na statku wycieczkowym, gdzie magazynowano złoto. Sikh, przypuszczalny organizator zdrady, już nadzorował na holowniku przeładunek w otoczeniu kilku swoich ludzi. Kapitan pełnomorskiego holownika, przywiązanego grubą liną do barki z przetwórną rudy, nie mógł uciec.

Z komina drugiego holownika, połączonego z suchym dokiem, buchnął czarny dym. Ciemna woda pod jego rufą zamieniła się w wir, gdy wgryzły się w nią śruby. Ruszali w drogę przed całkowitym opróżnieniem doku.

Ze wzgórza zbiegała gromada strażników. Mijali Eddiego i Tanga. Pełnili służbę wyżej na zboczach, gdzie robotnicy wypłukiwali z ziemi rudę armatkami wodnymi. Ukryty za głazem Eddie zaczekał, aż jeden ze strażników znajdzie się za blisko. Błyskawicznym ruchem walnął go nasadą dłoni prosto w nos. Siła uderzenia roztrzaskała kość i wbiła jej odłamki w mózg. Strażnik nie żył, zanim upadł w błoto.

Eddie sprawdził, czy nikt nie widział ataku, i chwycił leżący automat.

Wciąż czuł przyływ adrenaliny. Odwrócił się do Tanga.

- Czas na zapłatę.

„Oregon” dostał się w paszczę najsilniejszego od ćwierć wieku sztormu na Morzu Ochockim. Zetknęły się dwa obszary niskiego ciśnienia, przepastne dziury w atmosferze, które wsysały ogromne ilości powietrza ze wszystkich kierunków. Wyjący dziko wiatr podrywał do góry szczyty fal. Szare chmury wiszące nisko nad morzem przecinały błyskawice. Temperatura spadła do pięciu stopni Celsjusza. Grad zmieszany z deszczem uderzał we frachtowiec niemal poziomo.

„Oregon” wspinał się na grzbiety najwyższych fal pod takim kątem, że dziób celował prosto w skłębione chmury. Żłobił w wodzie szeroką bruzdę, rozbryzgi piany wystrzeliwały na wysokość komina. Zdawał się unosić na szczycie fali całą wieczność, wystawiony na najsilniejsze porywy wiatru, potem nurkował w dół z zadartą rufą. Wtedy silniki nagle milkły, bo nie wytwarzały odrzutu wody. Po zawietrznej stronie fali wycie wichru zamierało i zapadała upiorna cisza. Jedenastotysięcznik zanurzał się tak głęboko, że załoga na mostku widziała tylko czerń oceanu.

Dziób pograżał się w morzu aż do krawędzi pierwszych luków ładunkowych. Przy gwałtownym przyhamowaniu pod ludźmi uginały się kolana, wiszące przewody radiowe uderzały o sufit. Silniki magnetohydrodynamiczne z wyciem pchały frachtowiec przez morze, ich moc usuwała na bok wodę i podrywała do góry dziób. Przez pokład przelewały się fale, omywały żurawie i waliły w nadbudowę z taką siłą że trząsał się cały statek. Woda spływała kaskadami za relingi i tryskała ze ścieków

pokładowych jak z hydrantów. Kiedy w końcu jej resztki zniknęły za burzą, dziób zaczął mozolną wspinaczkę na następną falę i cały cykl się powtarzał.

Dwie rzeczy umożliwiały „Oregonowi” szybką żeglugę podczas tak potężnego sztormu: niezwykle rodzaj napędu i wola kapitana.

Cabrillo siedział przypięty do swojego fotela w centrum operacyjnym. Był w dżinsach, czarnej bluzie sportowej i wełnianej czapce marynarskiej. Nie golił się od początku sztormu, więc na policzkach i brodzie miał gęstą szczecinę. Spojrzenie jego niebieskich oczu, podkrążonych i zaczerwienionych ze zmęczenia i napięcia, nie straciło jeszcze drapieżnej ostrości.

Wachtę pełnił starszy personel. Za sterem stał Eric Stone. Płaskie ekrany na jego stanowisku pokazywały panoramiczny widok wokół statku, więc mógł w porę reagować na większe fale. Potrafił tak operować sterem i przepustnicami, że wyciskał z „Oregoną” większą prędkość niż wysokiej klasy autopilot.

Juan obserwował, jak Stone prowadzi statek, i zerkał na prędkościomierz nad środkowym wyświetlaczem. Tempo podróży mierzył GPS. Duży frachtowiec zwalniał tylko wtedy, gdy był na dnie doliny fali.

W tym szaleńczym pędzie przez Morze Ochockie Cabrillo zapomniał o rozsądku. Próbował prześcignąć przesuwały się szybko sztorm. Nagrodę miał zdobyć ten, kto pierwszy dotrze do wybrzeża, gdzie według sygnałów transpondera był Eddie Seng. Sztorm przemieszczał się na północ z prędkością ośmiu węzłów. Załoga „Oregony” przez dwa dni znosiła nieprzerwany atak żywiołu. Juana nie obchodziło przeciążenie silników; powiedział Maksowi Hanleyowi, gdzie może sobie wsadzić swoje niezadowolenie.

Musiał zawiesić wykonywanie większości rutynowych czynności na statku. Nie było warunków do przyrządzania potraw, więc załoga musiała się zadowolić wojskowymi racjami żywnościowymi armii amerykańskiej, gotowymi porcjami, które nazywano żartobliwie „flakami po recyklingu”, i kawą.

Ale ryzyko się opłacało. Ostatnie informacje meteorologiczne wskazywały, że zbliżają się do czoła sztormu. Barometr już się podnosił. Juan zauważył, że marznący deszcz siecze z mniejszą siłą, a wysokie fale nadciągają rzadziej.

Wyświetlił na GPS-ie pozycję „Oregony” i zrobił w pamięci obliczenia. Od Eddiego dzieliło ich sześćdziesiąt mil morskich. Miał nadzieję, że kiedy wydostaną się ze sztormu, będą mogli zwiększyć prędkość do czterdziestu węzłów. Dotarliby wtedy do wybrzeża w półtorej godziny, sztorm dogoniłby ich po niecałych sześciu. Gdyby na półwyspie rzeczywiście zastali tysiące Chińczyków zmuszanych do pracy w kopalni złota, mieliby zbyt mało czasu na ich uratowanie. Mogliby zabrać na „Oregony” najwyżej kilkuset, może tysiąc, jeśli usuną z pokładu pojazdy podwodne i helikopter, ale biorąc pod uwagę gwałtowność sztormu, nieuchronną erupcję wulkanu i osłabienie ludzi, których spodziewali się znaleźć, byłoby zapewne mnóstwo ofiar.

Cabrillo pracował w CIA z facetami, którzy straty w ludziach traktowali z obojętnością aktuarusza czytającego kolumny liczb, ale sam nigdy nie stał się na tyle gruboskórny. Bronił się przed znieczulicą nawet jeśli płacił za to koszmarem i poczuciem winy.

- Prezesie, mam kontakt - zameldowała Linda Ross, pochylona nad wyświetlaczem radaru.
- Jaki?

Zerknęła na niego. W świetle lamp bojowych wydawała się młodsza.

- Sztorm zniekształca sygnały powrotne, ale to chyba bliźniak „Mausa”. Czterdzieści mil od nas są dwa obiekty blisko siebie. Jeden jest o wiele większy od drugiego, więc myślę, że to „Souri” i holownik.

- Kurs i prędkość?

- Kierują się na południe od punktu, w którym według transpondera jest Eddie, i rozwijają najwyżej sześć węzłów. Miną nas z prawej burty w odległości co najmniej dziesięciu mil, jeśli nie zmienimy kursu, żeby ich przechwycić.

- Coś się zmieniło z sygnałem Eddiego? - zawołał Juan do Kasima na stanowisku łączności.

- Ostatni odebrałem osiem godzin temu. Nie przemieścił się. Cabrillo znów zrobił obliczenia. Zważywszy prędkość „Mausa” i pokonany przez niego dystans, Eddie mógł być na pokładzie, ale przeczucie mówiło Juanowi, że Seng wciąż jest na plaży.

- Zignoruj „Souri”.

- Co?

- Słyszałaś. Zignoruj go.

Juan wiedział, że każdy jego rozkaz zostanie wykonany, ale uznał, że powinien to wyjaśnić. Od czasu rozmowy z Tory przed sztormem nie wypowiedział ani jednego zdania, które miałyby więcej niż pięć słów. Z obawy przed tym, co mogą zastać na Kamczatce, zamknął się w sobie. Teraz, gdy zbliżali się do celu podróży, chciał, żeby załoga zrozumiała jego logikę.

- Kiedy wpłyną w sztorm - powiedział - holownik będzie musiał ciągnąć „Souri” pod wiatr wiejący z prędkością trzydziestu węzłów, a kadłub suchego doku będzie cały czas działał jak ogromny żagiel. Nawet jeśli go zbalastują żeby zanurzył się głębiej i stawiał mniejszy opór, przy tej pogodzie nie posuną się naprzód. Może nawet zniesie ich z powrotem na północ. To wszystko da nam dość czasu na dotarcie do Eddiego, zrobienie tego, co będziemy mogli, wzięcie ponownie kursu na południe i przechwycenie „Souri” na pełnym morzu.

Zobaczył, że wszyscy się z nim zgadzają, choć poznał po ich minach, że woleliby najpierw dopaść łatwą zdobycz. Spodziewał się tego.

- Kiedy poprzednio śledziliśmy jeden z suchych doków Shere’a Singha - ciągnął - wykołowali nas. Prawdopodobnie mają nie gorszy radar niż my, więc musimy go całkowicie zakłócić.

Linda Ross uniosła rękę.

- Jeśli mają sprzęt takiej klasy, jak podejrzewamy, to się zorientują, że go zakłócamy.

- Jeżeli zaczniemy teraz, to nie - odparł Juan.

- Prezes ma rację - odezwał się Hali. - Ich radar śledzi sztorm i wyłapuje tyle rozproszonych odbić od fal i błyskawic, że jeszcze nas nie widzą więc jeśli teraz włączymy zakłócanie, nigdy nas

nie zobaczą.

- Wykorzystajcie wszystko, co mamy - rozkazał Cabrillo. - Chcę, żeby zostali bez radaru, radia, przekazu satelitarnego i elektroniki. Mimo to ominiemy ich szerokim łukiem. - Zwrócił się do Stone'a. - Na wszelki wypadek zmień kurs tak, żeby nie zbliżyli się do nas na mniej niż dwadzieścia mil.

- Tak jest - odpowiedział Eric i wprowadził do swojego komputera korektę kursu.

Trzydzieści minut później radar zaczął odbierać silne sygnały powrotne z plaży, odbicia od sześciu metalowych obiektów. Pięć z nich było na łodzi, a szósty, zapewne holownik, zajmował pozycję na głębszej wodzie sto metrów od brzegu.

Cabrillo chciał wysłać na zwiady ich ostatni samolot bezzałogowy, żeby sfotografował teren, ale George Adams uprzedził go, że lekka, sterowana radiem maszyna nie przetrwa w tej wichurze nawet dziesięciu sekund. Juan rozważył jego propozycję, żeby zaryzykować szybki lot rozpoznawczy Robinsonem. Uzyskanie danych taktycznych o tym, w co się pakują, miało duże znaczenie, ale równie ważny był element zaskoczenia. Poza tym wciąż utrzymujący się w atmosferze popiół wulkaniczny prawdopodobnie zatkałby filtry powietrza śmigłowca i helikopter by spadł.

- Dzięki, ale wolę cię mieć w rezerwie - odrzekł do mikrofonu przy swoich słuchawkach. Adams był w hangarze lotniczym „Oregon”. - Bądź w dziesięciominutowym pogotowiu, ale licz się z tym, że będziesz je musiał skrócić do pięciominutowego, kiedy wejdziemy do akcji. - Pięciominutowe pogotowie oznaczało, że otwarto luki nad ładownią i uniesiono Robinsona na pokład z pracującymi silnikami.

- Przyjąłem, prezesie.

- Starszy personel, proszę o raport sytuacyjny.

Ludzie Juana zgłaszali się jeden po drugim. Murph zameldował ze stanowiska ogniowego, że opuścił płyty zasłaniające gatlinga i działko kaliber 40 milimetrów, zamontowane na pokładzie „pięćdziesiątki” są załadowane, dwie torpedy czekają za zamkniętymi pokrywami zewnętrznymi wyrzutni, wszystkie kamery działają. Hali miał pełnić podwójne obowiązki: obsługiwać łączność i radar, żeby Linda Ross mogła towarzyszyć oddziałowi szturmowemu. Max Hanley wracał niechętnie z maszynowni, by objąć dowodzenie całością i kierować ekipami naprawczymi. Linc i jego komandosi ubierali się w hangarze łodziowym i zameldowali, że właśnie dołączyła do nich Linda. Doktor Huxley czekała w gotowości w izbie chorych. Zatrudniła cały personel kuchenny w charakterze sanitariuszy.

Juan przełączył się na radiowęzeł okrętowy.

- Uwaga, załoga, mówi prezes. Sprawa wygląda tak. Na tamtej plaży jest jeden z naszych, Eddie Seng. Uratowanie go jest naszym najwyższym priorytetem. Poza tym musimy ocalić tylu chińskich imigrantów, ilu zdołamy. Nie znamy jeszcze ich liczby i nie wiemy, w jakim są stanie, więc musimy być elastyczni. Zagroza nam erupcja wulkanu i silny sztorm, co oznacza, że trzeba będzie działać szybko; wykonać zadanie i jak najprędzej się wycofać. Nie będę ryzykował i narażał na niebezpieczeństwo statku ani załogi, jeśli się okaże, że może nam zabraknąć czasu.

- Nie zamierzam udawać Henryka V pod Azincourt ani Nelsona pod Trafalgarem. Każdy z was

zna swoje obowiązki i wie, że polegają na nim inni członkowie załogi. Jesteśmy w niezwyklej dla nas sytuacji. Obecny kontrakt daleko wykroczył poza to, do czego nas wynajęto. Teraz nie chodzi już o piratów grasujących na Morzu Japońskim, tylko o przemytników handlujących najcenniejszą rzeczą na świecie - ludzkim życiem. Jesteśmy tu nie po to, żeby napchać sobie kieszenie, lecz dlatego, że jako członkowie cywilizowanej społeczności mamy obowiązek przeciwstawić się temu.

- Wszyscy mieliście czas to przemyśleć, wiedząc, że ten moment nadchodzi. I oto nadszedł, panie i panowie. Za niecałą godzinę zmierzmy się z nieznanymi nam siłami przeciwnika. Od nas zależy los wielu ludzi. Wiem, że nie pozwolicie im zginąć.

Juan wyłączył radio, ale natychmiast wrócił na linię. Tym razem w jego głosie zabrzmiała nuta humoru. - Przepraszam, jednak wypadłem trochę jak Nelson. A teraz chodźmy tam i skopmy im tyłki.

## 24

W drodze na spotkanie z oddziałem szturmowym Cabrillo wstąpił do swojej kajuty, żeby się przebrać. Włożył czarny mundur polowy, kevlarową kamizelkę kuloodporną i uprząż bojową. Choć większość broni ręcznej Korporacji spoczywała w specjalnym schowku, trzymał własną w kącie swojego biura w staromodnym sejfie, pochodzącym z dawno nieczynnej stacji kolejowej w Santa Fe. Wetknął do kabur przy pasie dwa pistolety FN Five-seven. Zwiększył swoje obciążenie, ale w zamian mógł zaoszczędzić cenne sekundy, które zajęłoby ponowne ładowanie. Ponieważ dowodził dużą, siedmioosobową drużyną, postanowili, że wszyscy wezmą takie same karabiny szturmowe. Juan chwycił M-4A1 i wsunął do odpowiednich kieszeni sześć zapasowych magazynków. Uznał, że wystarczy mu jeden nóż zamiast dwóch - gerber z dziesięciocentymetrowym ostrzem, który wisiał odwrócony w pochwie na jego ramieniu.

Przypasał nakolanniki i wygiął je kilka razy, żeby się dobrze ułożyły. Potem wciągnął rękawiczki z obciętymi palcami i grubymi skórzanymi ochraniaczami dłoni. Uchwycił wzrokiem swoje odbicie w łazienkowym lustrze. W jego twardym, skupionym spojrzeniu była determinacja i energia, która dodawała mu sił w CIA i doprowadziła do tego, że stworzył Korporację. Twarz człowieka czynu - wyszkolenie, doświadczenie i wola.

Juan znów miał poświęcić się dla innych, być może składając siebie w ofierze. Popatrzył sobie w oczy, zobaczył w nich bezlitosny błysk i nagle wybuchnął śmiechem.

Prawda wyglądała tak, że kochał ryzyko. Inaczej nie byłby w tej branży. Adrenalina i endorfiny już zaczynały działać, wprowadzały go w stan euforii, który rozumieli tylko tacy jak on. Stawianie czoła przeciwnikowi oznaczało konfrontację z samym sobą. Zwycięstwo potwierdzało to, kim jesteś, za kogo się zawsze uważałeś.

W zimnym i wilgotnym hangarze łodziowym panował tłok. Mężczyźni i kobiety kończyli ostatnie przygotowania. Zamiast zodiakiem, mieli popłynąć łodzią szturmową używaną przez komandosów SEAL. Zajmowała większość przestrzeni w hangarze. Miała poliwęglanowy kadłub z gumowym obrzeżem, lekko opancerzoną centralną sterówką i dwa silniki zaburtowe. Nadawała się do żeglugi w każdych warunkach pogodowych i rozwijała prędkość prawie pięćdziesięciu węzłów.

Oświetlenie w hangarze zostało przyćmione odpowiednio do zachmurzenia na zewnątrz, więc wszyscy wyglądali blado i mizernie. Ale mieli bystre spojrzenia i szybkie, pewne ruchy, gdy

wzajemnie sprawdzali swoje wyposażenie. Dźwięki wciskanych magazynków i odciąganych zamków brzmiały w uszach Cabrilla jak uspokajająca symfonia.

Dostrzegł przez hangar wzrok Tory Ballinger. Zgodziła się niechętnie zostać w łodzi szturmowej, kiedy oddział wylądował na plaży. Najemnicy Korporacji ćwiczyli wspólnie więcej razy, niż potrafili zliczyć i byli pod ogniem częściej, niż chcieli pamiętać. W czasie walki poruszali się i rozumieli tak, jakby czytali wzajemnie w swoich myślach. Juan uświadomił Tory, że jej obecność wśród nich zagrażałaby ciężko wypracowanej spójności zespołu.

Nie zdołał jej wyperswadować udziału w akcji, ale też zbytnio się nie starał. Wiedział, że Tory chce w tym uczestniczyć, bo ma poczucie winy, że tylko ona ocalała z „Avalona”, i dopóki nie dokona jakiegoś aktu zemsty, tamto zdarzenie będzie ją prześladowało do końca życia. Planował jej pomóc, dopilnować, żeby też mogła coś zdziałać podczas operacji.

Tory pokazała mu uniesiony kciuk i skinęła głową, a gdy wyszczerzył zęby w zawadiackim uśmiechu, również się uśmiechnęła.

Odezwało się jego radio.

- Juan, tu Max.
- Mów.
- Murph ma już obraz z kamery. Przesyłam ci to na dół.
- Przyjąłem.

Juan przeskoczył przez burtę łodzi szturmowej i włączył płaski wyświetlacz w kokpicie. Autostabilizatory w mocowaniach kamery kompensowały ciągłe kołysanie i przechyły statku, więc Murph mógł robić wyraźne zbliżenia tego, co się dzieje, gdy „Oregon” wpłynął do zatoki.

Przekazy zmieniały się w stałym tempie. Cabrillo zobaczył najpierw intensywną wymianę ognia w pobliżu dużego metalowego budynku na barce. Potem ludzi wyglądających jak sklonowani piraci, których Korporacja zlikwidowała kilka tygodni temu. Atakowali holownik gotowy do zabrania barki. Następnie na ekranie pojawiły się setki chińskich robotników na tle księżycowego krajobrazu. Biegali między głazami na błotnistym zboczu, żeby uciec przed ostrzałem. Juan zobaczył, że jednostki pływające, które wcześniej wyłapał radar, to stare statki wycieczkowe. Oprócz jednego, wszystkie były wbite głęboko w brzeg przez fale i przyływ i tkwiły w ziemi niemal po linie ładunkowe. Samotny wyjątek zapewne dostarczono niedawno. Choć fale przyboju uderzające w kadłub nie kołysały nim, statek jeszcze nie osiadł na kamienistej plaży. W końcu Murph pokazał Juanowi wulkan w oddali. Jego szczyt spowijała para i dym.

Cabrillo szybko się zorientował, jaka jest sytuacja taktyczna i strategiczna, i zaczął wydawać instrukcje. Jego rozkazy poderwały do działania wszystkich członków załogi. W długich korytarzach statku rozlegały się ich okrzyki i nawoływania, gdy przygotowywali się do akcji. Prezes wzywał do maksymalnej mobilizacji, więc musieli dać z siebie wszystko.

Kilka minut później „Oregon” zbliżył się do walczących na taką odległość, że zwrócił na siebie ich uwagę. Oddział Europejczyków w identycznych czarnych uniformach zignorował frachtowiec, podczas gdy obszarpani Indonezyjczycy otworzyli do statku chaotyczny ogień.

Kiedy tylko dwaj załoganci umieścili na łodzi szturmowej masywną belkę z kawałkami łańcucha na obu końcach, Juan kazał Stone'owi odwrócić frachtowiec od brzegu. „Oregon” stał się łatwiejszym celem dla strzelców, ale Cabrillo i drużyna desantowa mogli niepostrzeżenie otworzyć



drzwi hangaru łodziowego.

Gdy drzwi uniosły się do góry, komandosi wskoczyli do łodzi szturmowej, wsunęli ręce w specjalne pętle zabezpieczające i zawołali, że są gotowi. Mike Trono odpalił silniki i Juan skinął głową szefowi obsługi hangaru. Niczym ogromna proca, napędzane hydraulicznie bloki wystrzeliły łódź w dół pochylni i na zewnątrz statku. Gwałtowne przyspieszenie wzrosło, kiedy Trono opuścił do wody śruby. Pędniki potężnych silników zaburtowych wgrzyły się głęboko w morze, wyrzuciły do wnętrza „Oregona” pióropusze wody i zwinna łódź pomknęła po falach.

Okrążyła zardzewiała frachtowiec, zostawiając szeroką bruzdę na powierzchni czarnego morza. Zanim ktokolwiek na plaży zauważył łódź, pędziła z prędkością pięćdziesięciu węzłów, o wiele za szybko, by w nią trafić.

Trono stale robił uniki, kiedy kierował się do wskazanego przez Juana punktu lądowania. Cabrillo wybrał miejsce za osłoną jednego ze statków wycieczkowych, który był tak głęboko wbity w brzeg, że robotnicy zbudowali z kamieni pochylnię prowadzącą na główny pokład. Wokół kadłuba leżały głazy, zbyt ciężkie, aby mogło je przesunąć morze.

Łódź przecięła fale przyboju. Miała tak małe zanurzenie, że komandosi musieli przebiec tylko kilka metrów przez wodę, by znaleźć osłonę na usianej kamieniami plaży. Juan i Linc ukryli się za skalną bryłą wielkości domu, wyrzuconą z wulkanu w czasie jakiejś prehistorycznej erupcji. Łódź szturmowa już się cofnęła od brzegu. Juan sprawdził, czy Tory została na pokładzie, tak jak jej kazał. Jego uznanie dla niej wzrosło, kiedy zobaczył, że stoi w odkrytej sterówce między Mikiem Trono i byłym żołnierzem piechoty morskiej nazwiskiem Pułaski.

- Co o tym myślisz, szefie? - zapytał Linc.

- Wygląda na to, że wdepnęliśmy w sam środek jakiejś małej wojny. Założę się, że Indonezyjczykom płaci Singh, a faceci w czerni to ludzie Sawicza.

- Więc wrogowie naszych wrogów niekoniecznie są naszymi przyjaciółmi, co?

- Właśnie takie założenie przyjmuję.

Drużyna ruszyła w górę zbocza. Od pola walki odgradzał ich statek wycieczkowy na plaży. Na ziemi leżały tuziny skulonych ze strachu chińskich robotników. Nie wiedzieli, co myśleć o uzbrojonym patrolu. Juan próbował ich nakłonić, żeby się ukryli, ale byli sparaliżowani strachem, więc dał sobie spokój.

Wiedział, że jeśli chce ich uratować, trzeba położyć kres strzelaninie.

- Prezesie, jesteśmy gotowi - zameldował Max przez taktyczną sieć łączności.

„Oregon” zmienił pozycję. Pokrywy zasłaniające jego działko Gatling były jeszcze zamknięte, ale statek ustawił się tak, że miał na linii ognia dwa trawlerzy przycumowane do holownika.

- My prawie też. Wiadomo coś o Eddiem?

- Nie. Hali przejął kamery, żeby Murph mógł się skoncentrować na uzbrojeniu. Robi dobre ujęcia, ale na plaży jest tak cholernie dużo ludzi, że porównanie wszystkich twarzy ze wzorcem zajmuje komputerowi kilka sekund.

- Sprawdźcie rejon walki. Jeśli Eddie jako tako się trzyma, na pewno tam jest.

- Słuszne rozumowanie. Hali?

- Słyszałem - odrzekł łącznościowiec Korporacji. - Już się robi. Cabrillo i jego ludzie dotarli do kawałka płaskiego gruntu kilkaset metrów powyżej plaży. Dalej w kierunku środka odkrywki teren był mocno rozkopany. Armatki wodne do wypłukiwania twardej ziemi porzucono, ich wyloty celowały w niebo. Wokół wałały się łopaty i wiadra. Wszyscy robotnicy uciekli, a pilnujący ich strażnicy zbiegli na dół, żeby przyłączyć się do walki.

Drużyna zbliżała się ostrożnie do wyrobiska z bronią gotową do strzału. Na żadnym miejscu nie zatrzymywali wzroku dłużej niż przez sekundę.

W dole rozległ się wybuch granatu za barką który na moment przykuł ich uwagę. W powietrzu poszybowało ubrane na czarno ciało któregoś z ludzi Sawicza i upadło na plażę. W tym samym momencie zaterkotał z bliska kałasznikow.

Cabrillo dał nura na ziemię, gdy wytrysnęły wokół niego fontanny błota, i natychmiast opróżnił pół magazynka w kierunku jednej z armatek wodnych. Chybił, ale zmusił przeciwnika do przerwania ognia i szukania kryjówek.

Linc spisał się lepiej. Oddał trzystrzałową serię, która odrzuciła Indonezyjczyka do tyłu, prosto do zbiornika retencyjnego. Jego ciało zniknęło w brązowej wodzie, krew pozostała na powierzchni. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawili się następni Indonezyjczycy i drużyna ukryła się za ziemną ławą. Od kanonady drgało powietrze.

- Nie mamy na to czasu! - krzyknęła Linda Ross, zmieniając magazynek.

Juan spojrział w dół wzgórze. Łódź szturmowa kierowała się na pozycję, gdzie miała dostać osłonę ogniową z gatlinga, ale Cabrillo nie mógł sobie pozwolić, żeby pozostać przygwożdżonym przez przeciwnika. Stare powiedzenie frontowe, że żaden plan nie wytrzymuje pierwszego kontaktu z nieprzyjacielem, nigdy nie było bardziej prawdziwe.

Wywołał łódź przez mikrofon krtaniowy.

- Mike, słyszysz mnie?

Kiedy nie otrzymał odpowiedzi, spróbował jeszcze raz. Łódź wciąż płynęła z prędkością pięćdziesięciu węzłów i ryk silników uniemożliwiał prowadzenie rozmowy. Cabrillo zaklął i połączył się z Markiem Murphym.

- Murph, potrzebujemy twojej pomocy. Nad nami jest około pięćdziesięciu bandytów. Jesteśmy przygwożdżeni.

- Mike zaraz będzie przy holowniku - zauważył Murphy.

- Im dłużej ze mną dyskutujesz, tym jest bliżej.

- Przyjąłem - odrzekł Murph i mruknął pod nosem: - Wybacz, Mike.

\*\*\*

Gdy tylko ostatni członek drużyny szturmowej wyskoczył za burzę, Mike Trono dał wsteczny bieg i cofnął łódź od plaży do miejsca, gdzie mógł swobodnie zawrócić.

Kiedy nabrała szybkości, opuścił na uszy słuchawki z mikrofonem, żeby porozmawiać z Tory.

- Mogę panią o coś zapytać?

- Pod warunkiem że przestaniesz mówić do mnie „pani”. Trono wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Przepraszam. Siła przyzwyczajenia.

- O co chciałaś zapytać?

- Umiesz prowadzić łódź?

- Pracuję w londyńskim Lloydzie. Całe moje życie kręci się wokół statków. Jestem licencjonowanym kapitanem i mogę prowadzić wszystko do dwudziestu tysięcy ton, co oznacza, że waszego „Oregon” też bym mogła, gdybyście nie przerobili go na coś z Gwiezdných Wojen.

- Tę łódź też? - Tupnął w pokład.

- Chyba steruje się nią tak samo, jak motorówką Riva, którą wypożyczyłam w czasie moich ostatnich wakacji w Hiszpanii. A dlaczego pytasz?

- Bo mamy coś do zrobienia i chciałbym, żebyś przejęła ster na czas, kiedy Pułaski i ja będziemy się tym zajmowali.

- Domyślam się, że to ma coś wspólnego z tym kawałem żelaza, który załadowano na pokład, zanim opuściliśmy statek.

- Rozkaz kapitana. Uważa, że możemy uratować z tego piekła nie tylko część imigrantów.

Twarz Tory rozjaśnił uśmiech.

- Jakoś nie jestem tym zaskoczona.

Przemknęli przez zatokę, znów okrążając z tyłu „Oregon”, żeby mieć osłonę, i teraz trzymali kurs na holownik. Jeden z trawlerów oddalał się w dryfie od jego burty, drugi nadal był do niego mocno przycumowany. Na wszystkich pokładach roiło się od ludzi, głównie piratów. Garstka załogantów próbowała rozpaczliwie bronić swojego statku. Część atakujących zabijała marynarzy maczetami.

Decydujące znaczenie miała koordynacja, ale że Murph obserwował w celowniku gatlinga ich plecy, łódź szturmowa weszła do akcji. Byli dwadzieścia metrów od celu, gdy Mike przypomniał sobie, że zdjął słuchawki. Kiedy tylko włożył je z powrotem, usłyszał przeraźliwy jazgot sześciolufowego gatlinga i trochę zwiększył otwarcie przepustnic.

Pociski demolowały kutry piratów i czyściły pokład holownika, ale ostrzał nie przyniósł spodziewanego skutku. Piraci ukryci za relingiem holownika otworzyli ogień do łodzi szturmowej. Znalazła się pod gradem kul. Serie z kałasznikowów dziurawiły pneumatyczną kurtynę wokół kadłuba i pokład, rykoszetowały od silników zaburtowych, ale jakimś cudem nikt nie został trafiony. Trono próbował obrócić koło sterowe, żeby jak najszybciej oddalić się od holownika.

Teren między Juanem a Indonezyjczykami eksplodował, rozerwany przez pięćset pocisków zawierających zubożony uran. Kanonada unicestwiła półtorametrową warstwę ziemi i odsłoniła strzelców ukrytych za zbiornikiem retencyjnym. Ci, którzy nie zostali trafieni bezpośrednio, zginęli pod gradem fruwających kamieni. Cała grupa przestała istnieć w krwawej mgłę i masie szczątków.

Linc wysunął się naprzód, żeby sprawdzić, czy ktoś ocalał. Przeprowadził dokładne

poszukiwania, choć wiedział, że są zbędne. Nikt nie mógł tego przeżyć.

- Czysto.

Juan zebrał swoich ludzi.

- Straciliśmy element zaskoczenia, ale będziemy się trzymać planu. Oskrzydlimy walczących na dole i spróbujemy znaleźć Eddiego. Mam nadzieję, że zdobył zaufanie Chińców, bo jeśli chcemy uratować kogoś z nich, będzie nam potrzebne.

Ruszyli w dół zbocza.

Eddie Seng obserwował z ukrycia walczących, żeby zobaczyć, jak zareagują na pojawienie się w zatoce „Oregona”. Tak jak się spodziewał, zdyscyplinowani Rosjanie zignorowali frachtowiec i kontynuowali ostrzał przeciwnika. Położyli trupem sporo Indonezyjczyków, ale przewaga liczebna nieprzyjaciela stawała się zbyt duża. Z dwunastu Rosjan, którzy wpadli w zasadzkę, czterech zginęło, a trzech zostało rannych. Nadal się bronili, jednak wynik starcia był przesądzony i Rosjanie o tym wiedzieli. Już nie walczyli o życie. Teraz chodziło tylko o to, by umrzeć z honorem.

Uwagę Eddiego zwróciło coś na przeciwległym końcu przetwórnicy rudy. Mimo dużej odległości rozpoznał Jana Paulusa. Afrykaner wyłonił się z wnętrza statku mieszkalnego i zaczął wspinać na lądowisko, gdzie czekał gotowy do startu helikopter Antona Sawicza. Towarzyszył mu jakiś mężczyzna. Wyglądało na to, że Paulus trzyma pistolet przy jego głowie. Prawdopodobnie wziął jako zakładnika kontraktowego pilota, żeby go stąd zabrał. Sawicz przepadł bez śladu i Eddie się zastanawiał, czy Paulus go zabił.

Pościg za nadzorcą był błędem taktycznym, ale Eddie tak się wściekł, że przestał myśleć racjonalnie. Tygodnie bólu, głodu i poniżenia odcisnęły na jego psychice silne piętno. Zabicie sadystycznego górnika byłoby początkiem terapii. Kazał Tangowi zebrać tylu robotników, ilu zdoła, i poprowadzić ich na statek wycieczkowy, osadzony ostatnio na brzegu. Ze wszystkich wraków zaśmiecających odludną plażę ten miał największe szanse przetrwać erupcję wulkanu.

Choć Eddie był osłabiony, gdy tylko ruszył za Paulusem, poczuł, że nogi ma silne jak zwinięte sprężyny, a jego płuca pompują powietrze niczym kowalskie miechy. Odżył po raz pierwszy, odkąd w wiosce Lantan powierzył swój los węzowym głowom. Jeśli jacyś walczący zauważyli go, kiedy wypadł zza zardzewiałych kontenerów, to uznali go za anonimowego robotnika, który próbuje się ratować, i szybko o nim zapomnieli. Automat ukrył pod luźną koszulą zabraną martwemu strażnikowi.

Dotarłszy poza pole walki, natknął się na łódź motorową używaną wcześniej do przetrzutu złota na holownik. Stała w ustronnej zatoczce odgradzonej od reszty plaży masywnymi głazami. Ośmiu piratów przygotowywało się do spuszczenia jej na wodę. Gdy Eddie wydostał się na otwartą przestrzeń, wszyscy unieśli głowy. Jeden sięgnął po broń. Seng dał nura w lewo i pociski pokruszyły głaz obok jego ramienia. Wyciągnął automat, zaczekał, aż ustanie ogień, i wyszedł zza osłony.

Pirat był odwrócony tyłem i rechotał ze swoimi towarzyszami. Pierwsza trzystrzałowa seria rzuciła jego martwe ciało w ramiona zaskoczonych kolegów. Druga położyła trupem tamtego. Eddie zabił jeszcze jednego, zanim się zorganizowali i odpowiedzieli ogniem. Znow się ukrył, zawiesił karabinek na plecach i zaczął się wdrapywać na gładki bok głazu.

Ramiona drżały mu z wysiłku, gdy podciągał do góry swoje wychudzone ciało, automat ciążył mu

jak pięćdziesięciokilogramowy plecak. Kiedy wreszcie dotarł na szczyt, usłyszał ryk silnika łodzi. Przeczółgał się po zaokrąglonym wierzchołku i spróbował unieść broń.

Jeden z piratów musiał odgadnąć jego zamiary, bo nagle z głązu poleciały odpryski. Eddie zasłonił głowę przed ostrymi odłamkami i poczuł na rękach ukłucia, jakby wpadł do gniazda os. Ostrzał trwał, dopóki łódź nie oddaliła się na tyle, że piraci nie mogli utrzymać głązu w celownikach.

Eddie zaryzykował i podniósł wzrok. Piraci kierowali się w stronę holownika, do którego zbliżała się pod ogniem z jego pokładu łódź szturmowa „Oregona”. Bez względu na to, jaki plan miał Juan, nie wyglądało to dobrze. W łodzi było tylko kilka osób. Jeśli chcieli zaatakować holownik, powinni dostać z „Oregony” osłonę ogniową, tymczasem gatling milczał.

Nagle wielolufowe działko ożyło. Z jego stanowiska wystrzelił trzymetrowy płomień i część wzgórze ze zbiornikami retencyjnymi wysoko powyżej plaży zniknęła wśród rozprysków ziemi wyrzucanych przez pociski.

Nie mogąc ostrzec łodzi szturmowej przed nadpływającym tenderem, Eddie zsunął się z głązu i ruszył za Janem Paulusem.

\*\*\*

Mike Trono jedną ręką trzymał koło sterowe, a drugą strzelał, by zwiększyć siłę ognia prowadzonego z łodzi szturmowej do piratów. Przykucnięta na pokładzie Tory celowała do przeciwników usadowionych wzdłuż relingu holownika. Miała oko mistrzyni olimpijskiej i cierpliwość snajpera.

Czuła doskonale wyważenie broni, gdy po raz piąty naciskała spust. Jej cel dał nura za nadburcie, ale strzał zniechęcił go na kilka sekund do podnoszenia głowy. Inny pirat wyłonił się nagle z ukrycia i podziurawił wodę serią z kałasznikowa, zanim skierował ogień na uciekającą łódź. Tory dokładnie wycelowała, przewidując działanie fal, i ściągnęła spust. Pocisk trafił w reling przed Indonezyjczykiem i zrykoszetował wśród snopu iskier prosto w jego pierś, podrywając go do góry.

- Trzymać się! - krzyknął Trono. - Podchodzimy jeszcze raz. Przerwać ogień.

Obrócił koło sterowe i skierował łódź na kurs kolizyjny z przysadzistym holownikiem. Ponieważ nie strzelano do nich, wielu piratów wstało, żeby wziąć na muszkę przeciwnika.

- Czas na przedstawienie - rozległ się w radiu Trono głos Murpha. Oficer uzbrojenia „Oregony” przesunął lufy gatlinga ze wzgórze na dryfujący trawler i posłał w niego kilkusekundową serię. Kuter rozleciał się na kawałki wśród drzazg i strzępów sieci. Sterówka zniknęła. Pociski przeniknęły do maszynowni, wyrwały z mocowań wielkiego diesla i podziurawiły zbiornik paliwa. Nastąpiła eksplozja, pod niebo uniosła się ognista kula.

Szczałki trawlera natychmiast zatoneły i płomień zgasł w kłębach pary.

Murph obrócił gatlinga w stronę holownika i znów nacisnął spust. Kanonada ścieła piratów jak salwa z kartaczownic. W kontenerach przywiązanych do pokładu pojawiły się dziesiątki dziur. Szkło z tylnego mostka posypało się połyskującą kaskadą na ciała i pokaleczyło zwłoki. Murph omiół pokład serią by mieć pewność, że nikt nie przeżył.

- To powinno ich powstrzymać - zawołał.

Mike podpłynął do najniższego odcinka relingu i przekazał ster Tory.

- Czekał tu na nas. Zaraz wracamy.

- Po co właściwie to robicie? - zapytała i usunęła się na bok, kiedy Pułaski i Trono kładli ciężką stalową belkę na pokładzie holownika.

Mike wręczył jej swoje radio taktyczne i się uśmiechnął.

- Prezes uważa, że na tej łajbie jest niezły łup - odparł. Mężczyźni wspięli się na pokład. Lata morderczych ćwiczeń nauczyły ich, że zawsze trzeba sprawdzić, czy nikt nie ocalał. Zadanie było makabryczne, rodem z filmowego horroru, bo to, co pociski z gatlinga zrobiły z ludzkich ciał, Trono mógł opisać tylko jako gulasz. Wzięli belkę na ramiona i ruszyli przez krwawe pobojuwisko w kierunku jednego z kontenerów.

Trono wyjął swojego glocka i przestrzelił zamek, a Pułaski ustawił belkę tak, żeby mogli ją wciągnąć na kontener. Zawiasy zazgrzytały przeraźliwie, gdy Mike otworzył gwałtownie jedną połowę drzwi i równie szybko zamknął ją z powrotem. Pułaski posłał mu pytające spojrzenie.

- Prezes znów miał rację.

- Złoto?

- Złoto.

Pułaski podsadził Mike'a, który podciągnął się na kontener. Wspólnymi siłami ulokowali na wierzchu dziewięćdziesięciu kilogramową belkę. Trono podniósł wzrok, kiedy zaczęli przewlekać kawałki łańcucha przez uchwyty. Od strony lądu pędziła mała motorówka, niewidoczna dla Murpha, bo zasłaniał ją holownik. Mike naliczył w niej sześciu uzbrojonych ludzi. Pokonała fale przyboju i wy dostała się na spokojniejszą wodę.

- Mamy problem.

Pułaski obejrzał się przez ramię.

- Niech to szlag!

Łódź mogła do nich dotrzeć w ciągu sekund, nie minut, których potrzebowali na przywiązanie belki do kontenera, ale nie zamierzali porzucić swojej zdobyczy. Mike krzyknął w dół do Tory:

- Mamy towarzystwo. Bandę oprychów w odkrytym tenderze. Zabieraj się stąd.

- Nie zostawię was.

- Nie zgrywamy bohaterów. Musisz ich stąd odciągnąć, żeby Murph mógł do nich wygarnąć z gatlinga.

Tory zrozumiała. Pchnęła przepustnice do oporu i obróciła koło sterowe. Łódź wystrzeliła naprzód i skręciła ostro za holownik. Tory zapomniała o grubych linach, wciąż łączących jego rufę z barką na brzegu. Nie miała czasu na żaden manewr, więc tylko się schyliła przed pierwszą liną. Gruby stalowy splot zawadził o kokpit i wyrwał go z mocowań. Gdyby zareagowała moment później, zostałaaby zgilotynowana.

Łódź przemknęła pod drugą liną i wzięła kurs na tender. Pędziła tak szybko, że piraci mogli tylko patrzeć, jak się do nich zbliża. Jeden wyskoczył za burtę. Zanim pozostali pomyśleli, żeby sięgnąć po broń, Tory była dwadzieścia metrów od tendera. Gnała jak chart.

Piraci otworzyli ogień, więc poprowadziła łódź slalomem. Czowała przyływ adrenaliny.

- Wiem, wiem, cholerne baby za kierownicą. Stuknie cię taka, a potem próbuje uciec. A może mnie dogonicie, to wymienimy numery praw jazdy i polis ubezpieczeniowych?

Obejrzała się, by zobaczyć, czy chwycili przynętę, ale ku jej przerażeniu okazało się, że podpływają do holownika. Włożyła szybko słuchawki z mikrofonem, które dał jej Mike.

- Tu Tory. Mówię z łodzi szturmowej Trono i Pułaskiego.
- Tu Max Hanley. W czym problem, Tory?
- Do holownika zaraz dobieje mała motorówka z sześcioma terrorystami. Wasi ludzie są uwięzieni na jego pokładzie, uzbrojeni tylko w pistolety. Nie mają szans.
- Gdzie jesteś? - spytał Max beznamiętnym tonem, żeby ją uspokoić.
- Płynę. Mike chciał, żebym ich odciągnęła, ale się nie udało.
- Dobra, zaczekaj chwilę. Trono? Pułaski? Jesteście tam? Odpowiedź nadeszła szeptem.
- Tu Ski, Max. Jesteśmy na jednym z kontenerów. Piraci właśnie weszli na pokład.
- Myślisz, że was zauważyli?
- Nie. Zanim tu wleźli, Mike złapał kawał brezentu i schowaliśmy się. Jeśli nie zajrzą na górę, nie znajdą nas. Ale nie przeszukują łajby.
- A co robią?
- Wygląda na to, że chcą odcepić liny holownicze i dać stąd nogę. Co mamy robić?
- Pomóc im - wtrącił się Cabrillo na otwartym kanale łączności.
- Co?! - zawołali jednocześnie Max i Pułaski.
- Słyszeliście. Ski, zostańcie tam z Mikiem. Max, chcę, żebyście przecięli liny holownicze. - Przez radio Juana dochodziły odgłosy walki na plaży: ostre trzaski karabinów, terkot automatów i przeraźliwe wrzaski rannych.
- Mogę je przestrzelić z gatlinga - włączył się do rozmowy Mark Murphy. - Celna seria w bębny z linami na rufie holownika powinna załatwić sprawę.
- Ale po co? - zapytał Max.
- Bo tutaj pod ogniem krzyżowym jest tysiąc albo więcej chińskich robotników i im dłużej trwa ta walka, tym więcej ich ginie. Wygląda na to, że Rosjanie są w stanie utrzymać się jeszcze kilka godzin. W tej chwili tamten holownik jest jedynym środkiem transportu piratów i założę się, że jak zobaczą że jest gotowy do drogi, zapomną o walce i wyniosą się stąd.
- Oddalą się od cywilów...

- I Murph będzie miał okazję ich wykosić - dokończył Juan.

- A co z Rosjanami?

- Damy im szansę. Jeśli się poddadzą, przeżyją. Jeśli nie, są twoi. Jakby dla podkreślenia, że trzeba się pospieszyć, powietrze rozdarł głośny trzask. Ze szczytu wulkanu wystrzeliła nowa chmura popiołu i uniosła się wysoko niczym atomowy grzyb. Juan nie miał pojęcia, ile czasu im zostało, godziny czy minuty. A jeszcze nie zlokalizowali Eddiego. Gdyby jego plan szybkiego zakończenia walki się nie powiódł, musiałby rozważyć ewakuację swoich ludzi z plaży i odwrót.

Ponure rozmyślenia Cabrilla przerwał głos Haliego Kasima:

- Prezesie, znalazłem Eddiego! Jest na drugim końcu barki. Wygląda na to, że tropi dwóch ludzi. Jeden z nich to chyba zakładnik.

- Dokąd idą?

- W górę. Oddalają się od plaży. Odległość jest dość duża, ale chyba stoi tam helikopter.

- Rozwalcie go - rozkazał Cabrillo. Spojrzał na Linca. Zrozumieli się bez słów. Linc przejął dowodzenie drużyną Juan ruszył biegiem przed siebie. Pokonał zaledwie czterdzieści metrów, gdy natrafił stopą na luźny kamień. Gdyby to była jego noga, złamałby lub przynajmniej skręcił sobie kostkę. A tak tylko upadł, co uratowało mu życie, bo nad nim zagwizdały pociski. Przetoczył się błyskawicznie i ukrył za stertą kamieni. Strzelec był poniżej, schowany za piramidą beczek.

Juan sprawdził, czy ma pocisk w granatniku podwieszonym pod lufą swojego M-4, oparł karabin o głaz i nacisnął spust. Broń wydała głuchy dźwięk i sekundę później granat wylądował za beczkami. Eksplozja spowodowała wybuch paliwa. Beczki wystrzeliły w powietrze jak rakiety. Niektóre rozerwały się w locie, inne uderzyły w ziemię i plażę zalała paląca się benzyna.

Juan zerwał się na nogi, gdy jedna z beczek zatoczyła wysoko łuk i zaczęła spadać niczym meteor. Wylądowała pięć metrów od niego trochę wyżej na wzgórzu, więc kiedy pękła, w jego kierunku popłynęło płonące paliwo. Zwalczył odruch, żeby uciekać w dół zbocza. Zamiast tego pobiegł na ukos. Płomienie lizały mu kolana, od żaru bolały go płuca, ale po chwili wydostał się z pożogi tylko z osmalonymi włosami.

- Z deszczu pod rynnę - wydyszał, gdy znów podjął pościg za Eddiem Sengiem.

Jednosekundowa seria z gatlinga wystarczyła, by rozerwać stalowe liny holownicze. Moment nie mógł być lepszy, bo piraci na holowniku właśnie zwiększyli obroty silników i z komina buchnął gęsty dym. Ich kompani na plaży zareagowali dokładnie tak, jak przewidział Juan.

Zostawili Rosjan w spokoju i pobiegli na brzeg. Niektórzy zatrzymali broń, ale większość ją porzuciła, zanim dali nura do lodowatej wody i zaczęli płynąć do holownika. Ich widok kojarzył się Lincowi ze szczurami uciekającymi z tonącego statku. On i reszta drużyny prowadzili ogień ze swoich pozycji. Bardzo niewielu przeciwników tak pochłaniała walka, że nie zauważyli, iż zaraz zostaną bez transportu.

Linc zlikwidował dwóch granatem i miał na muszce trzeciego, gdy nagle pirat leżący nieruchomo u jego stóp ożył. Odtrącił mu na bok M-4 i próbował wbić w pierś zakrzywiony nóż. Linc zablokował cios, ale ostrze rozcięło mu ramię. Wbił pięść w mięśnie pod pachą przeciwnika, co na



moment sparaliżowało tamtemu rękę. Przez ten czas zdążył wyciągnąć pistolet i wpakował piratowi kulę między oczy. Zignorował obfite krwawienie z rany w ramieniu i ruszył dalej.

Eddie zdał sobie sprawę, że nie dogoni Paulusa. Przypływ energii okazał się krótkotrwały: tracił siły, mdliło go z głodu, brakowało mu tchu. Ale nie rezygnował, popychany naprzód tylko przez emocje. Paulus i jego zakładnik byli minutę drogi od helikoptera Mi-8. Eddie starał się szybciej przebierać nogami, lecz mimo to czuł, że zwalnia. Wtem w oddali odezwało się 40-milimetrowe działko „Oregona”. Pięć pocisków poszybowało wysoko nad plażą przeleciało bezpośrednio nad Eddim i posiekało teren wokół śmigłowca. Kiedy opadł kurz, zobaczył zniszczony kokpit. Roztrzaskany pleksyglas lizały płomienie, na ziemi walały się szczątki urządzeń elektronicznych.

Eddie obejrzał się przez ramię, żeby oddać statkowi gratulacyjny salut, i zauważył biegnącą ku niemu postać. Nie sposób było nie rozpoznać tej charakterystycznej sylwetki: Cabrillo.

Paulus zastrzelił swojego zakładnika, kiedy tylko się zorientował, że helikopter nie nadaje się do lotu, i zaczął zbiegać z powrotem ze zbocza. Albo liczył na to, że dogoni holownik i dogada się z piratami, albo po prostu wpadł w panikę.

Wiedząc, że Juan będzie go osłaniał, Eddie ruszył w pościg za Afrykanerem. Podczas biegu w dół grawitacja wyręczała jego nogi. Trzydzieści metrów od plaży zatrzymał się z poślizgiem i uniósł automat do ramienia. Nacisnął spust, ale padł tylko jeden strzał. Paulus odwrócił się na moment i pobiegł dalej. Eddie sprawdził broń. Poluzował się magazynek. Docisnął go, odciągnął zamek i wygarnął serią do uciekającego nadzorcy.

Z łydki Paulusa trysnęła krew. Zatoczył się i upadł. Próbował się podnieść, lecz zanim wstał, Eddie pokonał dzielącą ich odległość. Rzucił się na Afrykanera i obaj runęli na kamienie. Paulus, choć ranny, był potężnym mężczyzną i potrafił znieść nawet bardzo silny ból.

- Zapłacisz mi za to - wycedził przez zęby, prowokując Eddiego do następnego ataku.

- Nie bądź taki pewien. - Eddie wykorzystał moment zaskoczenia Afrykanera jego amerykańskim akcentem i zamachnął się kałasznikowem, by zdzielić go w głowę. Paulus w porę się uchylił, ale zarazem odsłonił, i Eddie wymierzył mu brutalnego kopniaka w kolano.

Paulus nawet się nie skrzywił. Opasał Eddiego ramionami i ścisnął jak w imadle. Eddie walnął go bykiem w nos. Poczuł, że pękła kość, ale nadzorca tylko ścisnął go mocniej. Eddie znów go uderzył. Tym razem Afrykaner ryknął z bólu i na tyle rozluźnił chwyt, że Eddie zdołał oswobodzić jedną rękę. Złapał Paulusa za ucho i szarpnął gwałtownie. Nadzorca go puścił. Eddie zahaczył stopę za kostkę Afrykanera i pchnął go do tyłu. Przewracając się, Paulus wyciągnął rękę i chwycił Eddiego za koszulę.

Uderzenie w ziemię z przeciwnikiem na piersi powinno pozbawić go tchu, ale tak się nie stało. Coś zamortyzowało impet. Eddiemu przypominało to upadek na łóżko wodne. Uświadomił sobie z przerażeniem, że wylądowali w wielkiej kałuży rtęci.

Zanim Paulus doszedł do siebie, Eddie wbił mu kolano w krocze i jednocześnie wepchnął mu głowę pod powierzchnię. Afrykaner odruchowo zrobił gwałtowny wdech, wciągając ustami toksyczny ciekły metal. Dostał konwulsji, ale Eddie siedział na nim jak kowboj ujeżdżający byka. Paulus zdołał wynurzyć twarz. Wykaszłał srebrne kulki rtęci, lecz Eddie znów go przydusił. Po minucie Afrykaner przestał walczyć. Kiedy Eddie się podniósł, martwe ciało nadzorcy wypłynęło na powierzchnię kałuży. W ustach i nozdrzach Paulusa lśniła rtęć, jego powieki wyglądały, jakby ktoś

przykrył je monetami.

- Taki koniec jest na mojej liście dziesięciu najgorszych rodzajów śmierci - powiedział Juan i położył Sengowi rękę na ramieniu.

- Przez chwilę myślałem, że sam będę musiał załatwić tych wszystkich bandziorów - wysapał Eddie.

Juan pomógł mu wstać.

- I odmówić nam prawa do chwały? - Wskazał głową zwłoki. - Anton Sawicz?

- Nie, Afrykaner wynajęty do nadzorowania tego piekła. Nazywał się Jan Paulus.

- Orientujesz się, gdzie może być Sawicz? Eddie pokręcił głową.

- Ostatni raz widziałem go na tamtym statku wycieczkowym na plaży. Ale chyba nie żyje, skoro Paulus wziął jako zakładnika jego pilota.

- Niech to szlag!

- Dlaczego? To nam oszczędzi kłopotów. Cabrillo milczał chwilę, a potem powiedział:

- Chodzi o pasera.

- O pasera?

- Facet, który kupuje od złodzieja kradzione rzeczy - wyjaśnił Juan. - Dopóki złoto nie ma wybitej próby i znaku mennicy, jest bezwartościowe.

Nikt uczciwy nawet go nie dotknie. Sawicz musiał to wiedzieć, więc na pewno ustawił kogoś, kto zalegalizuje złoto i wpuści je do systemu. To musi być jakiś liczący się bankier z poważnymi powiązaniami.

- Przykro mi, szefie, ale nie mam pojęcia, kto to jest.

- Nie przejmuj się - odparł Juan. - Znajdziemy tego chciwego sukinsyna.

Linc wywołał go przez radio.

- Plaża zabezpieczona, prezesie. Rosjanie zgodzili się poddać w zamian za transport z tego odludzia.

- Czas się wynosić. - Cabrillo rozejrzał się. Wokół, jak spod ziemi, wyrosły setki chińskich robotników. - Razem z nimi.

Juan wydał rozkazy i w ciągu kilku minut rozeszła się wiadomość, że robotnicy mają wejść na pokład statku, który dostarczono na plażę jako ostatni. Musiała jednak minąć co najmniej godzina, zanim wszyscy wdrapią się po jedynej drabince wystarczająco wysokiej, by sięgnęła relingu.

Cabrillo czekał na nabrzeżu dla trawlerów, gdy łodzią szturmową przyplłynęła Tory.

- Wybierasz się w moim kierunku, marynarzu?

Zeskoczył na pokład i pod wpływem nagłego impulsu pocałował ją w usta. Przerwała mu kolejna głośna eksplozja wulkanu, od której na zatoce pojawiły się półmetrowe fale.

- No proszę, poruszyłeś ziemię - zaśmiała się Tory.

Dla Juana intymny nastrój już minął. Walczyli z czasem, a liczyła się każda sekunda. Tory właściwie odczytała jego wyraz twarzy i pchnęła przepustnice.

Na rozkaz Cabrilla Max obrócił „Oregona” rufą do statku wycieczkowego na mieliźnie. Załoganci wypuścili liny holownicze frachtowca z cofniętych włazów pod rufówką. Dwa skutery wodne przewiozły końce lin na brzeg, gdzie setka najbardziej sprawnych chińskich imigrantów miała je przeciągnąć na statek wycieczkowy.

- Max, słyszysz mnie? - zawołał Juan przez radio.

- Tak.

- Jaka jest sytuacja?

- Są prawie gotowi do przeciągnięcia holu na statek. A tak przy okazji, on się nazywa „Selandria”. Są tam Linda i Linc, kierują całą operacją. Mówią że pacholki cumownicze to zardzewiały złom, więc zamierzamy opleść hol wokół kabestanów. Powinny wytrzymać naprężenie.

- Dobra. Jestem już prawie na miejscu. Jak tylko umocują hol, niech wszyscy nasi ludzie wracają na „Oregona”.

- Muszę pohamować doktor Huxley. Chce zabrać tam zespół medyczny i natychmiast zacząć pomagać najbardziej poszkodowanym Chińczykom.

- Więc ją pohamuj - warknął Juan. - Powiedz jej, że jeśli nam się nie uda, będziemy musieli zostawić tych ludzi i modlić się, żeby znaleźć dla nich jakąś pomoc, zanim wybuchnie wulkan.

- Kiedy skończyła się strzelanina, próbowałem wywołać rosyjską ochronę wybrzeża, ale góry powodują straszne zakłócenia. Nie mamy żadnej łączności. Działa tylko nasza sieć taktyczna bliskiego zasięgu.

- Jesteśmy zdani na siebie.

- Niestety.

- Zostań w centrum operacyjnym. Ja będę na mostku. Niech ktoś tam na mnie czeka z czystym ubraniem. - Juan zerknął na Tory. Pokiwała energicznie głową. - Dla Tory też.

Idąc przez statek, ściągnął brudną kurtkę od munduru polowego. Dotarł na mostek w momencie, gdy z windy wysiadł Maurice, który przyjechał z centrum operacyjnego. Pchał przed sobą srebrny wózek kelnerski. Dał Juanowi i Tory świeże ubrania. Tory weszła do kabiny radiowej, Juan przebrał się tam, gdzie stał.

- Teraz lepiej - stwierdził.

Maurice zdjął z wózka lśniącą pokrywę. Aromat jedzenia sprawił, że Juanowi pociekła ślinka.

- Burrito z drobno siekaną wołowiną i kawa - oznajmił steward. Cabrillo spróbował ostrego meksykańskiego smakołyku.

- Maurice, właśnie podwoiłeś swoją pensję - powiedział z pełnymi ustami.

Steward przechylił butelkę nad filiżanką kawy Juana.

- Z mojego zapasu brandy. Akurat tyle, żeby się odprężyć.
- Potroiłeś.

Dogonił ich sztorm, który wyprzedzili na Morzu Ochockim. W przednią szybę zaczął walić deszcz, niebo przecięła błyskawica. Maurice wyciągnął spod wózka dwa identyczne sztormiaki, czapki baseballowe i gumki Juana.

- Miałem przeczucie.

Cabrillo włożył sztormiak. Z kabiny radiowej wyszła Tory.

- Boże, nie zdawałam sobie sprawy, jaka jestem głodna.
- Prezesie? - odezwał się przez walkie-talkie Max.
- Tak?
- Liny przeciągnięte. Linda potrzebuje jeszcze dziesięciu minut.
- Powiedz jej, że ma pięć. Zaraz uderzy sztorm i robota stanie się prawie niewykonalna.

Juan wyszedł na skrzydło mostka w porywisty wiatr. Popiół wulkaniczny mieszał się z deszczem i z nieba padało błoto. Spojrzał na rufę. Ciężkie liny zostały przeciągnięte przez spływники „Selandrii”. Wszystko wydawało się w porządku, tyle że „Oregon” dryfował z wiatrem i nie był w jednej linii ze statkiem wycieczkowym. Juan połączył się z Erikiem Stone’em i kazał mu to skorygować. Po chwili zobaczył, jak lewy pędnik dziobowy pieni wodę.

- Teraz dobrze. Tak trzymać, panie Stone.

Od frachtowca odbiła z rykiem łódź szturmowa i pomknęła po wzburzonym morzu, żeby zabrać z ładunku ostatnich członków Korporacji. Gumowe pływaki wyginały się, gdy skakała po falach.

Do Juana dołączyła Tory.

- Myślisz, że się uda?
- Możemy wycisnąć z naszych silników moc superlotniskowca, ale jeśli kadłub tkwi mocno w ziemi, będziemy mieli klasyczny problem nieodwracalnej siły i nieruchomego obiektu.
- Naprawdę byś ich zostawił?

Cabrillo milczał, ale Tory widziała w jego oczach determinację i rozumiała, że jest gotów wyprać flaki ze swojego ukochanego statku i narazić na niebezpieczeństwo swoich ludzi, byle tylko uratować choć jednego chińskiego imigranta.

Kilka minut później łódź szturmowa wystartowała z powrotem od plaży. Gdy minęła liny holownicze, Cabrillo uniósł do ust walkie-talkie.

- Dobra, Eric, napręż trochę ten hol.

„Oregon” ruszył i liny wynurzyły się z morza. Ociekające wodą stalowe sploty napinały się coraz bardziej.

- To wszystko - zameldował sternik. - Prędkość zero. Pełne rozciągnięcie.
- Daj powoli trzydzieści procent mocy i tak trzymaj.

Rozległo się charakterystyczne wycie silników magnetohydrodynamicznych wchodzących na obroty. Kąt holu i siła napędowa zwiększyły zanurzenie „Oregona”, przez dziób przelewały się fale.

- Ciągniemy ją - zawołał Eric. - W tempie półtora metra na minutę.
- Nie, po prostu jeszcze trochę naprężamy liny. - W college’u Juan spędził jedno lato na holowniku i wiedział, jak łatwo błędnie zinterpretować napinanie liny jako początek podróży. - Za chwilę przekonasz się, że się cofamy. Wtedy daj pięćdziesiąt procent mocy.

Cabrillo obserwował fale uderzające w „Selandrię”. Próbował się zorientować, czy ją przesuwały, czy tylko rozbijają się o nią. Ściany wody poruszały statkiem, ale ilekroć dziób unosił się na ich grzbietach, rufa coraz bardziej zagłębiała się w ziemię.

- Pięćdziesiąt procent - zameldował Eric. - Stoimy.
- Daj osiemdziesiąt.
- Nie zalecałbym tego - ostrzegł Max Hanley. - Już wystarczająco nadwerżyłeś moje małeństwa.

Teoretycznie nie istniała granica mocy wyjściowej silników magnetohydrodynamicznych, ale system miał słaby punkt: szybkoobrotowe pompy ciekłego helu, schładzającego magnesy do temperatur, w których występowało zjawisko nadprzewodnictwa. Zbyt zimne chłodziwo szkodziło wirnikom. Po ich długotrwałym przeciążeniu w drodze na Kamczatkę Max obawiał się, że ulegną awarii.

- O ten układ napędowy dba najlepszy główny mechanik na świecie. Daj osiemdziesiąt.

„Oregon” osiadł jeszcze niżej. Tym razem fale przelewały się przez relingi. Za rufą tworzyła się kipiela, gdy pompy przetłaczały przez tunele setki ton wody na minutę.

- Nic - zameldował Eric. - Ani drgnie. Nie wyciągniemy jej. Juan zignorował jego pesymizm.
- Ster do oporu na prawą burtę.

Eric wykonał polecenie. „Oregon” zboczył z linii prostej jak pies napinający smycz, i obciążenie holu wzrosło o parę ton.

- Pełny skręt na lewą burtę.

Statek zmienił kierunek i naprężył liny tak, że zaczęły wibrować. Kadłub „Selandrii” zaskrzypiał, gdy obróciła się na kamieniach, potem zazgrzytał przeraźliwie, kiedy przesunęła się dalej.

- Dawaj, mała, dawaj - przynaglił Juan. - Coś się dzieje? - spytał po chwili.

Eric z powrotem skręcił w prawo.

- Nie. Prędkość nadal zero.

- Juan - wtrącił się Max - rośnie temperatura trzeciego i czwartego silnika. Zaczynają wysiadać pompy chłodziwa. Musimy to przerwać i wziąć na pokład tyłu tych nieszczęśników, ilu zdołamy.

Cabrillo się obejrzał. Chińczycy dostali polecenie, żeby nie wychodzić na zewnątrz. Gdyby przeciążona lina holownicza pękła, mogłaby przeciąć człowieka na pół. Mimo to na dziobie „Selandrii” widać było masę bladych, przerażonych twarzy. Imigranci kulili się i trzęśli z zimna w lodowatym deszczu. Na statek wycieczkowy weszło ponad trzy tysiące robotników. „Oregon” mógłby ewentualnie zabrać jedną trzecią.

- Dobra.

Max musiał trzymać ręce na sterownikach napędu, bo gdy tylko Juan wymówił to słowo, obroty silników spadły do jałowych. Odciążony „Oregon” uniósł się, zrzucając z siebie wodę jak spaniel.

Tory posłała Juanowi spojrzenie pełne dezaprobaty, ale on wcale tak łatwo się nie poddał.

- Zmniejsz napięcie holu i odwiń sto metrów lin - komenderował. - Rusz kawałek do przodu i przygotuj się do rzucenia obu kotwic.

- Juan, naprawdę myślisz...

- Nasze windy kotwiczne napędzają silniki o mocy czterystu koni mechanicznych - przypomniał Cabrillo. - Potrzebuję każdego kucyka, jakiego mamy.

Max wyłączył komputerowo sprzęgła obu bębnow z linami, żeby mogły się swobodnie obracać. Eric Stone znów uruchomił napęd. Kiedy pokonali sto metrów, Max wypuścił kotwice. Opadły szybko na dno zaledwie dwadzieścia pięć metrów poniżej.

- Teraz cofnij nas delikatnie, żeby łapy mocno się zahaczyły. Wielkie kotwice sunęły po kamienistym dnie, zostawiając w luźnym podłożu głębokie bruzdy, dopóki ich łapy z hartowanej stali nie zaczepiły o skałę. Komputer automatycznie wyregulował napięcie łańcuchów.

- Gotowe - oznajmił Max bez entuzjazmu.

- Napręż hol i daj trzydzieści procent mocy. - Juan uniósł do oczu lornetkę, celowo unikając widoku ludzi przy relingu „Selandrii”. Fale nadal uderzały w jej dziób, statek kołysał się pionowo, rufa coraz bardziej zagłębiała się w ziemię.

- Trzydzieści procent - zameldował Eric. - Żadnego ruchu naprzód, poza napinaniem lin.

- Daj pięćdziesiąt - powiedział Juan, nie odrywając wzroku od statku wycieczkowego. - Co z kotwicami?

- Windy stoją w miejscu - odparł Max. - Trójka i czwórka mocno się grzeją. Brakuje tylko siedemnastu stopni do czerwonej linii i automatycznego wyłączenia.

Siły działające na hol były ogromne: potężna moc silników przeciwko masie dwudziestu tysięcy ton stali wbitej w plażę. Ciągnięty przez naprężone liny dziób „Selandrii” przestał reagować na uderzenia fal. Woda przepływała pod nim i poruszała głazami wielkości piłki do siatkówki.

- Coś się dzieje? - zawołał Juan.

- Windy ani drgną - powtórzył Max - i zero prędkości.

- Osiemdziesiąt procent!

- Juan!

- I zastopuj ograniczniki silników - dodał wściekle Cabrillo. - Przekrocz czerwoną linię, jeśli będziesz musiał. Nie zostawimy tych ludzi.

Max wpisał do komputera kilka poleceń, które kazały systemowi zignorować przegrzewanie się masywnych kriopomp. Patrzył, jak kolumny na ekranie wskazujące temperaturę przybierają czerwoną barwę i pną się w górę ponad granicę bezpieczeństwa. Zgasił monitor.

- Przepraszam, moje maleństwa.

Juan czuł przez podeszwy butów przeciążenie swojego statku zmagającego się z holem. Wibracje zdawały się rozrywać „Oregoną”. Każdy wstrząs był dla Cabrilla jak cios w serce.

- No dalej, suko - warknął. - Rusz się.

W zatoce zaczęło narastać dudnienie, tak głębokie i intensywne, że Juan bardziej je czuł na skórze, niż słyszał. Szczyt góry zasłaniała gęsta chmura popiołu, ziemia drżała tak mocno, że plaża zdawała się rozpląwać. Stało się, pomyślał Cabrillo. Erupeja wulkanu. Wybuchnie jak Saint Helens. Ściana gorącego popiołu i gazu runie w dół zabójczą lawiną nazywaną przez naukowców wylewem piroklastycznym i uważaną za jedną z najbardziej niszczycielskich sił na świecie. Juan zaryzykował wszystko i za chwilę miał wszystko stracić. Było już za późno, żeby wrócić i uratować kogoś z Chińczyków. Łzy zaszczyptały go w oczy, ale na twarzy pozostał zawzięty wyraz.

- Trzeba odciąć hol - zauważył Max. Cabrillo nie odpowiedział.

- Juan, czas ruszać. Jeśli mamy wyjść z tego cało, musimy oddalić się od wulkanu na odległość kilku mil.

Juan wiedział, że wylew piroklastyczny dotrze daleko w morze gęstą toksyczną chmurą która zatruje wszystko na swojej drodze. Ale nadal milczał.

- Płyniemy! - krzyknął Eric. - Lewa winda wybiera łańcuch w tempie pięciu metrów na minutę.

- To musi być poślizg - skontrolował Max. - Wlecze go po dnie. Nagle zapadła taka ciemność, jakby nastąpiło zaćmienie Słońca. Juan ledwo widział „Selandrię” przez wirujący w powietrzu gorący popiół, który parzył go w gołe ręce, gdy trzymał przy oczach lornetkę. Nie potrafił powiedzieć, czy statek wycieczkowy jest w ruchu, czy też Max miał rację i kotwica puściła.

Na „Oregonie” długo nikt się nie odzywał. Stone nie odrywał wzroku od prędkościomierza, który uparcie pokazywał zero.

Wtem przez odgłos erupcji wulkanu z „Selandrii” dobiegł dźwięk przypominający krzyk konającego człowieka, jakby statek nie mógł dłużej znieść ogromnego obciążenia holu i naporu sztormu.

- Mam ją! - zawołał Eric, kiedy wskazania prędkościomierza wreszcie lekko się zmieniły.

Max włączył monitor swojego komputera.

- Obie windy wybierają łańcuchy.

- Posuwamy się w tempie dziesięciu metrów na minutę. Piętnastu. Dwudziestu.

W miarę, jak statek odzyskiwał pływalność, prędkość rosła. Patrzyli w milczeniu, jak „Selandria” wraca na morze. Płyty kadłuba zgrzytały w proteście, kiedy statek był wleczony po kamieniach. Gdy w plażę uderzyła wyjątkowo wysoka fala, „Selandria” wspięła się na nią i uwolniona rufa uniosła się wysoko.

- Wyciągnęliśmy ją - zawołał Juan na dół do centrum operacyjnego i usłyszał wiwaty załogi. Ktoś, zapewne Max, który pod skorupą twardziela miał sentymentalną duszę, włączył syrenę okrętową. Jej uroczyste basowe buczenie rozniosło się echem po zatoce.

- Jeszcze nie wyszliśmy na prostą - powiedział Cabrillo i wprowadził Tory do sterówki. Zjechali do centrum operacyjnego. Znowy wybuchły wiwaty na cześć prezesa, ludzie klepali go po plecach tak mocno, że miał potem siniaki.

Teraz, kiedy „Selandria” była już na wodzie, kazał zredukować moc silników do pięćdziesięciu procent i wyświetlić na głównym ekranie obraz z kamer skierowanych na rufę. „Oregon” nadał przyspieszał i wzdłuż linii wodnej statku wycieczkowego pojawiła się już piana.

Tory zrobiła gwałtowny wdech.

- Dobry Boże.

Szczyt góry wyparował. W dół zbocza sunęła czarna ściana popiołu, wirująca, dusząca masa, która wydawała się żywa. Niszczyła wszystko na swojej drodze. Wyrwała z ziemi stuletnie drzewa i ciskała niczym zapalki. Po chwili do statku dotarł ogłuszający huk eksplozji.

Robotnicy na „Selandrii” rzucili się z powrotem do jej wnętrza, kiedy wylew piroklastyczny sięgnął w końcu linii przyboju wśród kłębow pary i pędzący naprzód popiół pochłonął inne statki pozostawione na plaży. Jedna z mniejszych jednostek przewróciła się na burtę, a barka z przetwórną rudy do góry dnem.

- Trzymajcie się - powiedział ktoś niepotrzebnie, gdy popiół otoczył „Selandrię” i całkowicie przesłonił widok w kamerze.

Huragan popiołu uderzył w „Oregon” niczym młot kowalski i roztrzaskał szyby. Frachtowiec przechylił się tak mocno na sterburtę, że reling zanurzył się w morzu, ale statek przetrzymał atak



żywołu i parł przed siebie, dopóki nie wy dostał się z chmury na słabe światło dzienne.

Wszyscy zamarli w bezruchu i śledzili ekran z zapartym tchem. Mijały sekundy. Nagle, niczym duch, zza zasłony popiołu wyłonił się dziób „Selandrii”. Jej kadłub był pokryty pyłem, ale nigdy nie wyglądała piękniej. Jednak załoga wciąż obserwowała monitor i czekała. Uwagę wszystkich przykuł jakiś niewielki ruch. Mark Murphy zrobił zbliżenie i zobaczyli, że na górnym pokładzie otworzyły się drzwi. Wyszła z nich drobna postać, rozejrzała się i przywołała gestem kogoś wewnątrz statku. Po kilku sekundach na pokładzie pojawił się tuzin ludzi. W wybuchu radości, że przeżyli, wzbijali do góry tumany popiołu.

Jakby za sprawą magii, w centrum operacyjnym wyrósł Maurice. Trzymał tacę z trzema butelkami szampana Dom Perignon i kryształowymi kieliszkami dla całej wachty.

Podczas hałaśliwego świętowania Tory szepnęła Juanowi do ucha:

- Więc kto był tą suką?

- Słucham?

- Kiedy staliśmy na mostku, powiedziałeś: „No dalej, suko. Rusz się”. O jakiej suce mówiłeś? O „Selandrii”?

- Nie.

Tory opuściła kącik ust i zastanowiła się nad jego odpowiedzią. Potem rozchyliła wargi w promiennym uśmiechu.

- Max ma rację. Chytry z ciebie drań. Mówiłeś o matce naturze. Juan nie mógł powstrzymać uśmiechu zadowolenia.

- Wiedziałem, że tuż przed główną erupcją wulkanu będzie silne trzęsienie ziemi. Nasiąknięte wodą podłoże przechodzi w stan ciekły. Wstrząsy powodują że grunt zamienia się w lotne piaski. To zlikwidowało podciśnienie, które wytworzyło się pod kadłubem „Selandrii”, i pozwoliło nam ją wyciągnąć.

- Mało brakowało, żeby nic z tego nie wyszło, prawda?

- Duża nagroda czeka cię tylko wtedy, kiedy jesteś gotowa dużo zaryzykować.

- Prezesie. - Mark Murphy wciąż był na stanowisku ogniowym. - Mam na radarze obiekt sześć mil przed nami, poruszający się z prędkością siedmiu węzłów.

- Holownik - powiedział Max.

- Właśnie mówiliśmy o nagrodzie.

Mimo „Selandrii” na holu „Oregon” potrzebował zaledwie piętnastu minut, żeby uciekający piraci znaleźli się w zasięgu wzroku. Juan kazał załodze zająć stanowiska i polecił Erikowi podejść do przysadzistego holownika z lewej burty. Na jego pokładzie była tylko garstka piratów. „Oregon” zbliżył się do nich, zanim zdali sobie sprawę, że mają towarzystwo. Dwaj wypadli na skrzydło mostka z automatami, ale szybko dali nura za osłonę, kiedy Murph otworzył ogień z jednego z działek umieszczonych w ukrytej wieżyczce na pokładzie frachtowca.

- Mike, Ski, słyszycie mnie? - zawołał przez radio Juan.

- Myślałem, że całkiem o nas zapomniałeś - odparł Pułaski na kanale łączności taktycznej. -

Mieliśmy z Mikiem wrażenie, że jesteśmy w długim rejsie wakacyjnym.

- Przepraszam, chłopaki. Musicie tam zostać jeszcze trochę. Widzę na rufie holownika dwa kontenery. Na którym jesteście?

- Na tym z tyłu.

- A co z zaczepem?

- Gotowy do użycia.

- Zrównamy się z wami za jakąś minutę - powiedział Juan i zwrócił się do Murphy'ego: - Bądź tak dobry i pozbaw holownik steru.

- Z przyjemnością.

Murph wywołał boforsa kaliber 40 milimetrów, czekał, aż broń wyłoni się z zamaskowanej komory i wpakował pół tuzina pocisków pod rufę holownika. Przysadzisty statek natychmiast wytracił prędkość, na wodzie pojawił się ślad wycieku oleju z przedziurawionego kadłuba.

Eric Stone trzymał ręce luźno na przyrządach, gdy podchodził „Oregonem” do burty holownika. Kiedy odległość między dwoma jednostkami zmalała do paru metrów, zwolnił, żeby wyrównać prędkość obu statków. Używając steru i pędnika dziobowego, utrzymywał frachtowiec obok holownika. Murph nie odrywał wzroku od kamer, żeby zapewnić „Oregonowi” osłonę ogniową gdyby pokazał się któryś z piratów.

Wysoko na pokładzie dwaj załoganci obrócili bom ładunkowy frachtowca daleko za burtę i popuścili linę tak, że hak zawisł tuż nad kontenerem. Trono i Ski wyłonili się wreszcie spod brezentu i zaczepili hak za belkę, którą wcześniej umocowali do metalowej skrzyni. Mike zatoczył ręką krąg i kontener oderwał się od pokładu.

\*\*\*

Mohammad Singh, drugi z najstarszych i najbardziej zaufanych synów Shere'a Singha, przeżył pierwszy atak na holownik, bo ukrywał się w kabinie, gdy ludzie jego ojca likwidowali załogę, a potem ginęli od kul z gatlinga. Za prowadzenie walki Singh senior płacił innym. Ale kiedy Singh junior zobaczył nad burtą swojego statku ramię żurawia, natychmiast zrozumiał, że ktoś chce go obrabować. Zbiegł z mostka, wymachując pistoletem, i wpadł na pokład rufowy, wrzeszcząc na całe gardło przekleństwa.

Murph zobaczył go, ale spóźnił się o ułamek sekundy z wycelowaniem w niego jednej z „pięćdziesiątek”.

Singh skoczył i złapał się kontenera w momencie, gdy metalowa skrzynia zaczęła się huścić w powietrzu; musiał rzucić broń, żeby się mocno trzymać.

Operator żurawia nawinął na bęben tyle liny, że kontener uniósł się nad reling, i zaczął obracać bom z powrotem w kierunku „Oregon”, kiedy obok dwóch statków wyrosła wysoka fala. Stone po mistrzowsku uniknął kolizji, ale załogant nie mógł zatrzymać szybującego w powietrzu kontenera, który z mokrym plaśnięciem uderzył w mostek holownika. Gdy się odbił z powrotem, z Mohammada Singha została tylko mięsista czerwona plama.

Większość załogi zebrała się w ładowni, gdzie opuszczono kontener, kiedy tylko „Oregon” znalazł się poza zasięgiem ognia piratów na dryfującym holowniku.

Ski i Trono zafundowali wszystkim prysznic z szampana.

- Wyobrażałem to sobie trochę inaczej - krzyknął ponad wrzawą Juan - bo ci dwaj pajace mieli się zakraść dyskretnie na holownik, ale... - urwał i otworzył wielkie drzwi.

Oświetlenie w ładowni niespecjalnie nadawało się do oglądania skarbu, lecz blask złota w kontenerze miał najpiękniejszy kolor, jaki kiedykolwiek widzieli.

Juan wziął jedną sztabę i uniósł nad głowę jak trofeum. Wokół niego rozległy się głośnie wiwaty.

## 25

Juan Cabrillo wyciągnął się z westchnieniem ulgi na kanapie i wypił łyk brandy, którą kupił w sklepie wolnoctwowym na lotnisku w Zurychu. Po raz pierwszy od niemal dwóch tygodni mógł się wreszcie odprężyć.

Zapatrzył się w ogień płonący w otwartym kominku i poddał hipnotycznemu działaniu tańca płomieni.

Kiedy ścigali „Selandrię” z plaży, jej kadłub podziurawiły ostre skały. Zdołali odholować statek dwadzieścia mil w dół zachodniego wybrzeża Kamczatki, wmanewrowali do płytkiej zatoczki i pozwolili mu zatonać.

Przenieśli tyle jedzenia, ile mogli poświęcić, i opróżnili izbę chorych prawie ze wszystkich zapasów. Juan dał doktor Huxley i jej zespołowi medycznemu tylko dwadzieścia cztery godziny na udzielenie pomocy lekarskiej potrzebującym, potem rozkazał, by „Oregon” kontynuował rejs na południe.

Na drugi holownik i suchy dok „Souri” trafili zaledwie sto pięćdziesiąt mil morskich od miejsca, które według słów Eddiego robotnicy nazwali Plażą Śmierci. Jak przypuszczał Cabrillo, „Souri” z trudem posuwał się naprzód podczas sztormu. Bez ostrzeżenia wpakowali w niego torpedę, kiedy przepływali obok, i odstrzelili holownikowi ster serią z „czterdziestki”.

Dopiero wtedy Cabrillo skontaktował się przez radio z rosyjską ochroną wybrzeża. Połączył się z nimi przez pół tuzina satelitarnych stacji przekaźnikowych, żeby nie zdradzić pozycji „Oregonu”. Zameldował, że na Morzu Ochockim kilka statków potrzebuje pomocy, i podał współrzędne według GPS-u. Powiedział też o chińskich uchodźcach, ale radiooperator, z którym rozmawiał, nie przejął się zbyt ich losem, natomiast informacja o nielegalnie wydobytym złocie na jednym z holowników wzbudziła większe zainteresowanie.

Kiedy „Oregon” zawinął do Władywostoku, rozeszła się wieść o dramatycznej akcji ratowniczej, niewiarygodnym odkryciu na Kamczatce i najsilniejszej od dziesięciu lat erupcji wulkanu w Azji. Korporacja przekazała rosyjskich najemników władzom i zleciła niezbędne naprawy statku.

Juan zatelefonował do Langstona Overholta, ich głównego kontaktu w CIA, i opowiedział mu całą historię. Zadzwonił też do Hiroshiego Katsui z wiadomością że zagrożenie atakami piratów na wodach wokół Japonii zostało zlikwidowane, i dał mu instrukcje co do reszty płatności.

Uznał, że zdobyte przez nich złoto to premia, o której ich klient nie musi wiedzieć.

Dwa tygodnie po erupcji Lang przysłał Juanowi e-mail. Pierwsi ratownicy, którzy dotarli do zatoki na Kamczatce, zameldowali, że ktoś przeżył wybuch wulkanu na pokładzie jednego ze statków wycieczkowych. Zabarykadował się w schowku, zanim wylew piroklastyczny zagrzebał jednostkę pod półtorametrową warstwą gorącego popiołu. Lang pomyślał, że Juana zainteresuje informacja, iż

uratowany przedstawił się jako Anton Sawicz, dobrze znany w regionie wulkanolog. Przebywa obecnie w hotelu w Pietropawłowsku.

Juan chciał się tam wybrać osobiście, ale czuł, że Eddiemu Sengowi bardziej na tym zależy. Eddie wziął ze sobą Franklina Lincolna. Wrócili po dwóch dniach z nazwiskiem Bernharda Volkmana, bankiera, który miał kupić złoto od Sawicza.

- Jak się tego dowiedzieliście? - zapytał ich Juan.

- Bardzo prosto - odrzekł Eddie. - Włamaliśmy się do pokoju Sawicza, porwaliśmy go, zawieźliśmy na lotnisko i obiecaliśmy mu, że go nie zabijemy, jeśli powie nam to, co chcemy wiedzieć.

- I?

- Nie miał nic do stracenia, a wszystko do zyskania, więc się zgodził.

- I? - powtórzył Juan, czując, że zaciska zęby.

- Kiedy Rosjanie uratowali Chińczyków z „Selandrii”, nie mieli ich gdzie zakwaterować w okolicy Pietropawłowska, więc umieścili około tysiąca ludzi w hangarze na lotnisku, dopóki nie wymyślą co z nimi zrobić. Więc gdy Sawicz podał mi nazwisko, poszedłem z nim do tego hangaru, wyjaśniłem kilku ludziom, że to jest facet odpowiedzialny za wszystko, co ich spotkało, i zostawiłem go im.

Juan zerknął na Linca.

- Obiecaliśmy mu, że go nie zabijemy - wyjaśnił Franklin. - Nie mówiliśmy, że nie oddamy go w ręce jego ofiar. Zanim odeszliśmy poza zasięg głosu, gość już przestał wrzeszczeć.

\*\*\*

Cabrillo wrócił do Szwajcarii na spotkanie z Bernhardem Volkmanem. Wspominał je teraz przy brandy. Poszło tak dobrze, jak się spodziewał.

Volkman zgodził się kupić sześćdziesiąt ton złota, które przyleciało w ślad za Juanem do Szwajcarii w paru kontenerach. Zgodził się założyć fundusz inwestycyjny, z którego połowa dochodów będzie przekazywana chińskim robotnikom z Kamczatki. Zgodził się też sprzedać swój bank, przenieść się do slumsów Kalkuty i do końca życia prowadzić działalność dobroczynną.

Juan z kolei zgodził się nie wpakować chciwemu sukinsynowi kuli w łeb.

\*\*\*

Lekkie pukanie do drzwi przeniosło go z powrotem do teraźniejszości. Zainteresowanie prasy eksplozją i porwaniem Rudolpha Ispordinga dawno minęło i Juan wyglądał zupełnie inaczej niż ciemnowłosa, wąsata Hiszpan, którego udawał, kiedy wynajmował bezpieczny dom, więc przeszedł spokojnie przez salon i otworzył drzwi.

- Cześć, marynarzu, pamiętasz mnie? - Tory miała wysoko upięte włosy, co podkreślało smukłość jej szyi; w niebieskich oczach odbijał się blask ognia na kominku. Była w luźnym szarym kostiumie i białej bluzce rozpiętej wystarczająco nisko, by zwrócić jego uwagę. Na jej uszmkowanych

wargach błąkał się niepewny uśmiech.

- Nie spodziewałem się, że cię jeszcze zobaczę - wyjąkał w końcu Juan. Zniknęła bez pożegnania wkrótce po tym, jak „Oregon” zawinął do Władywostoku.

Jej uśmiech przygasł.

- Nie zaprosisz mnie do środka?

- Jasne, wejdź.

Zrobił jej drinka i usiadł w fotelu na wprost niej, przodem do kominka.

- Nie sądziłam, że się jeszcze zobaczymy - zaczęła - ale zadzwonił do mnie Max i skorygował moje błędne wyobrażenia. Uważałam cię za zawadiackiego kapitana dowodzącego wesołą bandą awanturników, który ma dziewczynę w każdym porcie. Nie chciałam być jeszcze jednym nacięciem na pasie od twojej szabli, więc zamiast dać się zranić, po raz kolejny zakochując się w niewłaściwym mężczyźnie, postanowiłam wrócić do domu i oszczędzić sobie bólu. - A potem zatelefonował Max. Powiedział mi, że nie masz kobiety w każdym porcie, i przez te wszystkie lata, odkąd cię zna, nie widział nawet, żebyś się wybierał na randkę. Powiedział też, że jesteś wdowcem, a twoja żona zginęła w wypadku spowodowanym przez pijanego kierowcę. Podobno nie masz ani jednego jej zdjęcia i mówiłeś mi o niej tylko raz, ale od czasu jej śmierci nie utrzymujesz żadnych stosunków z kobietami.

Juan chciał odpowiedzieć, ale Tory wstała, podeszła do niego i położyła mu palec na ustach.

- Max powiedział mi też, że odkąd zniknęłam, jesteś nieznośnym sukinsynem, i dlatego do mnie zadzwonił. Chyba uważa, że mnie lubisz, i jest pewien, że ja ciebie też. No więc jestem. Przyleciałam tu jak na skrzydłach. Co ty na to? Pamiętam, co mi mówiłeś. Tylko duże ryzyko daje szansę na dużą nagrodę.

- Tylko Max wie, że byłem żonaty, i nie powiedziałem mu całej prawdy - odrzekł cicho Juan. - Ona zginęła w wypadku, ale sama go spowodowała po pijanemu. To było dziesięć... nie, jedenaście lat temu. Przedtem była dwa razy na odwyku, ale to nie pomogło. Nie miałem pojęcia, że wtedy piła. Kiedy tamtej nocy zobaczyłem za drzwiami gliniarza, od razu wiedziałem, co się stało.

- Przykro mi. - Tory oparła rękę na piersi Juana. - I wciąż nosisz w sercu zadrę.

Popatrzył jej w oczy.

- Noszę w sobie złość. Milczeli przez kilka sekund.

- Nie jesteś zły na nią, prawda? - Nie zabrzmiało to jak pytanie. - Winisz siebie.

- A kogo mam winić?

- Ją. - Tory zdjęła zakiet. - Posłuchaj, Juan. Max powiedział mi, że macie już nowe zlecenia, a ja dostałam tylko tydzień urlopu. Nie proszę, żebyś wszystko rzucił i ożenił się ze mną. Nic proszę nawet, żebyś mnie kochał. Proszę tylko, żebyś przestał winić siebie za całe zło na tym świecie i cieszył się dobrem. Jak długo nie miałeś kobiety?

Szczerłość tego pytania sprawiła, że przeszył go dreszcz. W wirze uczucia w jego wnętrzu runęła tama, którą wznosił przez pół życia. Bezwiednie wyciągnął rękę, objął Tory za szyję i zanurzył palce w jej włosach.

- Od...

- Nie sądzisz, że już czas? - zapytała i pocałowała go.

Juan wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Serce waliło mu jak młotem.

- Czas nigdy nie miał tu nic do rzeczy - szepnął jej do ucha, Po prostu czekałem na właściwą osobę. - Uśmiechnął się do niej. I muszę cię uprzedzić, że pewnie trochę zardzewiałem.

- Bez obaw - zachichotała ochryple. - Są na to sposoby. Może nawet wymyślimy kilka nowych.